

**ROBERT
LUDLUM**

**DOKUMENT
MATLOCKA**

Spis treści

Spis treści	2
Rodział 1	5
Rodział 2	10
Rodział 3	14
Rodział 4	20
Rodział 5	27
Rodział 6	32
Rodział 7	39
Rodział 8	46
Rodział 9	50
Rodział 10	57
Rodział 11	63
Rodział 12	68
Rodział 13	74
Rodział 14	80
Rodział 15	83
Rodział 16	86
Rodział 17	90
Rodział 18	95
Rodział 19	99
Rodział 20	105
Rodział 21	110
Rodział 22	116
Rodział 23	121
Rodział 24	124
Rodział 25	133
Rodział 26	139
Rodział 27	146
Rodział 28	151
Rodział 29	155
Rodział 30	160
Rodział 31	166
Rodział 32	172
Rodział 33	176
Rodział 34	183
Rodział 35	187

Dla Pat i Billa

Jak mówi stare hinduskie przysłowie:
“Kiedy olbrzymy rzucają cień, nadzieja w tym, że cię osłoni”.
Para Macellich to olbrzymy!

1

Loring wyszedł bocznymi drzwiami z departamentu sprawiedliwości i zaczął się rozglądać za taksówką. Było wiosenne piątkowe popołudnie, dochodziła już niemal piąta trzydzieści i ruch na ulicach Waszyngtonu osiągnął szczyt. Loring z nikłą nadzieją stanął przy krawężniku machając lewą ręką. Miał już zrezygnować, kiedy zatrzymała się przed nim taksówka, złapana przez kogoś innego parę metrów wcześniej.

- Jedzie pan w kierunku wschodnim? Niech pan wsiada, ten pasażer nie ma nic przeciwko temu.

Loring był zawsze zażenowany w takich sytuacjach. Mimo woli podkurczył prawe ramię, chowając dłoń jak najgłębiej w rękaw, żeby osłonić cienki czarny łańcuszek okalający nadgarstek, zapięty na rączce teczki.

- Dziękuję bardzo, ale przy następnej przecznicy skręcam na południe.

Odczekał, aż taksówka włączy się z powrotem do ruchu i znów zaczął beznadziejnie machać.

Kiedy indziej zmobilizowałby wszystkie siły i ruszył do akcji. Rozglądałby się w obu kierunkach, wypatrując wysiadających pasażerów lub nikłego światełka na dachu taksówki, sygnalizującego, że jest do wzięcia, jeśli zdoła ją dopaść przed innymi.

Dzisiaj jednak Ralph Loring nie miał ochoty na biegi z przeszkodami. Nie potrafił się otrząsnąć z przygnębienia. Właśnie był świadkiem skazania człowieka na śmierć. Człowieka, którego nie znał osobiście, ale o którym bardzo dużo wiedział. Pewnego nieznanego, lat trzydzieści trzy, który mieszkał i pracował w odległym o sześćset czterdzieści kilometrów miasteczku w Nowej Anglii i nie miał pojęcia ani o jego, Loringa, istnieniu, ani tym bardziej o zainteresowaniu, jakie budził w departamencie sprawiedliwości.

Myśli Loringa wracały do dużej sali konferencyjnej z ogromnym prostokątnym stołem i siedzących przy nim ludzi, którzy wydali wyrok.

Sam ostro się temu sprzeciwił. To wszystko, co mógł zrobić dla nieznanego człowieka, którego z taką precyzją wmanewrowano w sytuację bez wyjścia.

- Pozwolę sobie panu przypomnieć, panie Loring - powiedział zastępca prokuratora generalnego, który niegdyś sprawował funkcję sędziego w marynarce wojennej - że gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Pewna liczba ofiar jest nieunikniona.

- Ale tutaj okoliczności są inne. Ten człowiek jest niewykształcony. Nie wie, kto jest wrogiem ani gdzie go szukać. Skąd mógłby wiedzieć? Sami tego nie wiemy.

- O to właśnie chodzi. - Tym razem zabrał głos inny zastępca prokuratora, ten z kolei zwerbowany z biura prawnego jakiejś korporacji, rozmiłowany w posiedzeniach i, jak Loring podejrzewał, niezdolny do podjęcia samodzielnej decyzji. - Nasz obiekt jest wysoce mobilny. Niech pan spojrzy na charakterystykę psychologiczną: "nie bez wad, ale w najwyższym stopniu mobilny." Dokładnie tak. Stanowi jedyny logiczny wybór.

- "Nie bez wad, ale mobilny!" Co to, do diabła, ma znaczyć? Może teraz ja pozwolę sobie przypomnieć szanownym zgromadzonym, że pracuję w branży od piętnastu lat. Charakterystyki psychologiczne to tylko ogólne wskazówki, sądy, które mogą się potwierdzić albo nie. Byłbym równie skłonny wmieszać w sprawę infiltracji obcego człowieka, co wziąć na siebie odpowiedzialność za obliczenia matematyczne NASA.

Odpowiedział mu przewodniczący konferencji, zawodowy wyższy urzędnik.

- Rozumiem pana obiekcje, w normalnych okolicznościach przyznałbym panu rację. Jednakże to nie są normalne okoliczności. Mamy zaledwie trzy tygodnie. Kwestia czasu przeważa nad zwykłymi w takich razach środkami ostrożności.

- To ryzyko, które musimy podjąć - oznajmił były sędzia.

- Pan go nie podejmuje - zareplikował Loring.
- Czy chce pan zrezygnować z tego zadania? - zapytał przewodniczący bez ogródek.
- Nie, wezmę to na siebie. Ale niechętnie. I chcę to oficjalnie zaznaczyć.
- Jeszcze jedno, zanim się rozejdziemy, panowie. - Radca prawny nachylił się nad stołem. - To polecenie z góry. Wszyscy wiemy, że za tym człowiekiem przemawia jego silna motywacja. Wynika to jasno z charakterystyki. Z naszych akt musi równie jasno wynikać, że wszelka zaoferowana nam pomoc nastąpiła z jego strony dobrowolnie i na ochotnika. Jesteśmy w delikatnej sytuacji. Nie możemy, powtarzam, nie możemy brać na siebie za to odpowiedzialności. Najlepiej by było, gdyby z akt wynikało, że to on sam się do nas zgłosił.

Ralph Loring odwrócił się z niesmakiem.

Ruch na jezdni osiągnął apogeum. Loring właśnie miał zamiar ruszyć pieszo przez dwadzieścia parę przecznic do swojego mieszkania, kiedy przy krawężniku zatrzymało się białe volvo.

- Wsiadaj! Wyglądasz głupio wymachując tak ręką.

- Ach, to ty. Wielkie dzięki. - Loring otworzył drzwi i wsunął się na przednie siedzenie, kładąc teczkę na kolanach. Tu nie musiał ukrywać cienkiego czarnego łańcuszka okalającego nadgarstek. Cranston był kolegą po fachu, specjalistą od zagranicznych tras przerzutowych. Wykonał większość prac przygotowawczych do operacji, którą teraz przejął Loring.

- Długo trwała ta wasza konferencja. Osiągnąłeś coś?

- Zielone światło.

- Najwyższy czas.

- To zasługa dwóch zastępców prokuratora generalnego i ponaglącej notatki z Białego Domu.

- Nareszcie. Dziś rano do wydziału geograficznego dotarły ostatnie meldunki grupy śródziemnomorskiej. Potwierdzają masowy charakter zmiany szlaków dostaw. Pola pod Ankarą i w Konya na północy, ośrodki w Sidi Barrani i Rashid, a nawet w Algierii systematycznie ograniczają produkcję. Bardzo nam to komplikuje życie.

- Czego wy, do diabła, chcecie? Myślałem, że waszym celem jest wykurzenie ich. Niczym was nie można zadowolić.

- Ty też nie byłbyś zachwycony. Możemy kontrolować trasy, które znamy, ale co, na litość boską, wiemy o takich miejscach jak Porto Belocruz, Pilcomayo i dziesiątki trudnych do wymówienia miejscowości w Paragwaju, Brazylii, Gujanie? To całkiem nowa działka, Ralph.

- Wezwijcie do pomocy specjalistów od Ameryki Południowej. W CIA się od nich roi.

- Nie ma mowy. Nie wolno nam nawet poprosić ich o mapy.

- To idiotyzm.

- To szpiegostwo. Musimy być czyści. Musimy się ściśle trzymać przepisów. Myślałem, że wiesz.

- Wiem - odpowiedział Loring znużonym tonem. - Ale to idiotyzm.

- Martw się o Nową Anglię w Stanach Zjednoczonych. Zostaw nam pampasy, czy jak im tam.

- Nowa Anglia to cholerny osobny mikroświatek. To mnie właśnie przeraża. Co się stało z tymi wszystkimi poetyckimi opisami jankeskiego ducha, wiejskich płotów i oplecionych bluszczem ceglanych domków?

- Nowa poezja. Daj sobie z tym spokój.

- Dzięki za głębokie i szczerze zrozumienie.

- Widzę, że jesteś zniechęcony.

- Mamy za mało czasu.

- Zawsze mamy za mało czasu.

Cranston skręcił na szybsze pasmo tylko po to, aby zaraz się przekonać, że jest zakorkowane przy najbliższej przecznicy. Z westchnieniem przesunął dźwignię automatycznej skrzyni biegów na pozycję neutralną i wzruszył ramionami. Spojrzał na Loringa, który siedział ze wzrokiem wbitym pośepnie w przednią szybę.

- Przynajmniej masz zielone światło. To już coś.

- Jasne. I do tego zielonego współpracownika.

- Ach, rozumiem. Czy to on? - Cranston wskazał głową teczkę Loringa.

- Tak. Od dnia, kiedy się urodził.

- Jak się nazywa?

- Matlock. James B. Matlock II. "B" to Barbour; pochodzi z bardzo starej rodziny, a właściwie z dwóch bardzo starych rodzin. Jest doktorem filozofii i wybitnym autorytetem w dziedzinie politycznych i społecznych nurtów w literaturze elżbietańskiej.

- Wielki Boże! I to mają być jego kwalifikacje? Gdzie i komu ma zacząć zadawać pytania? Na herbatce dla emerytowanych profesorów wydziału?

- Nie, jeśli chodzi o wiek, jest w porządku. Jego kwalifikacje mieszczą się w tym, co służba bezpieczeństwa określa mianem: "nie bez wad, ale w najwyższym stopniu mobilny." Czy to nie pyszne określenie?

- Nowatorskie. Co to ma znaczyć?

- Ma określać mężczyznę, który coś tam nabroił. Może nie spisał się w wojsku albo rozwiódł z żoną, zapewne to pierwsze, ale mimo tego niewybaczalnego błędu da się lubić.

- Ja już go lubię.

- Ja też. To właśnie mój problem.

Obaj mężczyźni zamilkli. Cranston pracował w branży dość długo, by wiedzieć, kiedy kolega musi pewne sprawy przemyśleć sam. I sam dojść do konkretnych wniosków czy postanowień. W większości przypadków nie było to trudne.

Ralph Loring myślał o człowieku, którego życie miał opisane w teście do ostatniego szczegółu. Wyłowione z wielu banków danych. Jego nazwisko brzmiało James Barbour Matlock, ale osoba za tym nazwiskiem nie chciała się jakoś wykrystalizować. I to go niepokoiło - życie Matlocka obfitowało w dziwne, często nieprzewidziane zwroty.

Był jedynym pozostałym przy życiu synem bardzo bogatych rodziców, którzy w podeszłym wieku dożywali swych dni w Scarsdale, w stanie Nowy Jork. Odebrał należną jego sferom edukację w Andover i Amherst, która miała zapewnić mu odpowiednio płatne zajęcie na Manhattanie - w bankowości, maklerstwie albo reklamie. Nic w jego szkolnych czy studenckich czasach nie wskazywało na możliwość odstępstwa od tego schematu. Przeciwnie, jego małżeństwo z dziewczyną z prominenckich sfer Greenwich zdawało się potwierdzać tak obrany kierunek.

A potem z Jamesem Barbourem Matlockiem zaczęły się dziać dziwne rzeczy, których Loring nie potrafił zrozumieć. Najpierw kwestia wojska.

Było to we wczesnych latach sześćdziesiątych i przez proste wyrażenie zgody na przedłużenie służby o sześć miesięcy, Matlock mógł jako oficer służb pomocniczych siedzieć sobie gdzieś wygodnie za biurkiem - przy rodzinnych koneksjach byłoby to zapewne w Waszyngtonie lub Nowym Jorku. Tymczasem jego przebieg służby wojskowej przedstawiał się żałośnie: całym szeregiem naruszeń przepisów i niesubordynacji zapewnił sobie najmniej pożądany przydział - Wietnam z rosnącą tam eskalacją działań wojennych. W delcie Mekongu jego zachowanie dwukrotnie zawiodło go przed sąd wojenny.

Mimo wszystko za tym postępowaniem nie kryły się żadne widoczne racje ideologiczne, raczej brak przystosowania.

Jego powrót do życia cywilnego nadal cechowały konflikty, najpierw z rodzicami, potem z żoną. Z nie wyjaśnionych przyczyn James Barbour Matlock, którego postępy

akademickie były przyzwoite ale niczym się nie wyróżniające, wynajął nagle małe mieszkanie w Morningside Heights i zapisał się na Uniwersytet Columbia.

Jego małżeństwo przetrwało jeszcze trzy i pół miesiąca, po czym po cichym rozwodzie żona zniknęła na zawsze z życia Matlocka.

Na następne kilka lat składały się monotonne notatki wywiadowcze. Matlock-buntownik przekształcał się w Matlocka-naukowca. Pracował dzień i noc, zdobywając tytuł magistra w czternaście miesięcy, a doktorat w dwa lata później. Pogodził się jakoś z rodzicami i dostał posadę na wydziale anglistyki Uniwersytetu Carlyle w Connecticut. Od tej pory opublikował kilka książek i artykułów i zdobył godną pozazdroszczenia pozycję w środowisku akademickim. Był zdecydowanie popularny”mobilny w najwyższym stopniu” (co za idiotyczne wyrażenie); dobrze mu się powodziło i najwyraźniej zmienił swój wrogi stosunek do świata, który cechował go we wcześniejszych latach. Swoją drogą, nie miał chyba zbyt wielu powodów do niezadowolenia, pomyślał Loring. Jego życie toczyło się równym, spokojnym rytmem i było w pełni satysfakcjonujące, zwłaszcza że miał też dziewczynę. James Barbour Matlock II był obecnie zaangażowany w dyskretny romans z absolwentką uczelni, Patrycją Ballantyne. Mieszkali osobno, ale według posiadanych informacji byli kochankami. Niemniej, o ile się można było zorientować, nie myśleli o małżeństwie. Dziewczyna kończyła studia doktoranckie na archeologii i czekało już na nią parę stypendiów fundowanych. Stypendiów, które zawiodą ją do odległych krajów i przyszłych odkryć. Dane Patrycji Ballantyne wskazywały, że nie szykuje się ona do małżeństwa.

Ale co z Matlockiem, zastanawiał się Ralph Loring. Co mówią o nim fakty? Jak uzasadniają jego wybór?

Nie uzasadniały. Nie mogły uzasadniać. Tylko wyszkolony zawodowiec mógł podołać wymogom obecnej sytuacji. Cała sprawa była zbyt skomplikowana, zbyt usiana pułapkami dla kogoś, kto jest amatorem. Gorzka ironia polegała na tym, że popełniając błędy i wpadając w pułapkę, Matlock osiągnie szybko o wiele więcej niż jakikolwiek zawodowiec.

I straci przy tym życie.

- Dlaczego uważacie, że on się zgodzi?

Cranston zbliżał się już do mieszkania Loringa i ciekawość nie dawała mu spokoju.

- Co? Przepraszam, o co pytałeś?

- Z jakiego powodu miałby się zgodzić? Co za tym stoi?

- Młodszy brat. Dziesięć lat młodszy, dokładnie mówiąc. Jego rodzice są już starzy. Bardzo bogaci, całkiem oderwani od życia. Matlock obarcza siebie całą odpowiedzialnością.

- Odpowiedzialnością? Za co?

- Za śmierć brata. Zmarł trzy lata temu na skutek przedawkowania heroiny.

Ralph Loring jechał wolno wynajętym samochodem szeroką, trzypasmową ulicą obok dużych starych domostw z wypielegnowanymi trawnikami. Było wśród nich też parę klubów studenckich, ale o wiele mniej niż przed dekadą. Socjalna ekskluzywność lat pięćdziesiątych i wczesnych sześćdziesiątych ulegała zmianie. Kilka z wielkich budynków miało teraz inne nazwy.

“The House”, “Aquarius” (naturalnie), “Afro-Commons”, “Warwick”, “Lumumba Hall”.

Uniwersytet Carlyle w Connecticut był jednym z tych niezbyt dużych, “prestizowych” ośrodków akademickich, rozsianych po krajobrazie Nowej Anglii. Władze administracyjne pod światłym kierownictwem rektora Adriana Sealfonta rekonstruowały uczelnię, starając się przystosować ją do drugiej połowy dwudziestego wieku. Nieuniknione protesty, gromadne zapuszczanie bród i murzyńscy studenci występowali obok statecznej zamożności, klubowych marynarek i regat sponsorowanych przez byłych wychowanków. Hard rock i spokojne wieczorki tańczące uczyły się pokojowej koegzystencji.

Patrząc na ciche budynki w jasnym wiosennym słońcu, Loring pomyślał, że trudno uwierzyć, aby ta społeczność mogła mieć jakieś głębsze problemy.

A już z pewnością nie ten, który go tu przywiódł.

A jednak.

Carlyle było bombą zegarową, która gdy wybuchnie, pociągnie za sobą nie byle jakie ofiary. A że wybuch był nieunikniony, o tym wiedział. Wypadki, które go poprzedzą, pozostawały wielką niewiadomą. To on, Loring, miał starać się temu zapobiec. Kluczem do wszystkiego był James Barbour Matlock, wykładowca literatury, doktor filozofii.

Loring przejechał obok eleganckiego piętrowego budynku, w którym mieściły się cztery mieszkania, każde z osobnym wejściem. Był to jeden z lepszych uczelnianych domów mieszkalnych, zajmowany zazwyczaj przez obiecujących młodych pracowników, zanim osiągnęli status, przy którym należało posiadać własny dom. Mieszkanie Matlocka znajdowało się na parterze, od zachodniej strony.

Loring objechał budynek i zaparkował nieco na ukos, po drugiej stronie ulicy. Nie mógł stać tu zbyt długo; kręcił się w fotelu, obserwując samochody i niedzielnych przechodniów, zadowolony, że nikt go nie śledzi. To najważniejsze. W niedzielę, według informacji zebranych o Matlocku, młody wykładowca zwykle czytał do południa gazety, a potem jechał na północny kraniec Carlyle, gdzie w jednej z kawalerek zarezerwowanych dla absolwentów mieszkała Patrycja Ballantyne. To znaczy, jechał do niej, jeśli nie spędziła z nim akurat poprzedniej nocy. Potem przeważnie udawali się gdzieś razem na lunch i wracali do mieszkania Matlocka albo jechali na południe do Hartford lub New Haven. Były oczywiście odstępstwa od tego schematu. Często dziewczyna i Matlock spędzali gdzieś razem weekend, meldując się w recepcji jako mąż i żona. Nie tym razem jednak. Inwigilacja to potwierdziła.

Loring spojrział na zegarek. Była dwunasta czterdzieści, a Matlock nadal tkwił w mieszkaniu. Zaczynało brakować czasu. Za kilka minut Loringa oczekiwano na Crescent Street pod numerem 217, gdzie miał po raz drugi zmienić samochód.

Wiedział, że ostatecznie nie musi wcześniej oglądać Matlocka na własne oczy. W końcu dokładnie przeczytał zgromadzone o nim dane, obejrzał dziesiątki fotografii, a nawet rozmawiał przez chwilę z doktorem Sealfontem, rektorem Carlyle. Niemniej każdy agent ma swoje własne metody działania, a do jego metod należała obserwacja obiektu przez parę godzin, zanim nawiązał z nim kontakt. Koledzy z departamentu sprawiedliwości uważali, że daje mu to poczucie siły. Loring wiedział tylko, że daje mu to poczucie pewności.

Drzwi frontowe otworzyły się i w słońcu stanął wysoki mężczyzna. Był ubrany w spodnie khaki, mokasyny i brązowy golf. Loring dojrzał, że ma przystojną twarz o ostrych rysach i dość długie jasne włosy. Matlock sprawdził, czy dobrze zamknął drzwi, włożył okulary przeciwsłoneczne i poszedł chodnikiem za róg, najpewniej na parking. W chwilę później wyjechał na ulicę sportowym triumphem.

Agent pomyślał, że obiekt jego zainteresowania wie gdzie żyć, jakiego tylko pozazdrościć. Ma przyzwoite dochody, żadnej odpowiedzialności, pracę, którą lubi i na dodatek udany związek z atrakcyjną dziewczyną. I zadał sobie pytanie, jak to będzie wyglądać za trzy tygodnie. Bo świat Jamesa Barboura Matlocka był na granicy przepaści.

2

Matlock docisnął pedał gazu i nisko zawieszony triumph zadygotał, kiedy wskazówka szybkościomierza podskoczyła raptownie do niemal stu kilometrów na godzinę. Przy czym nawet się nie spieszył - Pat Ballantyne nigdzie nie wychodziła - ale po prostu był zły. No, może nie zły, tylko zirytowany. Zawsze był zirytowany po telefonie z domu. Czas nic tu nie zmieni. Ani pieniądze, nawet jeśli kiedykolwiek zarabiałby sumy, które ojciec uznałby za godne wzmianki. Głównym powodem jego irytacji była właśnie ta cholerna protekcyjność. W miarę jak ojciec i matka się starzeli, było coraz gorzej. Zamiast pogodzić się z zaistniałą sytuacją, coraz bardziej ją rozpamiętywali. Nalegali, żeby spędził z nimi wiosenną przerwę semestralną w Scarsdale i jeździł codziennie wraz z ojcem do miasta. Do banków, do prawników. Aby się przygotować na to, co nieuniknione, kiedy już nadejdzie.

-...Będziesz musiał wiele się nauczyć, synu - mówił ojciec grobowym tonem. - Sam wiesz, że masz niewielkie doświadczenie

-...Jesteś wszystkim, co nam zostało, kochanie - dodawała matka łamiącym się z bólu głosem.

Matlock wiedział, że rozkoszują się swoim przyszłym, męczeńskim zejściem z tego świata. Zaznaczyli już na nim swoją obecność - przynajmniej jego ojciec. Najśmieszniejsze, że rodzice byli silni jak woły i zdrowi jak ryby. Z pewnością przeżyją go o całe lata.

Prawda była taka, że ze swej strony o wiele bardziej pragnęli być z nim, niż on w domu z nimi. Tak było od trzech lat, od śmierci Davida na Cape Cod. Może, pomyślał Matlock podjeżdżając pod dom Pat, źródło irytacji leżało w jego własnym poczuciu winy. Nigdy nie przebaczył sobie śmierci Davida. I nigdy nie przebaczy.

Nie chciał być w Scarsdale w czasie przerwy semestralnej. Nie chciał wspomnieć. Miał teraz kogoś, kto mu pomagał zapomnieć o tych strasznych latach - o śmierci, braku miłości, niezdecydowaniu. Obiecał zabrać Pat na Wyspy Dziewicze.

Nazwa gospody wiejskiej brzmiała: "Kot z Cheshire", co samo przez się wskazywało, że jest prowadzona w stylu angielskiego pubu. Jedzenie było tu przyzwoite a trunki niedrogie, dzięki czemu restauracja szybko stała się popularnym miejscem spotkań za miastem. Skończyli właśnie drugą "Krwawą Mary" i zamówili rosbef i pieczeń w cieście. W obszernej jadalni siedziało jeszcze kilka par i dwie czy trzy rodziny. Miejsce w rogu zajął samotny mężczyzna, który czytał "The New York Timesa", złożony gazeta pionowo wzdłuż, jak czynią to pasażerowie kolejki podmiejskiej.

- To zapewne jeden z tych rozsierdzonych ojców czekających na syna, który ma właśnie wylecieć z uczelni. Znam ten typ. Co rano pełno ich w pociągu ze Scarsdale.

- Jest zbyt na luzie.

- Uczą się ukrywać napięcie. Tylko ich lekarze wiedzą, ile się nałykają środków uspokajających.

- Zawsze można coś po nich poznać. A ten siedzi sobie jakby nigdy nic. Wygląda na całkiem zadowolonego z siebie. Mylisz się.

- Po prostu nie znasz Scarsdale. Zadowolenie z siebie jest tam obowiązkiem obywatelskim. Bez tego nie ma co marzyć o kupnie domu.

- Skoro już o tym mowa, to co zrobisz? Myślę, że powinniśmy zrezygnować z wyjazdu na Wyspy Dziewicze.

- A ja nie. Mieliśmy ciężką zimą, należy nam się trochę słońca. Tak czy owak, to nie ma żadnego sensu. Nie mam najmniejszej ochoty uczyć się niczego z manipulacji pieniężnych firmy ojca. To czysta strata czasu. W razie zupełnie nieprawdopodobnego przypadku, że oni kiedyś umrą, kto inny się tym zajmie.

- Zgodziliśmy się przecież, że to tylko wybieg. Chcą mieć cię przez chwilę przy sobie. Uważam to za wznuszające, że robią to w ten sposób.

- Nie ma w tym nic wznuszającego, to oczywista próba przekupstwa ze strony ojca... Popatrz, nasz przyjezdny rezygnuje. Mężczyzna z gazetą skończył drinka i tłumaczył kelnerce, że nie zamawia lunchu.

- Dwa do jednego, że wyobraził sobie fryzurę swego syna i jego skórzaną kurtkę, a może także bosc stopy, i skrewił.

- Wydaje mi się, że życzysz tego temu biednemu człowiekowi.

- Wcale nie. Mam dobre serce. Nie cierpię zacierzenia, które idzie w parze z buntem. Czuję się wtedy zdeprimowany.

- Bardzo zabawny z was osobnik, szeregowcu Matlock - powiedziała Pat, robiąc aluzję do jego niesławnej kariery w wojsku. - Kiedy zjemy, jedźmy do Hartford. Jest jakiś nowy dobry film.

- Och, przepraszam, zapomniałem ci powiedzieć. Dzisiaj nie możemy. Sealfont wezwał mnie rano na popołudniową konferencję. Powiedział, że to ważne.

- O co chodzi?

- Nie bardzo wiem. Może są jakieś kłopoty z murzyńskimi studentami. Ten facet, którego zwerbowałem z Howard, to prawdziwy okaz. Myślę, że jest trochę bardziej na prawo od Ludwika XIV

Uśmiechnęła się.

- Jesteś naprawdę okropny.

Matlock wziął ją za rękę.

Rezydencja rektora Adriana Sealfonta robiła odpowiednio imponujące wrażenie. Był to duży, biały, kolonialny budynek z szerokimi, marmurowymi schodami wiodącymi do podwójnych, rzeźbionych drzwi. Wzdłuż frontu na całą szerokość stały kolumny jońskie. O zmierzchu na trawniku zapalano reflektory.

Matlock wszedł po schodach i nacisnął dzwonek. Trzydzieści sekund później został wpuszczony przez pokojówkę i poprowadzony przez hol na tył domu, do ogromnej biblioteki.

Adrian Sealfont stał na środku pokoju z dwoma innymi mężczyznami. Matlock, jak zawsze, spozryzał na niego z podziwem. Wysoki na ponad metr osiemdziesiąt, szczupły, o orlich rysach, rektor emanował ciepłem i serdecznością. Miał w sobie ujmującą skromność, pod którą krył się prawdziwie świetny umysł, doceniany przez tych, którzy mieli szczęście bliżej go znać. Matlock darzył go szczerą sympatią.

- Witaj, James. - Sealfont wyciągnął do niego rękę. - Panie Loring, mogę przedstawić doktora Matlocka?

- Dzień dobry panu. Cześć, Sam. - To ostatnie Matlock skierował do trzeciego mężczyzny, Samuela Kressela, prorektora do spraw studenckich w Carlyle.

- Jak się masz, Jim.

- Już pana chyba gdzieś widziałem, prawda? - zapytał Matlock patrząc na Loringa. - Usiłuję sobie przypomnieć, gdzie.

- Będę bardzo zakłopotany, jeśli się to panu uda.

- Z pewnością! - zaśmiał się Kressel swoim sardonycznym, lekko obraźliwym śmiechem.

Matlock lubił także Sama Kressela, bardziej z powodu jego niełatwej pracy i wszystkiego z czym się musiał borykać, niż dla niego samego.

- Co masz na myśli, Sam?

- Ja ci odpowiem - wtrącił Adrian Sealfont. - Pan Loring jest pracownikiem departamentu sprawiedliwości. Zgodziłem się zaaranżować wasze wspólne spotkanie, co nie znaczy, że zgadzam się z tym, do czego właśnie nawiązali obaj panowie. Jak słyszę, pan

Loring uznał za stosowne wziąć cię na początek - jak się to fachowo nazywa - pod osobistą obserwacją. Zgłosiłem stanowczy sprzeciw.

- Co takiego? - zapytał Matlock spokojnie.

- Bardzo przepraszam - powiedział Loring usprawiedliwiająco. - To mój prywatny nawyk i nie ma nic wspólnego z naszą sprawą.

- Pan jest tym pasażerem kolejki podmiejskiej, który siedział w "Kocie z Cheshire".

- Kim? - spytał Sam Kressel.

- Mężczyzną z gazetą.

- To prawda. Miałem wrażenie, że pan na mnie patrzy. Pomyślałem nawet, że z pewnością od razu mnie pan rozpozna. Nie wiedziałem, że wyglądam jak pasażer kolejki podmiejskiej.

- To przez tę gazetę. Nazwaliśmy pana rozsierdzonym ojcem.

- Czasem nim bywam. Ale niezbyt często. Moja córka ma dopiero siedem lat.

- Sądzę, że powinniśmy przystąpić do rzeczy - powiedział Sealfont. - Nawiasem mówiąc, cieszę się, że tak spokojnie to przyjąłeś.

- Przyjąłem to przede wszystkim z ciekawością. I ze strachem. Prawdę mówiąc, jestem śmiertelnie przerażony. - Matlock uśmiechnął się z rezerwą. - O co właściwie chodzi?

- Napijmy się najpierw. - Adrian Sealfont oddał mu uśmiech i podszedł do barowego stolika o miedzianym blacie. - Ty bourbona z wodą, tak, James? A ty Sam podwójną szkocką z lodem? Co dla pana, panie Loring?

- Też szkocką, z odrobiną wody.

- Chodź, James, pomożesz mi.

Matlock podszedł do Sealfonta i zajął się trunkami.

- Zdumiewasz mnie, Adrianie - powiedział Kressel, siadając w skórzanym fotelu. - Po co, u licha, obciążasz sobie pamięć upodobaniami alkoholowymi swoich podwładnych?

Sealfont roześmiał się.

- Z czystego wyrachowania. I nie ograniczam się tylko do kolegów. Zdobyłem więcej pieniędzy dla tej instytucji za pomocą alkoholu niż poprzez setki raportów przygotowywanych przez najlepsze analityczne umysły w kołach zajętych zbiórką funduszy. - Sealfont przerwał i zachichotał, zarówno do siebie jak i do reszty zebranych. - Wygłaszałem kiedyś mowę na forum Stowarzyszenia Rektorów. W trakcie późniejszej dyskusji zapytano mnie, czemu zawdzięczam datki na Carlyle... Odparłem: "Tym ludom w starożytności, które opanowały sztukę fermentacji winogron." Moja świętej pamięci żona wybuchnęła śmiechem, ale później mi powiedziała, że już nieprędko dostanę jakąkolwiek dotację.

Trzej mężczyźni się roześmieli; Matlock rozdał drinki.

- Zdrowie gości - powiedział rektor Carlyle, podnosząc szklankę. Ale nie przedłużał toastu. - Nie bardzo wiem, jak zacząć, James... Sam... Parę tygodni temu skontaktował się ze mną przełożony pana Loringa. Prosił, żebym przyjechał do Waszyngtonu w niezwykle ważnej sprawie dotyczącej Carlyle. Pojechałem i dowiedziałem się rzeczy, w które nadal nie potrafię uwierzyć. Pewne informacje, które przekaże wam pan Loring, na pierwszy rzut oka mogą wydawać się nie do podważenia. Ale tylko na pierwszy rzut oka: składają się na nie plotki, zdania wyrwane z kontekstu, pisemnego lub ustnego, sztucznie skonstruowane dowody, które mogą być bez znaczenia. Z drugiej strony, może być w tym doza prawdy. Biorąc pod uwagę i taką możliwość, zgodziłem się na to spotkanie. Chcę jednak jasno postawić sprawę, że ja nie mogę być w to zamieszany. Carlyle nie może być w to zamieszane. Cokolwiek postanowicie w tym pokoju, ma moją milczącą zgodę, ale nie oficjalne poparcie. Będziecie działać jako osoby indywidualne, a nie pracownicy uczelni. Pod warunkiem, oczywiście, że w ogóle zdecydujecie się działać... Jeśli powiesz, że to cię nie przeraża, James, to ci nie uwierzę.

- Przeraza mnie - przyznał Matlock spokojnie.

Kressel odstawił szklanę i pochylił się w fotelu.

- Czy mamy rozumieć, że nie aprobujesz obecności tutaj pana Loringa? Ani jego ewentualnych życzeń?

- To delikatna materia. Jeśli jego zarzuty mają podstawy, z pewnością nie mogę odwrócić się plecami. Z drugiej strony, żaden rektor nie będzie w obecnych czasach współpracował otwarcie z agentami rządowymi na podstawie czystej spekulacji. Proszę mi wybaczyć, panie Loring, ale zbyt wielu ludzi w Waszyngtonie nadużywało uprawnień w stosunku do społeczności akademickich. Wystarczy wspomnieć Michigan, Columbię, Berkeley... i inne. Zwykła pomoc udzielona policji to jedna sprawa, a infiltracja... no cóż, to zupełnie co innego.

- Infiltracja? To mocne słowo - powiedział Matlock.

- Może zbyt mocne. Sprawę terminów zostawiam panu Loringowi.

Kressel podniósł szklanę.

- Mogę zapytać, dlaczego to właśnie my, Matlock i ja, zostaliśmy wybrani? - spytał.

- To także wyjaśni wam pan Loring. Niemniej, ponieważ ty jesteś tu niejako za moim pośrednictwem, Sam, podam ci moje powody. Jako prorektor do spraw studenckich jesteś bliżej związany ze wszystkim, co się dzieje na uczelni, niż ktokolwiek inny. Zorientujesz się także, gdyby pan Loring lub jego koledzy przekroczyli swoje uprawnienia... Myślę, że to wszystko, co miałem do powiedzenia. Idę na zebranie. Ma tam dziś przemawiać ten filmowiec, Strauss, i muszę się pokazać.

Sealfont podszedł do barku i odstawił szklanę na tacę. Trzej mężczyźni wstali.

- Jeszcze jedno, zanim wyjdiesz - powiedział Kressel, zmarszczywszy czoło. - A gdybyśmy obaj lub jeden z nas zdecydowali, że nie chcemy mieć nic wspólnego z... prośbą pana Loringa?

- To odmówcie. - Adrian Sealfont podszedł do drzwi biblioteki. - Nie macie absolutnie żadnych zobowiązań; chcę, żeby to było całkiem jasne. Pan Loring zrozumie.

Z tymi słowami rektor wyszedł do holu, zamykając za sobą drzwi.

3

Trzej mężczyźni pozostali w ciszy, stojąc bez ruchu, Usłyszeli trzask zamykanych drzwi frontowych. Kressel odwrócił się i spojrzał na Loringa.

- Wygląda na to, że został pan zdany na własne siły.

- Jestem do tego przyzwyczajony. Może najpierw powiem kilka słów o sobie, co częściowo wytłumaczy nasze spotkanie. Przede wszystkim powinni panowie wiedzieć, że pracuję w departamencie sprawiedliwości, w Biurze Narkotyków.

Kressel usiadł i pociągnął łyk ze szklanki.

- Nie przyjechał pan chyba tutaj, żeby nam powiedzieć, że czterdzieści procent studentów pali trawkę i zażywa różne inne świństwa? Bo jeśli tak, to dla nas nic nowego.

- Nie, nie w tym celu przyjechałem. Zakładam, że panowie o tym wiedzą. Jak wszyscy. Choć nie byłbym pewien co do odsetka. Może być zanizony.

Matlock skończył bourbona i zdecydował się nalać sobie następną szklaneczkę. Idąc do krytego miedzią stolika barowego, powiedział:

- Może być zanizony czy zawyżony, ale ogólnie rzecz biorąc, w porównaniu do innych ośrodków studenckich, nie ma powodu do paniki.

- Słusznie. W każdym razie jeśli o to chodzi.

- A jest coś jeszcze?

- Jak najbardziej.

Loring podszedł do biurka Sealfonta i pochylił się, podnosząc z podłogi swoją teczkę. Było jasne, że rozmawiał przedtem z rektorem. Położył ją na biurku i otworzył. Matlock wrócił na fotel.

- Chciałbym panom coś pokazać.

Loring sięgnął do teczki i wyjął grubą kartkę papieru listowego o srebrzystym odcieniu, ściętą ukośnie jakby gilotyną do papieru. Srebrna powierzchnia była zabrudzona, z licznymi odciskami palców i zatłuszczonymi plamami. Podeszedł do fotela Matlocka i podał mu kartkę. Kressel wstał i zbliżył się.

- To chyba list. Lub oświadczenie. Z jakimiś liczbami - powiedział Matlock. - W języku francuskim; nie, może włoskim. Nie mogę odcyfrować.

- Bardzo dobrze, doktorze - pochwalił go Loring. - W jednym i drugim, bez przewagi żadnego z nich. To dialekt korsykański w formie pisemnej. Nazywa się oltremontański i jest używany w górach na południu. Podobnie jak etruski, nie jest do końca przetłumaczalny. Ale jeśli w tym dokumencie użyto szyfru, to jest on tak prosty, że nawet trudno nazwać go szyfrem. Może zresztą wcale go nie szyfrowano, znaków jest i tak niewiele. Dość jednak, aby zdradzić nam to, co trzeba.

- To znaczy co? - spytał Kressel, biorąc dziwnie wyglądający papier z rąk Matlocka.

- Najpierw chciałbym wytłumaczyć, jak się dostał w nasze ręce. Bez tego, ta informacja nic panom nie powie.

- Słuchamy.

Kressel oddał brudną srebrną kartkę agentowi, który zaniósł ją na biurko i ostrożnie włożył do teczki.

- Jeden z kurierów narkotykowych - to jest człowiek, który jeździ w określone rejony dostaw z instrukcjami, pieniędzmi, wiadomościami - wyjechał z kraju sześć tygodni temu. Właściwie był więcej niż kurierem, miał całkiem wysoką pozycję w hierarchii dystrybucji; można powiedzieć, że pojechał sobie nad Morze Śródziemne spędzić urlop przy pracy zawodowej. A może sprawdzał inwestycje... W każdym razie został zabity przez górali z Toros Daglari - to Turcja, rejon uprawy. Powiedziano nam, że zlikwidował tam interesy i

nastąpiła strzelanina. Uważamy to za prawdopodobne; śródziemnomorskie rynki zaopatrzenia są zamykane na prawo i lewo i przenoszone do Ameryki Południowej... Ten papier znaleziono przy jego zwłokach, w pasie noszonym na ciele. Jak panowie widzą, zdążył przejść przez wiele rąk. Rósł w cenie w drodze z Ankary do Marakeszu. W końcu nabył go tajniak z Interpolu i przekazano go nam.

- Z Toros Dag-coś-tam do Waszyngtonu. Ta kartka odbyła długą podróż - powiedział Matlock.

- I kosztowną - dodał Loring. - Tylko że teraz nie jest w Waszyngtonie, a tutaj. Przybyła z Toros Daglari do Carlyle w stanie Connecticut.

- Jak rozumiem, to coś znaczy. - Sam Kressel usiadł, patrząc z oczekiwaniem na agenta.

- To znaczy, że informacje na tej kartce dotyczą waszej uczelni.

Loring oparł się o biurko i mówił spokojnie, bez śladu emfazy. Jak nauczyciel stojący przed klasą, której trzeba wytłumaczyć nudny, ale konieczny do przyswojenia wzór matematyczny.

- Z kartki wynika, że dziesiątego maja, od jutra za trzy tygodnie, odbędzie się pewna konferencja. Liczby na kartce to współrzędne geograficzne okolic Carlyle, dokładna długość i szerokość do jednej dziesiątej stopnia. Dokument umożliwia jego posiadaczowi wstęp na tę konferencję. Dla dodatkowej asekuracji każda z takich kartek ma albo drugą pasującą do siebie połówkę, albo jest przecięta według innego wzoru, który można dopasować. Nie znamy tylko dokładnego miejsca spotkania.

- Chwileczkę. - Głos Kressela był opanowany, ale ostry. Wyczuwało się w nim zdenerwowanie. - Czy się pan aby zbyt nie zagalopował, Loring? Podaje nam pan informacje, najwyraźniej poufne, zanim sprecyzował pan swoją prośbę. Władza administracyjna tego uniwersytetu nie ma zamiaru bawić się w agentów śledczych rządu. Zanim pan przejdzie do faktów, niech pan lepiej powie, czego pan chce.

- Przepraszam, panie Kressel. Sam pan powiedział, że zostałem zdany na własne siły, i rzeczywiście. Pewno źle to rozgrywam.

- Akurat. Jest pan ekspertem.

- Poczekaj, Sam. - Matlock podniósł rękę uspokajającym gestem. Nagła wrogość Kressela wydawała mu się niczym nie uzasadniona. - Sealfont powiedział, że mamy prawo odmówić. Jeśli zechcemy skorzystać z tego prawa, a prawdopodobnie zechcemy, wolę wiedzieć, że zrobiliśmy to na podstawie własnego osądu a nie ślepej reakcji.

- Nie bądź naiwny, Jim. Otrzymujesz poufne albo tajne informacje i tym samym, post factum, jesteś wciągnięty w sprawę. Nie możesz zaprzeczyć, że je otrzymałeś. Nie możesz powiedzieć, że nic nie wiesz.

Matlock spojrzał na Loringa.

- Czy to prawda?

- Do pewnego stopnia, tak. Nie zamierzam kłamać.

- Więc dlaczego mielibyśmy pana dalej słuchać?

- Ponieważ Uniwersytet Carlyle jest w tym pogrążony po uszy i to od dobrych paru lat. I mamy krytyczną sytuację. Tak krytyczną, że zostały nam tylko trzy tygodnie, żeby wykorzystać informację, którą posiadamy.

Kressel wstał z fotela, wziął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze.

- Najlepiej przedstawić kryzys, bez dowodów, i wymusić współpracę. Potem kryzys rozchodzi się po kościach, a akta wskazują, że uczelnia po cichu współpracowała z biurem śledczym. Tak było z Uniwersytetem Wisconsin. - Kressel odwrócił się do Matlocka. - Pamiętaj to, Jim? Sześć dni zamieszek. I pół semestru stracone na uspokojenie nastrojów.

- To była sprawka Pentagonu - powiedział Loring. - Okoliczności były całkiem inne.

- Myśli pan, że departament sprawiedliwości będzie im bardziej w smak? Niech pan przeczyta kilka studenckich gazetek.

- Na litość boską, Sam, daj temu człowiekowi wytłumaczyć, o co chodzi. Jeśli nie chcesz słuchać, to idź. Ja chcę wiedzieć, co ma do powiedzenia.

Kressel obrzucił Matlocka gniewnym spojrzeniem.

- W porządku. Chyba rozumiem. Niech pan mówi, Loring. Tylko proszę pamiętać: żadnych zobowiązań. I nie będziemy przyrzekać, że zachowamy wszystko w tajemnicy.

- Liczę na panów zdrowy rozsądek.

- To może być błąd. - Kressel podszedł do baru i ponownie napełnił szklanę.

Loring usiadł na brzegu biurka.

- Zacznę od pytania. Czy mówi coś panom słowo "nemrod"?

- "Nemrod" to imię hebrajskie - odpowiedział Matlock. - Ze Starego Testamentu. Potomek Noego, władca Niniwy i Babilonu. Legendarny dzielny myśliwy, co przesłoniło ważniejszy fakt, że założył, czy zbudował, liczne miasta w Asyrii i Mezopotamii.

Loring uśmiechnął się.

- Znów bardzo dobrze, doktorze. "Myśliwy" i "budowniczy". Jednak chodzi mi o bardziej współczesne czasy.

- Jeśli tak, to nic mi to nie mówi. A tobie, Sam?

Kressel podszedł z powrotem do fotela, niosąc szklanę.

- Mnie też nie. Nie wiedziałem nawet tego, co przed chwilą powiedziałeś. Myślałem, że nemrod to rodzaj muszki wędkarskiej. Używanej na pstrągi.

- Więc najpierw naświetlę trochę tło... Nie zamierzam nudzić panów danymi statystycznymi na temat narkotyków, z pewnością jesteście nimi bombardowani bez przerwy.

- Bez przerwy - zgodził się Kressel.

- Ale jest też osobna statystyka geograficzna, o której możecie nie wiedzieć. Otóż obrót narkotykami w stanach Nowej Anglii rośnie znacznie szybciej niż w innych częściach kraju. Tworzy to już zatrważający schemat. Od 1968 roku systematycznie spada tu skuteczność naszych działań... Patrząc z perspektywy geograficznej, w Kalifornii, Illinois, Luizjanie kontrola antynarkotykowa poprawiła się do tego stopnia, że przynajmniej udało się spłaszczyć krzywą wzrostu. Na nic więcej nie możemy liczyć, dopóki ustalenia międzynarodowe nie będą skuteczniejsze. Ale nie dotyczy to Nowej Anglii. W tym rejonie mamy do czynienia z lawinową ekspansją. Uderza to szczególnie w ośrodki uczelniane.

- Skąd wiecie? - spytał Matlock.

- Są dziesiątki sposobów i zawsze jest za późno, żeby zapobiec dystrybucji. Informatorzy, oznakowane partie towaru znad Morza Śródziemnego, z Azji i Ameryki Łacińskiej, wytopione depozyty w Szwajcarii. To rzeczywiście poufny materiał. - Loring spojrzał na Kressela i uśmiechnął się.

- Doprawdy zupełnie was nie rozumiem - powiedział Kressel z nutą niechęci. - Wydawałoby się, że skoro możecie udowodnić te zarzuty, to dlaczego nie zrobicie tego publicznie i to z wielkim hukiem?

- Mam swoje powody.

- Zapewne też poufne - mruknął Kressel z lekkim niesmakiem.

- To nie ma w tej chwili nic do rzeczy - uciął agent. - W najbardziej prestiżowych uczelniach wschodniego wybrzeża, dużych i małych - jak Princeton, Amherst, Harvard, Vassar, Williams, Carlyle - spory procent studentów stanowią dzieci ważnych osobistości z wyższych sfer, zwłaszcza rządowych i przemysłowych. To daje duże pole do szantażu. Tacy ludzie jak ognia boją się skandalu na tle narkotyków.

- Przyjmując, że to co pan mówi jest prawdą - przerwał Kressel - choć osobiście wątpię, mamy tu mniej kłopotów niż większość innych uczelni na północnym wschodzie.

- Wiemy o tym. I wiemy też chyba dlaczego.

- To brzmi bardzo tajemniczo, panie Loring. Niechże pan wreszcie powie, co ma do powiedzenia. - Matlock nie lubił zabawy w kotka i myszkę.

- Każda siatka dystrybucyjna, zdolna systematycznie obsługiwać, powiększać i kontrolować cały rejon danego kraju, musi mieć swoją bazę operacyjną. Biuro, księgowość i tak dalej, słowem, posterunek dowodzenia. Otóż, wierzcie mi, panowie, lub nie, ale taka baza operacyjna, posterunek dowodzenia zajmujący się przerzutami narkotyków do wszystkich stanów Nowej Anglii mieści się właśnie na terenie Uniwersytetu Carlyle.

Samuel Kressel, prorektor do spraw studenckich, upuścił szklankę na parkiet Adriana Sealfonta.

Ralph Loring kontynuował swoją nieprawdopodobną historię. Matlock i Kressel siedzieli bez ruchu w fotelach. Kilka razy podczas jego spokojnej, metodycznej relacji Kressel usiłował przerywać i protestować, ale rzeczowe słowa narratora nie zostawiały miejsca na jałowe spory.

Obserwacja Uniwersytetu Carlyle zaczęła się półtora roku temu. Została wywołana odkryciem księgi rachunkowej przez francuską Suret podczas jednego z licznych polowań na narkotyki w Marsylii. Kiedy stwierdzono, że musiała być prowadzona w Ameryce, za zgodą Interpolu przesłano ją do Waszyngtonu. Raz po raz przy poszczególnych pozycjach w rejestrze pojawiał się zapisek "C-22-59", zawsze z imieniem "Nemrod". Liczby oznaczone stopniami odcyfrowano jako współrzędne geograficzne północnego Connecticut, ale brakowało dziesiątych. Po przesłaniu setek potencjalnych szlaków transportu wiodących z atlantyckich portów i z lotnisk powiązanych z operacją marsylską, wyznaczono okolice Carlyle i poddano je ścisłej obserwacji.

W ramach obserwacji założono podsłuch telefoniczny u osób, o których wiedziano, że zajmują się rozprowadzaniem narkotyków z takich miejscowości jak Nowy Jork, Hartford, Boston i New Haven. Nagrano na taśmy rozmowy ludzi ze świata podziemnego. Wszystkie rozmowy z Carlyle dotyczące narkotyków prowadzono z automatów. Utrudniało to podsłuch, ale nie uniemożliwiało. Znow te nasze tajne metody.

W miarę zbierania materiału informacyjnego, wyszedł na jaw zdumiewający fakt. Grupa z Carlyle była niezależna. Nie miała żadnych formalnych powiązań ze zorganizowanym światem przestępczym, nie przynależała do żadnej struktury. Posługiwała się znanymi przestępcami, ale sama nie świadczyła im usług. Stanowiła ściśle powiązaną odrębną całość, obejmującą swoimi wpływami większość uniwersytetów w Nowej Anglii. I najwyraźniej nie ograniczała się tylko do narkotyków.

Istnieją dowody, że objęła też kontrolą hazard, prostytucję a nawet rozdział posad wśród absolwentów wyższych uczelni. Ponadto można było odnieść wrażenie, że za zyskami z działalności przestępczej kryje się jakiś cel, jakiś zamiar. Grupa z Carlyle mogła uzyskać o wiele większe profity o wiele mniejszym kosztem robiąc interesy bezpośrednio ze znanymi przestępcami, dostawcami towaru na każdym rynku. Tymczasem wydała mnóstwo pieniędzy, żeby założyć własną organizację. Jest sama sobie panem, sama kontroluje własne źródła dostaw i dystrybucję. Ale jej ostateczne cele pozostają niejasne.

W końcu stała się tak potężna, że zagroziła przywódcom zorganizowanej mafii na północnym wschodzie. Z tego powodu szefowie świata podziemnego zażądali konferencji z ludźmi stojącymi na czele organizacji z Carlyle. Kluczowym słowem, oznaczającym grupę albo pojedynczego człowieka, jest tu "Nemrod".

Celem tej konferencji, o ile można się zorientować, jest osiągnięcie porozumienia między Nemrodem a bossami podziemia, którzy czują się zagrożeni jego niebywałą ekspansją. Na konferencję przybędą dziesiątki znanych i nie znanych przestępców ze wszystkich stanów Nowej Anglii.

- Panie Kressel - Loring zwrócił się do prorektora i chwilę się zawahał. - Jak przypuszczam ma pan listę - studentów, wykładowców, personelu - ludzi, o których pan wie lub podejrzewa, że są wplątani w narkotyki. Większość uczelni ma takie listy.

- Nie odpowiem na to pytanie.

- To już wystarczająca odpowiedź - powiedział Loring spokojnie, a nawet życzliwie.

- Nic podobnego! Macie w waszej firmie zwyczaj przyjmowania za pewnik tego, w co chcecie wierzyć.

- Dobrze, dobrze, czuję się skarcony. Ale nawet gdyby odpowiedział pan twierdząco, nie miałem zamiaru o nią prosić. Chciałem tylko powiedzieć panu, że my mamy taką listę. Lepiej, żeby pan wiedział.

Kressel zrozumiał, że wpadł w pułapkę; szczerść Loringa tylko jeszcze bardziej go rozżłościła.

- Z pewnością macie.

- Nie muszę dodawać, że z chęcią ją panu udostępnimy.

- Obejdzie się.

- Jesteś uparty jak muł - powiedział Matlock. - Dlaczego chowasz głowę w piasek?

Zanim Kressel zdążył odpowiedzieć, głos zabrał Loring.

- Pan prorektor wie, że zawsze może zmienić zdanie. I zgodziliśmy się przecież, że nie ma tu kryzysu. To zdumiewające, ile osób czeka, aż im się zawali dach nad głową, zanim poproszą o pomoc. Albo ją przyjmą.

- Ale nie ma nic zdumiewającego w tym, z jaką łatwością pańska firma potrafi zamienić trudną sytuację w katastrofę, prawda? - odparował Kressel wrogo.

- Zdarzało nam się popełniać błędy.

- Skoro macie nazwiska - ciągnął Kressel - dlaczego nie weźmiecie się za tych ludzi? Zostawcie nas w spokoju, sami zróbcie swoją brudną robotę. Aresztujcie ich, przedstawcie zarzuty. Nie każcie nam tego robić za siebie.

- Wcale nie mamy takiego zamiaru... Poza tym większość naszych dowodów jest nie do ujawnienia.

- Tak właśnie myślałem - warknął Kressel.

- I cóż byśmy przez to zyskali? Co wy byście zyskali? Zwinęlibyśmy kilkuset palaczy marihuany, kilkudziesięciu amatorów prochów, jakichś drobnych narkomanów i podrzędnych handlarzy. Czy pan nie rozumie, że to niczego nie rozwiązuje?

- Co nas sprowadza do punktu wyjścia i tego, czego pan naprawdę chce, tak? - Matlock zagłębił się znów w fotelu i uważnie obserwował elokwentnego agenta.

- Tak - potwierdził Loring miękko. - Chcemy Nemroda. Chcemy znać miejsce tej konferencji dziesiątego maja. Może to być gdziekolwiek w promieniu od osiemdziesięciu do stu sześćdziesięciu kilometrów. Chcemy być na to przygotowani. Chcemy położyć kres dystrybucji narkotyków i złamać kark organizacji Nemrod z przyczyn daleko wykraczających poza Uniwersytet Carlyle.

- W jaki sposób? - zapytał James Matlock.

- Rektor Sealfont już to powiedział. Przez infiltrację... Doktorze Matlock, jest pan, jak się to określa w kołach wywiadowczych, osobą wysoce mobilną w swoim środowisku. Jest pan akceptowany przez różne, nawet zwalczające się strony - zarówno wśród wykładowców jak i wśród studentów. My mamy nazwiska, pan ma mobilność. - Loring sięgnął do teczki i wyjął ucięty skośnie papier listowy - Gdzieś tutaj jest informacja, której potrzebujemy. Gdzieś tutaj jest ktoś; kto ma taką samą kartkę; ktoś kto wie to, co my musimy wiedzieć.

James Barbour Matlock siedział nieruchomo w fotelu, wpatrując się w agenta rządowego. Zarówno Loring jak i Kressel wiedzieli, o czym myśli. James Matlock miał przed oczyma pewien dzień trzy, właściwie niemal już cztery lata temu. I pewnego jasnowłosego,

dziewiętnastoletniego chłopca, który był może niezbyt dojrzały na swój wiek, ale z gruntu dobry i uczciwy. Chłopca z problemami.

Znaleziono go podobnie jak tysiące mu podobnych w tysiącach miast i miasteczek w całym kraju. Robota innego Nemroda.

Brat Matlocka, David, wbił sobie igłę w prawe ramię i wstrzyknął trzydzieści miligramów białego płynu. Zrobił to na łódce w cichej zatoce Cape Cod. Mała żaglówka dryfując dopłynęła do trzciny w pobliżu brzegu; kiedy ją znaleziono, chłopak już nie żył.

Matlock podjął decyzję.

- Może mi pan przekazać te nazwiska?

- Mam je ze sobą.

- Zaraz, chwileczkę. - Kressel wstał i kiedy się odezwał, w jego tonie nie było złości tylko strach. - Czy zdaje pan sobie sprawę, o co go pan prosi? Nie ma żadnego doświadczenia w tego typu działalności. Jest niewyszkolony. Użyjcie jednego z własnych ludzi.

- Nie ma na to czasu. Nie mamy jak wstawić własnego człowieka. Będziemy go chronić, pan może w tym pomóc.

- Mogę pana powstrzymać!

- Nie, Sam, nie możesz - powiedział Matlock z fotela.

- Jim, na miłość boską, czy masz pojęcie, czego on od ciebie chce? Jeśli w tym, co mówił, jest choć krztyna prawdy, znajdziesz się w najgorszej z możliwych pozycji - informatora.

- Nie musisz się w to angażować. Moja decyzja nie musi być twoją decyzją. Może byś poszedł do domu? - Matlock wstał i ruszył wolno do barku niosąc szklanę.

- To już niemożliwe i on dobrze o tym wie - odparł Kressel, zwracając się do agenta.

Loring poczuł smutek. Matlock był zacnym człowiekiem; podjął się tego zadania, bo uważał, że ma dług do spłacenia. A wszystko zostało na zimno, profesjonalnie zaaranżowane, prowadząc go tym samym na niemal pewną śmierć. Straszna cena, ale cel był tego wart. Konferencja była tego warta.

Nemrod był tego wart.

Ta konkluzja pocieszyła Loringa.

I pozwoliła mu kontynuować operację.

4

Nic nie mogło być zapisane na papierze, wszystkie instrukcje Loring podawał wolno, wielokrotnie je powtarzając. Ale był profesjonalistą i wiedział, jak ważne są chwile przerw w trakcie przyswajania sobie zbyt wielu informacji na raz. Podczas tych przerw próbował wyciągnąć Matlocka na spytaki, dowiedzieć się czegoś więcej o człowieku, którego życie zostało tak łatwo spisane na straty. Była już niemal północ, Sam Kressel wyszedł przed ósmą. Nie było ani potrzebne, ani wskazane, żeby uczestniczył w precyzowaniu szczegółów. Był łącznikiem, pionkiem, nie główną figurą. Kressel nie miał nic przeciwko zostawieniu ich samych.

Ralph Loring szybko zrozumiał, że Matlock jest osobą skrytą. Jego odpowiedzi na niewinnie sformułowane pytania były krótkie, wymijające, wnoszące niewiele nowego. Po chwili Loring dał spokój. Matlock zgodził się wykonać określone zadanie, a nie ujawniać swoje myśli czy motywacje. To nie było konieczne, Loring znał te ostatnie. W gruncie rzeczy jedynie to się liczyło. Właściwie nawet wołał nie poznawać go zbyt blisko.

Matlock z kolei, starając się zapamiętać skomplikowane informacje, rozważał przy okazji własne życie, zastanawiając się, dlaczego go wybrano. Był zaintrygowany oceną, która określiła go mianem: “mobilny” - cóż za okropne wyrażenie!

Jednak wiedział, że ten termin pasuje do niego jak ulał. Rzeczywiście był mobilny. Zawodowi śledczy, psychologowie, czy kimkolwiek oni byli, mieli rację. Ale wątpił, by rozumieli przyczyny kryjące się za tą jego... “moblinością”.

Świat akademicki był dla niego schronieniem, azylem. Nie celem wygórowanych ambicji. Uciekł w ten świat, aby zyskać na czasie, przeorganizować swoje rozsypujące się życie, przemyśleć wszystko od nowa. Żeby “uporządkować sobie pewne sprawy”, mówiąc językiem potocznym.

Próbował wytłumaczyć to żonie, swojej uroczej, ślicznej, bystrej i całkiem pusteż żonie, która myślała, że stracił rozum. Co było do porządkowania, gdy się miało “cudowną” pracę, “cudowny” dom, “cudowny” klub i “cudowne” życie towarzyskie w odpowiednich kołach? Nie widziała, co takiego należałoby tu przemyśleć. I on ją rozumiał.

Ale w jego oczach ten świat stracił swoje znaczenie. Zaczął się od niego oddalać w wieku dwudziestu kilku lat, podczas ostatniego roku w Amherst. A ostatecznie zerwał z nim po doświadczeniach w wojsku.

Nie spowodował tego żaden szczególny incydent. Samo zerwanie też nie nastąpiło gwałtownie, chociaż gwałt i przemoc wczesnych dni w Sajgonie odegrały swoją rolę. Wszystko zaczęło się jeszcze w domu - gdzie zwykle akceptuje się lub odrzuca dany styl życia - od serii kłótni z ojcem. Stary dżentelmen - zbyt stary, zbyt upozowany na dżentelmena - czuł się w prawie wymagać lepszych wyników od swojego pierworodnego. Bez względu na kierunek i cel. Starszy pan Matlock należał do innej epoki - jeśli nie do innego wieku - i uważał, że dystans między ojcem i synem jest rzeczą pożądaną, a ten ostatni nie ma nic do gadania, dopóki się nie sprawdzi na stanowisku. W tym celu należało nim odpowiednio kierować. Innymi słowy, ojciec przypominał łaskawego władcę, który po latach rządzenia nie dopuszcza myśli, aby jego prawowity potomek mógł zrzec się tronu. Matlock senior nie wyobrażał sobie, aby syn miał nie przejąć po nim prowadzenia interesów. Licznych interesów.

Natomiast Matlock junior doskonale to sobie wyobrażał. I to coraz częściej. Myśl o przejęciu “królestwa” ojca napawała go nie tylko niechęcią, ale i strachem. Nie znajdował przyjemności w naciskach i manipulacjach stosowanych przez świat finansjery, a odwrotnie: bał się wykazać niekompetencją, tym bardziej wyrazistą na tle zdecydowanej, dominującej

fachowości ojca. Im bliższe było wejście w ten świat, tym większe odczuwał obawy. W końcu uznał, że przyjemność płynąca z luksusu i wielu niekoniecznych wygod życiowych powinno usprawiedliwiać to, co się robi w celu ich zdobycia. A tego usprawiedliwienia nie mógł znaleźć. Pomyślał, że lepiej żyć w mniejszym luksusie i ograniczyć nieco wygody, niż mieć w perspektywie ciągły strach i niepewność.

Próbował wytłumaczyć to ojcu. Podczas gdy żona doszła do wniosku, że stracił zmysły, stary dżentelmen uznał go za wyrzutka. Co nie było takie odległe od opinii, jaką zyskał w wojsku.

Wojsko.

Zupełne fiasko. Jeszcze gorsze przez świadomość, że sam jest sobie winien. Przekonał się, że ślepa dyscyplina i nieograniczona władza budzą w nim odrazę. Ponadto był dość silny, dość wytrzymały i dość wygadany, aby dać wyraz swoim nieodpowiedzialnym, nieprzemyślanym opiniom - ku własnej zgubie.

Dyskretne zabiegi ze strony jednego z wujów doprowadziły do przedterminowego zwolnienia go ze służby - za co akurat był wdzięczny wpływowej rodzinie.

Na tym etapie życia James Barbour Matlock II znalazł się w prawdziwym impasie. Mało chwalebnie zwolniony z wojska, rozwiedziony z żoną, wydziedziczony - jeśli nie faktycznie, to symbolicznie - przez rodzinę, czuł, że nigdzie nie przynależy, nie ma żadnego celu ani motywów działania.

Schronił się więc w bezpieczne mury uczelni, mając nadzieję znaleźć odpowiedź na swoje problemy. I jak to czasem bywa, kiedy romans zrodzony z pociągu seksualnego przeradza się w zależność psychiczną, poślubił ten świat. Znalazł w nim to, co mu umykało przez pięć ważnych lat. Po raz pierwszy poczuł się na właściwym miejscu.

Był wolny.

Mógł cieszyć się ekscytującym, nowym wyzwaniem, mógł delektować się uczuciem pewności, że da sobie radę. Rzucił się w ten świat z entuzjazmem neofity, ale bez zaślepienia. Wybrał taki okres w historii i literaturze, który obfitował w wydarzenia, konflikty i sprzeczne oceny. Lata nauki minęły gładko; był zafascynowany i mile zdziwiony własnymi zdolnościami. Kiedy pojawił się na zawodowej scenie, wniósł ze sobą świeży powiew do zmurszałych archiwów. Wprowadził parę zaskakujących innowacji do skostniałych metod poszukiwań badawczych. Jego praca doktorska na temat wpływów dworskich na angielską literaturę renesansową wniosła na scenę historyczną kilka nowych teorii o pewnej łaskawej monarchini zwanej Elżbietą.

Stanowił nowy typ naukowca: niespokojny, sceptyczny, pełen wątpliwości. Prowadził nieustanne poszukiwania, dzieląc się swoimi odkryciami z innymi. Dwa i pół roku po zdobyciu doktoratu stał się najmłodszym pracownikiem naukowym w Carlyle, który otrzymał posadę starszego wykładowcy.

James Barbour Matlock II nadrabiał stracone, okropne lata. Najlepsza ze wszystkiego była świadomość, że może przekazywać swoją pasję innym. Był dość młody, aby wspólnie dzielić entuzjazm i dość dojrzały, aby prowadzić wykłady.

Tak, był "mobilny", rzeczywiście był! Nie potrafił, nie chciał nikogo odpychać czy wykluczać z powodu różnicy poglądów, a nawet osobistej antypatii. Jego wdzięczność dla losu była tak wielka, a ulga tak głęboka, że podświadomie przyrzekł sobie nigdy nie lekceważyć odczuć drugiego człowieka.

- Czy są tu jakieś niespodzianki? - Loring skończył omawiać tę partię materiału, która dotyczyła wykrytych źródeł zbytu narkotyków.

- Właściwie chciałem tylko jedno sprecyzować - odparł Matlock. - Dawne korporacje czy kluby, przeważnie białe, przeważnie bogate, zaopatrują się w Hartford. Czarni studenci, jak ci z Lumumba Hall, jeżdżą do New Haven, tak? Mają zupełnie inne źródła.

- Właśnie, źródła nastawione na studentów. Ważne jest to, że nie kupują od dostawców z Carlyle. Od Nemroda.

- Wyjaśnił pan to już. Ludzie Nemroda nie chcą się afiszować

- Ale jednak działają. Są tacy, co korzystają z ich usług.

- Kto?

- Wykładowcy i pracownicy - odparł Loring spokojnie, przewracając kartkę. - To może jednak okazać się niespodzianką. Pan i pani Beeson...

Matlock natychmiast ujrzał przed oczami młodego historyka i jego żonę, sztucznie bezpośrednich i nieznośnie pretensjonalnych. Archer Beeson pałał chęcią zrobienia jak najszybciej kariery, jego żona była typową uniwersytecką trzpiotką, wdzięczącą się i egzaltowaną.

- Ich działka to LSD i metedryna. Kwas i speed.

- Dobry Boże! Nigdy bym nie pomyślał! Skąd pan wie?

- To zbyt skomplikowane, żeby wdawać się w szczegóły, a poza tym tajne. Mówiąc jak najprościej: oni, czy też on, kupowali sporo od dostawcy w Bridgeport. Ten kontakt się urwał i nie pojawił na żadnej innej liście. Ale człowiek pozostał w branży. Sądzymy, że nawiązał współpracę z Carlyle. Nie mamy na to jednak żadnych dowodów... A oto następny.

Był to trener uniwersyteckiej drużyny piłki nożnej, facet od wychowania fizycznego. Ten z kolei interesował się marihuaną i amfetaminą; poprzednio zaopatrywał się w Hartford. Uważano, że sam nie bierze, tylko handluje. Chociaż nie korzystał już ze źródła w Hartford, jego liczne konta w bankach na różne nazwiska wciąż rosły. Podejrzenie: Nemrod.

I jeszcze jeden. To nazwisko wstrząsnęło Matlockiem. Prorektor do spraw administracyjnych. Wychowanek Carlyle, który wrócił tu po krótkiej karierze komiwojażera. Był wylewnym, szczodrym człowiekiem, całkowicie oddanym sprawom uczelni. Tryskał entuzjazmem w czasach pełnych cynizmu. Jego także uważano za dystrybutora, nie za narkomana. Dobrze się osłaniał drugo- i trzeciorzędnyimi handlarzami.

- Sądzymy, że wrócił tu za sprawą organizacji Nemrod. Sprytne posunięcie z ich strony.

- A niech to wszyscy diabli! Ten sukinsyn jest uważany przez rodziców za połączenie astronauty z kapelanem.

- Jak mówiłem, sprytne posunięcie. Pamięta pan? Powiedziałem panu i Kresselowi, że za Nemrodem kryje się coś więcej niż handel narkotykami.

- Ale nie wiecie co.

- Im szybciej się dowiemy, tym lepiej... A oto spis studentów. Lista ciągnęła się bez końca. Z tysiąca dwustu zarejestrowanych studentów było na niej pięciuset sześćdziesięciu trzech. Agent przyznał, że wielu wciągnięto nie na podstawie dowodów, że zażywają narkotyki, ale z powodu ich przynależności do takich czy innych grup na uczelni. Wiadomo było, że kluby i korporacje studenckie łączą środki na zakup narkotyków.

- Nie mamy czasu sprawdzać każdego nazwiska. Szukamy powiązań, choćby nawet bardzo luźnych. Musi pan mieć dostęp do wszystkich poszlak, nie możemy ich ukrywać... Jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy; nie wiem, czy pan zauważył.

- Oczywiście. Przynajmniej tak myślę. Dwadzieścia albo trzydzieści nazwisk na tej liście wiele mówi. Dzieci bardzo wpływowych rodziców. W przemyśle, w rządzie. O, tutaj - Matlock wskazał palcem. - Pracownik kancelarii prezydenta, o ile się nie mylę. A nie mylę się.

- Sam pan widzi - uśmiechnął się Loring.

- Czy mogło to mieć jakiś wpływ?

- Nie wiemy. Może tak, może nie. Macki Nemroda sięgają coraz dalej. Dlatego sytuacja jest tak alarmująca. Mówiąc między nami, skutki mogą być nieobliczalne...

nadmierne wydatki na obronę, kontrakty związkowe, wymuszone inwestycje. Co pan tylko chce. Możliwe, że istnieją jakieś powiązania.

- Boże drogi - powiedział cicho Matlock.

- No właśnie.

Rozległ się trzask drzwi frontowych. Loring natychmiast instynktownie wyjął kartki z rąk Matlocka i szybko schował do teczki. A potem zrobił rzecz niespodziewaną. Spokojnie, niemal niewidocznie, odsunął poję marynarki i zacisnął palce wokół kolby rewolweru w kaburze na piersi. Matlock zamarł ze wzrokiem wbitym w jego schowaną rękę.

Drzwi biblioteki otworzyły się i wszedł Adrian Sealfont. Loring bez pośpiechu wyjął rękę spod marynarki.

- Naprawdę się staram. Przysięgam - powiedział rektor łagodnie.

- Rozumiem słowa i poszczególne kadry i nie oburzam się na warkoczyki we włosach. Co mnie dziwi, to ich wrogość. Wszyscy powyżej trzydziestki są dla nich potencjalnymi wrogami.

- To był Strauss, tak? - upewnił się Matlock.

- Tak. Ktoś zapytał go o wpływy Nowej Fali. Odparł, że Nowa Fala to już zamierzchnia przeszłość. Prehistoria, jak powiedział... Nie będę wam przeszkadzać, panowie. Chciałbym tylko znać decyzję Kressela, panie Loring. Jak rozumiem, James przyjął pana propozycję.

- Pan Kressel także. Będzie naszym łącznikiem.

- Ach, tak. - Sealfont spojrzął na Matlocka. W jego oczach zabłysła ulga. - James, teraz mogę ci powiedzieć. Jestem bardzo wdzięczny, że zdecydowałeś się pomóc.

- Chyba nie ma innego wyjścia.

- To prawda. Najbardziej martwi mnie, że zostaniesz w to tak wplątany. Panie Loring, chcę być powiadomiony natychmiast, jak znajdzie pan coś konkretnego. Wtedy zrobię wszystko, co w mojej mocy, zastosuję się do wszelkich poleceń. Muszę tylko mieć dowód, a zapewnię panu całkowitą, oficjalną współpracę.

- Rozumiem, panie rektorze. Był pan bardzo pomocny. Bardziej niż mieliśmy prawo oczekiwać. Jesteśmy wdzięczni.

- Jak już James powiedział, nie ma innego wyjścia. Ale muszę trzymać się pewnych reguł; moim pierwszym obowiązkiem jest dbać o dobro uczelni. Mogłoby się wydawać, że w ostatnich czasach życie socjalne studentów toczy się jakby nieco sennie, ale myślę, że to sąd powierzchowny... No panowie, macie jeszcze pewno trochę pracy, a ja muszę skończyć czytać książkę. Dobranoc panie Loring, dobranoc James.

Mężczyźni pożegnali się skinieniem głowy i Adrian Sealfont zamknął za sobą drzwi biblioteki.

O pierwszej w nocy Matlock miał już dosyć. Główne dane nazwiska, źródła, przypuszczenia - miał już opanowane, na pewno ich nie zapomni. Co nie znaczy, że mógłby je recytować z pamięci, to nie było potrzebne. Ale widok którejkolwiek osoby z listy natychmiast spowoduje w mózgu odzew, Loring miał co do tego rację. Dlatego kazał mu głośno powtarzać po parę razy każde nazwisko. To wystarczy.

Teraz musiał się porządnie wyspać, jeśli tylko zdoła zmrużyć oczy. Musi spojrzeć na to z pewnej perspektywy. Rano zacznie podejmować pierwsze decyzje, zastanawiać się, kogo zagadnąć, z kim się spotkać, wybierając ludzi, którzy najprawdopodobniej nie utrzymują ze sobą kontaktów i nie będą mogli go przed sobą zdradzić. Oznaczało to zacieśnienie wielu znajomości, zarówno wśród studentów jak i pracowników, i zbieranie wśród nich strzępów informacji, których nie było w dossier Loringa. Powinien przy tym pomóc wykaz Kressela, ten którego rzekomo nie posiadał.

Gdy już nawiąże rozmowę, będzie musiał się zachowywać ostrożnie, rzucając niewinnie słówko tu czy tam i obserwując reakcje, spojrzenia, zdradliwe nerwowe gesty.

Gdzieś kogoś na czymś przyłapie.

- Chciałbym jeszcze wrócić do jednej sprawy - powiedział Loring.
 - Omówiliśmy już strasznie dużo. Może powinienem najpierw to przetrwać.
 - To nie zajmie ani minuty. A jest ważne. - Agent sięgnął do teczki i wyjął wybrudzony, ścięty kawałek papieru. - To dla pana.
 - Dziękuję, choć nie wiem za co. - Matlock wziął srebrzystą niegdyś kartkę i spojrzął na dziwne pismo.
 - Mówiłem już, że jest to napisane w dialekcie oltremontańskim języka korsykańskiego. Co zgadza się z prawdą z wyjątkiem dwóch słów. Na samym dole ma pan zwrot "Venerare Omerta". To nie po korsykańsku, tylko po sycylijsku. Ściśle biorąc, to sycylijski skrót.
 - Już gdzieś te słowa widziałem.
 - Z pewnością. Były szeroko kolportowane w prasie, filmie, książkach. Ale to nie zmniejsza ich wymowy. Zainteresowani wiedzą, że jest ciągle aktualna.
 - Co to znaczy?
 - W wolnym tłumaczeniu: "Przestrzegaj praw Omerty". Omerta to przysięga na wierność i milczenie. Złamać jedno lub drugie, to prosić się o śmierć.
 - Mafia?
 - Jest w to zamieszana. Można powiedzieć, że to bohaterka drugiego rozdziału. Niech pan pamięta, że ten krótki zwrot został użyty przez dwie frakcje starające się osiągnąć kompromis. Słowo "Omerta" jest zrozumiałe przez obie strony.
 - Będę o tym pamiętać, ale nie bardzo rozumiem, co mam z tym zrobić.
 - Po prostu ma pan wiedzieć.
 - Dobrze, już wiem.
 - I ostatnia rzecz. Mówiliśmy tu głównie o narkotykach, ale jeśli nasze informacje są prawdziwe, Nemrod działa także na innych frontach. Rabunki, prostytutka, hazard... Może, ale tylko może, trzyma też częściowo w garści władze miejskie, stanowe, a nawet rząd federalny. Wiemy z doświadczenia, że narkotyki stanowią najsłabsze ogniwo w łańcuchu przestępstw, najłatwiej wykrywalne. Dlatego na tym się skoncentrowaliśmy, ale musi pan mieć świadomość, że istnieją też inne aspekty tej sprawy.
 - Wiem.
 - W porządku. No to koniec na dzisiaj.
 - Czy nie byłoby dobrze, gdyby dał mi pan numer, pod którym mogę pana zastać?
 - Wykluczone. Niech pan użyje Kressela. Będziemy się z nim kontaktować parę razy dziennie. Kiedy zacznie pan zadawać pytania, mogą wziąć pana pod lupę. Niech pan nie dzwoni do Waszyngtonu. I niech pan, broń Boże, nie zgubi tego korsykańskiego zaproszenia. To wszystko, co mamy. Niech pan znajdzie drugą połowę.
 - Spróbuję.
- Matlock patrzył, jak agent zamyka teczkę, owija cienki czarny łańcuszek wokół nadgarstka i zatrząskuje zamek.
- Zupełnie jak w filmie, co? - roześmiał się Loring.
 - Jestem pod wrażeniem.
 - Niepotrzebnie. Ten zwyczaj wprowadzili kurierzy dyplomatyczni, którzy gotowi byli wziąć ze sobą przesyłkę do grobu, ale dzisiaj to tylko ochrona przed złodziejami.
 - Nie wierzę ani jednemu słowu. To jedna z tych teczek, które wytwarzają zasłonę dymną, wysyłają sygnały radiowe i kryją bomby zegarowe.
 - Ma pan rację. A ponadto mają sekretne schowki na kanapki, brudną bieliznę i Bóg wie, co jeszcze. - Loring zdjął teczkę z biurka. - Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wyjdziemy osobno. Jeden z nas tylnym wyjściem, drugi frontowym. W odstępie dziesięciu minut.
 - Uważa pan, że to konieczne?
 - Prawdę mówiąc, nie, ale tak sobie życzą moi przełożeni.

- Dobrze. Znam ten dom, wyjdę dziesięć minut po panu, kuchennym wyjściem.
- W porządku. - Loring wyciągnął prawą rękę, lewą podtrzymując teczkę. - Nie muszę panu mówić, jak bardzo jesteśmy wdzięczni, że pan się tego podjął.

- Myślę, że wiecie, dlaczego to robię.

- Tak, wiemy. Żeby być z panem szczerym, liczyliśmy na to.

Loring wyszedł z biblioteki; Matlock odczekał, aż dobiegł go trzask otwieranych i zamykanych drzwi frontowych. Potem spojrział na zegarek i postanowił nalać sobie przed wyjściem jeszcze jednego drinka.

O pierwszej dwadzieścia Matlock był już spory kawałek od domu rektora. Szedł wolno do siebie, zastanawiając się, czy nie zrobić rundki wokół terenu. Często taki spacer pomagał mu uporządkować myśli, a wiedział, że nie może liczyć na spokojny sen. Miał paru studentów i wykładowców wymieniając zdawkowe pozdrowienia z tymi, których znał. Miał właśnie skręcić na High Street, w kierunku przeciwnym do swojego mieszkania, kiedy usłyszał za sobą kroki. Najpierw kroki, a potem ochryply szept.

- Matlock! Niech się pan nie odwraca. Tu Loring. Niech pan idzie dalej i słucha.

- Co się stało?

- Ktoś wie, że tu jestem. Mój samochód został przeszukany.

- Cholera! Skąd pan wie?

- Umieściłem wcześniej źdźbła trawy i pojedyncze włosy w odpowiednich miejscach.

Przeszukali wszystko, przód, tył, bagażnik. Bardzo dobra zawodowa robota.

- Jest pan pewien?

- Tak pewien, że nie zamierzam zapalać silnika!

- O Boże! - Matlock omal nie stanął w pół kroku.

- Niech pan nie zwalnia! Jeśli ktoś mnie obserwuje, a z całą pewnością tak jest, to dałem mu jasno do zrozumienia, że zgubiłem kluczyki. Zapytałem kilku przechodniów, gdzie jest budka telefoniczna i czekałem, aż pan odejdzie dość daleko.

- Co mam zrobić? Budka jest na następnym rogu.

- Wiem. Mam nadzieję, dla dobra nas obu, że nic pan nie będzie musiał robić. Przy wymijaniu potrączę pana, dość mocno. Niech pan straci równowagę, krzyknę słowa przeproszenia. Niech pan udaje, że zwichnął pan kostkę czy nadgarstek, wszystko jedno, ale musi pan zyskać na czasie! Niech pan nie spuszcza mnie z oczu, dopóki nie przyjedzie po mnie samochód i nie kiwnę głową, że wszystko w porządku. Rozumie pan? Pobiegnę teraz szybko do budki.

- A co, jeśli będzie pan ciągle telefonował, kiedy tam dojdę?

- Niech pan idzie dalej, ale ma oczy otwarte. Samochód tu krąży.

- O co im chodzi?

- O tę teczkę. Właśnie o to. Jest tylko jedna rzecz cenniejsza dla Nemroda od tej teczki. To kawałek papieru w pańskiej kieszeni. Więc niech pan uważa!

Bez ostrzeżenia ruszył szybko do przodu i zepchnął Matlocka z chodnika.

- Bardzo przepraszam! Strasznie się spieszę!

Matlock spojrział w górę z ziemi, uzmysławiając sobie, że wcale nie musiał udawać upadku. Mocne pchnięcie Loringa zniwelowało tę konieczność. Zaklął i podniósł się niezgrabnie. Potem powlókł się kulejąc w kierunku oddalonej o kilkaset metrów budki. Mitrzążył niemal minutę zapalając papierosa. Loring był teraz w budce, siedział na plastikowym stołku, pochylony nad telefonem. Matlock spodziewał się, że lada chwila nadjedzie po niego samochód.

Jednak ulica była pusta.

Naraz dobiegł go cichutki dźwięk. Jakby szmer powietrza w liściach. Albo szczęk kamyka pod stopą czy złamanej pod ciężarem wiosennej zieleni gałązki. A może to wszystko tylko gra wyobraźni? Nie był całkiem pewien.

Podszedł do budki, pamiętając zalecenia Loringa, że ma przejść obok, nie zwracając na niego uwagi. Loring nadal siedział skulony nad telefonem, jego teczka leżała na podłodze, widać było ciągnący się od niej łańcuszek. Ale w środku panował całkowity bezruch, nie słychać było nawet szmeru rozmowy. Dał się jednak słyszeć inny dźwięk: buczący sygnał zdjętej z widełek słuchawki.

Pomimo instrukcji, Matlock podszedł do budki i otworzył drzwi. Nic więcej nie mógł już zrobić. Agent nie zdążył nawet wykręcić numeru.

I natychmiast okazało się, dlaczego.

Loring osunął się na szarą, metalową skrzynkę telefoniczną. Nie żył. Oczy miał szeroko otwarte, z czoła ciekła mu krew. Mała, okrągła dziurka w szybie, nie większa od guzika koszuli, otoczona pajęczyną popękanej szkła, świadczyła dobitnie, co zaszło.

Matlock patrzył na mężczyznę, który instruował go przez wiele godzin i pożegnał zaledwie parę minut temu. Patrzył na człowieka, teraz martwego, który jeszcze przed chwilą z nim żartował, dziękował mu, a na końcu go ostrzegł. Stał jak skamieniały, nie wiedząc, co robić, jak się zachować.

Otepiały wyszedł z budki, kierując się w stronę najbliższego domu. Instykt podpowiedział mu, żeby nie biec. W ciemnościach ulicy ktoś się krył. Ktoś z karabinem.

Kiedy usłyszał krzyk, zdał sobie sprawę, że to on krzyczy, ale zrobił to bezwiednie. Słowa same wyrwały mu się z gardła.

- Pomocy! Pomocy! Tam leży mężczyzna! Zastrzelono go! Wbiegł po stopniach domu na rogu i zaczął z całej siły walić w drzwi. W kilku sąsiednich domach zapaliły się światła. Matlock nie przestawał krzyczeć.

- Na miłość boską, niech ktoś zawiadomi policję! Tam leży trup!

Nagle z cienia drzew w głębi ulicy dobiegł go warkot motoru, a potem pisk opon, gdy samochód wyjechał na środek jezdni i ruszył naprzód. Matlock podbiegł do bariery ganku. Długa, czarna limuzyna wyłoniła się z ciemności i sunęła szybko w stronę rogu ulicy. Matlock starał się dojrzeć tablicę rejestracyjną i widząc, że to niemożliwe, zszedł dwa stopnie w dół, aby zidentyfikować markę samochodu. Nagle -został oślepiony. Promień reflektora przebił szarą wiosenną noc i wziął go w sam środek. Matlock podniósł ręce, żeby osłonić oczy i wtedy usłyszał cichy plask, nagły szmer w powietrzu taki sam, jak parę minut temu.

Strzelano do niego z karabinu. Z karabinu z tłumikiem.

Dał nura z ganku w krzaki. Czarna limuzyna dodała gazu i odjechała.

5

Czekał sam. Pokój był mały, miał zbrojoną szybę w oknie. Posterunek policji w Carlyle roił się od oficerów policji i mężczyzn w cywilu, wezwanych w trybie pilnym na służbę - nikt nie wiedział, co to zabójstwo oznacza. I nikt nie wykluczał możliwości, że mogą nastąpić kolejne.

Stan pogotowia. To syndrom Ameryki naszych czasów, pomyślał Matlock.

Karabin.

Miał na tyle przytomności umysłu, że po zawiadomieniu policji zadzwonił do Sama Kressela. Kressel do głębi wstrząśnięty powiedział, że postara się skontaktować jakoś z odpowiednimi ludźmi w Waszyngtonie i potem przyjedzie na policję.

Uzgodnili, że dopóki nie dostaną następnych instrukcji, Matlock ograniczy się do meldunku o znalezieniu ciała i opisu limuzyny. Wyszedł po prostu na nocny spacer i tyle.

Nic więcej.

Meldunek przyjęto bez komentarzy; zadano mu tylko rutynowe pytania: dlaczego znalazł się w okolicy, jak wyglądał "samochód przypuszczalnego zabójcy", w jakim kierunku odjechał i z jaką prędkością.

Konieczność jednoznacznie negatywnej odpowiedzi na jedno z pytań zakłuła Matlocka w serce.

- Czy widział pan kiedyś przedtem denata?

- Nie.

To było bolesne. Loring zasługiwał na coś więcej niż świadome kłamstwo. Matlock pamiętał, jak mówił, że ma siedmioletnią córeczkę. Miał żonę i dziecko; zabito ojca i męża, a on nie mógł przyznać się, że zna jego nazwisko.

Nie wiedział, dlaczego tak go to boli, ale bolało. Może dlatego, że jak przeczuwał, był to początek lawiny kłamstw.

Podpisał krótkie zeznanie i miano go właśnie zwolnić do domu, kiedy usłyszał w sąsiednim pokoju telefon dzwoniący pod biurkiem. Nie na biurku, ale pod nim. W chwilę później pojawił się umundurowany policjant wywołując głośno jego nazwisko, jakby chciał się upewnić, że Matlock dotąd nie wyszedł.

- Tak, słucham?

- Musimy poprosić, aby pan jeszcze został. Proszę za mną.

Matlock siedział w tym małym pokoiku już niemal od godziny; była druga czterdzieści pięć nad ranem i zabrakło mu papierosów. Nie był to odpowiedni moment na zostanie bez papierosów.

Drzwi się otworzyły i wszedł wysoki, szczupły mężczyzna o poważnym spojrzeniu.

- Przepraszam, że pana zatrzymałem, doktorze Matlock. Ma pan tytuł doktora, prawda?

- Obejdzie się bez tytułów.

- Oto moja legitymacja. Nazywam się Greenberg, Jason Greenberg. Z Federalnego Biura Śledczego. Musiałem zweryfikować pana udział w tej sprawie... Co za cholerna historia, prawda!

- Cholerna historia? To wszystko, co ma pan do powiedzenia? Agent spojrzął na Matlocka z ukosa.

- To wszystko, co mi przechodzi przez gardło - powiedział spokojnie. - Gdyby Ralph Loring zdążył zadzwonić, to ja odebrałbym telefon.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. Jeszcze nie jestem wprowadzony w tę sprawę, to znaczy wiem co nieco o organizacji Nemrod, ale niewiele. Do rana dowiem się, ile można. A propos, ten gość Kressel już tu jedzie. Wie, że tu jestem.

- Czy to coś zmienia?... Głupio zabrzmiało, prawda? Zabito człowieka, a ja pytam, czy to coś zmienia. Znow muszę przeprosić.

- Nie trzeba; ma pan za sobą straszne przeżycie... Jedyne od pana zależy odpowiedź na to pytanie. Rozumiemy, że śmierć Ralpa może wpłynąć na zmianę pańskiej decyzji. Prosimy tylko, żeby zatrzymał pan do swojej wiadomości wszystko, czego się pan dowiedział.

- To znaczy, że mogę się wycofać?

- Oczywiście. Nie ma pan w stosunku do nas żadnych zobowiązań.

Matlock podszedł do małego, prostokątnego okna ze zbrojoną szybą. Posterunek policji leżał na południowym krańcu miasta, w dzielnicy przemysłowej. Mimo to, wzdłuż ulic rosły drzewa; Carlyle było bardzo czystym, zadbanym miastem. Nawet zieleń przy posterunku policji była równo przycięta i wypielęgnowana.

Carlyle znaczyło dla niego bardzo wiele.

- Pozwoli pan, że zadam jedno pytanie - powiedział. - Czy fakt, że znalazłem ciało Loringa, wiąże mnie z nim? To znaczy, czy mogę być uważany za kogoś, z kim współpracowałem?

- Nie wydaje nam się. Sposób, w jaki pan się zachował raczej zdejmuje z pana wszelkie takie podejrzania.

- O czym pan mówi? - Matlock odwrócił się do agenta.

- Prawdę mówiąc, wpadł pan w panikę. Nie uciekł pan biegiem z miejsca wypadku, tylko wyszedł pan na ulicę i zaczął krzyczeć jak opętany. Ktoś przygotowany do jakiegoś zadania nie zachowuje się w ten sposób.

- Nie byłem przygotowany na coś takiego.

- Na to samo wychodzi. Po prostu znalazł go pan i stracił głowę. Nawet jeśli Nemrod podejrzewa, że jesteśmy na jego tropie...

- Podejrzewa! - przerwał Matlock. - Przecież go zabili!

- Ktoś go zabił. Mało prawdopodobne, żeby to była robota Nemroda. Może jakichś innych przestępców. Nikt nigdy nie jest dostatecznie dobrze zakonspirowany. Nawet Loring, choć był tego bliski.

- Nie rozumiem pana.

Greenberg oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersiach, patrząc przed siebie smutnymi oczami.

- Kamuflaż Ralpa był najlepszy w departamencie. Przez niemal piętnaście lat. - Agent spuścił teraz wzrok na podłogę, mówiąc cicho z nutą goryczy - Taki, który się sprawdza najlepiej, kiedy człowiekowi jest już wszystko jedno. I gdy w końcu wychodzi na jaw, otoczenie jest wstrząśnięte, a rodzina narażona na wstyd.

Greenberg spojrział na niego i usiłował się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

- Nadal pana nie rozumiem.

- Nic nie szkodzi. W każdym razie pan po prostu znalazł się tam przypadkiem, wpadł w panikę i przeraził się jak nigdy w życiu. Tak czy owak, zawsze może pan zrezygnować. No więc jak, panie Matlock?

Zanim Matlock zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyły się z hukiem i wpadł Sam Kressel, z nerwowo spiętą, przerażoną twarzą.

- O Boże! To straszne! Po prostu straszne. Czy Greenberg to pan?

- A pan nazywa się Kressel.

- Tak. Co teraz będzie? - Kressel zwrócił się do Matlocka, pytając jednym tchem: - Nic ci nie jest, Jim?

- Nie, w porządku.

- No więc, Greenberg, co się właściwie dzieje? Powiedzieli mi w Waszyngtonie, że pan nam wszystko wyjaśni.

- Rozmawiałem właśnie z panem Matlockiem i...

- Niech pan posłucha - przerwał nagle Kressel. - Zadzwoiłem do Sealfonta i mamy to samo zdanie. To, co się stało, jest straszne... tragiczne. Przekazujemy wyrazy współczucia rodzinie zmarłego, ale zależy nam, aby nazwa Carlyle nie była w to wmieszana. To zajście stawia wszystko w innym świetle i nie życzymy sobie mieć z tą sprawą nic wspólnego. Myślę, że to zrozumiałe.

Twarz Greenberga zdradzała niesmak.

- Wpada pan tutaj, pyta, co się dzieje, i zanim mam szansę odpowiedzieć, dyktuje mi co i jak. A więc, jak pan woli? Czy mam zadzwonić do Waszyngtonu i podać im pańską wersję, czy chce pan najpierw mnie posłuchać? Mnie tam wszystko jedno.

- Nie ma powodu do obrazy. Nie prosiliśmy, żeby nas w to mieszać.

- A kto o to prosi? - uśmiechnął się Greenberg. - Niech pan pozwoli mi skończyć. Zaproponowałem panu Matlockowi, żeby się wycofał. Nie dał mi jeszcze odpowiedzi, więc i ja nie mogę dać panu mojej. W każdym razie jeśli powie to, czego się spodziewam, kamuflaż Loringa zostanie natychmiast wyciągnięty na światło dzienne. I tak to nastąpi, ale jeśli pan doktor zgodzi się dalej współpracować, trochę to rozdmuchamy.

- O czym pan, do diabła, mówi? - Kressel wbił zdumiony wzrok w agenta.

- Od lat Ralph był wspólnikiem pewnej kancelarii adwokackiej w Waszyngtonie o jak najgorszej sławie. Jej klientela przypomina wyciąg z listy członków mafii... Dziś wczesnie rano nastąpiła pierwsza z dwóch zamian samochodów. Miało to miejsce na przedmieściu Hartford, w Elmwood. Auto Loringa z waszyngtońską rejestracją zostało przed domem jednego z dobrze znanych szefów mafii. Kilka bloków dalej czekał na niego inny wynajęty samochód. Przyjechał nim do Carlyle i zaparkował przed domem nr 217 na Crescent Street, pięć przecznic od rezydencji Sealfonta. Pod 217 na Crescent Street mieszka niejaki doktor Ralson...

- Poznałem go kiedyś - wtrącił Matlock. - Słyszałem, że...

- ...specjalizuje się w skrobaniach - dokończył Greenberg.

- On nie ma nic wspólnego z naszym uniwersytetem! - powiedział z naciskiem Kressel.

- Miewaliście już gorszych - odparował Greenberg z całym spokojem. - Ponadto ten facet ma też powiązania z mafią. W każdym razie Ralph postawił tam swój samochód i poszedł do miasta przesiąść się w inny. Osłaniałem go; w tej teczce są materiały pierwszorzędno znaczenia. Zabrała go furgonetka zbierająca pieniądze z automatów telefonicznych, która staje także w "Kocie z Cheshire" i którą w końcu dojechał do Sealfonta. Nikt nie mógł wiedzieć, że tam był. Gdyby ktoś wiedział, przejęliby go jeszcze na ulicy; mieli pod obserwacją jego samochód na Crescent.

- Tak mi właśnie powiedział.

- Wiedział, że to możliwe; specjalnie zostawiliśmy ten ślad do Crescent. Kiedy ku jego satysfakcji to się potwierdziło, musiał działać szybko. Nie wiem, co zrobił, ale pewno mitrężył jakoś na ulicy, dopóki pana nie zobaczył.

- Tak, dokładnie tak.

- I potem już nie zdążył.

- Co to, do diabła, ma z nami wspólnego? Jakie to może mieć znaczenie? - Kressel mówił na granicy krzyku.

- Jeśli pan Matlock zechce dalej z nami współpracować, śmierć Loringa zostanie przedstawiona jako porachunki świata przestępczego. Złej sławy adwokat, może pośrednik w przekazywaniu dużych łapówek; podejrzana klientela. Mafioso i lekarz zostaną zwinięci; są

na straty. Zasłona dymna będzie tak gęsta, że wszyscy się w tym pogubią. Nawet mordercy. O Matlocku zapomną. Ten schemat zadziała, działał już nieraz.

Kressel był zdumiony gładką pewnością siebie Greenberga, jego spokojem i profesjonalizmem.

- Mówi pan jak z nut, co?

- Jestem bardzo inteligentny.

Matlock nie mógł powstrzymać uśmiechu. Greenberg mu się podobał pomimo - a może z powodu - smutnych okoliczności, w jakich się poznali. Agent dobrze się wystawiał i szybko myślał. Był rzeczywiście inteligentny.

- A jeśli Jim powie, że umywa ręce?

Greenberg wzruszył ramionami.

- Nie lubię mleć językiem bez powodu. Niech najpierw się wypowie.

Obaj mężczyźni spojrzeli na Matlocka.

- Chyba się nie wycofam, Sam. Jestem gotów dotrzymać słowa.

- Nie mówisz poważnie. Tego człowieka zabito!

- Wiem. Sam go znalazłem.

Kressel położył mu rękę na ramieniu. Był to gest przyjaciela.

- Nie jestem histerycznym pasterzem pilnującym swojej trzódki. Naprawdę się martwię. I boję się. Widzę, jak wrabia się człowieka w coś, z czym nie będzie umiał sobie poradzić.

- To niesprawiedliwe - powiedział spokojnie Greenberg. My też się martwimy. Gdybyśmy nie sądzili, że jest zdolny nam pomóc, nigdy byśmy się do niego nie zwrócili.

- Myślę, że zwrócilibyście się - powiedział Kressel. - Ani przez minutę nie wierzę, że to zmartwienie spędziłoby wam sen z powiek. Zbyt łatwo mówi pan, że ktoś jest na straty, panie Greenberg.

- Przykro mi, że pan tak myśli. Bo to nieprawda. Nikt z nas tak do tego nie podchodzi... Nie zostałem jeszcze dokładnie wprowadzony, panie Kressel, ale pan chyba miał być łącznikiem? Bo jeśli tak, to może jednak pan się wycofa. Znajdziemy kogoś innego na pana miejsce.

- I mam zostawić wam wolne pole? Pozwolić, żebyście robili na terenie uczelni, co się wam podoba? Za nic w świecie.

- Wobec tego musimy współdziałać. Choćby nas to niezbyt zachwyciło... Pan jest wyraźnie wrogo nastawiony; może to i lepiej. Będę się miał na baczności. Coś za bardzo pan protestuje.

Matlock wzdrygnął się na te słowa. Co innego jest wchodzić w antagonistyczną koalicję, a co innego robić zawołane zarzuty, obraźliwe insynuacje.

- Ta uwaga wymaga wyjaśnienia - powiedział Kressel z twarzą czerwoną z gniewu.

Greenberg odpowiedział głosem spokojnym, rzeczowym, nie przystającym do jego słów.

- Odchrzań się pan. Straciłem dziś bardzo dobrego przyjaciela. Dwadzieścia minut temu rozmawiałem z jego żoną. Nie mam ochoty na dawanie żadnych wyjaśnień. Tu się kończą moje obowiązki zawodowe. Teraz niech się pan zamknie, a ja zapiszę panu godziny kontaktu i dam numery telefonu w razie nagłej potrzeby. Jeśli pan ich nie chce, to niech się pan wynosi.

Greenberg położył teczkę na stoliku i otworzył. Sam Kressel, zdetonowany, podszedł do niego w milczeniu.

Matlock patrzył na wytartą skórzaną teczkę, zaledwie parę godzin temu przyczepioną do nadgarstka człowieka, który teraz leżał martwy. Wiedział, że zaczął się taniec śmierci. Już pierwsze kroki zapowiadały piekło.

Trzeba teraz pomyśleć, jakie podjąć decyzje, komu stawić czoła.

6

Tabliczka pod dzwonkiem dwurodzinnego piętrowego domu głośiła: “Pan i pani Archer Beeson”. Matlock wprosił się do nich bez trudności. Młody historyk, Beeson, czuł się zaszczycony jego pomysłem zorganizowania wspólnego seminarium koordynującego ich oba kursy. Beeson czułby się zaszczycony, gdyby ktoś z grona pracowników o pozycji Matlocka spytał go, jaka jest w łóżku jego żona (większość spekulowała na ten temat). A ponieważ Matlock był niewątpliwie mężczyzną, Archer Beeson spodziewał się, że “kolacja przy kieliszku” z jego żoną kręcącą się po domu w mini spódniczce może pomóc w scementowaniu znajomości z wysoko cenionym wykładowcą literatury angielskiej.

Matlock usłyszał zadyszany okrzyk z pierwszego piętra:

- Już leczę, minutkę!

Poznał wystudiowany, brzącający nieco karykaturalnie akcent żony Beesona. Wyobraził ją sobie, jak biega patrząc, czy półmisek serów i tacka z koreczkami stoją na swoim miejscu - półmisek wyszukanych serów i tacka wymyślnych koreczków: “to tylko takie małe co nieco na ząb” - gdy tymczasem jej mąż sprawdza końcowy efekt wyeksponowanych na rzecz gościa książek; tu i tam rozłożonych z najwyższą starannością, choć na pozór niedbale, uczonych tomów, których nie sposób nie zauważyć.

Matlock zastanawiał się, czy ci dwoje schowają też przed nim tabletki LSD i metedryny.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich uśmiechnięta szeroko drobna żona Archera, ubrana w oczekiwaną krótką spódniczkę i prześwitującą jedwabną bluzkę, rozchyloną na dużych piersiach.

- Cześć! Jestem Ginny Beeson. Spotkaliśmy się już na kilku zwariowanych przyjęciach. Tak się cieszę, że przyszedłeś. Archie właśnie kończy czytać prace studentów. Chodźmy na górę. Ruszyła przodem, nie dopuszczając go do słowa. - Te schody to coś straszego! Cóż, taka jest cena zaczynania kariery od samego dołu.

- Jestem pewien, że to długo nie potrwa - powiedział Matlock.

- Archie też tak mówi. Mam nadzieję, że ma rację, bo inaczej będę miała nogi muskularne jak atleta.

- Na pewno ma rację - przytaknął Matlock, patrząc na miękką linię odsłoniętych przed nim niemal na całą długość nóg.

W mieszkaniu Beesonów sery i koreczki stały dumnie na awangardowym stoliku do kawy, a wyeksponowane na cześć gościa dzieło wyszło spod ręki samego Matlocka. Było zatytułowane “Interpolacje w Ryszardzie II”, leżało na stole obok, pod lampą z frędzlami, i rzeczywiście nie sposób było go nie zauważyć.

W momencie, gdy Ginny zamknęła drzwi, do małego saloniku wpadł Archie, z równie małego, jak Matlock przypuszczał, gabinetu. Niósł w lewej ręce plik papierów, prawą na całą długość wyciągnął do gościa.

- Co za dzień! Cieszę się, że mogłeś wpaść, stary!... Siadaj, siadaj. Należy nam się po kielichu! Jezu!... Marzę o chwili wytchnienia. Właśnie spędziłem trzy godziny czytając dwadzieścia różnych wersji wojny trzydziestoletniej!

- Tak to bywa. Wczoraj dostałem referat na temat “Volpone'a” z najdziwaczniejszym zakończeniem, jakie sobie można wyobrazić. Okazało się, że student w ogóle nie czytał książki, tylko obejrzał filmową wersję w Hartford.

- Z nowym zakończeniem?

- Całkowicie.

- Dobry Boże! To dopiero historia! - wykrzyknęła Ginny z emfazą. - Co chcesz do picia, Jim? Mogę mówić do ciebie po imieniu, prawda panie doktorze?

- Oczywiście, Ginny. Bourbona z odrobiną wody, proszę. Nigdy się nie przyzwyczailem do tytułu doktora. Mój ojciec uważa, że to jakieś oszustwo. Doktorzy noszą stetoskopy, nie książki. Matlock usiadł w fotelu przykrytym indiańskim kocem.

- Skoro już jesteśmy przy tym temacie, to właśnie zabieram się za pracę doktorską. To lato i jeszcze dwa następne przy biurku powinny zrobić swoje.

Beeson wziął kubełek na lód z rąk żony i podszedł do długiego stołu pod oknem, gdzie ustawiono niedbale butelki i szklanki.

- Ale to się opłaci - powiedziała z naciskiem Ginny - Prawda, że się opłaci, Jim?

- Oczywiście, to bardzo ważne. I zwróci się w przyszłości.

- To i publikacje. - Ginny wzięła sery i krakersy, podsuwając Matlockowi. - Spróbuj tego dziwnego irlandzkiego serka. Dasz wiarę, że nazywa się "Blarney"? Znalazłam go dwa tygodnie temu w małym sklepiku w Nowym Jorku.

- Wygląda wspaniale. Nie znałam go dotąd.

- Mówiąc o publikacjach, wpadły mi ostatnio w ręce twoje "Interpolacje". Co za świetna książka! Naprawdę!

- Boże, niemal już o niej zapomniałem. Napisałem ją cztery lata temu.

- To powinna być lektura obowiązkowa! Archie tak twierdzi, prawda, Archie?

- Jasne, że tak! Masz tu swoją truciznę, stary - powiedział Beeson wręczając Matlockowi szklankę. - Czy masz swojego agenta, Jim? Nie to, żebym był wścibski. Miną całe lata, zanim sam coś napiszę.

- To nieprawda i dobrze o tym wiesz - wtrąciła Ginny głosem pełnym oburzenia.

- Tak, mam agenta. Irvinga Blocka w Bostonie. Jeśli pracujesz nad czymś, mógłbym mu pokazać.

- Och, nie, nie śmiałybym... To byłoby straszne zarozumiałstwo z mojej strony... - Z udaną skromnością Beeson osunął się na kanapę obok żony i, zapewne nieświadomie, wymienił z nią tryumfujące spojrzenie.

- Daj spokój, Archie. Jesteś bystrym gościem i stanowisz prawdziwą zdobycz dla naszej uczelni. Czy inaczej mówiłbym z tobą o tym seminarium? Może to właśnie ty mnie wyświadczysz przysługę. Może dzięki temu Block dostanie pierwszorzędne pióro. Część chwały spadnie i na mnie, wiesz.

Twarz Beesona wyrażała najgłębszą wdzięczność. Matlock z trudem zmuszał się, żeby patrzeć mu w oczy, dopóki nie dostrzegł w nich pewnego szczególnego wyrazu. Nie potrafił go zdefiniować, ale to było widoczne. Jakaś szczypta szaleństwa, jakiś ślad paniki.

Oczy człowieka, któremu nie jest obce działanie narkotyków.

- To fantastyczne z twojej strony, Jim. Jestem okropnie wzruszony, wierz mi.

Sery, drinki i kolacja jakoś minęły. Czasem Matlock miał wrażenie, że patrzy na siebie jakby z boku, obserwując trzy postacie w scenie ze starego filmu. Na statku pasażerskim albo w niedbale eleganckim nowojorskim apartamencie z trzema osobami dramatu ubranymi w dopasowane, wieczorowe stroje. Zadał sobie pytanie, dlaczego tak to widzi - i nagle zrozumiał. Jego gospodarze starali się utrzymać w stylu lat trzydziestych. Wypaść jak bohaterowie starych filmów. Zalatywali nutką anachronizmu; nie wiedział, ile było w tym pozy. Nie byli sztuczni sami w sobie, ale było coś ze sztuczności w ich afektowanych uwagach, w ich przestarzałych wyrażeniach. A przecież byli typowymi przedstawicielami obecnego pokolenia.

LSD i metedryna.

Miłośnicy prochów. Pochłaniacze pigułek.

Beesonowie starali się za wszelką cenę pokazać jako relikty minionych, beztrudnych czasów. Może chcieli w ten sposób zdyskredytować czasy i warunki, w jakich przyszło im żyć. Ogólnie biorąc, było to deprymujące.

O jedenastej, po kilku butelkach wina i "małym danku z cielęciny według starego włoskiego przepisu" zasiedli z powrotem w bawialni. Wszystkie kwestie związane z proponowanym seminarium zostały już omówione. Matlock wiedział, że czas przystąpić do rzeczy; nadszedł wreszcie ten okropny, niezręczny moment. Nie miał pojęcia, jak zacząć, mógł jedynie zdać się na swój instynkt.

- Słuchajcie, mam nadzieję, że was zbytnio nie zaszokuję, ale mam straszną ochotę na skręta. - Wyjął z kieszeni i otworzył płaską papierośnicę. Czuł się bardzo głupio i nieswojo, ale wiedział, że nie wolno mu tego po sobie pokazać. - Zanim mnie potępicie, muszę uprzedzić, że nie zgadzam się z prawem zakazującym marihuany i nigdy się nie zgadzałem.

Wyjął papierosa spośród tuzina innych i zostawił papierośnicę otwartą na stole. Czy tak należało postąpić? Nie miał pojęcia. Archie i jego żona wymienili spojrzenia. Zza płomienia zapałki obserwował ich reakcję. Była ostrożna, ale pozytywna. Może spowodował to wypity alkohol, lecz Ginny uśmiechnęła się nawet kącikiem ust, jakby ją ucieszyło, że znalazła przyjaciela. Jej mąż był bardziej powściągliwy.

- Nie krępuj się, stary - powiedział z nutą protekcyjności.

- Nie jesteśmy współpracownikami organów ścigania.

- Co to, to nie! - zachichotała jego żona.

- Prawo jest archaiczne - kontynuował Matlock, zaciągając się głęboko. - We wszystkich dziedzinach. Tak naprawdę wystarczyłaby kontrola i umiarkowanie. Zabraniać człowiekowi nowych doświadczeń, to zbrodnia. Odmawiać inteligentnej jednostce prawa do spełnienia, to, do cholery, dyskryminacja!

- No cóż, chyba kluczowym słowem jest tu "inteligentnej", Jim. Jeśli chodzi o jednostki mniej inteligentne, brak restrykcji mógłby prowadzić do nieobliczalnych skutków.

- Sokratycznie biorąc, masz rację tylko w połowie. Druga połowa to "kontrola". Odpowiednia kontrola nad "żelazem" i "brązem" wyzwala "złoto", żeby odwołać się do "Republiki". Gdyby sprawniejsi intelektualnie byli wciąż hamowani w swoich dążeniach i eksperymentach, ponieważ ich procesy myślowe wyprzedzają epokę, nie byłoby wielkich dzieł ani osiągnięć artystycznych, technicznych, politycznych. Wciąż tkwilibyśmy w średniowieczu.

Matlock zaciągnął się papierosem i zamknął oczy. Czy nie przeciągnął struny? Nie agitował, jak fałszywy neofita? Czekał, ale nie trwało to zbyt długo. Głos Archiego, kiedy przemówił, był cichy ale pełen żarliwości.

- Każdy dzień przynosi postępy, uwierz mi, stary. To prawda. Matlock z ulgą podniósł powieki i spojrzał przez dym na Beesona. Patrzył nieruchomo, nie mrugając, a potem przeniósł wzrok na jego żonę. Wypowiedział tylko dwa słowa:

- Jesteście dziećmi.

- To względne stwierdzenie w tych warunkach - odparł Beeson, nadal spokojnie i precyzyjnie dobierając słowa.

- Potrafisz tylko gadać.

- Nie bądź tego taki pewny!

Ginny Beeson wypła już dość alkoholu, żeby stracić czujność. Jej mąż wziął ją za ramię i ścisnął. Było to ostrzeżenie. Kiedy znów przemówił, nie patrzył już na Matlocka, tylko w przestrzeń.

- Nie jestem pewien, czy nadajemy na tej samej fali...

- Chyba nie. Dajmy sobie spokój... Skończę to tylko i się zmywam. Skontaktuję się z tobą w sprawie seminarium. - Matlock specjalnie się postarał, aby wzmianka o seminarium wypadła nieobowiązuco, niemal nieaktualnie.

Archie Beeson, młody człowiek, któremu tak spieszno było do awansu, nie mógł ścierpieć takiego obrotu sprawy.

- Czy mogę wziąć jednego skręta?

- Jeśli to twój pierwszy, to nie. Nie staraj się mi zaimponować. To nie ma znaczenia.

- Mój pierwszy?... Z jakiej branży?

Beeson podniósł się z kanapy i podszedł do stołu, na którym leżała otwarta papierośnica. Sięgnął po jeden z papierosów i podniósł do nosa.

- Dość znośna trawka. Ale tylko znośna. Sztachnę się parę razy... na początek.

- Na początek?

- Jesteś bardzo otwarty, ale - wybacz - nieco zapóźniony.

- Zapóźniony w stosunku do czego?

- W stosunku do ostatniej mody.

Beeson wyjął dwa skręty i zapalił je wystudiowanym gestem. Zaciągnął się głęboko, kiwając głową z umiarkowanym aplauzem i podał drugiego żonie.

- Potraktujmy to jako wstęp do uczty. Aperitif dla pobudzenia apetytu.

Poszedł do gabinetu i wrócił z chińskim pudełkiem z laki, po czym pokazał Matlockowi mały guzik, który po naciśnięciu uchylał cienki drewniany spód, ukazując drugie dno. Leżało tam jakieś dwa tuziny białych tabletek w przezroczystej folii.

- To będzie główne danie... prawdziwy przysmak dla amatorów.

Matlock dziękował Bogu za tę porcję wiadomości, którą sobie przyswoił i za pracowite czterdzieści osiem godzin spędzone na pogłębianiu zdobytej wiedzy. Uśmiechnął się, ale ton jego głosu pozostał stanowczy.

- Biorę LSD tylko w dwóch przypadkach. U mnie w domu w towarzystwie bardzo dobrych, bardzo starych przyjaciół. Albo z bardzo dobrymi, bardzo starymi przyjaciółmi u nich w domu.

Nie znam cię na tyle, Archie... Wiesz, umiarkowanie... Ale może coś innego? Tylko że przychodząc tu, nie wziąłem nic ze sobą.

- Nie przejmuj się. Może da się coś zrobić.

Beeson wziął chińskie pudełko z powrotem do gabinetu i wrócił z małym skórzanym woreczkiem w rodzaju takich, jakie palacze fajek używają na tytoń. Oczy Ginny się rozszerzyły; odpięła jeszcze jeden guzik w na pół już rozpiętej bluzce i wyciągnęła przed siebie nogi.

- Najlepszy asortyment.

Beeson otworzył woreczek i podsunął Matlockowi pod oczy. W środku znajdowały się inne pigułki owinięte w folię, ale były ciemnoczerwone i trochę większe od tych białych w chińskim pudełku. Musiało tu być przynajmniej pięćdziesiąt do sześćdziesięciu dawek seconalu.

Ginny z piskiem wyskoczyła z fotela.

- Uwielbiam to! To jest bombowe!

- Bije alkohol na głowę - dodał Matlock.

- O.K. staruszk. Użyjemy sobie. Ale nie za dużo, najwyżej pięć. To górny limit dla nowo-starych przyjaciół.

Przez następne dwie godziny Jim czuł się odurzony, ale nie tak jak Beesonowie. Młody historyk i jego żona szybko znaleźli się "na haju" z pomocą pięciu tabletek, co czekałoby również Matlocka, gdyby nie udało mu się schować trzech ostatnich udając, że je łyka. Kiedy osiągnęli stan oszołomienia, Matlockowi nie było zbyt trudno ich naśladować i namówić Beesona na następną dawkę.

- Gdzie się podziało wszechwładne umiarkowanie, doktorze?

- chrząknął ze śmiechem Beeson, siadając na podłodze przed kanapą i gładząc od niechcenia nogę żony.

- Jesteście lepszymi przyjaciółmi niż myślałem.

- To dopiero początek wspaniałej, cudownej przyjaźni. - Młoda żona wyciągnęła się leniwie na kanapie i zachichotała. Potem wygięła się zmysłowo i położyła prawą rękę na głowie męża, odgarniając mu włosy do tyłu.

Beeson roześmiał się, wykazując już mniej samokontroli niż przedtem, po czym podniósł się z podłogi.

- Pójdę więc po nasze magiczne tabletki.

Kiedy zniknął w gabinecie, Matlock obserwował jego żonę. Jej intencje nie pozostawiały cienia wątpliwości. Otworzyła wolno usta i wysunęła do niego język. Zrozumiał, że to skutek działania seconalu, bardzo idący w parze z naturą Ginny Beeson.

Postanowili, że na drugą porcję wezmą po trzy tabletki i Matlock mógł teraz z łatwością udawać. Beeson włączył stereo i puścił płytę "Carmina Burana". Nie minął kwadrans, a Ginny Beeson siedziała Matlockowi na kolanach, wciskając się w niego i ocierając o jego uda. Jej mąż leżał rozciągnięty między dwoma głośnikami, stojącymi po obu stronach gramofonu. Matlock zwrócił się do niego mówiąc rozwleknie i niezbyt głośno:

- To najlepszy towar, jaki mi się ostatnio trafił, Archie... Skąd to bierzesz? Z jakiego źródła?

- Pewno z tego samego, co ty, staruszku. - Beeson odwrócił się, patrząc na Matlocka i swoją żonę. Roześmiał się. - Nie wiem, co masz na myśli: magiczne tabletki czy dziewczynę, którą trzymasz na kolanach. Uważaj, doktorze. To flirtiera.

- Nie żartuj, mówię poważnie. Twoje pigułki są lepszej jakości, a na moją trawkę kręciłeś nosem. Skąd bierzesz towar? Bądź dobrym kumplem.

- Zabawny z ciebie facet. Co się tak uczepliłeś? Czy ja cię o coś pytam? Nie... To niegrzeczne... Zabaw się z Ginny. Daj mi posłuchać. - Beeson przewrócił się z powrotem na brzuch i położył twarzą na podłodze.

Dziewczyna na kolanach Matlocka nagle objęła go za szyję i przycisnęła się do niego mocno piersioma. Przytuliła mu twarz do policzka i zaczęła całować go w ucho. Matlock był ciekaw, co by się stało, gdyby podniósł ją z krzesła i zaniósł do sypialni. Był ciekaw, ale nie zamierzał tej ciekawości zaspokajać. Ralph Loring nie po to został zabity, aby on, Matlock, miał bardziej urozmaicone życie seksualne.

- Daj mi spróbować jednego z twoich skrętów, Archie. Zobaczymy, jaki masz wyrafinowany smak. A może tylko tak szpanujesz, co?

Nagle Beeson usiadł, wbijając wzrok w gościa. Nie chodziło mu o żonę, zastanowiło go coś w głosie Matlocka, co wzbudziło jego instynktowny niepokój. A może nie był to głos, tylko słowa? Albo zbyt normalny tok wypowiedzi? Matlock zastanawiał się nad tym, odwzajemniając spojrzenie Archiego nad ramieniem dziewczyny. Beeson najwyraźniej poczuł, że musi mieć się na baczności. Powiedział urywanym głosem:

- Oczywiście, stary... Ginny, nie dokuczaj Jimowi. - Zaczął się podnosić.

- To bombowe, bombowe...

- Mam kilka w kuchni... Nie pamiętam, gdzie, ale poszukam... Ginny, mówiłem ci, żebyś nie droczyła się z Jimem... Bądź dla niego dobra i miła...

Beeson wciąż patrzył na Matlocka, oczy miał rozszerzone pod wpływem seconalu, usta półotwarte, mięśnie twarzy zastygłe w grymasie. Cofnął się w stronę wahadłowych drzwi kuchennych, które były otwarte. A potem zrobił coś dziwnego: powoli i starannie zamknął je za sobą.

Matlock szybko zsunął z kolan znarkotyzowaną dziewczynę, która spokojnie ułożyła się na podłodze. Uśmiechnęła się błogo i wyciągnęła do niego ramiona. Odwzajemnił jej uśmiech, przechodząc nad nią.

- Zaraz wracam - szepnął. - Chcę spytać o coś Archiego. Dziewczyna odwróciła się na brzuch, a Matlock podszedł ostrożnie do kuchni. Zmierzył sobie włosy i zatoczył się na stół

stojący przy drzwiach. Gdyby Beeson nagle wszedł, chciał sprawiać wrażenie zbitego z nóg przez narkotyk. Poprzez muzykę słyszał cichy lecz podniecony głos Archiego, który mówił coś przez telefon.

Przylgnał do ściany, starając się zrozumieć, co wprawiło Beesona w panikę, każąc mu natychmiast z kimś się porozumieć.

Dlaczego? Co się stało?

Czy jego wielka mistyfikacja była aż tak widoczna? Czy sfuszerował swoje pierwsze spotkanie?

Jeśli tak, to przynajmniej postara się dowiedzieć, kto jest na drugim końcu linii, do kogo Beeson uciekł się w swoim odurzeniu i strachu.

Jedno wydawało się jasne: musiał to być ktoś ważniejszy od niego. Nikt - nawet narkoman - nie kontaktuje się w takim momencie z płótką mniejszą od siebie.

Może jednak ten wieczór nie skończy się porażką, lub też paradoksalnie - jego własna porażka wyjdzie mu na dobre. Beeson w panice może wyjawiać informację, której nigdy w innych warunkach by nie zdradził. Może dałoby się wyciągnąć ją na siłę z przestraszonego, znarkotyzowanego historyka, ale z drugiej strony była to najmniej pożądana metoda. Gdyby i w tym zawiódł, byłby skończony, zanim jeszcze zaczął. Szczegółowe instrukcje Loringa poszłyby na marne, jego śmierć stałaby się makabrycznym żartem, a okropny kamuflaż - tak bolesny dla rodziny, tak niehumanitarny w pewnym sensie - zostałby zniweczony przez nieudolnego amatora.

Nie ma innej drogi, tylko spróbować się dowiedzieć, do kogo Beeson zadzwonił, a potem postarać się rozegrać wieczór tak, żeby z powrotem zostać zaakceptowanym. Z jakiegoś niewiadomego powodu ujrzał nagle przed oczami teczkę Loringa i cienki, czarny łańcuszek zwisający z rączki. Co dziwniejsze, dodało mu to otuchy - niezbyt wiele, ale zawsze.

Przyjął pozycję człowieka, którego narkotyk zwałił z nóg, a potem przesunął głowę w stronę drzwi i powoli, centymetr po centymetrze zaczął je otwierać, popychając do środka. Spodziewał się nadziei na wzrok Beesona, lecz ten stał do niego tyłem, skulony jak mały chłopiec, próbujący opanować ucisk na pęcherz; słuchawkę telefoniczną miał przyciśniętą kurczowo do cienkiej szyi, głowę przechyloną na bok. Najwyraźniej uważał, że jego głos jest przytłumiony, zagłuszony dźwiękami muzyki. Ale seconal spłatał mu jednego ze swoich figli. Głos i słuch Beesona nie szły w parze. Jego słowa były nie tylko wyraźne, ale podkreślone przez nacisk i częste powtarzanie.

-...Nie rozumiesz mnie. Musisz mnie zrozumieć. Proszę cię, zrozum. Ciągłe zadaje pytania. Wcale nie jest z nami. W ogóle nie jest na haju. Przysięgam na Boga, że to wtyczka. Skontaktuj się z Herronem. Niech coś z nim zrobi, na miłość boską! Zawiadom Herrona, błagam cię! Mogę stracić wszystko!... Nie. Nie, przecież mówię! Mam oczy i widzę. Kiedy ta dziwka się podnieci, są problemy... To znaczy, można się zorientować po kimś, co i jak, stary... Skontaktuj się z Lucasem, na miłość boską, idź do niego! Jestem w tarapatach i nie mogę...

Matlock wolno puścił drzwi, pozwalając im się zamknąć. Był tak wstrząśnięty, że przez chwilę znalazł się w stanie zupełnego odrętwienia: widział swoją rękę na drzwiach kuchennych, ale nie czuł ich powierzchni pod palcami. To, co właśnie usłyszał, było nie mniej przerażające niż widok martwego ciała Ralpa Loringa w budce telefonicznej.

Herron. Lucas Herron!

Chodząca legenda. Siedemdziesięcioletni, nobliwy uczonek, równie ceniony za głębokie zrozumienie kondycji ludzkiej, jak za wybitny umysł. Człowiek powszechnie lubiany i honorowany. Musiała zaistnieć jakaś pomyłka, jakieś nieporozumienie.

Nie było w tej chwili czasu na roztrząsanie tej niepojętej zagadki.

Archer Beeson uważał go za “wtyczkę”, a teraz myśli tak jeszcze ktoś inny. Nie moge na to pozwolić. Musiał szybko coś wymyślić, zmobilizować się do działania.

Nagle zrozumiał, co należy zrobić. Beeson sam mu to odpowiedział.

Żaden konfident, nikt nie będący pod wpływem narkotyków, nie posunąłby się do tego.

Matlock spojrzął na dziewczynę leżącą twarzą do dołu na podłodze bawialni. Okrzyknął szybko stół i podszedł do niej, rozpinając po drodze pasek. Potem szybko zdjął spodnie i przewrócił dziewczynę na plecy. Położył się obok niej, rozpiął dwa pozostałe guziki w jej bluzce i pociągnął za stanik, aż pękła haftka. Ginny jęknęła i zachichotała, a kiedy dotknął jej nagiej piersi, zajęczała ponownie i przerzuciła mu nogę przez udo.

- Jak bombowo, jak bombowo...

Zacząła oddychać przez usta, nacierając na niego biodrami; oczy miała na wpół przymknięte, jej ręce sięgnęły w dół, gładząc go po nodze, chwytając palcami za skórę.

Matlock nie spuszczał wzroku z drzwi kuchennych, marząc, aby się otworzyły. A kiedy to nastąpiło, zamknął oczy.

Archie Beeson stał przy stole jadalnym, patrząc na swoją żonę i gościa. Matlock na dźwięk jego kroków podniósł głowę i udał straszne zażenowanie. Wstał z podłogi i natychmiast upadł z powrotem. Chwytał swoje spodnie i trzymając je przed sobą, podniósł się niepewnie jeszcze raz, lądując w końcu na kanapie.

- O Jezu! Dobry Jezu! Archie! Chryste, bracie, nie sądziłem, że aż tak mnie wzięło!... Jestem całkiem na orbicie, Archie! Co ja, do diabła, robię? Sam nie wiem, co się ze mną dzieje. Przepraszam, Archie, bardzo przepraszam!

Beeson podszedł do kanapy, stając nad wpół nagą żoną. Z jego miny nie można było wyczytać, co myśli, ani czy jest zły. Ale czy był?

Jego reakcja, kiedy nastąpiła, była całkiem niespodziewana. Zaczął się śmiać. Najpierw cicho, potem coraz głośniejsze, a wreszcie niemal histerycznie.

- O Boże, stary! Mówiłem ci! Mówiłem ci, że to flirciara!... Nie martw się. Nie pisnę słówka. Nie będzie nic o żadnym usiłowaniu gwałtu ani sprośnym wykładowcy. Ale będziemy mieć nasze seminarium! Powiesz im, że wybrałeś właśnie mnie! Prawda? Prawda, że im powiesz?

Matlock spojrzął w dzikie oczy stojącego nad nim narkomana.

- Jasne, Archie, jasne. Jak sobie życzysz.

- To dobrze, stary. I nie przepraszaj. Niepotrzebne są żadne przeprosiny. To ja powinienem cię przeprosić.

Z tymi słowami Archie Beeson opadł na podłogę kulając się ze śmiechu. Wyciągnął rękę, chwytając lewą pierś żony, która zaskowyczała swoim szalonym, ostrym chichotem.

Matlock zrozumiał, że wygrał.

7

Był wykończony, zarówno porą, jak i przeżyciami tej nocy. Zegarek wskazywał dziesięć po trzeciej, a chóralne tony melodii "Carmina Burana" wciąż brzmiały mu w uszach. Obraz obnażonej dziewczyny i jej szakalowatego męża - wijących się przed nim na podłodze - wzmagał niesmak w ustach i poczucie mdłości w żołądku.

Ale najbardziej doskwierało mu wspomnienie, że podczas tego wieczoru padło nazwisko: Herron.

Nie mieściło mu się to w głowie.

Lucas Herron. Człowiek-legenda. Filar uczelni. Dziekan wydziału romanistyki; spokojny, nobliwy naukowiec, znany z wielkodusznej natury i dobroci serca. W jego nieco jakby zagubionych oczach zawsze migotały iskierki serdeczności.

Wiązanie go w jakikolwiek sposób - choćby najbardziej odległy - ze światem narkotyków było rzeczą absurdalną. Trudno było wręcz przyjąć do wiadomości, że mógł go wzywać rozhisteryzowany narkoman - gdyż Beeson był narkomanem w sensie psychologicznym, jeśli nawet nie chemicznym - poszukujący u niego wsparcia, jakby Herron mógł je dać.

Wytłumaczenie musiało leżeć w gołęsim sercu Lucasa. Obdarowywał swoją przyjaźnią wielu ludzi, był ostoją dla tych, którzy mieli kłopoty, nierzadko poważne. A pod tą spokojną, łagodną, dobroduszną powłoką krył się silny mężczyzna o przywódczych instynktach. Czwierć wieku temu Herron spędził wiele niekończących się miesięcy piekła jako oficer piechoty morskiej na Wyspach Salomona. Jeszcze dawniej, podczas I wojny światowej wstąpił się jako bohater okrutnych walk na Pacyfiku. Teraz, po siedemdziesiątce, Lucas Herron był instytutcą.

Matlock skręcił za róg i zobaczył w oddali swój dom. Wokół panowała ciemność; oprócz światła latarni ulicznych jedyny blask padał z okna jego pokoju. Czy zostawił zapaloną żarówkę? Nie pamiętał.

Podszedł ścieżką do drzwi i włożył klucz. Jednocześnie ze szczękiem zamka rozległ się w środku głośny brzęk. Chociaż go to przestraszyło, w pierwszej chwili poczuł rozbawienie. Jego niezgrabny, długowłose kot musiał strącić szklankę albo któryś z tych artystycznych wyrobów ceramicznych, którymi uszczęśliwiała go Patrycja Ballantyne. Zaraz jednak zrozumiał, że to bzdura, wytwór zamroczonego zmęczeniem umysłu. Brzęk był o wiele za głośny, odgłos rozbitego szkła zbyt gwałtowny.

Wpadł do małego przedpokoju i to, co zobaczył, kazało mu zapomnieć o zmęczeniu. Stanął jak skamieniały, nie wierząc własnym oczom.

Pokój przedstawiał opłakany widok. Stoły były poprzewracane, książki wyrzucone z półek, ich powyrywane stronicze zaścielały całą podłogę; gramofon stereofoniczny i głośniki leżały roztrzaskane. Siedzenia kanapy i foteli były pocięte, wyściółka i gąbka porozrzucane na wszystkie strony; ściągnięte dywany zalegały pod ścianami, na przewróconych meblach leżały zerwane z okien zasłony.

Zobaczył teraz przyczynę brzęku. Duże okno w przeciwległej ścianie, wychodzące na ulicę, było doszczętnie rozbite. Składało się z dwóch skrzydeł; pamiętał, że oba otworzył przed wyjściem do Beesonów - lubił wiosenne powietrze. Nie było więc powodu do rozbijania szyb. Parapet znajdował się jakieś półtora metra nad ziemią - dość wysoko, by zniechęcić przypadkowego intruza i dość nisko, by umożliwić szybką ucieczkę spłoszonemu włamywaczowi.

Okna nie zbito więc z konieczności. Zbito je naumyślnie. Ktoś go obserwował i dał sygnał. Było to ostrzeżenie.

Matlock wiedział, iż nie może okazać, że to zrozumiał. Gdyby to zrobił, przyznałby także, że to coś więcej niż włamanie rabunkowe; a na to nie był przygotowany.

Podszedł szybko do drzwi sypialni i zajrzał. Jeśli to możliwe, panował tam jeszcze większy bałagan niż w bawialni. O ścianę stał oparty wybebeszony materac. Z biurka wyrzucono na podłogę wszystkie szuflady, których zawartość poniewierała się teraz po całym pokoju. Szafa przedstawiała się podobnie: garnitury i marynarki były ściągnięte z wieszaków, buty porozrzucane.

Jeszcze zanim dotarł do kuchni, wiedział, czego się spodziewać. Produkty spożywcze w puszkach i pudełkach nie były rzucone na podłogę, tylko poprzesławiane, ale miękkie opakowania zostały rozerwane na strzępy. Matlock zrozumiał, dlaczego. Jeden czy drugi stukot z pokoiów mieścił się w granicach dopuszczalnego hałasu; dalsze bombardowanie z kuchni mogłoby sprowadzić którąś z rodzin, zamieszkałych w budynku. Teraz też usłyszał nad głową odgłos kroków. Końcowy brzęk tłuczonej szyby kogoś obudził.

Ostrzeżenie było wyraźne, a sam akt miał na celu przeszukanie mieszkania.

Matlock sądził, że wie, czego szukano i zrozumiał, że nie może tego po sobie pokazać. Na podstawie jego zachowania wyciągano wnioski, tak jak przedtem u Beesonów; musi najlepiej jak umie dać odpór wszelkim podejrzeniom. Wiedział to instynktownie.

Ale zanim zacznie swoją grę, musi przekonać się, czy poszukiwanie odniosło skutek.

Strząsnął z siebie senność i znużenie. Znów wszedł do bawialni, obejrzał ją dokładnie. Wszystkie okna były gołe, a światło dość jasne, by ktoś stojący z lornetką w sąsiednim budynku albo na pochyłym trawniku za ulicą mógł obserwować każdy jego ruch. Jeśli zgasi światło, to czy taka nienaturalna reakcja przyczyni się do odsunięcia podejrzeń?

Z pewnością nie. Człowiek, który wszedł do splądrowanego mieszkania nie zabiera się do gaszenia świateł.

Musiał jednak czym prędzej dostać się do łazienki, najważniejszego w tej chwili pomieszczenia w domu. Musiał spędzić tam nie więcej niż pół minuty, żeby sprawdzić, czy włamanie zakończyło się sukcesem. I musiał zrobić to w taki sposób, żeby nie okazać żadnego szczególnego pośpiechu czy zaniepokojenia. W razie, gdyby ktoś go obserwował.

Była to kwestia odpowiedniego zachowania, odpowiednich ruchów. Zobaczył, że gramofon stereofoniczny leży blisko drzwi łazienki, nie dalej niż półtora metra. Podszedł i przyklęknął, biorąc do ręki jeden i drugi roztrzaskany kawałek, łącznie z metalowym ramieniem. Spojrzał na nie i nagle je upuścił, podnosząc palec do ust, żeby wyssać rzekome ukłucie. Zerwał się i poszedł do łazienki.

Otworzył apteczkę i chwycił ze szklanej półeczki pudełko plastrów. Potem schylił się szybko, sięgając ręką do żółtej kuwety kota stojącej po lewej stronie muszli, i podniósł róg gazety, którą była wyścielona. Pod spodem wyczuł szorstką powierzchnię dwóch warstw brezentu - uniósł jeden koniec.

Ścięta ukośnie kartka nadal tam była. Srebrzysty korsykański papier listowy, który kończył się złowrogim zwrotem: "Venerare Omerta", nie został znaleziony.

Matlock przykrył go ponownie brezentem i gazetą, rozrzucił leżące na niej kocie bobki i wstał. Zobaczył, że małe matowe okienko nad klozetem jest lekko uchylone, i zaklął.

Nie było teraz czasu o tym myśleć.

Wszedł z powrotem do bawialni, zdzierając papierki z plastra. Przeszukanie się nie udało. Teraz trzeba zignorować ostrzeżenie, odsunąć podejrzenia. Podszedł do telefonu i zadzwonił na policję.

- Czy może mi pan powiedzieć, co zginęło?

Umundurowany sierżant stał na środku pobjowiska. Drugi policjant chodził po mieszkaniu robiąc notatki.

- Nie jestem pewien. Jeszcze nie sprawdzałem.

- To zrozumiałe. Straszny tu bałagan. Ale lepiej niech pan się rozejrzy. Im szybciej będziemy mieć spis skradzionych przedmiotów, tym lepiej.

- Nie sądzę, żeby cokolwiek zginęło, sierzancie. To znaczy, nie mam żadnych szczególnie cennych rzeczy. Może oprócz gramofonu stereofonicznego... A ten został rozbity. Jest jeszcze telewizor w sypialni, ale nikt go nie wziął. Niektóre z moich książek są dość wartościowe, ale sam pan widzi, co z nich zostało.

- Nie miał pan pieniędzy, kosztowności, zegarków?

- Pieniądze trzymam w banku, a gotówkę w kieszeni. Mój jedyny zegarek jest na ręku, kosztowności nie posiadam.

- Może pytania egzaminacyjne? Dużo jest teraz tego typu włamań.

- Są w moim gabinecie. Na wydziale.

Sierżant zanotował to w małym czarnym notesiku.

- Hej, Lou - zawołał do kolegi, który poszedł do sypialni - czy przysyłają z posterunku faceta od daktyloskopii?

- Już go obudzili. Będzie tu za kilka minut.

- Dotykał pan czegoś, panie Matlock?

- Nie wiem, może. Byłem w szoku.

- Zwłaszcza czegoś z połamanych przedmiotów, jak na przykład ten gramofon? Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli wskazać rzeczy, których pan nie dotykał.

- Wziąłem do ręki ramię, ale nie ruszałem obudowy.

- Dobrze. To już coś, od czego możemy zacząć.

Policjanci zostali przez półtorej godziny. Specjalista od daktyloskopii zrobił swoje i odjechał. Matlock pomyślał, czy by nie zadzwonić do Sama Kressela, ale uzmysłowił sobie, że o tej godzinie i tak niewiele mu pomoże. A poza tym, jeśli ktoś obserwuje z zewnątrz budynek, Kressel nie powinien się tu pokazywać. Sąsiedzi z innych mieszkań obudzili się i przyszli go pocieszyć, oferując pomoc i filiżankę kawy.

Kiedy policjanci wychodzili, rosy sierżant odwrócił się w drzwiach.

- Przepraszam, że zajęliśmy panu tyle czasu. Zwykle nie zdejmujemy odcisków palców przy włamaniach, jeśli nikt nie odniósł obrażeń i nic nie zginęło, ale ostatnio jest bardzo dużo tego typu przestępstw. Osobiście myślę, że to wszystko wina tych kudłatych świrów z wisiorami. Albo czarnuchów. Nigdy nie mieliśmy takich kłopotów, dopóki nie pojawiły się tu te świry i czarnuchy.

Matlock spojrział na sierżanta, tak pewnego swoich racji. Nie było sensu protestować, nic by to nie dało, a on był zmęczony.

- Dziękuję, że pomogliście mi posprzątać.

- Nie ma za co. - Sierżant ruszył po asfaltowej ścieżce, lecz jeszcze raz się odwrócił. - Proszę pana!

- Tak? - Matlock z powrotem uchylił drzwi.

- Przyszło nam do głowy, że może ktoś czegoś szukał. Te wszystkie porozbijane rzeczy, wyrzucone książki i tak dalej... Wie pan, co mam na myśli?

- Tak.

- Powiedziałby nam pan, gdyby tak mogło być, prawda?

- Oczywiście.

- Głupio by było ukrywać przed nami tę informację.

- Nie jestem głupi.

- Bez urazy. Tylko czasami wy, naukowcy, zagłębiacie się w coś po uszy i zapominacie o reszcie świata.

- Nie jestem roztargniony. Większość z nas też nie.

- Taaak.... - Sierżant roześmiał się cokolwiek drwiąco. Chciałem zwrócić na to uwagę. To znaczy, my, policja, nie możemy wykonywać swoich obowiązków, dopóki nie znamy wszystkich faktów, prawda?

- Rozumiem.

- Tak. To dobrze.

- Dobranoc.

- Dobranoc, doktorze.

Matlock zamknął drzwi i wrócił do bawialni. Zastanawiał się, czy polisa ubezpieczeniowa pokryje także dyskusyjną cenę jego co rzadszych książek i druków. Usiadł na pokiereszowanej kanapie i rozejrzał się. Pokój nadal przedstawiał opłakany widok; spustoszenia dokonano metodycznie. Samo uprzątnięcie śmieci i ustawienie mebli niewiele dało. Ostrzeżenie było wyraźne i brutalne.

Najbardziej przerażające było jednak to, że w ogóle nadeszło. Dlaczego? Od kogo?

Z powodu historycznego telefonu Archera Beesona? To było możliwe, a nawet na swój sposób korzystne. Mogło zawierać motyw nie związany z Nemrodem. Mogło oznaczać, że kółko przyjaciół Beesona chciało go przestraszyć, żeby zostawił Archiego w spokoju. Żeby zostawił ich wszystkich w spokoju - Loring zaznaczył, że nie ma dowodu, aby Beesonowie mieli cokolwiek wspólnego z organizacją Nemrod.

Co jeszcze niewiele znaczyło.

W każdym razie, jeśli to Beeson, alarm będzie rano odwołany. Konkluzja wieczoru nie pozostawiała wątpliwości. Zamroczony narkotykiem zbereźnik omal nie dopuścił się "gwałtu". No i był tą drabiną, po szczeblach której Beeson miał wspiąć się do kariery.

Z drugiej strony istniała możliwość, o wiele mniej korzystna, że ostrzeżenie i przeszukanie były związane z korsykańskim listem. Co Loring szepnął mu wtedy na ulicy?

... Jest tylko jedna rzecz cenniejsza dla Nemroda od tej teczki: kawałek papieru w pańskiej kieszeni.

Należało więc przypuszczać, że został powiązany z Ralphem Loringiem.

Założenie Waszyngtonu, że jego panika po znalezieniu zwłok uwalnia go od podejrzeń, było błędne, a konkluzje Greenberga niesłuszne.

Może jednak, jak sugerował Greenberg, chcieli go po prostu wypróbować. Może tylko naciskali przed wydaniem wyroku uniewinniającego.

Może jednak... Może tylko...

Same przypuszczenia.

Musiał zachować trzeźwość umysłu. Nie mógł sobie pozwolić na zbyt gwałtowne ruchy. Jeśli miał się przydać, musiał udawać niewiniątko.

Bolało go całe ciało. Oczy miał podpuchnięte, a w ustach ciągle czuł nieprzyjemny połączony posmak seconalu, wina i marihuany. Był wykończony; zmogło go napięcie towarzyszące próbom znalezienia odpowiedzi na retoryczne pytania. Wrócił pamięcią do wczesnych dni w Wietnamie i przypomniał sobie najlepszą radę, jaką otrzymał podczas tych tygodni niespodziewanej bitwy: żeby odpoczywał, kiedy tylko może, spał w każdych możliwych warunkach. Rada pochodziła od sierżanta liniowego, który, jak mówiono, miał za sobą więcej ataków bojowych niż ktokolwiek inny w delcie Mekongu. Który podobno przespał zasadzkę, w jaką wpadła większość jego kompanii.

Matlock wyciągnął się na pozostałościach kanapy. Nie było sensu iść do sypialni - materac nie nadawał się do użytku. Rozpiął pasek i zrzucił buty. Prześpi się parę godzin; potem porozmawia z Kresslem. Poprosi Kressela i Greenberga o wymyślenie jakiejś historyjki, tłumaczącej włamanie do jego mieszkania. Historyjki zaaprobowanej przez Waszyngton, a także przez tutejszą policję.

Policja.

Nagle usiadł. Wtedy nie zwrócił na to uwagi, lecz teraz go to uderzyło. Tępy, choć zawodowo uprzejmy sierżant, którego zdolności detektywistyczne ograniczały się do prymitywnej nagonki na “świrów i czarnuchów”, zwracał się do niego przez dwie godziny w mieszkaniu per “proszę pana”. Jednak przy wyjściu, kiedy obraźliwie zasugerował możliwość ukrywania czegoś przez Matlocka, powiedział do niego “doktorze”. To pierwsze było normalne, to drugie bardzo nietypowe. Nikt poza terenem uniwersytetu - a i tam nader rzadko - nie tytułował go “doktorem”, podobnie jak i jego kolegów. Większość posiadaczy tego tytułu naukowego uważała to za pretensjonalne i tylko ludzie pretensjonalni tego oczekiwali.

Dlaczego sierżant tak powiedział? Nie znał go, nigdy go przedtem nie widział na oczy. Skąd mógł wiedzieć, że jest doktorem?

Siedząc na kanapie, Matlock zastanawiał się, czy wysiłek i napięcie ostatnich godzin nie zbierają teraz swojego żniwa. Czy nie doszukuje się podtekstów tam, gdzie ich nie ma? Czy nie mogło być tak, że policja miała listę wykładowców uczelni i dyżurny przyjmujący meldunek sprawdził na niej jego nazwisko, automatycznie dodając tytuł? Czy nie jest źle nastawiony do sierżanta, ponieważ nie podobają mu się jego uprzedzenia?

Wiele rzeczy było możliwych.

I niepokojących.

Matlock położył się z powrotem i zamknął oczy.

Pierwsze odgłosy dosięgnęły go niczym nikłe echo napływające z długiego, wąskiego tunelu. Potem skonkretyzowały się jako gwałtowne, nieprzerwane pukanie. Pukanie, które nie ustawało lecz stawało się coraz głośniejsze.

Matlock otworzył oczy i zobaczył przyćmione światło dochodzące z dwóch lamp stołowych po drugiej stronie pokoju. Leżał z podkurczonymi nogami; na karku, opartym o szorstkie, sztruksowe obicie kanapy, zebrał mu się pot. Ale przez rozbite okno wpadało chłodne, ożywcze powietrze.

Oprócz pukania słychać było nacisk czyjegoś ciała na drzwi. Dźwięk dochodził z przedpokoju, od strony wejścia. Spuścił nogi na podłogę i poczuł, że są kompletnie zdrętwiałe. Z trudem wstał.

Pukanie stawało się coraz bardziej natarczywe. A potem usłyszał głos:

- Jimmy! Jimmy!

Kuśtykając podszedł do drzwi.

- Już idę!

Otworzył i do środka wpadła Patrycja Ballantyne, ubrana w płaszcz deszczowy narzucony na jedwabną piżamę.

- Jimmy, na miłość Boską, próbowałam się do ciebie dodzwonić setki razy!

- Byłem w domu. Telefon nie dzwonił.

- Wiem. W końcu zadzwoniłam na centralę i tam mi powiedzieli, że jest zepsuty. Pożyczyłam samochód i przyjechałam jak najszybciej...

- Nie jest zepsuty, Pat. Była tu policja... używali go parę razy, zaraz się rozejrzę i wyjaśnię, co się stało.

- O Boże!

Dziewczyna weszła przed nim do zrujnowanego pokoju. Matlock podszedł do telefonu na stole i wziął słuchawkę. Szybko odsunął ją od ucha, kiedy rozległ się ostry dźwięk przerwane połączenia.

- Sypialnia - powiedział idąc tam.

Na łóżku, na pozostałościach jego materaca, stał drugi telefon. Słuchawka była zdjęta z widełek i włożona pod poduszkę, żeby nie było słychać wibrującego sygnału rozłączenia. Ktoś chciał uniemożliwić dodzwonienie się do niego.

Matlock usiłował przypomnieć sobie wszystkich, którzy tu byli. Razem kilkanaście osób. Pięciu czy sześciu policjantów, w mundurach i po cywilnemu; mężczyźni i kobiety z

innych mieszkań, jacyś spóźnieni przechodnie zwabieni widokiem samochodów policyjnych. Wszyscy razem zlewali mu się w oczach. Nie pamiętał nawet ich twarzy.

Odłożył aparat telefoniczny na stolik nocny i zobaczył, że Pat stoi w drzwiach. Miał nadzieję, że nie widziała, jak wyjmuję słuchawkę spod poduszki.

- Ktoś ją pewnie zrzucił przy robieniu porządków - powiedział, udając irytację. - Co za cholerna sprawa; zwłaszcza że musiałaś pożyczać samochód... Ale właściwie dlaczego? Co się stało?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się i ogarnęła wzrokiem bawialnię.

- Co się tu działo?

Matlock przypomniał sobie określenie sierżanta.

- Nazywają to "zuchwałe włamanie". Policyjne wyrażenie oznaczające tornado, jak sądzę... Rabunek. Po raz pierwszy w życiu zostałem obrabowany. Całkiem nowe doświadczenie. Pewno te dranie się rozzłościły, że nie ma tu nic cennego i dlatego zdewastowali mi całe mieszkanie... Dlaczego przyjechałaś?

Dziewczyna mówiła spokojnie, ale napięcie w jej głosie uzmysłowiło mu, że jest bliska paniki. Jak zawsze, kiedy była zdenerwowana, narzuciła sobie dyscyplinę i opanowanie. Była to jej charakterystyczna cecha.

- Parę godzin temu - dokładnie za piętnaście czwarta - obudził mnie telefon. Jakiś facet pytał o ciebie. Byłam zaspana i pewno nie wypadłam najmądrzej, ale udałam oburzenie, że ktoś może cię u mnie szukać... Nie wiedziałam, co robić. Byłam skonsternowana.

- Jasne, rozumiem. Co dalej?

- Powiedział, że mi nie wierzy. Że kłamię... Byłam tak zdumiona, że ktoś dzwoni do mnie o czwartej nad ranem i zarzuca mi kłamstwo, i taka zmieszana...

- Co powiedziałaś?

- Nieważne, co ja powiedziałam; ważne, co on powiedział. Powiedział, żebym ci przekazała, żebyś "zamknął oczy i milczkiem w trawie się położył". Powtórzył to dwa razy! Powiedział, że to taki głupi dowcip, ale ty zrozumiesz. Przestraszyłam się. Czy naprawdę rozumiesz?

Matlock minął ją w drzwiach i wszedł do bawialni. Sięgnął po papierosy, starając się zachować spokój. Stała przy nim.

- Co on miał na myśli?

- Nie jestem pewien.

- Czy to ma coś wspólnego z... tym? - wskazała ręką bałagan w pokoju.

- Nie sądzę.

Zapalił papierosa i zastanowił się, co powinien jej powiedzieć. Organizacja Nemrod szybko poradziła sobie ze znalezieniem powiązań. Jeśli to był Nemrod.

- Co to miało znaczyć? Brzmiało jak zagadka.

- Przypuszczam, że to cytat.

Ale Matlock nie musiał przypuszczać. Wiedział. Dokładnie pamiętał słowa Szekspira: To wróżki; kto się do nich wyrzec słówko waży lub patrzy, jak tańczą po grobach cmentarzy, przed końcem roku śmierci pewien, ten być może. Zamknę oczy i milczkiem w trawie się położę.

- Co to znaczy?

- Nie wiem! Nie pamiętam. Ktoś musi mnie mylić z kimś innym. To jedyna rzecz, jaka mi przychodzi do głowy... Jaki miał głos?

- Normalny. Był zły, ale nie krzyczał ani nic takiego.

- Czy to ktoś ci znajomy? Nie osobiście, ale czy słyszałaś już kiedyś ten głos?

- Nie jestem pewna, chyba nie. Nie mogłabym go rozpoznać, ale...

- Ale co?

- To był głos wyszkolony. Wyraźny i jakby trochę aktorski.

- Głos człowieka nawykłego do prowadzenia wykładów.- Matlock powiedział to w formie twierdzącej, nie pytającej. Papieros miał gorzki smak, więc go zgasił.

- Tak, można to tak określić.

- I to zapewne nie na wydziale nauk ścisłych. To ogranicza krąg podejrzanych do jakichś osiemdziesięciu osób na uczelni.

- Bawisz się w jakieś przypuszczenia, których nie rozumiem! Więc jednak ten telefon miał związek z tym, co się tutaj stało.

Wiedział, że mówi za dużo. Nie chciał wciągać w to Pat; nie wolno mu było tego robić. Ale zrobił to ktoś inny i to mocno komplikowało sprawę.

- Możliwe. Według najlepszych źródeł, naturalnie mówię tu o filmach kryminalnych, złodzieje upewniają się przed włamaniem, czy mieszkanie jest puste. Prawdopodobnie sprawdzali, czy mnie nie ma.

Dziewczyna przytrzymała wzrokiem jego umykające spojrzenie.

- A nie było cię? O czwartej nad ranem?... Nie zamierzam zadawać ci inkwizycyjnych pytań, chodzi mi tylko o informację.

Zaklął cicho pod nosem. To wszystko wina zmęczenia, wieczoru u Beesonów, wstrząsu po przyjeździe do mieszkania. Oczywiście, że pytanie nie było inkwizycyjne. Był wolnym człowiekiem. A poza tym, naturalnie, był w domu o czwartej.

- Nie jestem pewien. Nie patrzyłem na zegarek. To był cholernie długi wieczór. - Roześmiał się nieszczercze. - Byłem u Beesona. Projekty wspólnych seminariów z młodymi nauczycielami sprzyjają większym popijawom.

Uśmiechnęła się.

- Sądzę, że mnie nie rozumiesz. Naprawdę, nie obchodzi mnie, co szanowny pan robił... To znaczy, oczywiście, że mnie obchodzi, ale w tej chwili po prostu nie pojmuję, dlaczego kłamiesz... Byłeś w domu dwie godziny temu, a ten telefon to nie żaden tropiący cię złodziej i dobrze o tym wiesz.

- Szanowna pani posuwa się za daleko i wtrąca w nie swoje sprawy.

Był grubiański, co - podobnie jak jego kłamstwa - z daleka pachniało fałszem. Mimo przeszłych buntowniczych epizodów, mimo twardego charakteru, był człowiekiem łagodnym i uprzejmym, z czego ona doskonale zdawała sobie sprawę.

- Dobrze. Przepraszam. Zadam tylko jeszcze jedno pytanie i wychodzę... Co to jest "Omerta"?

Matlock zastygł.

- Co powiedziałaś?

- Ten facet, co dzwonił, powiedział słowo "Omerta".

- Jak to powiedział?

- Zwyczajnie. Tylko dla przypomnienia, dodał.

8

Agent Jason Greenberg wszedł szybko na kryty kort od squash'a.

- Nieźle się pan już wypocił, doktorze Matlock.

- Wolałbym nie roztrząsać tego tematu... To był pański pomysł. Równie dobrze mogliśmy porozmawiać w gabinecie Kressela albo gdzieś w mieście.

- Lepiej tutaj. Ale musimy się spieszyć. Jestem tu w charakterze inspektora towarzystwa ubezpieczeniowego. Sprawdzam gaśnice na korytarzach.

- Zapewne by im się to przydało. - Matlock podszedł do rogu, gdzie leżała jego szara bluza od dresu owinięta w ręcznik. Odwinął ją i wsunął przez głowę. - Z czym pan przyszedł? Zeszła noc była nieco nerwowa.

- Pomijając zamieszanie, nie osiągnęliśmy nic szczególnego. W każdym razie nic konkretnego. Parę teorii... to wszystko. Uważamy, że zachował się pan bardzo dobrze.

- Dziękuję. Byłem nieco skołowany. Co to za teorie? Wypowiada się pan dość lakonicznie. Niezbyt mi się to podoba.

Greenberg nagle uniósł głowę. Zza prawej ściany dobiegł głuchy dźwięk odbijanej piłki.

- Czy tam jest inny kort?

- Tak. Po tej stronie jest ich sześć. To korty treningowe, bez trybun, jak pan sam wie.

Greenberg wziął piłkę i rzucił ją mocno o ścianę. Matlock zrozumiał, chwycił ją i odrzucił. Greenberg odbił z powrotem. Utrzymywali wolny rytm, nie robiąc więcej niż krok czy dwa, miarowo przekazując sobie piłkę. Greenberg mówił cicho, monotonicznie.

- Sądźmy, że pana testują. To najbardziej logiczne wytłumaczenie. W końcu to pan znalazł Ralpha. Pan widział samochód. Przyczyny, dla których znalazł się pan w okolicy, są dość wątpliwe; tak wątpliwe, że można je uznać za wiarygodne. Chcą się upewnić, dlatego sięgnęli po dziewczynę. Są dokładni.

- Dobrze. Teraz teoria numer dwa. Jaka jest ta druga?

- Powiedziałem, że ta jest najbardziej logiczna... I właściwie jedyna.

- A co z Beesonem?

- Jak to, co? To pan tam był.

Matlock przytrzymał piłeczkę w dłoni przez kilka sekund, po czym wysokim łukiem rzucił ją o boczną ścianę, odwracając się od świdrującego wzroku Greenberga.

- Czy Beeson mógł okazać się bardziej przenikliwy niż myślałem i wszcząć alarm?

- Mógł. Ale to raczej wątpliwe... Sądząc po tym, jak opisał pan przebieg wieczoru.

Lecz Matlock nie opisał mu całego wieczoru. Nie powiedział Greenbergowi ani nikomu innemu o telefonie Beesona. Przesłanki, jakimi się kierował, nie były racjonalne, ale emocjonalne. Lucas Herron był starym, łagodnym człowiekiem. Jego zrozumienie dla studentów, którzy wpadli w tarapaty, było legendarne; jego pełne ciepła podejście do młodych, nie wypróbowanych, często aroganckich nauczycieli pomogło załagodzić niejednego kryzys na uczelni. Matlock uznał, że staruszek obdarzył przyjaźnią zdesperowanego młodego człowieka, pomagając mu w rozpaczliwej sytuacji. Nie miał prawa wyciągać na światło dzienne jego nazwiska tylko na podstawie telefonu spanikowanego narkomana. Mogło istnieć wiele rozmaitych wyjaśnień. Postara się porozmawiać z Herronem, może przy kawie w Commons, albo na trybunach na meczu baseballowym - Herron uwielbiał baseball - porozmawiać z nim i przekonać, żeby odsunął się od Archera Beesona.

-... o Beesonie?

- Co? - Matlock nie usłyszał Greenberga.

- Pytałem, czy przypomniało się panu może coś jeszcze o Beesonie?

- Nie, nie; on jest nieważny. Pewno nawet wyrzuciłby trawkę i pigułki, oprócz tych dla mnie, gdyby mógł mnie wykorzystać.

- Nie bardzo rozumiem...

- Nie szkodzi. Przez chwilę ogarnęły mnie pewne wątpliwości... Nie wierzę, żebyście mieli tylko jedną teorię. No więc? Co jeszcze?

- Niech będzie. Mamy jeszcze dwie inne, ale są całkiem nieprawdopodobne; obie z tych samych względów. Pierwsza, że może być przeciek w Waszyngtonie. Druga, że tutaj, w Carlyle.

- Dlaczego nieprawdopodobne?

- Najpierw Waszyngton. O tej operacji wie tylko garstka osób i to łącznie z departamentem sprawiedliwości, skarbu i Białym Domem. Są to ludzie, którzy wymieniają tajne noty z Kremlm. Niemożliwe.

- A Carlyle?

- Wie tylko pan, Sealfont i ten nieznośny Kressel... Chętnie wskazałbym na niego, to buc, ale to też niemożliwe. Miałbym też pewną przyjemność zrzucając z piedestału taką szacowną figurę jak Sealfont, ale niestety to również nie wchodzi w rachubę. Zostaje tylko pan. Czy to pan?

- Pańskie poczucie humoru zwała mnie z nóg.

Matlock musiał podbiec, żeby złapać piłkę, którą Greenberg posłał do rogu. Przytrzymał ją w ręce i spojrział na agenta.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, lubię Sama, a przynajmniej tak mi się wydaje, ale dlaczego pan go wyklucza?

- Z tych samych powodów, co Sealfonta... Przy takiej operacji, jak ta, zaczynamy od samego początku. Kiedy mówię: "od początku", należy to brać dosłownie. Nic nas nie obchodzi pozycja, status czy reputacja, dobra czy zła. Używamy każdej możliwej sztuczki, żeby udowodnić komuś winę, a nie niewinność. Szukamy najdrobniejszych powodów, żeby nie móc go oczyścić. Ale Kressel jest czysty jak Jan Chrzciciel. Jest bucem, ale czystym. Z Sealfontem jeszcze gorzej. Jest taki, jak mówią. Cholerny chodzący święty; kościoła anglikańskiego, ma się rozumieć. No więc, zostaje tylko pan.

Matlock posłał mu w rewanżu piłkę w lewy tylny róg sufitu. Greenberg cofnął się i rzucił ją w powietrze na prawą ścianę. Odbiła się i wylądowała między nogami Matlocka.

- Widzę, że już pan w to grywał - zauważył Matlock z zażenowanym uśmiechem.

- Byłem asem na uczelni. Co z dziewczyną? Gdzie jest?

- W moim mieszkaniu. Kazałem jej obiecać, że nie wyjdzie, dopóki nie wrócę. Poza względami bezpieczeństwa, to jedyny sposób, żeby je doprowadzić do porządku.

- Przydzielałem jej faceta do ochrony. Nie sądzę, żeby to było konieczne, ale pan będzie spokojniejszy. - Greenberg spojrział na zegarek.

- To prawda, dziękuję.

- Musimy się spieszyć... Niech pan słucha. Uważamy, że wszystko powinno biec normalnym trybem. Raport policji, wzmianki w gazetach i tak dalej. Nie będziemy dawać żadnych zmyślonych historyjek ani mydlić ludziom oczu. Niech weźmie górę naturalna ludzka ciekawość i pańskie najzupełniej normalne reakcje. Ktoś włamał się do pańskiego mieszkania i zrobił pobjawisko. To wszystko, co pan wie... I jeszcze coś. Może się to panu nie spodoba, ale uważamy, że tak będzie najlepiej i najbezpieczniej.

- Co takiego?

- Sądzimy, że panna Ballantyne powinna zameldować o tym telefonem policji.

- Co to, to nie! Ten człowiek spodziewał się znaleźć mnie tam o czwartej nad ranem. Dziewczyny nie chwalą się takimi sprawami. Zwłaszcza jeśli są na stypendium i mają zamiar pracować dla fundacji muzealnych. Nasze społeczeństwo jest wciąż dość purytańskie.

- Przecież to w końcu jeszcze nic takiego, doktorze Matlock... Odebrała tylko telefon; jakiś facet zapytał o pana, zacytował Szekspira i powiedział jakieś niezrozumiałe obce słowo czy może nazwę miasta. Była wściekła. Nie zasługuje to nawet na najmniejszą wzmiankę w gazetach, a skoro włamano się do pańskiego mieszkania, logiczne jest, żeby o tym zameldowała.

Matlock milczał. Podszedł do rogu kortu, gdzie leżała piłka i podniósł ją.

- Jesteśmy tylko dwojgiem nieświadomych niczego ludzi, którym się dostało. Nie wiemy, o co chodzi i niezbyt się nam to podoba.

- Otóż to. Nie ma nic bardziej przekonującego, niż bezradna, poszkodowana ofiara, która się wszystkim skarży. Niech pan zrobi lament wokół tych starych książek i wątpliwego odszkodowania... No, muszę już iść. Nie ma tu znów aż tylu gaśnic. Coś jeszcze? Jaki jest pana następny krok?

Matlock odbił piłkę o podłogę.

- Dostałem przypadkowe zaproszenie. Na przypadkowym spotkaniu przy paru piwach w Afro-Commons. Zaproszono mnie na sceniczną wersję rytuału inicjacji plemienia Mau Mau. Dzisiaj o dziesiątej w podziemiach Lumumba Hall... Niegdyś była to siedziba korporacji Alfa Delta Fi. Z pewnością cała masa białych protestantów przewraca się teraz w grobie na samą myśl, co się stało z tym budynkiem.

- Znowu pana nie rozumiem, doktorze.

- Nie odrobił pan chyba lekcji... Lumumba Hall to jeden z ważniejszych tematów na waszej liście lektur.

- Przykro mi. Zadzwoni pan rano?

- Zadzwonię.

- A może mówilibyśmy sobie po imieniu?

- Obejdzie się bez całusów, ale zgoda.

- W porządku. Poćwicz jeszcze trochę. Wezmę cię tu na partyjkę, kiedy będzie po wszystkim.

- Umowa stoi.

Greenberg wyszedł. Rozejrzał się po wąskim korytarzu, z zadowoleniem stwierdzając, że jest pusty. Nikt nie widział, że był na korcie. Ściany dudniły echem odbijanych piłek. Wszystkie korty były zajęte. Skręcając do głównego holu, Greenberg zastanawiał się, dlaczego hala sportowa w Carlyle cieszy się takim powodzeniem o jedenastej przed południem. Na jego uczelni tak nie było - przynajmniej piętnaście lat temu. O tej porze odbywały się wykłady.

Usłyszał dziwny odgłos, który nie był uderzeniem twardej piłki o grube drewno i szybko się odwrócił.

Nikogo.

Wszedł do holu i odwrócił się jeszcze raz. Ani żywej duszy. Szybko wyszedł z budynku.

Dźwięk, który usłyszał był zgrzytem zasuwki, która się zacięła. Pochodził z drzwi obok kortu Matlocka. Wyszedł z nich teraz mężczyzna, który, podobnie jak Greenberg przed chwilą, rozejrzał się po wąskim korytarzu. Ale jego pustka nie ucieszyła go, tylko zirytowała. Przez zaciętą zasuwkę nie zdążył zobaczyć człowieka, z którym spotkał się James Matlock.

Teraz otworzyły się drzwi kortu numer cztery i na korytarzu pojawił się sam Matlock. Oddalony o parę kroków mężczyzna przestraszył się, podniósł ręcznik do twarzy i odszedł, kaszląc.

Nie był jednak dość szybki. Matlock znał tę twarz.

Należała do sierżanta, który był w jego mieszkaniu o czwartej nad ranem. Sierżanta, który nazwał go "doktorem" i wiedział ponad wszelką wątpliwość, że wszystkie kłopoty na terenie uczelni są dziełem "świrów i czarnuchów".

Matlock stał i patrzył za oddalającą się sylwetką.

9

Nad dużymi katedralnymi drzwiami nadal można było dojrzeć - jeśli patrzyło się z bliska lub słońce padało pod odpowiednim kątem - zmurszałe greckie litery A . Widniały w płaskorzeźbie od całych dziesięcioleci i żadna erozja ani wybryki studentów nie zdołały ich zniweczyć. Siedzibę korporacji Alfa Delta Fi spotkał ten sam los co inne podobne budynki w Carlyle. Bogobojne grono zarządzających nie potrafiło poradzić sobie z nieuchronnością przemijania czasu i budynek sprzedano - z całym dobrodziejstwem inwentarza, ciekącym dachem i zadłużoną hipoteką - Murzynom.

Ci zaś sprawnie, a nawet nad wyraz sprawnie, wykonali czekające ich zadanie. Zniszczony stary budynek został gruntownie odnowiony na zewnątrz i od środka. Wszystkie ślady związków z poprzednimi właścicielami, gdzie tylko się dało, starannie zatarto. Dziesiątki wyblakłych fotografii wybitnych wychowanków zastąpiono krzykliwymi, agresywnymi portretami nowych rewolucjonistów: afrykańskich, południowoamerykańskich, Czarnych Panter. W starych salach powieszono nowe hasła głoszone za pomocą plakatów i sztuki psychodelicznej: "Śmierć świniom?", "Na pohybel białym!", "Malcolm żyje!", "Lumumba czarnym Chrystusem! "

Między tymi hałaśliwymi odezwaniami widniały repliki afrykańskich obiektów: maski płodności, dzidy, tarcze, skóry zwierzęce zanurzone w czerwonej farbie, zawieszane za włosy skurczone głowy - o niewątpliwie białym kolorze skóry.

Lumumba Hall nie próbował wywieść nikogo w pole. Emanował złością. Emanował wściekłością.

Matlock nie musiał użyć mosiężnej kołatki umieszczonej obok groteskowej żelaznej maski na brzegu framugi. Duże drzwi otworzyły się same i jeden ze studentów powitał go szerokim uśmiechem.

- Miałem nadzieję, że pan przyjdzie! Będzie fantastiko!

- Dziękuję, Johnny. Za nic bym tego nie przepuścił. - Matlock wszedł i stanął zdumiony morzem palących się świec w całym holu i w sąsiednich pomieszczeniach. - Wygląda to, jak czuwanie przy zwłokach. Gdzie trumna?

- To później. Niech pan trochę poczeka.

Podszedł do nich Murzyn, którego Matlock rozpoznał jako jednego z uczelnianych ekstremistów. Adam Williams miał bujną fryzurę afro, przyciętą w idealnie kulisty kształt wokół głowy. Rysy jego twarzy były ostre, wyraziste; Matlock miał wrażenie, że gdyby spotkali się w Afryce, Williams byłby zapewne desygnowany na wodza plemienia.

- Dobry wieczór - powiedział Williams z zaraźliwym uśmiechem. - Witamy w gnieździe rewolucji.

- Dziękuję bardzo. - Podali sobie ręce. - Wyglądacie nie tyle na rewolucjonistów, co na żałobników. Właśnie pytałem Johnniego, gdzie trumna.

Williams roześmiał się. Miał inteligentne oczy i szczery uśmiech, bez śladu chytrłości czy arogancji. W czterech ścianach ten czarny radykał nie miał w sobie nic z podżegacza, przemawiającego z trybuny do oklaskujących go zwolenników. Matlocka to nie zdziwiło. Wykładowcy, którzy mieli z nim zajęcia, często mówili o jego spokojnym, pogodnym usposobieniu - tak różnym od oblicza prezentowanego na uczelnianej scenie politycznej, z jej raptownym zwrotem ku nacjonalizmowi.

- Dobry Boże! To znaczy, że schrzaniłiśmy oprawę. To ma być szczęśliwe wydarzenie. Może budzące dreszczyk strachu, ale w gruncie rzeczy radosne.

- Chyba nie bardzo rozumiem - uśmiechnął się Matlock.

- Chłopiec z plemienia osiąga wiek męski, wchodzi w aktywne, odpowiedzialne życie. Taka afrykańska Bar Micwa. Okazja do radości. Żadnych trumien, żadnych całunów.

- Racja, Adam, racja! - potwierdził chłopak zwany Johnnym entuzjastycznie.

- Może podasz naszemu gościowi drinka, bracie. - Williams znów odwrócił się do Matlocka. - Do momentu ceremonii wszyscy piją ten sam napój. Nazywa się poncz Suahili. Może być?

- Oczywiście.

- W porządku.

Johnny zniknął w tłumie, kierując się w stronę misy z ponczem w jadalni. Adam uśmiechał się, mówiąc dalej:

- To lekki rum z lemoniadą i sokiem żurawinowym. Całkiem niezły... Dziękuję, że pan przyszedł. Naprawdę się cieszę.

- Byłem zdumiony, że mnie zaproszono. Myślałem, że to rzecz tylko dla swoich. To znaczy, dla członków plemienia... Nie wyraziłem się zbyt zrećnie.

Williams roześmiał się.

- Nie ma sprawy. Sam używam tego słowa. Dobrze jest myśleć w kategoriach plemion. Dobrze dla naszych braci.

- Tak, zapewne tak...

- To rodzaj wspierającej się wspólnoty. Mającej własną tożsamość.

- Jeśli taki jest cel, konstruktywny cel, to go apróbuję.

- O tak, jak najbardziej. Plemiona w buszu nie zawsze walczą między sobą, wie pan. To nie tylko łupienie, pładrowanie i porywanie kobiet. To także wymiana handlowa, wspólne polowania i uprawianie ziemi; ogólnie biorąc koegzystencja zapewne lepsza niż w obrębie poszczególnych narodów czy nawet ugrupowań politycznych.

Teraz Matlock się roześmiał.

- Zgoda, profesorze. Jeśli pan pozwoli, notatki zrobię po wykładzie.

- Przepraszam. Nawyk hobbisty.

- Hobbisty czy zawodowca?

- Czas pokaże, prawda? Jedno wszakże chciałbym podkreślić. Nie potrzebujemy pańskiej aprobaty.

Johnny wrócił z kubkiem ponczu Suahili.

- Hej, co ja słyszę? Brat Davis, to znaczy Bill Davis, powiedział, że obiecał pan go oblać, a potem na koniec semestru dostał pierwszorzędną ocenę!

- Brat Davis ruszył tłusty tyłek z krzesła i zabrał się do roboty. - Matlock spojrzał na Adama Williamsa. - Nie ma pan nic przeciwko takiej aprobacie, prawda?

Williams uśmiechnął się szeroko i położył rękę na ramieniu Matlocka.

- Nie, bwana... Na tym terenie pan rządzi kopalniami króla Salomona. Brat Davis jest tu po to, aby ciężko pracować i osiągnąć tyle, na ile pozwolą mu jego możliwości. Pod tym względem się zgadzamy. Niech pan mu nie popuszcza.

- Widzę, że jest pan groźny. - Matlock mówił z lekkością, której nie czuł.

- Wcale nie, tylko pragmatyczny... Muszę jeszcze dopilnować ostatnich przygotowań. Zobaczymy się później.

Williams pozdrowił przechodzącego studenta i poszedł przez tłum w kierunku schodów.

- Chodźmy, panie Matlock. Pokażę panu najnowsze zmiany. - Johnny pociągnął go do dawnej świetlicy.

W morzu ciemnych twarzy Matlock nie dopatrywał się zbyt wielu ostrożnych, wrogich spojrzeń. Pozdrowienia były może powściągliwsze niż te, z którymi się spotykał na terenie uczelni, ale ogólnie biorąc jego obecność została zaakceptowana. Pomyślał przez chwilę, że

gdyby bracia wiedzieli, dlaczego tu przyszedł, zapewne zwróciliby się przeciwko niemu ze złością. Był jedynym białym w tym zgromadzeniu.

Zmiany w wyglądzie świetlicy były rzeczywiście drastyczne. Zniknęły szerokie gzymsy z ciemnego drewna, grube dębowe ławy pod wielkimi oknami katedralnymi, solidne ciężkie meble kryte ciemnoczerwoną skórą. Sala wyglądała teraz całkiem inaczej. Łukowe niegdyś okna obramowano prostokątnie czarnymi, szerokimi listwami, które wyglądały jak szpary. Ściany pokrywała gęstwina polakierowanych bambusowych prętów; sufit był zakryty tysiącem zbiegających się na środku błyszczących zielonych trzcin, pośród których wycięto duże koło, o średnicy mniej więcej metra i wstawiono grubą matową szybę, zza której padało jasnożółte światło, oświetlając rozproszonym blaskiem całą salę. Fragmenty sprzętów widoczne pośród kłębiących się ciał mało przypominały meble. Były to jakieś grubo ciosane pnie o różnych kształtach osadzone na niskich nóżkach - Matlock uznał, że to stoły. Role krzeseł pełniły leżące pod ścianami różnokolorowe poduszki.

Matlock natychmiast zrozumiał ideę projektu.

Świetlica korporacji Alfa Delta Fi została sprytnie przerobiona na replikę dużej, krytej słomą, afrykańskiej chaty. Łącznie z padającym przez otwór wentylacyjny w dachu tropikalnym słońcem.

- To nadzwyczajne! Naprawdę nadzwyczajne. Przeróbka musiała zająć całe miesiące.

- Prawie półtora roku - odparł Johnny. - To bardzo wygodne, bardzo relaksujące. Czy wiedział pan, że wielu najlepszych projektantów idzie teraz w tym kierunku? To się nazywa "powrót do natury". Jest bardzo funkcjonalne i łatwe do utrzymania.

- To, co mówisz, brzmi niebezpiecznie blisko usprawiedliwiania się. Nie musisz się usprawiedliwiać. Świetlica wygląda wspaniale.

- Wcale się nie usprawiedliwiam. - Johnny wycofał się ze swych wyjaśnień. - Adam mówi, że jest pewien majestat w tym, co prymitywne. Dumne dziedzictwo przeszłości.

- Adam ma rację. Tylko że nie on pierwszy to wymyślił.

- Proszę, niech pan nas nie deprecjonuje, panie Matlock...

Matlock spojrział na Johnniego znad kubka z ponczem. O Boże, pomyślał, im bardziej wszystko się zmienia, tym bardziej pozostaje takie samo.

Wysoka sala kapitulna Alfa Delta Fi znajdowała się w podziemiach na samym krańcu budynku. Zbudowano ją na początku wieku, kiedy możni wychowankowie przeznaczali znaczące sumy na takie rozrywki jak tajne stowarzyszenia i bale debutantek. Krzewiło to i popularyzowało pewien styl życia, zarezerwowany jednakże tylko dla wybranych.

Tysiące wykrochmalonych młodych ludzi przechodziło wtajemniczenie w tym przypominającym kaplicę pomieszczeniu, wymawiając szeptem tajemne formuły, wymieniając dziwne uściski ręki, objaśniane im przez nieco starsze dzieciaki o poważnych twarzach, i ślubując zachować wybraną wiarę aż do śmierci. A potem upijając się i wymiotując po kątach.

Matlock myślał o tym, patrząc na rozwijający się przed nim rytuał plemienia Mau Mau. Był nie mniej dziecinny, nie mniej absurdalny niż sceny, które go w tym pomieszczeniu poprzedzały. Może fizyczny aspekt - odpowiednio stymulowany - był brutalniejszy w swojej treści, ale też korzenie ceremonii nie brały się z eleganckiego, salonowego tańca lecz z chrapliwych, zwierzęcych próśb do prymitywnych bogów. Próśb o siłę i przetrwanie. Nie o przynależność do zamkniętego, ekskluzywnego kręgu.

Sam rytuał plemienny składał się z serii niezrozumiałych pieśni, coraz to głośniejszych, nad ciałem czarnego studenta - najwyraźniej najmłodszego brata w Lumumba Hall - który leżał na betonowej podłodze całkiem nagi, oprócz czerwonej przepaski na biodrach. Pod koniec każdej pieśni, a przed początkiem następnej, ciało chłopca było unoszone do góry przez czterech bardzo wysokich studentów, których nagie torsy przepasywały szerokie, czarne jak smoła pasy, zaś nogi były owinięte w spirale pociętej,

niewyprawionej skóry. Pokój był oświetlony dziesiątkami świec, których cienie tańczyły wysoko na ścianach i na suficie. Jakby dla wzmocnienia tego teatralnego efektu, pięciu aktywnych uczestników ceremonii miało ciała natarte oliwą, a twarze pokryte diabolicznymi wzorami. W miarę jak śpiew stawał się coraz dzikszy, chłopca podrzucano coraz wyżej i wyżej. Za każdym razem, kiedy czarne ciało z czerwoną przepaską wylatywało w powietrze, tłum reagował głośnym, ochryplym okrzykiem.

I naraz Matlocka, który obserwował to dotąd bez większego zainteresowania, ogarnął lęk. Lęk o młodego Murzyna; którego sztywne, naoliwione ciało podrzucano do góry z taką dezynwolturą. Bowiem do czterech studentów na środku sali dołączyło dwóch innych, ubranych tak samo. Zamiast jednak pomagać w podrzucaniu chłopca, przyklękli między stojącymi w czworoboku kolegami i wyciągnęli cztery noże o długich ostrzach - po jednym w każdej ręce - kierując je w górę. Za każdym razem, kiedy ciało spadało, cztery nieublagane ostrza podnosiły się coraz wyżej. Moment nieuwagi, omsknięcie naoliwionej ręki choćby jednego z czterech studentów wystarczyłyby, aby rytuał zakończył się śmiercią. Morderstwem.

Matlock, czując, że dłużej nie może na to pozwolić, zaczął torować sobie drogę przez tłum, szukając Adama Williamsa. Zobaczył go z przodu, na skraju koła i skierował się w tamtą stronę. Czarni stojący wokół niego zatrzymali go jednak - spokojnie lecz stanowczo. Spojrzał ze złością na Murzyna, trzymającego go za łokieć. Ten nie zwrócił na to najmniejszej uwagi - patrzył jak zahipnotyzowany na scenę rozgrywającą się na środku sali.

Matlock natychmiast zrozumiał, dlaczego. Sztywne ciało chłopca było teraz przy każdym podrzuceniu obracane, spadając raz twarzą w dół, raz do góry. Niebezpieczeństwo popełnienia błędu zwiększyło się dziesięciokrotnie. Matlock chwycił ściskającą go rękę i wykręcił. Spojrzał w kierunku, gdzie stał Adam Williams.

Nie było go tam! Nie było go nigdzie w zasięgu wzroku! Matlock stał bez ruchu, niezdecydowany. Gdyby krzyknął, wdzierając się między jedną pieśń a drugą, to więcej niż pewne, że zburzyłyby koncentrację czwórki podrzucającej ciało. Nie mógł tego ryzykować, a z drugiej strony nie mógł też pozwolić, aby ten absurd trwał dalej.

Nagle poczuł na sobie inną dłoń, tym razem na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył za plecami twarz Adama Williamsa. Przestraszyło go to. Czyżby otrzymał jakieś prymitywne, plemienne sygnały? Czarny radykał wskazał mu ruchem głowy, żeby poszedł za nim poza krąg wrzeszczącego tłumu. W przerwie między jednym okrzykiem a drugim powiedział:

- Widzę, że pan się denerwuje. Niepotrzebnie.

- Niech pan słucha! Ten idiotyzm idzie za daleko! Chłopak może zginąć!

- To wykluczone. Bracia ćwiczyli przez całe miesiące... W gruncie rzeczy to najprostszy z rytuałów Mau Mau. Najważniejsza w nim jest symbolika... Widzi pan? Oczy chłopca są otwarte; patrzy to w niebo, to na ostrza. Jest cały czas, w każdej sekundzie, świadomy, że jego życie spoczywa w rękach braci wojowników. Nie może, nie wolno mu okazać strachu, gdyż znaczyłoby to sprzeniewierzenie się współziomkom. Zaparcie się wiary, z którą oddał się w ich ręce, tak jak kiedyś oni złożyli swoje życie w jego rękach.

- To dziecinada i głupota, do tego bardzo niebezpieczna, i dobrze pan o tym wie! - uciął Matlock. - Mówię panu, Williams, niech pan to przerwie, albo ja to zrobię!

- Oczywiście, są tacy antropologowie - ciągnął czarny radykał, jakby go nie słyszał - którzy uważają, że ta ceremonia jest głównie ku czci płodności. Gołe ostrza mają symbolizować erekcję, a czterej protektorzy przewodników w okresie dojrzewania. Osobiście sądzę, że to zbyt daleko posunięta interpretacja.

Uderza mnie także jej sprzeczność, nawet w odniesieniu do ludów prymitywnych...

- Do jasnej cholery!

Matlock chwycił Williamsa za koszulę pod szyją. Natychmiast został otoczony przez grupę czarnych gospodarzy.

Nagle w nastrojowo oświetlonej sali zapadła głucha cisza. Trwała tylko przez moment. Przerwała ją seria wysokich, świdrujących wrzasków wychodzących z ust czterech Murzynów pośrodku tłumu, od których zależało życie chłopca. Matlock błyskawicznie odwrócił się i zobaczył lśniące czarne ciało spadające z nieprawdopodobnej wysokości na ich wyciągnięte ręce.

Nagle... Nie, to niemożliwe! To się nie mogło dziać naprawdę! Cała czwórka w jednej chwili cofnęła się krok do tyłu i przykłęła, opuszczając ramiona. Chłopiec leciał w dół, twarzą prosto na ostrza. Rozległy się jeszcze dwa wysokie krzyki. W ułamku sekundy studenci trzymający długie noże skrzyżowali je na płask ze sobą i wykazując niebывałą siłę nadgarstków pochwycili chłopca na czworokąt płasko zazębionych kling.

Tłum oszalał.

Ceremonia była skończona.

- Czy teraz pan mi wierzy? - zapytał Williams, rozmawiając w rogu z Matlockiem.

- Wierzę czy nie, to niczego nie zmienia. Nie wolno wam robić takich rzeczy! To jest cholernie niebezpieczne!

- Przesadza pan... Zaraz, zaraz, przedstawię panu innego z naszych gości. - Williams podniósł rękę i podszedł do nich wysoki, szczupły, ciemnoskóry mężczyzna z krótko przyciętymi włosami i w okularach, ubrany w kosztowny brązowy garnitur. To Julian Dunois, panie Matlock. Brat Julian jest naszym ekspertem. Naszym choreografem, można powiedzieć.

- Miło mi. - Dunois wyciągnął rękę, mówiąc z lekkim obcym akcentem.

- Brat Julian jest z Haiti... Absolwent prawa Uniwersytetu Harvard, pochodzący z Haiti. Długa drogę przebył, nie uważa pan?

- Z pewnością...

- Wielu haitańczyków, łącznie z Ton Ton Macoute, dotąd zgrzyta zębami na dźwięk jego imienia.

- Przesadzasz, Adam - powiedział Julian Dunois z uśmiechem.

- Właśnie to samo powiedziałem przed chwilą panu Matlockowi. To on przesadza. Jeśli chodzi o niebezpieczeństwo związane z naszą ceremonią.

- Och, instnieje niebezpieczeństwo; tak samo jak przy przechodzeniu przez ulicę. Nasza technika polega na zachowaniu maksymalnej koncentracji i uwagi. Podczas ćwiczeń równy nacisk kładzie się na umiejętność szybkiego odrzucenia noży, jak na pewność ręki przy ich trzymaniu.

- Możliwe - przyznał Matlock. - Ale przeraża mnie margines błędu.

- Nie jest tak wąski, jak pan myśli. - Zaśpiew w głosie Haitańczyka był kojący i przyjemny dla ucha. - Nawiasem mówiąc, jestem pańskim wielbicielem, Zaczytywałem się w pańskich książkach i epoce elżbietańskiej. Muszę przyznać, że inaczej sobie pana wyobrażałem. Jest pan o wiele młodszy, niż myślałem.

- Pochlebia mi pan. Nie wiedziałem, że jestem znany na prawie.

- Jednym z moich przedmiotów fakultatywnych była literatura angielska.

Adam przerwał im uprzejmie:

- Nie przeszkadzajcie sobie. Za chwilę na gorze podadzą drinki, po prostu idźcie za tłumem. Mam jeszcze coś do zrobienia... Cieszę się, żeście się poznali. Jesteście tu obaj w pewnym sensie obcy. Tacy ludzie powinni trzymać się razem na nieznanym terenie. To dodaje otuchy.

Posłał Dunois enigmatyczne spojrzenie i szybko wmieszał się w tłum.

- Dlaczego Adam uważa, że musi mówić głębokimi, w swym przekonaniu, zagadkami?

- Jest bardzo młody. Ciągle się stara zrobić odpowiednie wrażenie. Jest bardzo inteligentny, ale bardzo młody.

- Proszę mi wybaczyć, ale pan też nie wygląda na starca. Jest pan zapewne nie więcej niż rok, dwa starszy od niego.

Mężczyzna w kosztownym brązowym garniturze spojrział Matlockowi w oczy i roześmiał się cicho.

- Teraz pan mi pochlebia. Jeśli mam wyznać prawdę, a czemu nie, to musi pan wiedzieć, że choć tropikalny kolor mojej skóry tak dobrze skrywa wiek, jestem dokładnie rok, cztery miesiące i szesnaście dni starszy od pana.

Matlock patrzył na niego z bezgranicznym zdumieniem. Upłynęła cała minuta, zanim w pełni dotarły do niego słowa Haitańczyka i ich znaczenie. Czarny prawnik nie odwrócił wzroku. Bez mrugnięcia odwzajemnił spojrzenie. W końcu Matlock odzyskał głos.

- Nie jestem pewien, czy podoba mi się ta zabawa.

- Niech pan da spokój, przecież obaj jesteśmy tu z tego samego powodu, czyż nie? Pan ze swojej strony, a ja ze swojej... Chodźmy na górę się napić... Bourbon z wodą, tak?

Dunois ruszył przodem przez tłum, a Matlockowi nie pozostawało nic innego, jak iść za nim.

Dunois oparł się o ceglana ścianę.

- No dobrze - powiedział Matlock. - Część rozrywkowa się skończyła. Wszyscy obejrzeliby widowisko na dole i nie ma już nikogo, kto mógłby podziwiać moją białą skórę. Myślę, że najwyższy czas na wyjaśnienia.

Byli teraz sami na werandzie. Obaj trzymali w ręku drinki.

- No, no, czy nie jesteśmy zawodowcami? Może zapali pan cygaro? Zapewniam, że jest hawańskie.

- Dziękuję za cygaro. Chcę tylko porozmawiać. Przyszedłem tu dzisiaj, ponieważ to moi przyjaciele i czułem się zaszczycony, że mnie zaproszono. Pan usiłuje przypisać temu coś jeszcze i nie bardzo mi się to podoba.

- Brawo! Brawo! - powiedział Dunois, wznosząc szklanekę. Robi pan to bardzo dobrze... Proszę się nie martwić, oni o niczym nie wiedzą. Może mają cień podejrzenia, ale niech mi pan wierzy, tylko maleńki cień.

- O czym do diabła pan mówi?

- Skończmy pić i chodźmy się przejść po trawniku. Dunois wyszczył swój rum i Matlock, instynktownie idąc za jego przykładem, wychylił do dna resztkę whisky. Potem zszedł za nim po stopniach Lumumba Hall, kierując się w stronę wielkiego więzienia. Nagle Dunois odwrócił się i chwycił Matlocka za ramiona.

- Proszę natychmiast mnie puścić!

- Niech pan słucha! Chcę mieć ten papier! Muszę mieć ten papier! I pan musi mi powiedzieć, gdzie on jest!

Matlock chciał podnieść ręce, żeby się uwolnić od jego uścisku, ale ramiona nie zareagowały. Stały się nagle ciężkie jak ołów. Usłyszał też gwizd, ostry, świdrujący gwizd w głębi czaszki.

- Co? co?... Jaki papier? Nie mam żadnego papieru...

- Niech pan nie robi trudności! I tak go dostaniemy! Niech pan tylko powie, gdzie jest!

Matlock zdał sobie sprawę, że osuwa się na ziemię. Zarys wielkiego drzewa nad nim zaczął wirować, a gwizd w uszach stawał się coraz głośniejszy. To było nie do wytrzymania. Walczył zaciekle, żeby dojść do siebie.

- Co pan robi? Co pan mi robi!?

- Papier, Matlock! Gdzie jest korsykański papier?

Niech się pan odczepi! - próbował krzyknąć Matlock, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

- Srebrny papier, do jasnej cholery!

- Nie mam żadnego papieru... Nic nie mam!

- Niech pan słuha! Przed chwilą wypił pan whisky, tak czy nie?... Ledwo ją pan skończył, prawda?... Nie może pan być teraz sam! Nie wolno panu!

- Co?... Co? Niech pan mnie puści! Łamie mi pan kości!

- Nawet pana nie dotykam! To działanie narkotyku! Właśnie zażył pan trzy tabletki LSD! Jest pan w kłopotcie, doktorze!... niech pan mówi, gdzie papier!

Gdzieś w najgłębszym zakamarku mózgu Matlocka zapaliła się iskierka świadomości. Poprzez szaleńczy wir rozsadzających czaszkę kolorów ujrzał nad sobą postać mężczyzny i rzucił się na niego. Chwycił za białą koszulę między ciemnym wycięciem marynarki i pociągnął w dół z całą siłą, na jaką było go stać. Potem zaczął z wściekłością walić pięściami w opadającą twarz, a gdy ta była już zakrwawiona, dobrał się bezlitośnie do gardła. Czuł pod palcami rozbite szkło i zdawał sobie sprawę, że wgniata je pięściami w oczy szamoczącej się głowy.

Nie wiedział, jak długo to trwało. Kiedy było po wszystkim, ciało Dunois leżało obok, nie dając znaku życia.

Instynktownie czuł że musi uciekać. Uciekać jak najszybciej! Co mówił Dunois?... Nie może pan być sam. Nie wolno panu! Musi znaleźć Pat! Ona będzie wiedziała, co zrobić. Musi ją znaleźć! Chemiczny środek w jego ciele zaraz pokaże co potrafi! Uciekać, na miłość boską uciekać!

Ale gdzie? Którędy? Nie znał drogi! Nie wiedział, dokąd idzie! Biegł jakąś cholerną ulicą, ale czy w dobrym kierunku? I w ogóle, co to była za ulica?

Usłyszał odgłos samochodu. To z pewnością był samochód, kierowca podjechał do krawężnika i patrzył na niego. Patrzył na niego, więc Matlock zaczął biec szybciej; potknął się i upadł, ale zaraz się podniósł. Biegł przed siebie ze wszystkich sił, aż zabrakło mu tchu w piersiach i nie panował już nad nogami. Czuł, że biegnie zygzakiem, nie będąc w stanie się zatrzymać, w kierunku szerokiej zatoki na ulicy, która nagle przemieniła się w rzekę; czarną, cuchnącą rzekę, która go pochłonie.

Jak przez mgłę usłyszał zgrzyt hamulców. Oślepiły go światła reflektorów i pochyliła się nad nim postać mężczyzny, zaglądając mu w oczy. O nic już nie dbał. Zaczął się śmiać. Śmiać poprzez krew, która wypłynęła mu z ust i zalała twarz.

Cały czas śmiał się szaleńczo, gdy Jason Greenberg niósł go do samochodu. A potem ziemia, świat, planeta i galaktyka, cały system słoneczny stopiły się w jeden szaleńczy wir.

10

Noc była jednym pasmem męki.

Ranek przyniósł pewną ulgę, jeśli nawet nie Matlockowi, to dwóm osobom siedzącym przy nim po obu stronach łóżka. Jason Greenberg pochylił się do przodu z rękami złożonymi na kolanach, patrząc na niego dużymi, smutnymi oczami; powieki opadały mu ze zmęczenia. Patrycja Ballantyne trzymała Jimowi na czole zimny okład.

- Ale ci, sukinsyny, zafundowały rozrywkę, co przyjacielu?

- Ciii... - szepnęła dziewczyna. - Niech pan da mu spokój.

Matlock rozejrzał się zamglonym wzrokiem po pokoju. Był w mieszkaniu Pat, w jej sypialni, w jej łóżku.

- Dali mi LSD.

- Nie musisz nam mówić... Sprowadziliśmy doktora, prawdziwego doktora, z Litchfield. To równy gość, któremu usiłowałeś wydrapać oczy... Nie martw się, pracuje dla nas. Nie piśnie słowa.

- Pat? Jakim cudem...

- Jesteś bardzo miłym narkomanem, Jimmy. Wciąż wołałeś moje imię.

- To było najlepsze wyjście - przerwał Greenberg. - Żadnych szpitali, żadnych śladów w rejestracji. Załatwiłem wszystko spokojnie i po cichu, najlepiej jak można. Muszę dodać, że jesteś o wiele silniejszy niż myślałem. Całkiem niezły z ciebie bokser. O wiele lepszy niż gracz w squasha.

- Nie powinienes być mnie tu przywozić. Do jasnej cholery, Greenberg, nie powinienes być tego robić!

- Pomijając, że to był twój pomysł...

- Nie odpowiadałem za siebie!

- Niemniej pomysł był niezły. Co byś wołał? Ostry dyżur w szpitalu?... Kto tam leży na noszach, doktorze? Ten, co tak wrzeszczy?... Och, to tylko pracownik naukowy z uniwersytetu. Przedawkował LSD.

- Dobrze wiesz, o czym mówię! Mogłeś zawieźć mnie do domu. Przywiązać do łóżka.

- Z ulgą stwierdzam, że niewiele wiesz o działaniu narkotyków - powiedział Greenberg.

- Chodzi mu o to, Jimmy... - Pat wzięła go za rękę - że jeśli to przybierze zły obrót, powinno się być z kimś, kogo się dobrze zna. Z kimś, przy kim można się czuć bezpiecznie.

Matlock przyjrzał się jej uważnie. Potem przeniósł wzrok na Greenberga.

- Co jej powiedziałaś?

- Że ofiarowałaś się nam pomóc, za co jesteśmy ci wdzięczni. Dzięki temu może uda się opanować bardzo poważną sytuację i nie dopuścić, żeby przerodziła się w tragedię. - Greenberg mówił zwięźle i sucho; widać było, że nie chce się rozwodzić.

- To brzmi dość zagadkowo - wtrąciła Pat. - I nawet tego by mi nie powiedział, gdybym nie posunęła się do szantażu.

- Zagroziła, że zadzwoni na policję - westchnął Greenberg. Smutek w jego oczach jeszcze się pogłębił. - Powiedziała, że każe mnie zamknąć za nafaszerowanie cię narkotykami. Nie miałem wyboru.

Matlock uśmiechnął się.

- Dlaczego to robisz, Jimmy? - Pat nie znajdowała w tym nic śmiesznego.

- Powiedział ci: sytuacja jest poważna.

- Ale dlaczego akurat ty?

- Bo ja mam możliwości.

- Jakie? Wydawania studentów?

- Mówiłem już, że studenci jako tacy nas nie interesują wtrącił Jason.

- Tak? A Lumumba Hall to niby co? Przedstawicielstwo General Motors?

- To jeden z punktów kontaktowych, jak wiele innych. Prawdę mówiąc; wolelibyśmy nie mieć z nimi nic wspólnego. Każda sprawa związana z Murzynami od razu staje się bardzo drażliwa. Niestety, nie mamy wyboru.

- To obraźliwe, co pan mówi.

- Obawiam się, że wszystko co powiem, będzie dla pani obraźliwe, panno Ballantyne.

- Całkiem możliwe. Ponieważ uważam, że FBI powinna mieć ważniejsze rzeczy do roboty, niż szpiegowanie afrykańskiej młodzieży. Najwyraźniej się mylę.

- Daj spokój, Pat. - Matlock ścisnął ją za rękę. Przyjęła to ciepło.

- Posłuchaj, Jimmy. Nie bawmy się w nieudomówienia ani w pryncypialność. Oboje wiemy, że studenci próbują narkotyków. Niektórzy może posuwają się za daleko, ale większość nie wychodzi poza określone granice. Dlaczego nagle czepiać się tych z Lumumba Hall?

- Nie mamy zamiaru się ich czepiać. Chcemy im tylko pomóc.

- Greenberg był zmęczony po nieprzespanej nocy i nie potrafił ukryć irytacji.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki im pomagacie i nie podoba mi się to, co się przydarzyło Jimowi. Dlaczego pan go tam wysłał?

- Wcale mnie nie wysłał. To była moja inicjatywa.

- Po co to zrobiłeś?

- To zbyt skomplikowane i jestem zbyt wykończony, żeby ci to teraz tłumaczyć.

- Och, pan Greenberg mi wszystko wytłumaczył. Dali ci carte blanche, tak? Nie mogli sobie sami poradzić, więc wybrali sympatycznego, ogólnie lubianego faceta, żeby to za nich zrobił. Bierzesz na siebie całe ryzyko, a kiedy będzie po wszystkim, nikt na uczelni już ci nie zaufa. Jimmy, na miłość boską, tu jest twój dom, twoja praca!

Matlock przytrzymał jej wzrok, starając się oczami dodać jej otuchy.

- Wiem to tak samo jak ty. Mój dom potrzebuje pomocy. To nie żarty, Pat. Myślę, że warto jest podjąć to ryzyko.

- Nawet nie będę udawać, że to rozumiem.

- Nie może pani tego zrozumieć, panno Ballantyne, ponieważ nam nie wolno wyjawiać wszystkiego. Musi to pani po prostu zaakceptować.

- Czyżby?

- Proszę cię o to - powiedział Matlock. - On uratował mi życie.

- Nie przesadzaj, profesorze. - Greenberg wzruszył ramionami. Pat wstała.

- Moim zdaniem wypchnął cię za burtę, a potem rzucił za tobą koło ratunkowe... Czy już dobrze się czujesz?

- Tak - odparł Matlock.

- Muszę iść, ale jeśli chcesz, to zostanę.

- Nie, idź. Zadzwoń do ciebie później. Dziękuję za opiekę. Dziewczyna obrzuciła spojrzeniem Greenberga - niezbyt przychylnym - i podeszła do toaletki. Wzięła szczotkę i szybko przeczesła włosy, poprawiając pomarańczową opaskę. Spojrzała w lustrze na Greenberga. Odwzajemnił jej spojrzenie.

- Czy ten człowiek, który za mną chodzi, to jeden z pańskich ludzi?

- Tak.

- Niezbyt mi się to podoba.

- Bardzo mi przykro.

Pat odwróciła się.

- Może pan go zdjąć?

- Raczej nie. Powiem, żeby starał się mniej rzucać w oczy.

- Rozumiem.

Wzięła z blatu portmonetkę i podniosła z podłogi torebkę. Nie mówiąc nic więcej, wyszła z pokoju. Po kilku sekundach usłyszeli trzask zamykanych drzwi wejściowych.

- Ta młoda dama jest zdecydowana w swoich poglądach i uparta jak kozioł - powiedział Jason.

- Ma powody do takiego zachowania.

- Jakie?

- Myślałem, że jesteście tak obeznani z ludźmi, którzy wchodzą w zasięg waszych operacji...

- Ciągłe jeszcze się uczę. Jestem tu na zastępstwie, jak pamiętasz...

- Więc zaoszczędzę ci czasu. W późnych latach pięćdziesiątych, na fali mackarthyizmu, jej ojciec został wyrzucony z departamentu stanu. Oczywiście, przedstawiał sobą wielkie niebezpieczeństwo. Był konsultantem językowym. Wyrzucono go za tłumaczenie gazet.

- Jasny gwint.

- No właśnie. Nigdy się już nie pozbierał. Całe życie musiała ciągnąć na stypendiach. Kasa domowa była pusta. Jest trochę uczulona na waszym punkcie.

- Człowieku, to nie moja wina!

- Ale to ty ze mną pracujesz, tak czy nie?

Matlock otworzył drzwi swojego mieszkania i wszedł do przedpokoju. Pat, jak się spodziewał, zrobiła dobrą robotę porządkując pokoje. Powiesiła nawet zasłony. Było trochę po trzeciej - większość dnia poszła na marne. Greenberg nalegał, żeby pojechali do Litchfield na ponowne badanie lekarskie. Werdykt brzmiał, że Matlock jest "wyczerpany ale fizycznie sprawny".

Zatrzymali się na lunch w "Kocie z Cheshire". Podczas posiłku Matlock zerkał co chwilę na stolik, przy którym cztery dni temu siedział Ralph Loring ze złożoną wzdłuż gazetą. Lunch przebiegał niemal w ciszy. Mimo milczenia nie było między nimi napięcia. Dobrze się czuli w swoim towarzystwie, ale każdy z nich miał głowę zaprzątą swoimi myślami.

W drodze powrotnej do Carlyle Greenberg powiedział mu, żeby został w mieszkaniu i czekał, aż się z nim skontaktuje. Waszyngton nie dał na razie żadnych nowych wytycznych i dopóki nie dostaną dalszych poleceń, Matlock ma nie ruszać się z miejsca.

Niech i tak będzie, pomyślał Matlock. Miał własne plany dotyczące Lucasa Herrona, człowieka-legendy, seniora uczelni. Najwyższy czas, żeby z nim porozmawiać, ostrzec go. Staruszek zahaczył o nieznaną sobie żywiol i im szybciej się wycofa, tym lepiej dla wszystkich, łącznie z uczelnią. Matlock wołał jednak nie załatwiać tej sprawy telefonicznie i nie aranżować specjalnie w tym celu spotkania; musiał załatwić to jakoś subtelniej. Nie chciał przestraszyć starego profesora, który mógłby się zwrócić do niewłaściwych osób.

Zdał sobie sprawę, że chroniąc Herrona za wszelką cenę, z góry uznaje go za człowieka poza wszelkim podejrzeniem. Ale czy naprawdę ma prawo robić takie założenie? Z drugiej strony jakże mógł myśleć inaczej?

Nagle zadzwonił telefon. Nie mógł to być Greenberg - ledwo zostawił go przed domem. Miał też nadzieję, że to nie Pat; nie przygotował się jeszcze wewnętrznie do rozmowy z nią. Niechętnie podniósł słuchawkę.

- Hallo?

- Jim!? Gdzie się, na miłość boską, podziewasz? Dzwonię od ósmej rano! Tak się martwiłem, że dwa razy byłem u ciebie. Wziąłem klucz od dozorczy. - Był to Sam Kressel. Jego głos brzmiał, jakby Carlyle miało się zapaść pod ziemię.

- To zbyt skomplikowane, żeby teraz o tym mówić, Sam. Spotkajmy się później. Przyjdę do ciebie po kolacji.

- Nie wiem, czy wytrzymam do tej pory. Boże drogi! Co cię, do diabła, napadło?
- Nie rozumiem.
- W nocy, w Lumumba Hall!
- O czym ty mówisz? Doszły cię jakieś słuchy?
- Ten czarny łobuz, Adam Williams, złożył mi dzisiaj w biurze zażalenie na ciebie, oskarżając cię o niemal wszystkie zbrodnie pod słońcem, oprócz nawoływania do niewolnictwa. Twierdzi, że nie poszedł na policję tylko dlatego, że byłeś w trupa pijany! Alkohol obnażył twoje prawdziwe oblicze i pokazał, jakim jesteś rasistą!
- Co takiego?
- Połamałeś meble, pobiłeś paru studentów, powybijając okna...
- Dobrze wiesz, że to wierutna bzdura!
- Tak też myślałem. - Kressel zniżył głos. Trochę się uspokoił.
- Ale to nic nie zmienia, nie rozumiesz? Musimy za wszelką cenę starać się unikać takich historii. Jeszcze dojdzie do konfrontacji! Niech tylko wejdzie tu władza, a będziemy mieć konfrontację!
- Posłuchaj. Oskarżenie Williamsa to przykrywka... tak to się nazywa? Zwykłe mydlenie oczu. Nafaszerowali mnie tam narkotykami zeszłej nocy. Gdyby nie Greenberg, nie wiem, co by ze mną było.
- Niech to szlag!... Lumumba Hall jest na twojej liście, tak? Tylko tego nam brakuje! Oni zaraz podniosą wrzask, że są prześladowani. Bóg wie, co się może stać.
Matlock próbował zachować spokój.
- Przyjdę do ciebie koło siódmej. Do tej pory nic nie rób i nic nikomu nie mów. Muszę już kończyć. Zaraz może dzwonić Greenberg.
- Sekundkę, Jim! Jeszcze jedno. Ten Greenberg niezbyt mi się podoba... Nie ufam mu. Nikomu z nich nie ufam. Pamiętaj, że przede wszystkim jesteś winien lojalność swojej uczelni... Kressel urwał, ale jeszcze nie skończył. Matlock zrozumiał, że szuka odpowiednich słów.
- Nie rozumiem, o co ci chodzi.
- Myślę, że rozumiesz.
- Wcale nie jestem pewien. Sądziłem, że mieliśmy współpracować...
- Nie za cenę rozwalenia tego uniwersytetu! - Prorektor Kressel był na granicy hysterii.
- Nie martw się - powiedział Matlock. - Nic się nie rozwali. Zobaczmy się później.
Matlock odłożył słuchawkę, zanim Kressel zdążył odpowiedzieć. Musiał chwilę odpocząć, a Sam był bezlitosny, kiedy jego królestwo wchodziło w rachubę. Na swój sposób był równie fanatyczny jak każdy ekstremista i może nawet skłonniejszy do dopatrywania się wszędzie "nieuczciwej gry".
Te rozważania nasunęły mu na myśl jeszcze inną sprawę, a właściwie dwie inne sprawy. Cztery dni temu powiedział Pat, że nie chce zmieniać wspólnych planów wyjazdowych. Przerwa międzysemestralna, krótkie dziesięciodniowe wakacje pod koniec kwietnia, miała się zacząć po zajęciach w sobotę, za trzy dni. W tych okolicznościach jego wyjazd był niemożliwy - chyba żeby Waszyngton zdecydował się go wycofać, w co wątpił. Jako wymówki użyje swoich rodziców. Pat to zrozumie, a nawet okaże współczucie. Druga sprawa, to jego zajęcia. Opuścił się w pracy. Jego biurko było zavalone stosem prac semestralnych i esejów. Nie przyszedł na dwie godziny zajęć wcześniej tego dnia. Nie tyle chodziło mu o studentów - zawsze brał ich bardziej do galopu na jesieni i w zimie, a popuszczał cugli na wiosnę - ile o niedolewanie oliwy do ognia roznieconego fałszywym doniesieniem Williamsa. Nieobecny wykładowca zawsze wystawia się na różnego rodzaju plotki. Przez następne trzy dni miał niewiele zajęć: trzy godziny, dwie i dwie. Przygotuje się do nich później. Teraz postara się znaleźć Lucasa Herrona. Jeśli Greenberg tymczasem zadzwoni, zwali winę na zebranie wydziału, o którym zapomniał.

Postanowił wziąć prysznic, ogolić się i przebrać. W łazience sprawdził kuwetę. Korsykański list tam był - tak jak się spodziewał.

Po myciu wszedł do sypialni; wybierając ubranie, obmyślał plan działania. Nie znał rozkładu zajęć Herrona, ale łatwo będzie sprawdzić, czy ma jakieś popołudniowe wykłady lub seminaria. Jeśli nie, to znał drogę do jego domu - zabierze mu to jakieś piętnaście minut samochodem. Herron mieszkał trzynaście kilometrów od uczelni, przy rzadko uczęszczanej bocznej drodze, na terenie stanowiącym część byłej posiadłości ziemskiej. Jego dom był urządzony w dawnej wozowni. Leżał nieco na uboczu, ale - jak mawiał Herron - dojazd był tego wart.

Gwałtowny stukot kołatki przy drzwiach przerwał mu te rozmyślenia. A także przestraszył go - poczuł, że brakuje mu tchu, co go rozżłóściło.

- Już idę - krzyknął, wkładając przez głowę białą, sportową koszulę.

Podszedł boszo do drzwi frontowych i otworzył. Nie potrafił ukryć zaskoczenia. Na progu stał Adam Williams - sam.

- Dzień dobry.

- Jezu Chryste!... Nie wiem, czy cię wałnąć w szczękę od razu, czy zadzwonić po policję! Czego chcesz, do diabła? Kressel już mi o wszystkim powiedział, jeśli o to chodzi.

- Muszę z panem porozmawiać. Będę się streszczał. - Williams mówił gorączkowo, starając się, zdaniem Matlocka, ukryć strach.

- Dobrze, wejdź. I rzeczywiście się streszczaj.

Matlock zatrzasnął drzwi za Williamsem, który wszedł do przedpokoju i próbował się uśmiechnąć, ale w jego oczach nie było wesołości.

- Przepraszam za to zażalenie. Naprawdę mi przykro. Ale musiałem. To było konieczne.

- Nie mam zamiaru wysłuchiwać tych bzdur i niech pan mi ich nie wciska! Czego pan się spodziewa po Kresselu? Że wezwie mnie przed radę wydziału i wyrzuci na zbity pysk? Myśli pan, że będę siedział cicho i pozwalał wylewać na siebie pomyje? Ma pan źle w głowie!

- Uważaliśmy, że nic się nie stanie. Dlatego to zrobiliśmy... Nie wiedzieliśmy, gdzie pan poszedł. Po prostu pan zniknął. Można powiedzieć, że musieliśmy przyjąć postawę ludzi znieważonych, a potem przyznamy, że było to tragiczne nieporozumienie... To znana taktyka. Wyślę do Kressela inny raport, wycofując się z poprzednich zarzutów... ale nie do końca. Za parę tygodni nikt o tym nie będzie pamiętał.

Matlock zatrząsł się w środku zarówno na postawę Williamsa, jak i jego cyniczny pragmatyzm. Ale kiedy się odezwał, nie podniósł głosu.

- Niech pan wyjdzie. Napawacie mnie odrazą.

- No, no, zgódźmy się, że zawsze tak było, prawda?! - Matlock poruszył czułą strunę i Williams natychmiast to podchwycił. Ale zaraz się opanował.

- Nie wdawajmy się teraz w teoretyczne spory. Chcę jak najszybciej przejść do rzeczy i odejść.

- Całkiem słusznie.

- Dobrze. Niech pan słucha. Cokolwiek Dunois od pana chciał, niech pan mu to da!... To znaczy, niech pan da mnie, a ja przekażę dalej... Naprawdę nie żartuję! Niech pan nie zmusza go do ostateczności!

- Co za celna uwaga. Chyba dość już tego! Dlaczego miałbym mieć coś, czego pożąda brat Julian? Powiedział to panu? Czemu sam tu nie przyjdzie?

- Brat Julian nigdzie nie zagrzewa miejsca zbyt długo. Jest rozrywany ze względu na swoje talenty.

- Przy wystawianiu rytuałów plemienia Mau Mau?

- Ależ on to naprawdę robi. To jego hobby.

- Niech pan go do mnie przyśle. - Matlock przeszedł obok Williamsa do stolika na środku pokoju. Sięgnął do opróżnionej da połowy paczki papierosów. - Porównamy sobie opisy kroków i skłonów. Mam piękną kolekcję książek na temat szesnastowiecznych tańców regionalnych.

- Niech pan mówi poważnie! Nie ma czasu na żarty! Matlock zapalił papierosa.

- Ja mam mnóstwo czasu. I wielką ochotę spotkać się ponownie z bratem Julianem. Chcę go wsadzić do więzienia.

- To w ogóle nie wchodzi w rachubę! Jestem tutaj dla pańskiego dobra! Jeśli bez tego wyjdę, nie będę mógł tego kontrolować!

- Czy te jednakowe zaimki oznaczają to samo, czy co innego?

- Jest pan niemożliwy! Naprawdę niemożliwy! Czy zdaje pan sobie sprawę, kim jest Julian Dunois?

- Członkiem rodu Borgiów? Odgałęzienie etiopskie?

- Dość tego, Matlock! Niech pan go posłucha! Inaczej może wydarzyć się nieszczęście! Czy tego pan chce?

- Nie wiem, kim jest Dunois i nic mnie to nie obchodzi. Wiem tylko, że nafaszerował mnie narkotykami i napadł, a poza tym ma zgubny wpływ na gromadę dzieciaków. Co więcej, podejrzewam, że włamał się do mojego mieszkania i zniszczył większość moich rzeczy. Uważam, że powinno się go odizolować. Od was i ode mnie.

- Niech pan będzie rozsądny, błagam pana!

Matlock podszedł szybko do okna i zerwał zasłony, ukazując zbitą szybę i rozplataną futrynę.

- Czy to jedna z wizytówek brata Juliana?

Adam Williams, najwyraźniej zaszokowany, wlepił wzrok w zdewastowane okno.

- Nie... to na pewno nie on. To nie w jego stylu... To nie jest nawet w moim stylu. To robota kogoś innego.

11

Droga do Lucasa Herrona była pełna dziur i wybojów, pozostałych po zimie. Matlock wątpił, aby miasto Carlyle zdobyło się na ich naprawienie. Wiele bardziej uczęszczanych ulic ucierpiało na skutek zeszłorocznych mrozów. Kiedy zbliżał się do starej wozowni, zwolnił do piętnastu kilometrów na godzinę. Wertepy nie sprzyjały gładkiej jeździe, a chciał podjechać pod dom jak najciszej.

Z obawy, że Jason Greenberg mógł kazać go śledzić, Matlock zrobił długi objazd, nadkładając przeszło sześć kilometrów na północ równoległą drogą i zawracając na ulicę Herrona. Nikt za nim nie jechał. Najbliżsi sąsiedzi byli oddaleni od Lucasa o kilkaset metrów. Mówiło się kiedyś o przeznaczeniu tego terenu pod zabudowę mieszkaniową, podobnie jak mówiło się o rozbudowaniu Uniwersytetu Cyrlyle, ale z żadnego z tych projektów nic nie wyszło. W gruncie rzeczy ten pierwszy zależał od drugiego, a wpływowi wychowankowie uczelni byli przeciwni wszelkim większym zmianom. Ci wychowankowie stanowili prawdziwe utrapienie Adriana Sealfonta.

Matlocka uderzył spokój i cisza panujące wokół domu. Nigdy, przedtem bliżej mu się nie przyjrzał - odwoził wprawdzie Herrona kilkakrotnie z posiedzeń rady uczelnianej, ale zawsze się spieszył. Nigdy nie przyjął jego zaproszenia na drinka i w efekcie nigdy nie był wewnątrz domu.

Wysiadł z samochodu i zbliżył się do budowli ze starej cegły. Była wysoka i wąska; zmurszałe kamienie oplecione tysiącem pędów winorośli pogłębiały wrażenie izolacji. Od frontu, na dużym trawniku, rosły dwie japońskie wierzby w pełnym rozkwicie; ich purpurowe kwiaty chyliły się ku ziemi szerokimi łukami. Trawa była skoszona, krzewy przycięte, a biały żwir na licznych ścieżkach lśniący czystością. Dom i ogród były zadbane i wypielegnowane, ale otaczała je aura samotności; widać było, że służą jednemu człowiekowi, a nie rodzinie. I naraz Matlock przypomniał sobie, że Lucas Herron nigdy nie był żonaty. Krążyły wokół niego nieuniknione plotki o zawiedzionej miłości, tragicznej śmierci narzeczonej, a nawet ucieczce sprzed ołtarza, lecz ilekroć dochodziły do niego te romantyczne historie, kwitował je śmiechem i stwierdzeniem, że jest po prostu "zbyt samolubny".

Matlock wszedł po paru stopniach i zadzwonił do drzwi. Spróbował przywołać na usta powitalny uśmiech, ale wiedział, że będzie to na kilometr tchnąć fałszem - nie potrafi zbyt długo udawać wesołka. W głębi ducha bał się tej rozmowy.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich wysoki, siwy Lucas Herron, ubrany w wygniecione spodnie i na wpół rozpiętą sportową koszulę.

Matlockowi wystarczył ułamek sekundy, żeby się zorientować, że Lucas Herron wie, dlaczego tu przybył.

- Witaj, Jim! Wejdz, wejdz mój chłopcze. Co za miła niespodzianka.

- Dziękuję, Lucas. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Nic a nic. Prawdę mówiąc, zjawiłeś się w najlepszym momencie. Właśnie bawię się w alchemię. Mieszam dżin z lodem i paroma innymi składnikami. Teraz będę miał towarzystwo.

- Brzmi to zachęcająco.

Mieszkanie Herrona wyglądało dokładnie tak, jak sobie Matlock wyobrażał i jak mogłoby wyglądać jego własne za trzydzieści parę lat, gdyby pozostał tak długo sam. Zbieranina przedmiotów, przez półwiecze gromadzonych z setek różnych źródeł. Jedyna wiodąca myśl to wygoda; żadnej troski o styl, określoną epokę czy koordynację. Ściany były założone książkami, a w wolnych miejscach wisiały powiększone fotografie odwiedzanych za

granicą miejscowości - zapewne podczas wakacji. Fotele były obszerne i miękkie; stoliki ustawione na wyciągnięcie ręki - oznaka praktycznego kawalerstwa, pomyślał Matlock.

- Chyba jeszcze nigdy u mnie nie byłeś, co?

- Rzeczywiście. Bardzo tu miło. Bardzo wygodnie.

- Tak, to prawda. Jest wygodnie. Siadaj, siadaj; zaraz skończę miksturę i przyniosę nam drinki. - Herron ruszył przez bawialnię do drzwi kuchni, ale odwrócił się w pół drogi i przystanął. - Doskonale wiem, że nie przyjechałeś tu tylko po to, aby dotrzymać mi towarzystwa przy wieczornej szklaneczce. Niemniej w tym domu obowiązuje pewna reguła: przynajmniej jeden drink - bez względu na przekonania religijne i zasady - przed przystąpieniem do poważnych rozmów. - Uśmiechnął się i siateczka zmarszczek wokół oczu i na skroniach stała się wyraźniejsza. Był starym, bardzo starym człowiekiem. - Pomijając wszystko inne, wyglądasz strasznie serio. Dobry koktajl trochę cię rozchmurzy.

Zanim Matlock zdążył odpowiedzieć, Herron zniknął za drzwiami kuchni. Matlock jednak nie usiadł, ale podszedł do ściany, przy której stało małe biurko, a nad nim wisiało kilkanaście nie powiązanych ze sobą fotografii. Parę przedstawiało Stonehenge z widowiskowo zachodzącym słońcem pod różnymi kątami, inne kamieniste wybrzeże, z górami w tle i łodziami rybackimi przy brzegu. Wyglądało to na Morze Śródziemne - Grecję lub Cyklady. Była też niespodzianka. Nisko po prawej stronie, parę centymetrów nad biurkiem, dostrzegł małą fotografię wysokiego szczupłego oficera stojącego przy pniu drzewa. Z tyłu widniało gęste listowie, jak w dżungli; po bokach cienie innych osób. Oficer był bez hełmu, w przepoconej koszuli, w prawej ręce trzymał pistolet maszynowy, w lewej jakiś złożony papier - zapewne mapę - i widać było, że właśnie podjął decyzję. Patrzył w górę, jakby w kierunku wzgórze. Twarz miał napiętą, ale spokojną. Przebijała z niej szlachetność i siła. Był to ciemnowłosy Lucas Herron w średnim wieku.

- Trzymam tę starą fotografię na pamiątkę dni sławy i chwały. Matlock wzdrygnął się, przestraszony. Lucas wrócił do pokoju, zaskakując go znienacka.

- Dobre zdjęcie. Teraz wiem, kto naprawdę wygrał tę wojnę.

- Co do tego nie ma wątpliwości. Niestety, nigdy przedtem ani potem nie słyszałem już o tej wyspie. Ktoś mówił, że to jedna z Wysp Salomona. Zdaje się, że ją wysadzili w powietrze w latach pięćdziesiątych. Niewiele było trzeba. Parę fajerwerków wystarczyło. Proszę cię, bierz. - Podszedł do Matlocka, podając mu szklanę.

- Dziękuję. Jesteś zbyt skromny. Słyszałem historie, które o tobie opowiadają.

- Ja też. Sam jestem pod ich wrażeniem. W miarę jak się starzeje, stają się coraz lepsze... Może wyjdziemy do ogrodu. Przy tej pogodzie szkoda siedzieć w domu. - Nie czekając na odpowiedź Herron skierował się ku wyjściu, a Matlock podążył za nim.

Ogród na tyłach domu był równie wypielęgnowany jak trawnik od frontu. Na kamiennym tarasie stały wygodne miękkie fotele plażowe, każdy z własnym stolikiem. Pośrodku stał duży stół z kutego żelaza osłonięty parasolem przeciwsłonecznym. Dalej rozpościerał się starannie przystrzyżony, gęsty trawnik z rozrzuconymi tu i ówdzie, starannie okopanymi drzewami i ciągnęły się dwa rzędy kwiatów, w większości róż. Na skraju trawnika jednak ten sielski widok nagle się kończył. Wznosiły się tam potężne drzewa i kłębiły gęste zarośla. Po bokach było podobnie. Na obrzeżach wypielęgnowanej murawy rósł dziki, bujny las.

Lucas Herron był otoczony gęstym zielonym murem.

- Musisz przyznać, że to niezły trunek. - Obaj mężczyźni usiedli w fotelach.

- W pełni się zgadzam. Jeszcze nawrócisz mnie na dżin.

- Dżin jest dobry na wiosnę i lato. Nie nadaje się na resztę roku... No dobrze, młodzieńcze, dopełniliśmy formalności, a teraz powiedz, co cię tu sprowadza?

- Myślę, że wiesz.

- Czyżby?

- Archie Beeson.

Matlock uważnie obserwował Herrona, ale ten nie spuszczał wzroku ze swojej szklanki. Jego twarz pozostała bez wyrazu.

- Ten młody historyk?

- No właśnie.

- Zobaczysz, jeszcze będzie z niego świetny nauczyciel. Poznałeś jego sympatyczną żoneczkę, prawda?

- Sympatyczną... i chyba dość puszczałką.

- Pozory, Jim. To tylko pozory. - Herron roześmiał się cicho. Nie sądziłem, że taki z ciebie purytanin. Z wiekiem człowiek staje się coraz bardziej tolerancyjny wobec ludzkich zachcianek. Wobec niewinnego rozbudzania apetytów. Przekonasz się.

- Czy o to chodzi? O tolerancję wobec zachcianek?

- Nie rozumiem...

- Och, nie udawaj. Przedwczoraj wieczorem Archie usiłował się z tobą skontaktować.

- Owszem, rozmawialiśmy. Byłeś u Beesonów. Zdaje się, że twoje zachowanie pozostawiało wiele do życzenia.

- Takie było moje zamierzenie.

Starzec kilka razy zamrugnął szybko powiekami: był to pierwszy, drobny objaw zaniepokojenia.

- Uważam, że postąpiłeś nagannie - oznajmił cicho, kierując wzrok na imponującą ścianę zieleni.

Słońce zachodziło, kryjąc się za wysokimi drzewami; ich długie cienie przecinały trawnik i taras za domem.

- Musiałem, to było konieczne.

Matlock zauważył, że starzec skrzywił się z niesmakiem. Przypomniał sobie własną reakcję, kiedy Adam Williams użył podobnych słów, tłumacząc mu, dlaczego wysłał do Kressela oszczerczy list opisujący jego zachowanie na spotkaniu w Lumumba Hall. Paralela była nieprzyjemna.

- Archie Beeson ma kłopoty - oznajmił starzec. - Jest chory... bo nałóg to nic innego jak choroba... ale próbuje się leczyć. To wymaga sporo odwagi... Taktyka gestapowska, którą stosujesz, jest całkiem nie na miejscu. - Jedną ręką podniósł do ust szklankę, drugą zaciskał mocno na poręczy fotela.

- Skąd wiesz? O jego nałogu?

- To tajemnica. Mogę ci tylko powiedzieć, że od jednego z naszych powszechnie szanowanych pracowników, wykładowcy medycyny, który rozpoznał objawy i bardzo się przejął. Zresztą co za różnica skąd wiem? Starłem się chłopakowi pomóc i nie żałuję.

- Chciałbym ci wierzyć. Bardzo chciałbym wierzyć, że tylko tym się kierowałeś.

- A co stoi na przeszkodzie?

- Nie wiem... Kilka minut temu, kiedy otworzyłeś drzwi... nie wiem, może to ten dom... Nie umiem tego określić. Jestem z tobą szczerzy, Lucas.

Herron parsknął śmiechem, wciąż jednak unikał wzroku. Matlocka.

- Za głęboko siedzisz w epoce elżbietańskiej, mój drogi! Te wszystkie spiski i zmywy w "Tragedii hiszpańskiej" Kyda... Wy młodzi konserwatyści nie powinniście się bawić w Scotland Yard. Przedtem polowaliście na komunistów, a teraz... Po prostu robisz z igły widły.

- Przesadzasz. Nie jestem konserwatystą i nigdy nie polowałem na nikogo. Dobrze o tym wiesz.

- W takim razie o co chodzi? O zwykłą troskę i zainteresowanie Archiem? A może jego żoną? Przepraszam, nie powinienem się wtrącać.

- Nie, cieszę się, że ją wspomniłeś. Wiedz, że Ginny Beeson nie interesuje mnie ani łóżkowo, ani w ogóle, choć łóżko to pewnie jedyna rzecz, do jakiej się nadaje.

- No to odegrałeś niezłe przedstawienie.

- Owszem. Staralem się jak mogłem, żeby Beeson nie domyślił się prawdziwego powodu mojej wizyty. Sprawa jest aż tak ważna.

- Dla kogo? - Herron powoli opuścił rękę, w której trzymał szklanke; drugą wciąż miał zaciśniętą na poręczu fotela.

- Dla ludzi spoza uniwersytetu. Dla ludzi z Waszyngtonu. Dla władz federalnych...

Lucas Herron gwałtownie wciągnął nozdrzami powietrze. Krew zaczęła odpływać mu z twarzy. Wreszcie ledwo słyszalnym szeptem spytał:

- O czym ty, na Boga, mówisz?

- Zgłosił się do mnie pewien człowiek z departamentu sprawiedliwości. Informacje, które mi przekazał, są zatrważające. Facet nie fantazjował, nie dramatyzował. Po prostu przedstawił mi gołe fakty i dał wybór. Decyzja, czy mu pomoc, czy zgodzić się na współpracę, należała do mnie.

- I zgodziłeś się? - W głosie Herrona brzmiała nuta niedowierzania.

- Nie miałem wyjścia. Mój młodszy brat...

- Nie miałeś wyjścia?! - Starzec poderwał się z krzesła. - Co to znaczy, że nie miałeś wyjścia?! - Ręce mu się trzęsły, głos drżał z napięcia.

- Bo nie miałem - oznajmił spokojnie Matlock. - Dlatego tu dziś przyszedłem. Żeby cię ostrzec, przyjacielu. Sprawa sięga o wiele głębiej, jest znacznie bardziej niebezpieczna niż...

- Przyszedłeś, żeby mnie ostrzec?! Coś ty najlepszego uczynił! Na miłość boską, coś ty uczynił! A teraz słuchaj uważnie! Słuchaj, co ci powiem! - Herron cofnął się o krok i wpadł na mały stolik. Zamachnął się gniewnie ręką i przewrócił go na kamienne płyty tarasu. - Wycofaj się, rozumiesz? Zadzwoni do faceta i powiedz mu, że się pomylił. Że nie znajdzie tu tego, czego szuka! Że... że oni sobie wszystko ubzdurali! Nie mieszaj się, James! Rzuć to w cholerę!

- Nie mogę - odparł łagodnie Matlock, nagle bojąc się o starca. - Nawet Sealfont przyznał mi rację. Dłużej nie można na to pozwalać. Niebezpieczeństwo jest całkiem realne, Lucas...

- Sealfont! Powiedziacieś Adrianowi? O Boże, czy wiesz, co zrobiłeś? Zniszczysz tak wiele! Tyle osób będzie przez ciebie cierpieć! Wynoś się stąd! Wynoś się! Nie chcę cię znać! O Chryste!

- Lucas, o co chodzi?

Matlock wstał i postąpił krok w stronę starca. Herron odsunął się; sprawiał wrażenie człowieka ogarniętego straszliwą paniką.

- Nie zbliżaj się! Nie dotykaj mnie!

Odwrócił się i ile sił w starczych nogach zbiegł z tarasu na trawnik. W pewnym momencie potknął się i upadł, ale szybko podniósł się z powrotem. Nawet nie obejrzał się. Dobiegł do gęsto rosnących drzew na końcu ogrodu i skrył się za potężną ścianą zieleni.

- Lucas! Na miłość boską!

Matlock rzucił się pędem za starcem; po kilku sekundach był już przy drzewach, ale Herron znikł. Odgarniając gałęzie, Matlock wszedł w labirynt zieleni i chcąc nie chcąc zwolnił tempo. Zielone witki, gdy je puszczał, chłostały go po ciele i twarzy, a rosnące w dole olbrzymie, skłębione chwasty oplatały mu się wokół nóg.

Herrona nigdzie nie było widać.

- Lucas! Gdzie jesteś?

Cisza. Jedyne, co słyszał, to szelest gałęzi i liści, przez które się przedzierał. Schylając się i klucząc wśród zieleni, coraz bardziej zagłębiał się w las.

- Lucas! Na Boga, odezwij się! Lucas!

Znów brak odpowiedzi. Herron przepadł jak kamień w wodę. Matlock rozejrzał się uważnie, szukając jakiegoś śladu, przydeptanego chwastu, złamanej gałęzi. Nie znalazł. Jakby Herron rozplynął się w powietrzu.

I nagle coś usłyszał. Cichy, niewyraźny dźwięk, który odbijał się echem ze wszystkich stron. Głęboki, gardłowy szloch, jakby lament. Dochodzący z oddali, a jakby gdzieś z bliska. Raptem szloch ucichł i rozległ się spazmatyczny jęk. Bolesny, rozpaczliwy jęk, a po nim jedno słowo, wypowiedziane dosadnie i z nienawiścią:

- Nemrod.

12

- Do jasnej cholery, Matlock! Mówiłem, żebyś nie wychodził. dopóki się z tobą nie skontaktuję!

- Do jasnej cholery, Greenberg! Jak się tu dostałeś?!

- Nie wstawiłeś sobie szyby

- Nie zaproponowałeś, że za nią zapłacicie.

- W porządku, jesteśmy kwita. Gdzieś się podziewał? Matlock rzucił kluczyki samochodowe na stół i spojrzał na stojący w rogu pokoju zniszczony sprzęt stereofoniczny.

- To skomplikowana historia... i dość żałosna. Zaraz ci opowiem, ale najpierw zrobię sobie drinka. Poprzedniego nie dano mi dokończyć.

- Nalej i mnie. Bo też mam ci coś do powiedzenia... też coś żałosnego.

- Czego się napijesz?

- Nie wiem. Wszystko jedno. Może być to samo co ty. Matlock popatrzył na okno. Zastony, które zerwał z karnisza, kiedy odwiedził go Adam Williams, wciąż leżały na podłodze. Słońce prawie już zaszło. Wiosenny dzień dobiegał końca.

- Wycisnę kilka cytryn i zrobię nam koktajl z whisky.

- Czytałem w twoich aktach, że pijasz wyłącznie bourbona.

Matlock przeniósł wzrok na agenta.

- Tak napisali?

Greenberg ruszył za Matlockiem do kuchni i w milczeniu obserwował, jak ten przyrządza drinki. Po chwili przyjął od niego szklanekę.

- Proszę, jakie arcydzieło - powiedział.

- Żadne arcydzieło... To od czyjej żałosnej historyjki zaczynamy?

- Ciekaw jestem twojej, ale biorąc pod uwagę pewne nieprzewidziane okoliczności lepiej będzie, jeśli zaczniemy ode mnie.

- Intrygujący wstęp.

- Raczej żałosny. Interesuje cię, gdzie byłem, odkąd się rozstaliśmy? - spytał agent, opierając się o blat kuchenny.

- Niespecjalnie, ale podejrzewam, że tak i tak mi powiesz.

- Owszem. Bo to początek mojej żałosnej historyjki. Pojechałem na miejscowe lotnisko, Bradley Field, gdzie wylądował samolot z Waszyngtonu wysłany specjalnie przez departament sprawiedliwości. Spotkałem się z facetem, który przywiózł mi dwie zaklejone koperty. Podpisałem ich odbiór. Oto one.

Z kieszeni marynarki wyjął podłużne koperty. Jedną położył na blacie, drugą rozerwał.

- Wyglądają bardzo urzędowo - skomentował Matlock, siadając na blacie obok zlewu; nogi zwisały mu nad podłogą.

- Nie mylisz się. Pierwsza zawiera podsumowanie, wnioski, do jakich doszliśmy dzięki informacjom, które nam, czy raczej mnie przekazałeś. Zawiera również pewne zalecenie. Treść tego pisma pozwolono mi przedstawić ci własnymi słowami, pod warunkiem, że nie pominę żadnych istotnych faktów...

- Ładnie się zapowiada!

- Jednakże - ciągnął dalej agent, nie zważając na wtępotę Matlocka - treść drugiego pisma musi być przekazana słowo w słowo. Jeżeli to się okaże konieczne, dostaniesz je do przeczytania; musisz się z nim dokładnie zapoznać i poświadczyć podpisem, że przyjmujesz jego treść do wiadomości.

- Brzmi to coraz ciekawiej. Czyżbym dostał awans?

- Przeciwnie, wymówienie. Ale zacznę od początku, tak jak mi kazano. - Zerknął na złożony arkusz papieru, po czym prze niósł wzrok na Matlocka. - Facet z Lumumba Hall, niejaki Julian Dunois, używający takie nazwiska Jacques Devereaux, Jesus Dambert i pewnie kilku innych, o których nie wiemy, jest doradcą prawnym Czarnych Rewolucjonistów. W tym wypadku określenie "doradca prawny" obejmuje szeroki zakres działalności, począwszy od manipulowania sądami a skończywszy na urządzaniu prowokacji. W sądzie występuje jako Dunois, poza sądem zwykle używa pseudonimów. Bywa w najdziwniejszych miejscach. Algier, Marsylia, Karaiby, Kuba, prawdopodobnie Hanoi i Moskwa. Przypuszczalnie Pekin. W Stanach ma normalne, legalnie istniejące biuro prawne w górnej części Harlemu oraz filię w San Francisco. Na ogół trzyma się w tle, na uboczu, ale ilekroć się pojawia, zawsze dzieje się coś złego. Nie muszę chyba mówić, że znajduje się na sporządzonej przez prokuraturę generalną liście "niepożądanych osobników", a w dzisiejszych czasach nie jest to przyczynkiem do chwały...

- W dzisiejszych czasach - wtrącił Matlock - figuruje tam każdy, kto ma odrobinę bardziej liberalne poglądy od zatwardziałych rasistów z Południa.

- Zostawię to bez komentarza. W każdym razie fakt, że Dunois może mieć coś wspólnego ze sprawą, którą się zajmujemy, zmienia w dość znaczny, choć nieprzewidziany sposób postać rzeczy. Tu już nie chodzi o rodzimych złoczyńców, lecz o przestępstwo lub akcję wywrotową na skalę międzynarodową. Może nawet o jedno i drugie. W świetle tego, że naszpikowano cię narkotykami, że włamano się do twojego mieszkania i je zdemolowano, że grożono panie Ballantyne, nie wprost, ale jednak grożono, nasze zalecenie brzmi następująco: powinieneś się natychmiast wycofać. Ryzyko, na jakie możesz być narażony, przekracza dopuszczalne granice.

Greenberg odłożył kartkę na blat i pociągnął kilka łyków ze szklanki. Matlock siedział w milczeniu, wolno kołysząc w powietrzu długiemi nogami.

- I co ty na to? - spytał wreszcie agent.

- Nie wiem. A drugi list?

- Wolabym go nie otwierać. Podsumowanie jest w miarę precyzyjne i moim zdaniem powinieneś zastosować się do zalecenia. Wycofaj się, Jim.

- Najpierw dokończ. Co zawiera drugi list? Ten, który mam przeczytać osobiście?

- Dostaniesz go, jeżeli odrzucisz zalecenie. Ale nie odrzucaj. Radzę ci prywatnie, bo nie wolno mi wywierać na ciebie nacisku.

- Nie traćmy czasu. Przecież wiesz, że się nie wycofam.

- Liczyłem, że może jednak, bo...

- Nie mam wyjścia.

- Masz. W ciągu godziny dostarczę różnych wyjaśnień. Nikt nie będzie wiedział, że byłeś w cokolwiek zaangażowany. Będziesz wolnym człowiekiem.

- Niestety, to już niemożliwe.

- Co? Dlaczego?

- Zrozumiesz, jak usłyszysz moją żalosalną historyjkę. Kończ.

Greenberg popatrzył w oczy Matlocka, szukając w nich odpowiedzi. Nie znalazłszy jej, podniósł drugą kopertę.

- W wypadku, gdy podejmiesz nierozsądną decyzję i odrzucisz nasze zalecenie, aby wycofać się ze sprawy i zaniechać wszelkich dalszych kroków, powinieneś wiedzieć, że działasz wbrew wyraźnym życzeniom departamentu sprawiedliwości. Naturalnie, zapewnimy ci ochronę, jaką na twoim miejscu otrzymałby każdy, lecz nie będziemy ponosić odpowiedzialności ani za to, co uczynisz, ani za szkody lub krzywdy, których możesz doznać.

- Taka jest treść pisma?

- Nie, ale taki jest sens - odparł Greenberg, prostując kartkę papieru. - Proszę. Sam przeczytaj. - Wręczył Matlockowi list.

Było to oświadczenie podpisane przez zastępcę prokuratora generalnego. W dolnej lewej połowie kartki było wykropkowane miejsce na podpis Matlocka.

Biuro dochodzeniowe Departamentu Sprawiedliwości zgodziło się przyjąć propozycję pana Jamesa B. Matlocka, który zaoferował się służyć pomocą przy zdobyciu pewnych, drobnych informacji na temat nielegalnych działań prawdopodobnie mających miejsce na terenie Uniwersytetu Carlyle. Obecnie Departament Sprawiedliwości stwierdza, że sprawę powinni przejąć kompetentni profesjonaliści; udział dr Matlocka jest wysoce niewskazany i wbrew zaleceniom Departamentu. Niniejszym Departament Sprawiedliwości wyraża wdzięczność panu Jamesowi B. Matlockowi za jego dotychczasową pomoc i zwraca się z prośbą, żeby ze względu na własne bezpieczeństwo oraz ze względu, na dobro śledztwa zaniechał wszelkich działań. Zdaniem, Departamentu Sprawiedliwości dalszy udział dr Matlocka może przeszkodzić w dochodzeniu prowadzonym na terenie uczelni w Carlyle. Pan Matlock otrzymał oryginał tego pisma, co poświadcza niżej własnoręcznym podpisem.

- Nie rozumiem. Z tego pisma wynika, że jeśli je podpiszę, to zgadzam się wycofać.

- Kiepski byłby z ciebie prawnik. Następnym razem jak będziesz kupował rower na raty, poradź się mnie zawczasu.

- Dlaczego?

- To pismo jest bardzo chytrze sformułowane. Nie ma w nim ani słowa o tym, że zgadzasz się wycofać. Jedyne, że departament sprawiedliwości cię o to prosi.

- Więc po jaką cholere mam podpisywać?

- Bardzo dobre pytanie. Możesz sobie kupić rower... Masz podpisać ten świstek, jeśli odrzucasz zalecenie, żeby wycofać się ze sprawy.

- Do diabła! - Matlock zeskoczył na podłogę i rzucił pismo na blat koło agenta. - Może nie znam się na prawie, ale znam język, którym się posługujemy. Przeczyśz sam sobie.

- To tylko tak wygląda. Pozwól, że zadam ci pytanie. Dajmy na to, że nieoficjalnie nadal prowadzisz śledztwo. Jak myślisz, czy może zaistnieć sytuacja, że nagle chcesz się zwrócić do nas o pomoc?

- Oczywiście. To nieuchronne.

- Otóż żadnej pomocy nie otrzymasz, jeśli nie podpiszesz tego papierka. Co tak na mnie patrzysz? Ja nie mam z tym nic wspólnego. Za kilka dni zostaną odwołany i ktoś inny zajmie moje miejsce. Za długo już się tu kręcę.

- Zakłamanie bestie! Czyli tylko wtedy mogę liczyć na pomoc czy ochronę, jeżeli podpiszę oświadczenie stwierdzające, że jej nie potrzebuję?

- Tak. Czasem naprawdę mam ochotę cisnąć to w cholere i otworzyć prywatne biuro... Departament chce sobie zabezpieczyć tyłek. Wykorzystuje się wszystko i wszystkich. Ale nie bierze się odpowiedzialności, gdy cokolwiek nawali. Wina spada na innych.

- Jeśli nie podpiszę, skacze bez spadochronu?

- Tak. Słuchaj, jestem dobrym prawnikiem, więc przyjmij moją radę. Wycofaj się. Nie mieszaj. Zapomnij o wszystkim.

- Mówiłem ci. Nie mogę.

Greenberg sięgnął po szklanke.

- Bez względu na to, co zrobisz - powiedział łagodnie - nic nie przywróci życia twojemu bratu.

- Wiem - odparł stanowczym tonem Matlock, choć wzruszyła go postawa agenta.

- Może zdołasz zapobiec śmierci innych młodych ludzi, ale szczerze w to wątpię. W każdym razie sprawą powinien zająć się fachowiec. Niechętnie to mówię, ale Kressel miał rację. Jeżeli nawet ominie nas najbliższy zjazd handlarzy narkotyków, ten synod złoczyńców, to będą następne.

- Zgadza się.

- To dlaczego się wahasz? Zrezygnuj.

- Dlaczego się waham? Bo nie opowiedziałem ci jeszcze mojej żałosnej historyjki. Pamiętasz? Zaczęliśmy od ciebie...

- Dobra, mów.

I Matlock opowiedział mu wszystko o Lucasie Herronie, wielkim człowieku, legendzie Carlyle. O tym, jak ten śmiertelnie przerażony, chudy starzec wybiegł z ogrodu i skrył się wśród drzew. O tym, jak w lesie rozległ się szloch, a potem padło jedno jedyne słowo - "Nemrod". Jason Greenberg przysłuchiwał się uważnie i im dłużej Matlock mówił, tym większy smutek malował się w oczach agenta. Kiedy wreszcie zaległa cisza, Greenberg wypił do końca whisky i przygnębiony wolno pokiwał głową.

- Musiałeś mu wszystko zdradzić? Nie mogłeś przyjść do mnie? Musiałeś iść do niego? Rozmawiać z nim, waszym uniwersyteckim świętym o rękach zbrukanych wiadrem krwi? Loring miał rację. Po co nam amator pełen wyrzutów sumienia? Nie dość mamy amatorów? Ty przynajmniej w ogóle masz sumienie, a nie o wszystkich można to powiedzieć.

- Co mi radzisz?

- Podpisać oświadczenie. - Podniósł pismo z departamentu sprawiedliwości i wręczył je Matlockowi. - Bo będziesz potrzebował pomocy.

Kiedy dojechali do "Kota z Cheshire", Matlock przepuścił Patrycję przodem i ruszył za nią do małego stolika na końcu sali. Przez całą drogę w samochodzie panowała napięta atmosfera. Dziewczyna cichym, zjadliwym tonem krytykowała Matlocka za to, że zgodził się współpracować z rządem, a zwłaszcza z Federalnym Biurem Śledczym. Twierdziła, że jej niechęć do FBI nie wynika z liberalnych poglądów, jakie żywi; po prostu istniało zbyt dużo dowodów na to, że tego typu organizacje powoli zamieniają kraj w państwo policyjne.

Przekonała się o tym na własnej skórze. Była świadkiem ponurych następstw jednej akcji przeprowadzonej przez FBI i wiedziała, że tego rodzaju działania nie należą do odosobnionych.

Matlock odsunął krzesło i kiedy Pat usiadła, położył ręce na jej ramionach. Dotykem próbował ją uspokoić, pocieszyć, zmniejszyć jej ból. Stolik znajdował się przy oknie, kilka kroków od tarasu, na którym zwykle od końca maja również serwowano posiłki. Po chwili usiadł naprzeciw dziewczyny i ujął ją za rękę.

- Nie będę cię przeproszał i tłumaczył ci się ze swojej decyzji. Uważam, że ktoś musi zająć się tą sprawą. Nie jestem ani bohaterem, ani donosicielem. Nikt nie wymaga ode mnie bohaterskich czynów, ale informacje, których FBI potrzebuje, mogą uratować życie wielu osobom. Młodym ludziom, którzy rozpaczliwie potrzebują pomocy.

- A czy ją otrzymają? Bo może jedynie zostaną oskarżeni i zamiast do szpitali i ośrodków rehabilitacyjnych, trafią do więzienia?

- Policji i FBI nie interesują chore dzieciaki. Chcą dostać w swoje ręce tych, którzy sprowadzają je na złą drogę. I ja też.

- Ale w trakcie choroby na tym ucierpią. - Było to stwierdzenie faktu.

- Może niektórzy. Oby ich było jak najmniej.

- To podłe. - Wysunęła rękę z jego dłoni. - Mówisz to z taką wyższością. Kto o tym będzie decydował? Ty?

- W kółko to samo powtarzasz.

- Bo znam ich metody. Nie są przyjemne.

- Ale tym razem sytuacja jest inna. Na razie spotkałem tylko dwóch agentów, z czego jeden... jednego już nie ma. Drugi to Greenberg. Różni się od tych skurwysynów, którzy pracowali w FBI w latach pięćdziesiątych. Możesz mi wierzyć.

- Chciałabym.

Do stolika podszedł kierownik restauracji.

- Telefon do pana, panie Matlock.

Matlock poczuł bolesny skurcz w brzuchu. Z nerwów i ze strachu. Tylko jeden człowiek wiedział, gdzie go szukać - Jason Greenberg.

- Dzięki, Harry - powiedział.

- Może pan porozmawiać z szatni. Odłożyłem na bok słuchawkę. Matlock wstał i zerknął na Pat. Od tyłu miesiący chodzili razem do restauracji, na przyjęcia, na kolacje, i przez ten czas nigdy nie został nagle wezwany do telefonu. Zobaczył w jej oczach, że myśli o tym samym. Odszedł pośpiesznie od stołu, kierując się w stronę szatni.

- Halo?

- Jim?

Rozpoznał głos Greenberga.

- Jason?

- Przepraszam, że przeszkadzam. Nie dzwoniłbym, gdyby to nie było ważne.

- Na miłość boską, co się stało?

- Lucas Herron nie żyje. Godzinę temu popełnił samobójstwo.

Ból, jaki Jim poczuł w brzuchu na wieść o telefonie, powrócił i przeszył go tak gwałtownie, że przez moment nie mógł złapać tchu. Ujrzał przed oczami postać spanikowanego starca, który potykając się biegnie po równo przystrzyżonym trawniku i znika w gęstym lesie za ogrodem. A potem usłyszał rozdzierający szloch i słowo "Nemrod" wypowiedziane szeptem, głosem pełnym nienawiści.

- Nic ci nie jest? - spytał agent.

- Nie. W porządku - odparł.

Ni stąd ni zowąd przypomniał sobie małe zdjęcie w czarnej ramce. Przedstawiało ciemnowłosego mężczyznę w średnim wieku o szczupłej, silnej twarzy zwróconej ku górze, ubranego w mundur majora piechoty morskiej; w jednej ręce mężczyzna trzymał broń, w drugiej mapę.

Zdjęcie pochodziło sprzed ćwierć wieku.

- Lepiej wróć do siebie do mieszkania... - powiedział Greenberg, ale był na tyle rozsądny, że zabrzmiało to jak sugestia, a nie rozkaz.

- Kto znalazł Herrona?

- Mój człowiek. Na razie nikt o niczym nie wie.

- Twój człowiek?

- Po naszej rozmowie wydałem polecenie, żeby Herrona obserwowano. Zdradzał objawy, które nauczyliśmy się rozpoznawać. Mój człowiek włamał się do środka, ale było już po wszystkim.

- Jak... jak...

- Podciął sobie w łazience żyły.

- Boże! Cóż ja najlepszego zrobiłem? Boże!

- Przestań! I wracaj do domu. Musimy zawiadomić innych. Opanuj się, Jim.

- Co powiesz Pat? - spytał Matlock. Usiłował wziąć się w garść, ale wciąż wracał myślami do wystraszonego, bezradnego starca.

- Im mniej tym lepiej. Pośpiesz się.

Jim odłożył słuchawkę i wziął kilka głębokich oddechów. Sprawdzał kieszenie, szukając papierosów i po chwili przypomniał sobie, że zostawił je na stoliku.

Stolik. Patrycja. Musi wrócić do stolika i wymyślić, co ma powiedzieć dziewczynie.

Prawdę. Do jasnej cholery, powie prawdę!

Obszedł dwie staroświeckie kolumny i ruszył na koniec sali, do małego stolika przy oknie. Mimo rozpaczki, która go ogarnęła na wieść o śmierci Herrona, poczuł ulgę: spłynęła na niego w chwili, gdy postanowił nie oszukiwać Pat. Poza Greenbergiem i Kresselem musiał mieć kogoś, z kim mógłby szczerze porozmawiać.

O cholera! Umówił się z Kresselem na siódmą. Na śmierć o tym zapomniał!

Kiedy jednak spojrział na stół przy oknie, Sam Kressel natychmiast wyparował mu z głowy. Stół był pusty!
Patrycja znikła.

13

- Nikt nie widział, jak wychodziła? - spytał Greenberg, idąc za zdenerwowanym Matlockiem do pokoju.

Z sypialni dolatywał głos Sama Kressela, który podnieconym tonem krzyczał coś do telefonu. Matlock, mając wyostrzoną uwagę, natychmiast to podchwycił.

- To Sam, prawda? Mówiłeś mu o Herronie?

- Tak, zadzwoniłem do niego po rozmowie z tobą... A kelnerki? Pytałeś je?

- Oczywiście, że tak. Ale żadna nie była pewna. Panował dość duży ruch. Jednej wydawało się, że Pat wyszła do toalety. Druga napomknęła, że jakaś samotnie siedząca dziewczyna opuściła restaurację z parą, która zajmowała inny stolik.

- Musieliby przejść koło ciebie. Zauważyłbyś ich.

- Niekoniecznie. Nasz stolik znajdował się na końcu sali. A na taras prowadzą ze dwa lub trzy wyjścia. Latem, zwłaszcza gdy w środku robi się tłok, wystawiają stoliki na zewnątrz.

- Pojechaliście samochodem?

- Tak.

- I nie widziałeś jej później? Na parkingu? Na szosie?

- Nie.

- A nie dostrzegłeś przypadkiem jakiejś znajomej twarzy?

- Nie rozglądałem się. Byłem... zajęty czym innym. - Wyjął z paczki papierosa. Ręka mu się trzęsała, kiedy przykładał zapalnik.

- Wiesz co? Myślę, że Pat zobaczyła kogoś znajomego i poprosiła o podwiezienie do domu. Taka dziewczyna jak ona nie dałaby się potulnie zaciągnąć do cudzego samochodu.

- Wiem. Pomyślałem o tym.

- Posprzeczaliście się?

- Tak, ale byliśmy już prawie pogodzeni, kiedy wezwano mnie do telefonu. Pewnie to ją znów spięło. Wykładowcy literatury rzadko proszeni są do telefonu w restauracji.

- Przepraszam.

- Nie twoja wina. Mówiłem ci, że Pat jest do was uprzedzona. Ciągłe przypomina jej się historia z ojcem. Spróbuję do niej zadzwonić, kiedy Sam skończy rozmawiać.

- Dziwny człowiek z tego Kressela. Na wieść o śmierci Herrona oczywiście wpadł w szal. Zaczął krzyczeć, że musi koniecznie porozumieć się z Sealfontem, ale ponieważ to poufna rozmowa, zadzwonił z sypialni. A wydziera się na całe gardło!

Matlock wrócił myślami do Herrona.

- Ta śmierć, a raczej samobójstwo, poruszy całą społeczność akademicką. Od dziesiątków lat nic takiego się tu nie wydarzyło. Tacy ludzie jak Lucas po prostu nie umierają, a już na pewno nie w ten sposób... Czy Sam wie, że widziałem się z Herronem?

- Tak. Nie mogłem tego pominąć. Streściłem mu to, co mi powiedziałeś. Oczywiście nie wierzy, że Herron mógł być wplątany w tę aferę.

- Wcale mu się nie dziwię. Sam ledwo wierzę. Co robimy?

- Czekamy. Złożyłem raport. Przyjechało dwóch agentów z biura w Hartford, są teraz w domu Herrona. Wezwali policję.

Na wzmiankę o policji Matlock przypomniał sobie policjanta w cywilnym ubraniu, którego widział po zejściu z kortu i który oddalił się pośpiesznie, kiedy Matlock go rozpoznał. Wspomnił o tym wcześniej Greenbergowi, ale agent nie poruszył dotąd tego tematu. Postanowił spytać jeszcze raz.

- Co z tamtym gliniarzem, na którego się natknąłem?

- Nic. Na razie nie ma powodów do podejrzeń. Trzy razy w tygodniu, przed południem, miejscowa policja ma prawo korzystać z uczelnianej sali gimnastycznej. Ot, wzajemne dobrosąsiedzkie stosunki między stróżami prawa a uniwersytetem. Zdaje się, że był to zwykły zbieg okoliczności.

- Wierzysz w to?

- Powiedziałem, że na razie nie ma powodów do podejrzeń. Sprawdzamy faceta. W pracy ma nieskazitelną opinię.

- Ten skurwysyn? Ten wredny rasista?

- Może cię to zdziwi, ale uprzedzenia rasowe nie są w tym kraju przestępstwem. Konstytucja gwarantuje nam wolność poglądów.

Sam Kressel wyszedł z sypialni szybkim, zdecydowanym krokiem. Matlocka uderzyło, że na jego obliczu maluje się wręcz niehumaniczny strach. Wyraz twarzy Kressela był ludzko podobny do tego, jaki zagościł na twarzy śmiertelnie przerażonego Herrona, zanim starzec rzucił się pędem do lasu.

- Słyszałem twój głos - powiedział Kressel. - James, co my teraz zrobimy? Co my, do diabła, zrobimy? Adrian też nie wierzy w te bzdury. To absurd! Lucas Herron?! To się nie mieści w głowie!

- Może. Ale niestety taka jest prawda.

- Dlatego, że ty tak mówisz? Skąd możesz mieć pewność? Przecież nie jesteś zawodowcem! Z tego, co się orientuję, Lucas przyznał ci się, że pomagał studentowi uzależnionemu od narkotyków.

- To... to nie byli studenci.

- Rozumiem. - Kressel zawahał się na moment, przenosząc wzrok z Matlocka na Greenberga i z powrotem. - Wobec tego żądam ujawnienia ich nazwisk.

- Zaraz się pan dowie - odparł cicho agent. - Najpierw proszę nam jednak powiedzieć, dlaczego pan sądzi, że Matlock się myli? Dlaczego uważa pan, że to absurd?

- Dlatego, że Lucas Herron nie jest... nie był jedynym członkiem ciała pedagogicznego, który pomagał ludziom z problemami. Wielu z nas się angażuje, służy wsparciem, radą...

- Nie rozumiem. - Greenberg wbił oczy w Kressela. - Pomagacie. W porządku. Ale czy targacie się na życie, kiedy któryś z waszych kolegów się o tym dowiaduje?

Sam Kressel zdjął okulary i przez moment stał w milczeniu, smutny, zadumany.

- Jest pewna sprawa, o której nie wiecie - powiedział wreszcie. - Ja sam odkryłem to jakiś czas temu, ale najlepiej zorientowany jest jednak Sealfont... Otóż Lucas Herron był ciężko chorym człowiekiem. Zeszłego lata miał usuniętą nerkę. W drugiej pojawiły się przerzuty. Wiedział o tym. Cierpiał straszliwe katusze, bo ból był nie do wytrzymania. Długo by już nie żył.

Kressel wsunął z powrotem okulary na nos. Agent nie spuszczał z niego oczu. Matlock pochylał się i zgasił niedopałek w popielniczce. W końcu Greenberg spytał.

- Czy sugeruje pan, że nie ma związku między samobójstwem Herrona a wizytą, jaką mu dziś złożył Matlock?

- Bynajmniej. Uważam, że związek na pewno istnieje... Pan nie znał Lucasa. Od prawie pół wieku, z przerwą na lata wojny, tutejszy uniwersytet był całym jego życiem. Poświęcił mu absolutnie wszystko. Kochał to miejsce i swoją pracę bardziej niż mężczyzna może kochać kobietę, a matka dziecko. Myślę, że Jim mówił to panu. Gdyby Lucas sądził, że jego ukochany świat może lec w gruzach, ból fizyczny, jaki go trapił, byłby niczym w porównaniu z cierpieniem psychicznym. I właśnie wtedy mógłby targnąć się na swoje życie.

- Do jasnej cholery! - ryknął Matlock. - Uważasz, że ja go zabiłem?!

- Może i tak - odparł cicho Kressel. - Nie myślałem o tym w tych kategoriach. Adrian z pewnością też nie.

- Ale tak uważasz?! Uważasz, że zachowałem się głupio, mówiąc co mi ślina na język przyniesie i że to przeze mnie podciął sobie żyły?! Słuchaj, ciebie tam nie było! Więc nie gadaj bzdur!

- Nie powiedziałem, że zachowałeś się głupio - oznajmił łagodnie Kressel. - Powiedziałem, że jesteś amatorem. Amatorem o szczerych, dobrych intencjach. Chyba Greenberg rozumie, o co mi chodzi.

Jason Greenberg popatrzył na Matlocka.

- Jest takie słowackie przysłowie: Gdy starcy się zabijają, umierają miasta.

W ciszy, jaka zapadła, nagle zabrzączał telefon; ostry terkot wyrwał mężczyzn z zadumy. Matlock podniósł słuchawkę, po czym odwrócił się do Greenberga.

- Do ciebie - powiedział.

- Dzięki. - Agent podszedł do telefonu. - Tu Greenberg... Dobrze, rozumiem. Kiedy przyjdzie odpowiedź...? Pewnie będę już w drodze. Zadzwoń do was później. Cześć.

Odłożył słuchawkę i przez chwilę stał przy biurku, plecami do Matlocka i Kressela. Prorektor nie mógł dłużej wytrzymać.

- O co chodzi? Co się stało?

Greenberg odwrócił się i popatrzył na obu mężczyzn. Matlockowi wydawało się, że agent ma spojrzenie smutniejsze niż zazwyczaj, a to - jak się już zdążył przekonać - oznaczało, że jest czymś wyraźnie zaniepokojony.

- Występujemy z prośbą do policji i sądu o zgodę na przeprowadzenie sekcji zwłok.

- Po co?! - zawołał Kressel, zbliżając się do biurka. - Na miłość boską, po co? Człowiek popełnił samobójstwo! Żył w strasliwym bólu! Chryste, nie możecie! Jeżeli to się rozejdzie po uniwersytecie...

- Postaramy się załatwić wszystko bardzo dyskretnie.

- To się nie uda i dobrze pan o tym wie! Sprawa nabierze rozgłosu i rozpęta się piekło! Nie pozwolę na to!

- Nie może pan niczemu zapobiec. Nawet ja bym nie zdołał. Istnieją dowody wskazujące na to, że Herron nie odebrał sobie życia. Prawdopodobnie został zamordowany. - Agent uśmiechnął się ponuro do Matlocka. - Na pewno nie zabiły go twoje słowa, Jim.

Kressel przekonywał, groził, ponownie zadzwonił do Sealfonta i wreszcie, kiedy zrozumiał, że jego protesty nie odniosą skutku, opuścił z wściekłością mieszkanie.

Ledwo zatrzasnęły się za nim drzwi, gdy znów zabrzączał telefon. Greenberg zauważył, że odgłos dzwonka nie tylko drażni Matlocka, ale wręcz wytrąca go z równowagi, może nawet przeraża.

- Przepraszam - powiedział. - Niestety, przez jakiś czas tu się będą ze mną łączyć. Długo to nie potrwa... Ale może to panna Ballantyne?

Matlock odebrał telefon, przez moment słuchał, nie odzywając się ani słowem, po czym odwrócił się do Greenberga i oznajmił krótko:

- Do ciebie.

Agent wziął słuchawkę, podał cicho swoje nazwisko i przez minutę stał bez ruchu, wpatrując się w ścianę. Ponieważ zanosilo się na dłuższą rozmowę, Matlock wyszedł do kuchni. Czuł się niezręcznie w pokoju; wiedział, że agent otrzymuje polecenia od zwierzchnika, choć osoba na drugim końcu linii powiedziała tylko, że dzwoni z Waszyngtonu.

Na blacie w kuchni leżała pusta koperta, w której departament sprawiedliwości przysłał podstępnie sformułowane oświadczenie. Było ono dla Matlocka jeszcze jedną wskazówką, że to, co uważał dotąd za wytwór swojej fantazji, stopniowo staje się rzeczywistością. Rozważając myśli ukryte w najgłębszych zakamarkach umysłu, zaczął nabierać przekonania, że kraj, w którym się urodził i wychował, przeistacza się w coś zgubnego i destruktywnego. Tu już nie chodziło o walkę z pewnymi postawami politycznymi

- chodziło o coś znacznie więcej, o powolny, wszechobecny zanik przekonań moralnych. O korupcję idei. Niepodważalne zasady ustępowały miejsca powierzchownej złości, miłkim poglądom, kompromisowi. Wbrew szlachetnym zapewnieniom, kraj staczał się na dno. Był jak piękna karafka napełniona skwaśniałym winem; wciąż imponujący, lecz tylko dzięki pozorom.

- Telefon jest już wolny. Jak chcesz, możesz zadzwonić do panny Ballantyne.

Matlock podniósł głowę: w drzwiach kuchni stał Greenberg, człowiek-zagadka, agent cytujący obce przysłowia i odnoszący się z nieufnością do systemu, dla którego pracował.

- Tak, chyba spróbuję.

Agent odsunął się, przepuszczając go przez drzwi. Na środku pokoju Matlock nagle zatrzymał się.

- Jak to było? Gdy starcy się zabijają, umierają miasta? Odwrócił się i popatrzył na swojego gościa. - To chyba najbardziej smutne przysłowie, jakie kiedykolwiek słyszałem.

- Nie jesteś chasydem. Ja oczywiście też nie, ale myślę, że żaden chasyd nie podzielałby twojego zdania... ani żaden prawdziwy filozof.

- Dlaczego? Przecież z tego bije smutek.

- Prawda, nie smutek. A prawda nie jest ani radosna, ani smutna, ani dobra, ani zła. Jest po prostu prawdą.

- Kiedyś jeszcze o tym podyskutujemy - odparł Matlock. Wziął do ręki słuchawkę, wykręcił numer Patrycji i odczekał z dziesięć dzwonek. Nikt nie odbierał telefonu. Znał kilkoro przyjaciół dziewczyny i zastanawiał się, czy do nich nie zadzwonić. Ilekroć Pat była zdenerwowana lub nie miała humoru, zwykle robiła jedną z dwóch rzeczy: albo unikała ludzi i wybierała się samotnie na godzinny spacer, albo - wręcz przeciwnie - jechała z przyjaciółką do kina w Hartford lub do jakiegoś lokalu daleko za miastem... Minęło niewiele ponad godzinę od jej zniknięcia. Postanowił wstrzymać się jeszcze z kwadrans, zanim zacznie obdzwaniać jej znajomych. Oczywiście, przyszło mu do głowy, i to od razu w restauracji, że może ją porwano. Ale jakim cudem? Restauracja była pełna ludzi, stoliki ustawione blisko siebie. Greenberg miał rację. Pat musiała opuścić lokal z własnej, nieprzymuszonej woli.

Greenberg nie ruszył się z miejsca; wciąż stał w przejściu między kuchnią a pokojem i obserwował Matlocka.

- Dam jej jeszcze piętnaście minut. Jeśli do tego czasu nie wróci, zadzwonię do paru jej przyjaciół. Jak sam mówiłeś: ta młoda dama jest zdecydowana w swoich poglądach i uparta jak kozioł.

- Mam nadzieję, że nie zaraziła cię uporem.

- Bo co?

Greenberg zbliżył się kilka kroków.

- Wycofujemy cię - powiedział, patrząc mu prosto w oczy. - Twoja praca dla nas dobiegła końca. Zapomnij o liście, o Loringu, o mnie. To jedyne wyjście. Wiemy, że masz zarezerwowane na sobotę bilety PANAM-u. Leć na Wyspy Dziewicze i wypocznij sobie. Tak będzie najlepiej.

Matlock popatrzył chłodno na agenta.

- O tym, co robić, zdecyduję sam. Mam na sumieniu śmierć dobrego, łagodnego starca, a ty masz w kieszeni ten śmierdzący papier. Podpisałem go, czyżbyś zapomniał?

- Ten świstek już się nie liczy. Waszyngton żąda, żebyśmy cię wycofali. Więc cię wycofujemy.

- Dlaczego?

- Właśnie z powodu tego dobrego, łagodnego starca. Jeśli został zamordowany, ty też możesz zginąć. Jeżeli stracisz życie, wówczas pewne dokumenty ujrzą światło dzienne, a osoby, które sprzeciwiały się zaangażowaniu cię w tę sprawę, przypuszczalnie rozdmuchają wszystko w prasie. Wykorzystaliśmy cię. Wiesz o tym, prawda?

- No i...

- I dyrektorzy departamentu sprawiedliwości nie życzą sobie, aby nazywano ich katami.

- Rozumiem. - Oderwał oczy od twarzy Greenberga i podszedł do stolika. - A jeśli się nie zgodzę?

- Mam cię do tego zmusić.

- Jak?

- Aresztując cię jako podejrzanego o zabójstwo z premedytacją.

- Co?!

- Jesteś ostatnim człowiekiem, o jakim wiemy, który widział Lucasa Herrona żywego. Groziłeś mu, sam się do tego przyznałeś.

- Ostrzegalem go!

- To kwestia interpretacji, nie uważasz?

I nagle rozległ się huk, tak potężny i ogłuszający, że obaj mężczyźni padli na podłogę. Mieli wrażenie jakby rozsypała się ściana budynku. W pokoju zrobiło się białe od pyłu. Kiedy Matlock uniósł głowę, zobaczył, że meble leżą poprzewracane, a kawałki szyb zalegają podłogę. Okruchy tynku i drzazgi nadal unosiły się w powietrzu, w którym czuło się obrzydliwy smród palącej się siarki. Po zapachu Matlock rozpoznał jakiego typu pocisku użyto i instynktownie wiedział, co robić. Przytrzymując się podnóża kanapy, czekał bez ruchu, świadom, że za chwilę detonator ze spóźnionym zapłonem spowoduje kolejny wybuch, który zabije każdego, kto w popłochu poderwie się z miejsca. Poprzez pokłady pyłu dojrzał Greenberga, który zaczynał się podnosić; skoczył w przód, chwytając agenta za kolana.

- Leż ! Nie wsta...

Pokojem wstrząsnął drugi wybuch. Część sufitu poczerniała. Matlock pojął, że celem zamachowców nie było zabicie przebywających w środku osób. Nie potrafił odgadnąć, co zawierał ładunek wybuchowy, ale nie miał wątpliwości, że był czymś w rodzaju kamuflażu - potężną petardą, która ma przestraszyć, zaskoczyć, odwrócić uwagę.

W całym budynku dały się słyszeć odgłosy narastającej paniki. Piętro wyżej rozległ się tupot nóg.

A po chwili zza drzwi frontowych doleciało przeraźliwe wycie, które nasilało się z sekundy na sekundę. Ten nieludzki krzyk sprawił, że mężczyźni czym prędzej dźwignęli się z podłogi i pobiegli tam, skąd dochodził dźwięk. Kiedy Matlock otworzył drzwi, jego oczom ukazał się widok, jakiego żaden człowiek nigdy w życiu nie powinien oglądać, widok, który mógł przyprawić o obłęd.

Na zewnątrz leżała Patrycja Ballantyne owinięta w przesiąkniętą krwią prześcieradło. Nagie piersi wystawały poprzez wycięte w materiale otwory, a z nacięć pod sutkami ciekły strużki krwi. Spływały również z ran na głowie, która rano pokryta była puszystymi, brązowymi włosami, teraz zaś ogolona do łysa. A także z rozchylonych ust. Dziewczyna miała wargi posiniaczone, popękane, oczy podbite i ledwo widoczne spod opuchlizny - ale na szczęście poruszała nimi! Poruszała oczami!

W kącikach ust pojawiła się ślina. Pat, półprzytomna, zmaltretowana, usiłowała coś powiedzieć.

- Jimmy... - wydusiła z siebie, po czym głowa opadła jej bezwładnie na bok.

Greenberg uderzył w Matlocka barkiem, wypychając go z mieszkania w gromadzący się przed drzwiami tłum, po czym zaczął krzyczeć "Policja!" i "Karetka!", aż dojrzał jak kilka osób pędzi wykonać jego polecenia. Przyłożył usta do ust dziewczyny, żeby dostarczyć powietrza jej osłabionym płucom, ale wiedział, że jest to zbędny zabieg. Patrycja Ballantyne była ranna, ale nie umierająca; została poddana torturom przez specjalistów, którzy dobrze znali swój fach. Każde cięcie, każda rana i siniec miały na celu zadanie przejmującego bólu, lecz bynajmniej nie spowodowanie śmierci.

Kiedy zaczął podnosić dziewczynę, podszedł do niego Matlock. Oczy miał spuchnięte, wezbrane łzami nienawiści. Odsunął łagodnie Greenberga, po czym wziął Pat na rękę, wniósł ją do mieszkania i ułożył na zdezelowanej kanapie. Greenberg znikł w sypialni, skąd po chwili wyłonił się z kocem. Okrył dziewczynę, następnie udał się do kuchni po miskę z ciepłą wodą i kilka ręczników. Kiedy wrócił do pokoju, ostrożnie zsunął z Pat koc i przyłożył ręcznik do jej zakrwawionych piersi. Matlock, spoglądając w przerażeniu na brutalnie pobitą twarz ukochanej, sięgnął po drugi ręcznik i delikatnie zaczął obmywać krew z jej ogolonej głowy i sinych ust.

- Nic jej nie będzie, Jim - powiedział Greenberg. - Widziałem podobne przypadki. Wkrótce będzie zdrowa.

Słyszac wycie zbliżającej się karetki pogotowia, zastanawiał się, czy rzeczywiście po tego typu przeżyciach człowiek kiedykolwiek tak naprawdę wraca do zdrowia.

Matlock, bezradny i zrozpaczony, wciąż przecierał twarz dziewczyny, wpatrując się w nią nieruchomym wzrokiem; łzy ciekły mu ciurkiem po policzkach.

- Wiesz, co to znaczy, prawda? - spytał Greenberga, starając się opanować szloch. - Nie macie prawa mnie wycofywać. Jeżeli ktoś spróbuje, zabiję go.

- Nikomu nie pozwolę odsunąć cię od tej sprawy - obiecał agent.

Na zewnątrz rozległ się pisk opon i po chwili migające światło na dachach wozów policyjnych i karetek pogotowia odbiło się w stłuczonej szybie.

Matlock wcisnął twarz w poduszkę obok nieprzytomnej dziewczyny i zaniósł się płaczem.

14

Obudził się w aseptycznie białym pokoju szpitalnym. Rolety były podciągnięte i od ścian odbijał się rażący blask słońca. Nie opodal stała pielęgniarka, która szybko i zamasyście notowała coś w karcie choroby umocowanej do metalowej podkładki i przyczepionej na cienkim łańcuszku do poręczy łóżka. Matlock podniósł rękę, żeby się przeciągnąć, ale ostry ból w lewym przedramieniu sprawił, iż opuścił je pośpiesznie.

- Rano człowiek zwykle czuje się obolały, panie Matlock powiedziała monotonnym głosem pielęgniarka, nie podnosząc głowy znad karty choroby. - Silne środki uspokajające podane dożylnie to istna tortura. Nie żebym doświadczyła tego na własnej skórze, ale Bóg mi świadkiem, widziałam wielu takich jak pan.

- Czy Pat... to znaczy panna Ballantyne, czy też tu jest?

- Niby w tym samym pokoju co pan? Czy wy, ludzie ze świątka akademickiego, nie macie za grosz przyzwoitości?

- Ale w ogóle to jest tu, w szpitalu?

- Oczywiście. W sąsiednim pokoju. Który będzie zamknięty na klucz! Boże, co za ludzie... W porządku. Wszystko zapisałam.

- Wypuściła z ręki kartę choroby; metalowa podkładka zabrzęczała o pręty łóżka i przez chwilę kołysała się na łańcuszku. - Nie wiem dlaczego, ale ma pan specjalne przywileje. Zaraz otrzyma pan śniadanie, mimo że pora śniadaniowa już dawno minęła. Pewnie chodzi o to, żeby się pan nie krzywił, kiedy przyjdzie do płacenia rachunku... O dowolnej porze po dwunastej może się pan wypisać.

- Która jest teraz? Ktoś mi ukradł zegarek.

- Za osiem dziesiątą i nikt go panu nie ukradł. Jest w depozycie razem z innymi rzeczami, które miał pan przy sobie.

- Jak się czuje panna Ballantyne?

- Nie udzielamy odpowiedzi na temat innych pacjentów, panie Matlock.

- Kto się nią zajmuje?

- Zdaje się, że ten sam lekarz co panem. Nietutejszy - dodała z naciskiem, dając mu do zrozumienia, że nie pochwała takich praktyk. - Jak wynika z pana karty, powinien się zjawić o dziesiątej trzydzięci. Gdyby pacjentka nagle poczuła się gorzej, mamy od razu do niego zadzwonić.

- To zadzwonić. Niech przyjdzie jak najszybciej.

- Doprawdy, proszę pana! Przecież pacjentka nie...

- Do jasnej cholery! Niech pani go natychmiast wezwie! Jego podniesiony głos sprawił, że drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł pośpiesznie Jason Greenberg.

- Słysząc cię aż na korytarzu. To dobry znak.

- Co z Pat?

- Przepraszam pana - wtrąciła pielęgniarka. - Regulamin szpitalny...

Agent wyjął legitymację i pokazał ją kobiecie.

- Ten człowiek znajduje się pod moją opieką. Jeśli siostra nie wierzy, może sprawdzić w izbie przyjęć, a na razie proszę zostawić nas samych.

Pielęgniarka zerknęła na legitymację, po czym szybkim krokiem opuściła pokój.

- Co z Pat? - powtórzył Matlock.

- Wygląda kiepsko - odparł Greenberg - ale nic jej nie będzie. Miała paskudną noc, a będzie miała jeszcze paskudniejszy dzień, kiedy poprosi o lustro.

- Nieważne jak wygląda! Pytam, jak się czuje?

- Założono jej dwadzieścia siedem szwów, na ciele, na głowie, na ustach i, dla urozmaicenia, na lewej stopie. Ale nic jej nie będzie. Jest mocno posiniaczona, lecz zdjęcia rentgenowskie i inne badania nie wykazały żadnych złamań, pęknięć, wylewów wewnętrznych. Jak zwykle skurwysyny bardzo fachowo wykonały robotę.

- Może mówić?

- Z trudem. Lekarz zalecił jej spokój. Najbardziej w tym momencie potrzeba jej snu. Wiedziałem, że tobie też przyda się wypoczynek. Dlatego kazałem cię tu wczoraj umieścić.

- Nikt w budynku nie odniósł ran?

- Nie. Dziwne to było. Chyba nie zamierzali nikogo zabić. Pierwszy ładunek, krótka, pięciocentymetrowa laska, przyczepiony był pod oknem na zewnątrz; jego wybuch spowodował eksplozję drugiego ładunku. Ten drugi, ze spóźnionym zapłonem, przypominał petardę, jakie odpala się podczas obchodów Dnia Niepodległości. Spodziewałeś się tego drugiego wybuchu, prawda?

- Tak. Chyba tak... Czyli co, chodziło im o wywołanie paniki?

- Na to wygląda.

- Mogę się zobaczyć z Pat?

- Lepiej nie. Lekarz sądzi, że zbudzi się dopiero po południu. Na wszelki wypadek, gdyby ból zaczął jej dokuczać, czuwa przy niej pielęgniarka z różnymi środkami, okładami i tak dalej. Na razie niech biedaczka wypocznie.

Matlock podniósł się ostrożnie i usiadł na krawędzi łóżka. Przez chwilę zginał i prostował ręce, nogi, obracał szyję; przekonał się, że może nie jest w świetnej formie, ale przynajmniej nic mu nie dolega.

- Czuję się jakbym miał kaca, tyle że bez bólu głowy.

- Dostałeś sporą dawkę środków uspokajających. Byłeś, co oczywiście zrozumiałe, w stanie silnego szoku.

- Wszystko dokładnie pamiętam. Jestem już spokojny, ale nie cofam ani jednego słowa... Słuchaj, mam dzisiaj dwa wykłady. Jeden o dziesiątej, drugi o czternastej. Zamierzam je odbyć.

- Nie musisz. Sealfont chce się z tobą widzieć.

- Zajrzę do niego po zajęciach, potem wrócę tu do Pat.

Zsunął się z łóżka i wolnym krokiem podszedł do dużego okna. Był ciepły, słoneczny dzień; od ponad tygodnia w całym stanie Connecticut utrzymywała się piękna pogoda. Spoglądając na zewnątrz, przypomniał sobie, że przed pięcioma dniami, kiedy po raz pierwszy spotkał się z Jasonem Greenbergiem, też patrzył przez okno. Przez inne okno. I że wtedy również podjął nieodwołalną decyzję.

- Wczoraj wieczorem obiecałeś, że nie pozwolisz nikomu wycofać mnie z tej sprawy. Mam nadzieję, że nie zmieniłeś zdania. Bo na pewno nie polecę na żadne Wyspy Dziewicze.

- Obiecałem, że nikt cię nie zaaresztuje. I dotrzymam słowa.

- A jak temu zapobiegiesz? Przecież mówiłeś, że mają dać kogoś na twoje miejsce.

- Nie martw się. Mogę wyrazić obietnicę natury moralnej, czyli napsuć przełożonym sporo krwi. Ale nie zrozum mnie źle. Jeżeli zaczniesz rozrabiać, mogą cię zamknąć, żebyś nie utrudniał śledztwa.- Jeśli mnie znajdą.

- To mi się nie podoba, Jim.

- Czy ja coś mówiłem? Gdzie jest moje ubranie? - Podszedł do wąskiej szafy i otworzył drzwiczki. Spodnie, marynarka i koszula wisiały na wieszakach, buty, do których wsunięto starannie złożone skarpety, stały na podłodze. W pojedynczej szufladzie leżała bielizna oraz przydzielona mu przez szpital szczoteczka do zębów. - Zrób mi przysługę i pogadaj z kim trzeba; żeby mnie stąd wypisano, dobrze? I spytaj o mój portfel z dokumentami, pieniądze i zegarek.

- Za chwilę... - Greenberg nie ruszył się z miejsca. - Co miałeś na myśli mówiąc "jeśli mnie znajdą"? Co chcesz zrobić?

- Nic takiego, nie obawiaj się. Po prostu będę dalej usiłował zdobyć "pewne drobne informacje", jak to ujęto w oświadczeniu, które podpisałem. Loring twierdził, że ktoś ma drugą połówkę mojego dokumentu. Zamierzam ją znaleźć.

- Posłuchaj, Jim! Nie przeczę, że masz prawo...

- Nie przeczysz?! - Matlock obrócił się w stronę Greenberga. Głos miał opanowany, ale biła z niego wściekłość. - Nie przeczysz? To trochę za mało! Mam niezaprzeczalne prawo i to z czterech ważnych powodów! Z powodu młodszego brata, który się utopił, z powodu tego czarnego skurwysyna, Dunois, czy jak mu tam, z powodu starca, który nie żyje i z powodu dziewczyny, która leży w sąsiednim pokoju! Podejrzewam, że ty i lekarz dokładnie wiecie, co jej się wczoraj przydarzyło! Ja się tego tylko domyślałem! Więc nie mów mi o moich prawach!

- Zgoda, masz rację. Po prostu nie chcę, żebyś obstając przy tym swoim niezaprzeczalnym prawie, skończył tak jak twój brat. To robota dla fachowców. Nie dla amatora! Jeśli będziesz dalej ciągnął sprawę, przynajmniej nie działaj na własną rękę. Informuj o wszystkim mojego następcę i słuchaj jego zaleceń. To ważne. Obiecuj, że nie będziesz się wygłupiał!

Matlock zdjął górę od pizamy i uśmiechnął się z zażenowaniem do agenta.

- W porządku. Obiecuję. Właściwie nie wyobrażam sobie siebie w roli samotnego detektywa. Już wiesz, kto zajmie twoje miejsce?

- Jeszcze nie. Pewnie przyślą kogoś z Waszyngtonu. Hartford i New Haven są za blisko. Nie będą ryzykować... Prawdę mówiąc nie wiedzą, kogo tamci zdołali przekupić. W każdym razie mój następcę wkrótce się z tobą skontaktuje. Sam osobiście wprowadzę go w całą sprawę. Powiem mu, żeby dzwoniąc do ciebie użył hasła... hm, masz jakiś pomysł?

- Niech zacytuje twoje przysłowie. Gdy starcy się zabijają, umierają miasta.

- Spodobało ci się, co?

- A czy prawda może się podobać albo nie? Prawda to po prostu prawda.

- A w dodatku to powiedzonko pasuje do sytuacji, tak?

- Nawet bardzo.

- Jim, zanim wyjadę dziś po południu, zapiszę ci numer moich rodziców w Bronx. Nie będą wiedzieli, gdzie jestem, ale codziennie będę z nimi w kontakcie. Gdybyś potrzebował pomocy, nie wahaj się zadzwonić.

- Dziękuję.

- Obiecujesz?

- Daję ci słowo - odparł Matlock, uśmiechając się z wdzięcznością.

- Oczywiście, biorąc pod uwagę okoliczności, być może sam odbiorę telefon.

- Otworzysz prywatną praktykę?

- Może nawet prędzej, niż sądzisz.

15

Między jednym a drugim wykładem Matlock wybrał się do niewielkiej firmy maklerskiej mieszczącej się w centrum Carlyle, z której wyszedł z czekiem opiewającym na sumę siedmiu tysięcy trzystu dwunastu dolarów. Tyle bowiem dostał za akcje, które kupował na przestrzeni lat, głównie za honoraria z książek. Makler próbował go zniechęcić; tłumaczył, że nie jest to dobry okres na sprzedaż, bo ceny nieco spadły. Ale Matlock był zdecydowany, więc mężczyzna chcąc nie chcąc wypisał czek.

Z firmy maklerskiej udał się do banku i przelał wszystkie oszczędności na bieżące konto. Do sumy widniejącej na wyciągu, który otrzymał, dodał siedem tysięcy trzysta dwanaście dolarów i spojrzął na końcowy wynik.

Jedenaście tysięcy pięćset jeden dolarów i siedemdziesiąt dwa centy.

Przez kilka minut z mieszanymi uczuciami wpatrywał się w tę liczbę. Z jednej strony świadczyła o tym, że jest wypłacalny, z drugiej jednak świadomość tego, ile dokładnie jest wart, działała na niego trochę przygnębiająco. W wieku trzydziestu trzech lat nie miał ani domu, ani ziemi, ani żadnych inwestycji. Jedyne, co posiadał, to samochód, meble i kilka niezbyt cennych drobiazgów. Opublikował parę książek, ale z tak wąskiej specjalności, że wiedział, iż nigdy nie dorobi się na nich majątku.

Dla wielu ludzi jedenaście i pół tysiąca dolarów byłoby ogromną sumą pieniędzy.

Rzecz w tym, że ilość ta nie wystarczała na jego potrzeby. Zdawał sobie z tego sprawę i dlatego wczesnym wieczorem zamierzał wybrać się do Scarsdale w stanie Nowy Jork.

Rozmowa z Sealfontem wytrąciła go z równowagi i nie wiedział, ile jego zszarpane nerwy zdołają jeszcze wytrzymać. Z głosu rektora biła głucha wściekłość oraz dorównująca jej siłą głęboka rozpacz.

Nie potrafi stawić czoła ciemnemu, przerażającemu światu przemocy i korupcji, oznajmił Sealfont siedząc w fotelu i spoglądając przez duże okno balkonowe na najpiękniej utrzymany trawnik na całej uczelni; nie potrafi, gdyż problemy tego świata wykraczają poza jego możliwości rozumowania. Patrząc na rektora, Matlock ze zdumieniem usłyszał, że Sealfont zastanawia się nad złożeniem rezygnacji z zajmowanego stanowiska.

- Jeżeli ta ponura, niewiarygodna historia jest prawdziwa, a najwyraźniej jest, nie mam prawa siedzieć w tym gabinecie.

- Przeciwnie - odparł Matlock. - Jeżeli jest prawdziwa, uniwersytet będzie cię potrzebował bardziej niż kiedykolwiek.

- Takiego ślepcę jak ja? Co komu ze ślepcy? Zwłaszcza ślepcy-rektora?

- Nie jesteś ślepy. Jedyne nieorientowany.

I wówczas Sealfont odwrócił się w fotelu i z całej siły huknął pięścią w biurko.

- Dlaczego tutaj?! Dlaczego, na Boga, tutaj?!

Siedzący naprzeciw niego Matlock spojrzął na ściągniętą bólem twarz rektora. Przez moment niemal miał wrażenie, że łzy popłyną mu z oczu.

Teraz Jim pędził na złamanie karku autostradą Merritt Parkway. Musiał pędzić, koncentrując całą uwagę na prowadzeniu pojazdu, bo inaczej nie poradziłby sobie. Wciąż myślałby o Pat Ballantyne, którą opuścił zaledwie kilka minut temu. Natychmiast po spotkaniu z Sealfontem udał się do szpitala, żeby zobaczyć się z dziewczyną. Ale nie rozmawiał z nią. Nikt z nią dotąd nie rozmawiał.

Powiedziano mu, że Patrycja obudziła się koło południa. Wpadła w histerię. Lekarz z Litchfield podał jej kolejną dawkę środków uspokajających. Był bardzo przejęty zdrowiem pacjentki; głównie martwił go jej stan psychiczny. Koszmar, jaki przeżyła, kiedy ją torturowano, nie mógł pozostać bez wpływu na psychikę dziewczyny.

Przez kilka pierwszych minut w olbrzymim domu rodziców w Scarsdale Matlock czuł się dość skrępowany. Ojciec, Jonathan Munro Matlock, nic nie mówił - pół życia obracał się w najwyższych kręgach biznesu i instynktownie umiał rozpoznać człowieka, któremu wszystko się wali, który jest bezsilny.

Bezsilny i w potrzebie.

Starając się zachować spokój, Jim wytłumaczył ojcu, że chce pożyczyć od niego dużą sumę pieniędzy; nie może jednak obiecać, że kiedykolwiek zdoła ją zwrócić. Pieniądze będą wykorzystane na pomoc dla młodych ludzi takich jak jego nieżyjący brat.

Jak nieżyjący syn.

- Na jaką pomoc? - spytał cicho Jonathan Matlock.

- Nie mogę ci powiedzieć - odparł James Matlock, patrząc ojcu w oczy.

Stanowczość w głosie syna i szczerłość widoczna w jego spojrzeniu sprawiły, że starszy mężczyzna zaakceptował tę odpowiedź.

- Dobrze. Czy nadajesz się do tego, co zamierzasz zrobić?

- Tak.

- Czy ze sprawą związani są inni?

- Z konieczności.

- Ufasz im?

- Tak.

- Czy to oni prosili o pieniądze?

- Nie. O niczym nie wiedzą.

- Czy pieniądze będą do ich dyspozycji?

- Nie. Powiem więcej. Wolałbym, żeby się o nich nie dowiedzieli.

- Nie stawiam ci warunków, po prostu pytam.

- A ja odpowiadam.

- Wierzysz, że to, co planujesz, w jakiś sposób pomoże takim chłopcom jak David? Że będzie to prawdziwa pomoc, konkretna, że nie ograniczy się do samych dobrych chęci, nierealnych mrzonek, działalności charytatywnej?

- Tak.

- Ile potrzebujesz?

Matlock wziął głęboki oddech.

- Piętnaście tysięcy dolarów.

- Poczekaj.

Po kilku minutach Jonathan Matlock wyłonił się z gabinetu i wręczył synowi kopertę.

Syn wiedział, że nie musi sprawdzać zawartości.

Jeszcze chwilę z ojcem porozmawiał, po czym opuścił dom rodziców, wsiadł w samochód i odjechał, świadom, że matka z ojcem stoją na ogromnej werandzie i odprowadzają go wzrokiem.

Zaparkował wóz na podjeździe przed domem, wyłączył reflektory, zgasił silnik i zmęczony wysiadł z samochodu. Zbliżając się do budynku wzniesionego w stylu elżbietańskim, zauważył, że w mieszkaniu palą się wszystkie światła. Greenberg woli nie ryzykować, pomyślał; podejrzewał, że milczący, niewidoczni żołnierze Greenberga są ukryci gdzieś w pobliżu i obserwują dom z zewnątrz.

Przekreślił klucz w zamku i otworzył drzwi. W środku nie było nikogo. A przynajmniej nikogo nie dostrzegł. Nawet kota.

- Hej tam! Jason, gdzie jesteś? To ja, Matlock!

Nie słysząc żadnej odpowiedzi, odetchnął z ulgą. Marzył jedynie o tym, żeby wślizgnąć się do łóżka i zasnąć. W drodze powrotnej z Scarsdale ponownie zatrzymał się w szpitalu, lecz nie pozwolono mu zajrzeć do Pat. Dowiedział się jednak, że "panna Ballantyne odpoczywa i stan jej zdrowia jest zadowalający". Wyraźny postęp, albowiem jeszcze po

południu było z nią bardzo niedobrze. W każdym razie oznajmiono mu, że może ją odwiedzić jutro o dziewiątej rano.

Należało się porządnie wyspać, zapaść jak najprędzej w twardy i - o ile to możliwe - spokojny sen. Musiał za wszelką cenę nabrać świeżych sił. Jutro czekało go mnóstwo pracy!

Mijając zniszczoną od wybuchu ścianę i stłuczoną szybę w oknie, wszedł do sypialni. Narzędzia stolarza i tynkarza leżały starannie ułożone w kącie. Zdjął marynarkę, koszulę i nagle, przeklinając cicho pod nosem, pomyślał sobie, że staje się zbyt pewien siebie. Ruszył pośpiesznie do łazienki, zamknął za sobą drzwi, po czym pochylił się nad kocią kuwetką i podniósł gazetę oraz brzeg znajdującego się pod nią brezentu. Korsykański dokument leżał nie tknięty; jego srebrna, nieco zmatowiała powierzchnia połyskiwała w świetle żarówki.

Matlock wrócił do sypialni, wyjął z kieszeni spodni portfel, pieniądze oraz kluczyki samochodowe. Kładąc je na biurku, przypomniał sobie o kopercie, którą dał mu ojciec.

Wiedział, co znajdzie w środku. Znał ojca lepiej niż ten się domyślał. Gotów był się założyć, że oprócz czeku koperta zawiera krótki liścik stwierdzający, że pieniądze są prezentem, nie pożyczką, czyli żaden zwrot długu nie wchodzi w rachubę.

Nie mylił się. Wysunął z koperty złożoną kartkę papieru, jednakże słowa, jakie na niej widniały, były inne niż oczekiwał.

Wierzę w ciebie. I zawsze wierzyłem.

Całuję - tata.

Z drugiej strony kartki przypięty był czek. Matlock wysunął go spod spinacza i spojrzał na sumę wypisaną przez ojca.

Czek opiewał na pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

16

Opuchlizna na twarzy i wokół oczu znacznie zmaląła. Matlock ujął rękę dziewczyny i ściskając ją mocno, po raz kolejny przysunął policzek do twarzy Patrycji.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął, usiłując ją pocieszyć.

Miotany wściekłością i pełen wyrzutów sumienia, musiał panować nad sobą, żeby nie krzyczeć. To, że człowiek może wyrządzić drugiemu tak straszną krzywdę, po prostu nie mieściło mu się w głowie. I to on, James Matlock, był wszystkiemu winien.

- Jimmy... Jimmy?

- Ciii... Jeśli cię boli, to nic nie mów.

- Dlaczego mi to zrobili, Jimmy?

- Nie wiem, kochanie. Ale dowiemy się.

- Nie! - zawołała. - Lepiej nie! Oni... oni...

Zaschło jej w gardle, nie mogła przełknąć śliny. Wskazała ręką na szklankę wody stojącą na stoliku przy łóżku. Matlock czym prędzej podniósł szklankę i zbliżył ją do ust Pat, podtrzymując dziewczynę ramieniem.

- Jak to się stało? Tam w restauracji...

- Mówiłam... Greenbergowi. Mężczyzna i kobieta... podeszli do mnie... twierdzili, że ty... że czekasz na zewnątrz.

- Nic nie mów, Jason mi wszystko opowie.

- Czuję się... lepiej. Wciąż... mnie boli, ale... czuję się lepiej... Naprawdę... Czy nic mi nie będzie?

- Nic a nic. Rozmawiałem z lekarzem. Jesteś mocno posiniaczona, ale nie ma żadnych złamań. Musisz kilka dni odpocząć i to wszystko.

W oczach Pat pojawiły się iskierki i jej pozszywana twarz wykrzywiła się w żalonym uśmiechu.

- Broniłam się... walczyłam i walczyłam... a potem... potem straciłam przytomność.

Z całej siły panował nad sobą, żeby nie wybuchnąć płaczem.

- Byłaś bardzo dzielna. Ale więcej już nie mów. Leż spokojnie, nie przemęczaj się. Będę siedział tu przy tobie i możemy porozumiewać się wzrokiem. Pamiętasz? Mówiłaś kiedyś, że w obecności innych zawsze porozumiewamy się wzrokiem... Opowiem ci pieprzny kawał, chcesz?

Tym razem uśmiechnęła się do niego oczami.

Siedział przy Patrycji, dopóki pielęgniarka nie kazała mu odejść. Dopiero na jej polecenie, delikatnie pocałował dziewczynę w usta, opuścił pokój. Ciężar spadł mu z serca, ale wściekłość nie minęła.

- Panie Matlock! - Młody lekarz, chyba świeżo po studiach medycznych, dogonił go przy windzie.

- Tak?

- Telefon do pana. Może pan odebrać w rejestracji na pierwszym piętrze. Zaprowadzę pana.

Głos w słuchawce brzmiał obco.

- Panie Matlock, nazywam się Houston. Jestem przyjacielem Jasona Greenberga. Prosił, żebym się z panem skontaktował.

- Tak? A jak się miewa Jason?

- Dobrze. Chciałbym się z panem jak najszybciej spotkać.

Matlock już zamierzał wyznaczyć jakieś miejsce, wszystko jedno jakie, i powiedzieć facetowi, że spotka się z nim w przerwie między zajęciami, ale nagle się zawahał.

- Czy Jason przypadkiem nie zostawił dla mnie żadnej wiadomości? - spytał. - Nie powiedział, na przykład, dokąd wyjeżdża, czy coś w tym rodzaju?

- Nie, panie Matlock. Prosił jedynie, żebym natychmiast się z panem skontaktował.

- Rozumiem. - Dlaczego Houston nie podał umówionego hasła? - Bo wie pan, mówił, że zostawi jakiś adres czy namiary na siebie. Obiecał mi.

- To byłoby wbrew przepisom, panie Matlock.

- Aha... więc nie zostawił dla mnie wiadomości? Mężczyzna na drugim końcu linii wyraźnie się zawahał.

- Może zapomniał... Prawdę mówiąc, nie rozmawiałem z nim osobiście. Otrzymałem rozkaz bezpośrednio z Waszyngtonu. To gdzie się spotkamy?

Matlock wyczuł nerwowe napięcie w głosie Houstona; kiedy wspomniał o rozkazach z Waszyngtonu, jego ton stał się nieco piskliwy.

- Zadzwoń do pana później - odparł. - Jaki jest pański numer?

- Dzwonię z budki, panie Matlock, i musimy się natychmiast spotkać. Takie otrzymałem polecenie!

- Nie wątpię...

- Słucham?

- Nie, nic. Jest pan w mieście? W Carlyle?

Mężczyzna znów się zawahał.

- Jestem w pobliżu.

- Jak pan sądzi, panie Houston... czy miasto umiera?

- Co? O czym pan mówi?

- Spóźnię się na zajęcia. Niech pan zadzwoni na uczelnię. Na pewno mnie pan znajdzie.

Odłożył słuchawkę. Lewa ręka mu drżała. Czoło miał złane potem.

Zrozumiał, że Houston to wróg.

I wróg był coraz bliżej.

W sobotę rozpoczynał zajęcia o jedenastej, więc miał jeszcze godzinę na to, żeby zastanowić się, co zrobić z czekiem od ojca. Pomysł, żeby w poniedziałek rano pojechać do banku w Carlyle i tam go zdeponować, niezbyt mu odpowiadał. Podejrzewał, że mogą być z tym trudności; zresztą nie wiedział, gdzie będzie w poniedziałek.

Na pierwszy rzut oka Carlyle nie różniło się od innych miast uniwersyteckich w Nowej Anglii; we wszystkich panowały podobne zwyczaje. Mieszkańcy znali z imienia ludzi, z których usług korzystali i których praca sprawiała, że życie było tu takie miłe i wygodne. Do mechanika w warsztacie samochodowym mówiono Joe lub Mac, do kierownika sklepu z odzieżą Al, do dentysty John lub Warren, do paniąki w pralni chemicznej - Edith. Bankier, do którego zwrócił się Matlock, nazywał się Alex. Alex Anderson był absolwentem uniwersytetu w Carlyle; tu się urodził przed czterdziestu laty, tu wychował i po studiach tu pozostał. Matlock zadzwonił do niego do domu i wyłuszczył mu swój problem. Że otrzymał czek od ojca na bardzo wysoką sumę. Że zamierza zainwestować te pieniądze, ale rodzaju inwestycji nie może zdradzić. Ponieważ wczoraj go okradziono, wolałby nie trzymać czeku w mieszkaniu, a nosić go przy sobie też nie chce. Czy Alex ma pomysł, co powinien zrobić? Może wysłać czek do banku pocztą? Jeśli tak zrobi, czy pieniądze zostaną od razu przelane na jego konto? Bo będą mu potrzebne, a nie jest pewien, czy zdoła w poniedziałek wpaść do banku. Alex Anderson zaproponował rozwiązanie, o jakie Jimowi od początku chodziło. Niech Matlock podpisze czek, zaznaczy na kopercie, że ma trafić na jego, Andersona, biurko, i wrzuci ją do skrzynki depozytowej. W poniedziałek z samego rana bankier się wszystkim zajmie.

Zanim się pożegnali, Alex spytał o kwotę wymienioną na czeku; Matlock odparł, że chodzi o pięćdziesiąt tysięcy.

Kiedy uporał się ze sprawą pieniędzy, skupił się na tym, co go czeka, na "punkcie startu". Było to jedyne określenie, jakie przyszło mu do głowy; może było zbędne, ale zamierzał działać metodycznie - potrzebował dyscypliny i porządku. Wiedział, że dalsze wypadki mogą potoczyć się w sposób niekontrolowany, żywiołowy, chciał więc, żeby przynajmniej pierwsze kroki, jakie wykona, były idealnie przemyślane i opracowane. Podjął bowiem nieodwołalną decyzję.

Zamierzał wejść w świat Nemroda. Założyciela Babilonu i Niniwy, łowcy dzikiej zwierzyny, zabójcy dzieci i starców, dręczyciela kobiet.

I zamierzał go znaleźć.

Podobnie jak większość dorosłych ludzi wierzących, że nie wszystko, co przyjemne, jest automatycznie niemoralne, Matlock wiedział, że zarówno w Connecticut, jak i w sąsiednich stanach na północy, południu i zachodzie istnieje rozwinięta sieć domów i lokali specjalizujących się w dostarczaniu zainteresowanym osobom różnych rozrywek źle widzianych przez kościół i sądy. Czy istniał w Hartford choć jeden dobrze zarabiający dyrektor, który nie słyszał o ciągnących się wzdłuż alei New Britain "sklepikach ze starociami", gdzie za odpowiednią, nawet niezbyt wygórowaną opłatą można było zabawić się z młodą, wiotką dziewczyną? Czy wśród dojeżdżających do pracy z Old Greenwich był ktoś, kto nie wiedział o dużych posiadłościach na północ od Green Farms, gdzie wygrywano i przegrywano tyle co w kasynach Las Vegas? Ile znużonych żon biznesmenów z New Haven lub Westport naprawdę nie domyślało się, na czym polegają usługi panów "do towarzystwa" reklamujących się w Hamden i Fairfield? A w Norfolks, gdzie dawna arystokracja - która przeniosła się nieco na zachód, żeby odseparować się od nowobogackich - pobudowała ogromne, stylowe rezydencje? Jak niosła wieść, w Norfolks oferowano najbardziej wyuzdane rozrywki. W pograżonych w półmroku domach oświetlonych jedynie blaskiem świec bywali znudzeni, zblazowani osobnicy czerpiący przyjemność z oglądania najbrzydszych scen w wykonaniu kobiet, mężczyzn i zwierząt.

Matlock wiedział, że gdzieś w tym świecie rozpusty i wyuzdania odnajdzie Nemroda. Nie miał co do tego wątpliwości. Bo choć narkotyki stanowiły tylko dodatek do innych atrakcji, były dostępne wszędzie.

Wśród oferowanych rozrywek żadna nie dostarczała tylu podniecia i emocji co hazard; kasyna przyciągały ludzi niczym magnes. Ci, którym brakowało czasu na hulanki w San Juan, w Londynie czy w Las Vegas, mogli zrobić sobie krótki wypad za miasto i przeżyć kilka szalonych chwil, zapominając o monotonii i nudzie dnia codziennego. Reputację zdobywało się szybko przy pokrytych zielonym sukniem stolikach - wystarczył jeden rzut kości, wyłożenie kart. Matlock postanowił rozpocząć poszukiwania właśnie od kasyn. To był ten jego "punkt startu". Wiedział, że prędzej czy później ktoś zainteresuje się młodym, trzydziestotrzyletnim mężczyzną, który bez zmruczenia oka przegrywa grube tysiące.

O dwunastej trzydzieści ruszył przez dziedziniec, kierując się w stronę swojego mieszkania. Nadeszła pora na wykonanie pierwszego ruchu. Ogólny zarys planu powoli nabierał kształtów.

Powinien był usłyszeć kroki, ale ich nie usłyszał. Usłyszał jedynie kaszel, charakterystyczny kaszel palacza, który zmachał się po biegu.

- Pan Matlock?

Odwrócił się i ujrzał mężczyznę w wieku trzydziestokilku lat, może ciut starszego od siebie, który faktycznie ciężko dyszał, usiłując złapać oddech.

- Tak?

- Jakoś się ciągle rozmijamy. Kiedy dotarłem do szpitala, okazało się, że pan przed chwilą wyszedł. Potem czekałem nie w tym budynku co trzeba, aż pan skończy zajęcia. Pomyliłem pana z jakimś wykładowcą biologii... nie da się ukryć, facet był mocno

zakłopotany. No cóż, nazwisko miał dość podobne i podobny typ budowy. Taki sam wzrost, tusza, kolor włosów...

- To Murdock. Elliott Murdock. A o co chodzi?

- Nie mógł zrozumieć, dlaczego upieram się, że "gdy starcy się zabijają, umierają miasta".

- Pan jest następcą Greenberga!

- Tak. Strasznie ponure hasło, jeśli mam być szczery. Niech pan się nie zatrzymuje. Na końcu ścieżki rozdzielimy się. Spotkajmy się za dwadzieścia minut w "Bill's Bar & Grill". To nie opodal dworca towarowego, sześć przecznic na południe od stacji Carlyle. Zgoda?

- Nazwa knajpy nic mi nie mówi.

- Lepiej niech pan przyjdzie bez krawata. Ja będę w skórzanej kurtce.

- Coś mi się zdaje, że wybrał pan mało elegancki lokal.

- Z przyzwyczajenia. W kosztorysie wpisuję droższy i w ten sposób zawsze trochę zaoszczędzam.

- Greenberg radził mi, żebym z panem współpracował, więc...

- Ja też radzę. W przeciwnym razie nogi mu z tyłka powyrywają. Z tego, co się orientuję, gotowi są go wysłać choćby na drugi koniec Stanów, byle jak najdalej stąd... To naprawdę świetny facet. Wszyscy agenci go lubią. Niech mu pan nie wytnie jakiegoś głupiego numeru.

- Zamierzałem tylko spytać pana o nazwisko. Nie oczekiwałem kazania.

- Nazywam się Houston. Fred Houston. Do zobaczenia za dwadzieścia minut. I niech pan pozbędzie się krawata.

17

“Bill's Bar & Grill” mieścił się w części miasta, do której Matlock nigdy się nie zapuszczał. Główną klientelę stanowili pracownicy kolei i podejrzane typy kręcące się w pobliżu dworca. Rozejrzał się po brudnym lokalu; Houston siedział przy stoliku na końcu sali.

- O tej porze zawsze jest tu tłok - powiedział agent. - Studenci upijają się dopiero pod wieczór, ale potem niewiele się różnią od tych tu. W dzisiejszych czasach nie różnią się nawet strojem.

- Co za speluna.

- Ale nadaje się do naszych celów. Niech pan idzie do kontuaru i coś sobie zamówi. Skąpo odziane kelnerczki zjawiają się dopiero bladym świtem.

Matlock posłuchał i po chwili wrócił ze szklanką najlepszego bourbona, jaki zdołał wypatrzyć na półce. Pijał niegdyś ten gatunek, ale przestał go kupować, gdy tylko zaczął odrobinę więcej zarabiać.

- Lepiej będzie, jak od razu panu powiem. Ktoś podszywający się pod pana zadzwonił do mnie do szpitala.

Houston podskoczył tak, jakby dostał cios w brzuch.

- O Boże - szepnął. - Co powiedział? Jak pan zareagował?

- Czekałem, żeby podał umówione hasło... to przysłowie. Kilka razy pytałem go, czy nie ma dla mnie wiadomości, ale nie wiedział o co chodzi... Kazałem mu zadzwonić później i odwiesiłem słuchawkę.

- Przedstawił się jako Houston? Na pewno?

- Tak.

- Nie rozumiem. Przecież nie mógł znać mojego nazwiska!

- Znał. Może mi pan wierzyć.

- Ale nikt nie wiedział, że mam zastąpić Greenberga. Sam dowiedziałem się o tym dopiero o trzeciej nad ranem.

- Musiał być jakiś przeciek.

Houston wypił kilka łyków piwa.

- Jeśli to prawda, zostaną odwołany w ciągu kilku godzin - powiedział. - Swoją drogą, wykazał się pan przytomnością umysłu... Na przyszłość proszę jednak pamiętać, że zawsze należy się wystrzegać kontaktów telefonicznych.

- Dlaczego?

- Gdybym do pana zadzwonił, skąd bym wiedział, że rozmawiam właśnie z panem?

- No tak, rozumiem.

- Wystarczy chwilę pomyśleć. Większość tego, co robimy, opiera się na zdrowym rozsądku. Zatrzymajmy to hasło ze starcami i miastami. Przekażę je mojemu następcy, który pewnie skontaktuje się z panem wieczorem.

- Jest pan pewien, że pana odwołają?

- Namierzono mnie. Wolę nie ryzykować. Pamiętaj, co się stało z Loringiem. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci.

- W porządku. Rozmawiał pan z Jasonem? Wprowadził pana w szczegóły?

- Gadaliśmy przez dwie godziny. Od czwartej do szóstej rano. Moja żona twierdzi, że wypił trzynaście filiżanek kawy.

- Czego się dowiedzieliście o Pat? O pannie Ballantyne? Co oni jej zrobili?

- Zna pan diagnozę...

- Niecałą.

- Też nie znam wszystkich szczegółów.

- Niech pan nie kłamie.

Houston nie obraził się; popatrzył na Matlocka i kiedy zaczął mówić, w jego głosie brzmiało głębokie współczucie.

- No dobrze. Są ślady, że została zgwałcona. O to panu chodziło, prawda?

Matlock zacisnął rękę na szklance.

- Tak - odparł szeptem.

- Ale powinien pan również wiedzieć o czymś innym. W tym stadium, w jakim się na razie znajduje, dziewczyna nie zdaje sobie z tego sprawy. Czasem umysł tak właśnie działa. Każe nam wyprzeć z pamięci pewne rzeczy, dopóki sam nie uzna, że będziemy umieli poradzić sobie z tym, co zapomnieliśmy.

- Dzięki za drobny wykład z psychologii... Bydlaki. Podłe bydlaki.

Odsunął szklankę. Bourbon wydał mu się odrażający, a poza tym nie chciał, żeby alkohol choć trochę stępił mu zmysły.

- Nie wiem, czy właściwie odczytuję pańską reakcję - powiedział Houston. - Jeśli nie, to przepraszam, ale... niech się pan postara być przy dziewczynie, kiedy kawałki łamigłówek ułożą się jej w całość. Będzie pana bardzo potrzebować.

Matlock podniósł oczy znad stołu, znad zaciśniętych w pięści rąk.

- Jest z nią aż tak źle? - spytał ledwo słyszalnym szeptem.

- Wstępne badania laboratoryjne... włosów, paznokci i czegoś tam jeszcze, wskazują, że gwałtu dokonało kilka osób.

Tylko w jeden sposób Matlock potrafił wyrazić bezsilną wściekłość, jaka go ogarnęła. Zamknął oczy, chwycił szklankę i cisnął ją przed siebie; rozbiła się na podłodze przed kontuarem. Barman rzucił na blat brudną ścierkę i mierząc winowajcę gniewnym spojrzeniem, ruszył w jego stronę. Nagle stanął w pół kroku. Houston szybko wyciągnął z kieszeni banknot i pomachał nim, dając facetowi znać, żeby się nie zbliżał.

- Niech się pan weźmie się w garść! - zawołał cicho do Matlocka. - Takim zachowaniem niczego pan nie wskóra. Tylko niepotrzebnie zwraca pan na nas uwagę. Proszę posłuchać. Może pan dalej zajmować się tą sprawą, ale są dwa warunki. Po pierwsze, zanim cokolwiek pan przedsięwzię, musi pan porozumieć się z naszym człowiekiem. Miałem nim być ja, ale... A po drugie, może pan prowadzić dochodzenie wyłącznie wśród studentów. Wszystkich innych, czyli pracowników uniwersytetu, wykładowców, osoby z zewnątrz, ma pan zostawić fachowcom. Codziennie między dziesiątą a jedenastą wieczorem proszę składać sprawozdanie. Mój następca wyznaczy miejsce; będzie z panem w stałym kontakcie. Wszystko jasne?

Matlock patrzył na agenta z niedowierzaniem. Rozumiał, co ten mówi, rozumiał nawet, dlaczego to mówi, ale nie mieściło mu się w głowie, że ktoś, kogo Jason Greenberg wprowadził w szczegóły, może mu wydawać takie polecenia.

- Chyba pan żartuje - oświadczył.

- Nie. To rozkaz. A rozkaz to świętość. Żadnych odstępstw.

Historia się powtarzała. Kolejna sztuczka, kolejne kłamstwo. Jeszcze jeden papierowy rozkaz od niewidocznych papierowych ludzi u władzy.

- Więc o to wam chodzi, tak? Teoretycznie nie jestem odsunięty od sprawy, ale praktycznie mam związane ręce. Pozwalacie mi poruszać się po samych obrzeżach i uważacie, że dotrzyмалиście słowa, tak?

- Lepsze to niż kręcić się jak frygia.

Spojrzenie Matlocka powędrowało do góry. Usiłował zyskać kilka cennych sekund, zastanowić się.

- Kręci się fryga. Frygia to starożytna kraina w Azji Mniejszej, w pierwszym tysiącleciu przed naszą erą zasiedlona przez Frygów, a w czternastym wieku podbita przez Turków.

- Wariat! Cieszę się, że nie będziemy razem współpracować! Ale niech się pan zastosuje do poleceń; tak będzie najlepiej, proszę mi wierzyć. Aha, i jeszcze jedno. Muszę zabrać ten dokument, który Loring panu dał. Obowiązkowo.

- Obowiązkowo? Co pan powie? - Matlock przesunął się na koniec brudnej, skórzanej kanapy. - Wracaj pan do swoich, do Waszyngtonu, i poinformuj ich, że obowiązkowo odmówiłem. I że mam gdzieś te ich święte rozkazy.

- Naraża się pan na aresztowanie!

- Zobaczymy, kto się na co narazi - odparł Matlock. Wstał, popchnął lekko stół, zagradzając agentowi wyjście, i ruszył do drzwi. Po chwili doleciało go skrzypienie: Houston odsunął od siebie mebel, po czym krzyknął do Matlocka, cicho, nerwowo, jakby nie był pewien co robił - z jednej strony chciał, żeby Jim zatrzymał się, z drugiej zaś nie chciał wołać go głośno po nazwisku. Matlock doszedł do drzwi, na chodniku skręcił w prawo i ile sił w nogach zaczął biec. Dotarł do wąskiej uliczki, która na szczęście prowadziła we właściwym kierunku, i skrył się w niej, przywierając plecami do jakichś drzwi. Na drugim końcu uliczki, przy szosie prowadzącej na plac załadunkowy, dojrzał Houstona. Agent szybkim krokiem minął robotników odpoczywających w trakcie przerwy obiadowej. Sprawiał wrażenie wystraszonego. Matlock zrozumiał, że nie powinien wracać do swojego mieszkania.

To dziwne, pomyślał siedząc przy stoliku za przepierzeniem w "Bill's Bar & Grill". Dwadzieścia minut temu marzył o tym, żeby jak najprędzej się stąd wydostać, a teraz znów tu siedzi. Ale powrót do lokalu miał pewien sens, o ile w ogóle cokolwiek miało jeszcze sens. Po prostu chciał być sam, by nie niepokojony przez nikogo zastanowić się nad dalszym działaniem. Gdyby spacerował po ulicach, mógłby go zauważyć ktoś z niewidocznej armii duetu Greenberg-Houston. Jak na ironię, brudny bar wydał mu się bezpieczniejszym miejscem.

Po wejściu od razu przeprosił nieufnego barmana i zapłacił za stłuczoną szklanekę. Powiedział mu, że facet, z którym się pokłócił, to wredny naciągacz - wyłudził od niego sporo forsy i wciąż zwlekał z oddaniem długu. Barman wysłuchał klienta, który teraz był już zupełnie opanowany, i nie tylko dał mu wiarę, ale zaczął traktować Matlocka jak bardzo ważnego gościa.

Siedząc przy stoliku, Jim rozważał kolejne posunięcia. Było kilka spraw, którymi musiał się zająć, zanim wyruszy na poszukiwanie Nemroda. Teraz po spotkaniu z Houstonem doszła jeszcze jedna, na którą agent całkiem nieświadomie zwrócił mu uwagę. Chodziło o bezpieczeństwo Pat. Nie mógł przystąpić do działania, myśląc bez przerwy o dziewczynie. Wszystkie inne punkty na liście, którą ułożył sobie w głowie, spadły na dalszy plan. Ubranie, gotówka, zdobycie samochodu musiało poczekać. Kto wie, może trzeba będzie zmienić strategię, pomyślał. Współpracownicy Nemroda zapewne są obserwowani, jego - Matlocka - mieszkanie również, podobnie jak każda osoba i każde miejsce figurujące w spisie departamentu sprawiedliwości.

Ale najpierw Patrycja. Musi zorganizować jej obstawę, która będzie strzegła dziewczyny dzień i noc, dwadzieścia cztery godziny na dobę, w dodatku otwarcie, tak żeby wszyscy to widzieli. Tak aby obie niewidoczne armie pojęły, że Pat wypadła z gry. Pieniądze nie stanowiły najmniejszego problemu. W Hartford z łatwością znajdzie ludzi zawodowo trudniących się ochroną, którzy sprostają jego wymaganiom. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Wielkie firmy ubezpieczeniowe bez przerwy korzystały z usług agencji detektywistycznych. Przypomniał sobie znajomego matematyka, który porzucił uniwersytet i przeszedł do znacznie lepiej płatnej pracy w dziale obliczeniowym "Aetny". Tak, dawny znajomy mógł mu coś doradzić. Rozejrzał się po obskurnym barze, wypatrując aparatu telefonicznego.

Jedenaście minut później znów siedział przy stoliku za przepierzeniem. Do ochrony Pat wynajął agencję "Blackstone Security, Incorporated" mieszczącą się przy Bond Street w

Hartford: obiecano mu, że trzech mężczyzn będzie dyżurować przy chorej, zmieniając się co osiem godzin. Stawka wynosiła trzysta dolarów za dobę. Oczywiście, Matlock miał pokrywać wszelkie inne koszty, jakie firma poniesie. Poinstruowano go też, że za dodatkową opłatą agencja może mu wypożyczyć "telektronika", małe urządzenie, które krótkimi sygnałami informuje klienta, kiedy ktoś usiłuje się z nim skontaktować. Blackstone zasugerował, że numer telefonu kontaktowego powinien się różnić od numeru w domu klienta; w ciągu dwunastu godzin, za niewielką opłatą, taki numer może być mu przydzielony.

Matlock zgodził się na wszystko i za wszystko był wdzięczny. Obiecał, że przyjedzie do Hartford po południu, aby zapłacić i podpisać co trzeba. Zależało mu na tym, żeby osobiście spotkać się z Blackstonem, ale z całkiem innego powodu. Blackstone jednak wyjaśnił mu, że nie ma pośpiechu; ponieważ otrzymał w jego sprawie telefon od szefa działu obliczeniowego "Aetny", formalności mogą poczekać. W ciągu godziny wysłał ludzi do szpitala. A swoją drogą, czy pan Matlock przypadkiem nie jest spokrewniony z Jonathanem Munro Matlockiem? Bo szef działu obliczeniowego "Aetny" wspomniał, że...

Matlockowi ciężar spadł z serca. Blackstone mógł mu się przydać. Dawny znajomy z uniwersytetu, który obecnie pracował w firmie ubezpieczeniowej "Aetna", zapewnił Jima, że agencja Blackstone'a należy do najlepszych. Drogo liczy za usługi, oświadczył, ale nie ma sobie równej w mieście. Pracownicy agencji rekrutowali się w większości z byłych oficerów sił specjalnych i wywiadowców piechoty morskiej. Blackstone'owi nie chodziło o chwyt reklamowy, chodziło mu o ludzi inteligentnych, przedsiębiorczych i twardych. Ponadto agencja była oficjalnie zarejestrowana, a jej pracownicy szanowani zarówno przez policję miejscową jak i stanową.

Kolejnym punktem na liście Matlocka było ubranie. Wcześniej planował wrócić do mieszkania, spakować garnitur, kilka par spodni, ze dwie marynarki. Sytuacja się jednak zmieniła. Nie mógł, przynajmniej na razie, ryzykować powrotu do domu. Ubranie będzie musiał kupić po drodze. Ze zdobyciem gotówki mogło być trudniej, zważywszy na wysokość sumy, jakiej potrzebował. Nie zamierzał zmarnować sobotniego wieczoru, ale w soboty i niedziele banki - jedyne źródła większej gotówki - były zamknięte.

Postanowił znów się zwrócić o pomoc do Alexa Andersona. Powiedzieć mu, że Jonathan Munro Matlock będzie ogromnie zobowiązany i na pewno nie omieszką się odwdziaczyć, jeśli po południu bankier wypłaci jego synowi większą sumę pieniędzy. Transakcja musi oczywiście pozostać w ścisłej tajemnicy. Za przysługę wyświadczoną w sobotnie popołudnie bankier otrzyma odpowiednie wynagrodzenie. Wręczone w sposób dyskretny, ma się rozumieć.

Matlock wstał z brudnej, porwanej kanapy i podszedł do telefonu.

Alex Anderson na moment zawahał się, niepewien czy może spełnić prośbę syna Jonathana Munro Matlocka, jednakże jego wątpliwości nie dotyczyły kwestii wypłaty pieniędzy, lecz kwestii tajności. Ale po chwili podjął decyzję; bądź co bądź wychodząc naprzeciw prośbie klienta podtrzymuje się najlepsze tradycje bankowe. Bank powinien być do dyspozycji swoich zacnych klientów. A jeśli klient pragnie się odwdziaczyć... no cóż, ma do tego prawo.

Alex Anderson obiecał Matlockowi, że przygotuje dla niego pięć tysięcy dolarów. Umówili się o trzeciej przed kinem "Plaza", w którym po latach znów szedł "Nóż w wodzie" - w wersji oryginalnej, z napisami.

Zdobycie samochodu przedstawiało najmniejsze trudności. W mieście znajdowały się dwa biura wynajmu wozów: firma "BudgetNational" oraz "Luxor-Elite". Z pierwszej korzystali głównie studenci, z drugiej ich zamożniejsi rodzice. Matlock zamierzał udać się do "Luxor", wynajmując cadillaca albo lincolna, pojechać do Hartford, wstąpić do tamtejszego biura "Luxor" i zamienić samochód na inny. Z Hartford zaś pojechać do filii biura w New Haven i

przesiąść się w kolejny wóz. Klientowi z pieniędzmi nie zadaje się zbyt wielu pytań; a jeśli w dodatku klient wręcza godziwe napiwki, chętnie spełnia się każde jego życzenie.

Pierwsza faza planu była opracowana.

- Przepraszam, czy pan ma na nazwisko Matlock? - Zarośnięty barman pochylił się nad stołem, ściskając w prawej ręce brudną ścierkę.

- Tak - odparł zdumiony Matlock, wciągając gwałtownie powietrze.

- Przed chwilą podszedł do mnie taki jeden. Prosił, żebym panu powiedział, że zostawił pan coś na zewnątrz. Na chodniku. I żeby się pan pośpieszył.

Przez moment Matlock wpatrywał się tępo w mężczyznę. W brzuchu czuł bolesny skurcz; znów ogarnął go strach. Wreszcie sięgnął do kieszeni i wyjął garść banknotów. Wyłowił z nich piątkę i wyciągnął w stronę barmana.

- Niech pan podejdzie ze mną do okna - poprosił. - Powie mi pan, czy ten facet wciąż tam stoi.

- Do okna? Czemu nie?

Zarośnięty barman przełożył brudną szmatę z prawej ręki do lewej i wziął banknot. Matlock wyszedł z przepierzenia i ruszył za mężczyzną do zatłuszczonego okna, częściowo zasłoniętego firanką, które wychodziło na ulicę.

- Nie, już go nie ma. Nikogo nie ma... poza martwym...

- Widzę - przerwał mu Matlock.

Nie musiał opuszczać baru, żeby zobaczyć, co leży na zewnątrz. To nie było konieczne.

Na skraju chodnika, tuż nad samym rynsztokiem, leżał kot. Jego kot.

Gardło miał poderżnięte, głowa ledwo trzymała się reszty ciała. Krew lała się strumieniem, barwiąc na czerwono płyty chodnika.

Mimo że zbliżał się już do granicy West Hartford, zabójstwo kota ciągle nie dawało mu spokoju. Nie wiedział, czy jest to kolejne ostrzeżenie, czy może w ten makabryczny sposób ktoś chciał mu dać do zrozumienia, że znalazł dokument. Jeżeli korsykański papier istotnie znaleziono, to martwe zwierzę tym bardziej mogło być ostrzeżeniem. Zastanawiał się, czy nie zwrócić się do któregoś z detektywów Blackstone'a o sprawdzenie mieszkania, a ściślej o sprawdzenie kociej kuwety w łazience. Nie był pewien, dlaczego się waha. Przecież płacił trzysta dolarów dziennie, plus dodatkowe koszty, więc chyba agencja powinna mu pójść na rękę. Poza tym i tak zamierzał prosić Blackstone'a o znacznie większą przysługę, choć ten jeszcze o tym nie wiedział. A jednak wciąż zwlekał z decyzją. Bo jeśli dokument nadal leżał na swoim miejscu, a mieszkanie było obserwowane, to ktoś szperający w łazience mógłby niechcący naprowadzić wroga na skrytkę.

Już prawie postanowił zaryzykować, kiedy znów spostrzegł w lusterku brązowy samochód, który towarzyszył mu odkąd pół godziny temu wjechał na autostradę numer 72. Inne wozy zjeżdżały z autostrady, wyprzedzały go albo zostawały w tyle, ten jednak uparcie za nim podążał. Zmieniał pasy, lawirował między innymi pojazdami, ale ciągle dzieliła ich odległość jakichś trzech, czterech wozów. Trzeba sprawdzić, czy to zwykły zbieg okoliczności czy nie, pomyślał. Niedaleko następnego zjazdu z autostrady była mała, wąska uliczka pokryta kocimi łbami, która służyła niemal wyłącznie pojazdom dostawczym. Któregoś popołudnia, kiedy po wyczerpującym dniu w mieście wracał z Patrycją do domu, skręcił tam, myśląc, że pojedzie na skróty, i na pięć minut ugrzązł wśród ciężarówek.

Zjechał z autostrady i, ruszył szeroką aleją, pędząc w kierunku owej małej uliczki. Wkrótce wykonał ostry skręt w lewo i poczuł pod kołami kocie łby. W sobotę po południu żadne ciężarówki dostawcze nie blokowały drogi. Pomknął szybko przed siebie i po chwili był już na zatłoczonym parkingu przeznaczonym dla klientów domu towarowego. Znalazł wolne miejsce, zaparkował samochód, zgasił silnik i zsunął się na siedzeniu, po czym wyregulował boczne lusterko tak, żeby mieć widok na wylot uliczki. Pół minuty później wyłonił się z niej brązowy wóz.

Człowiek za kierownicą był wyraźnie zmieszany. Zwolnił i zaczął rozglądać się po parkingu. Nagle za brązowym wozem pojawił się inny samochód, klaksonem ponagląc zawalidrogę. Zniecierpliwiony kierowca drugiego wozu śpieszył się, a brązowy pojazd blokował drogę. Ociągając się, pierwszy kierowca ruszył wolno przed siebie. Zanim jednak wyjechał z parkingu, odwrócił się i obejrzał przez prawe ramię; w tym momencie Matlock go rozpoznał.

Był to ten sam policjant, który - po tym nieszczęsnym wieczorze spędzonym przez Matlocka u Beesonów - przyszedł do jego zdemolowanego mieszkania. Ten sam, którego dwa dni temu Jim widział na korcie i który przemknął pośpiesznie, zasłaniając rękami twarz.

Ten sam, którego obecność Greenberg zlekceważył, twierdząc, że to czysty przypadek.

Matlock nie wiedział, co myśleć. Poczuł strach.

Rozglądając się uważnie na prawo i lewo, policjant, ubrany po cywilnemu, dojechał wreszcie na koniec parkingu. Po chwili brązowy wóz włączył się w sznur pojazdów sunących ulicą i oddalił się.

Biuro "Blackstone Security, Incorporated" mieszczącej się przy Bond Street w Hartford bardziej przypominało wnętrze dobrze prosperującej, poważnej firmy ubezpieczeniowej niż agencji detektywistycznej. Meble były ciężkie, w stylu kolonialnym, ściany pokryte elegancką, stonowaną tapetą w delikatne paski. Na stolikach stały mosiężne

lampy, które oświetlały kosztowne litografie przedstawiające sceny z polowań. Wchodząc do środka, z miejsca odnosiło się wrażenie, że jest to prężna firma, solidna i bogata. Nic dziwnego, pomyślał Matlock siedząc w poczekalni na dwuosobowej kanapie z osiemnastego wieku. Biorąc pod uwagę zyski i wydatki, to przy stawce trzysta dolarów za dzień agencja "Blackstone Security" miała zapewne proporcjonalnie wyższe obroty niż wiele dużych, znanych firm ubezpieczeniowych.

Wreszcie wprowadzono Matlocka do gabinetu szefa. Na widok gościa Michael Blackstone wstał z fotela, obszedł wiśniowe biurko i wyciągnął na powitanie rękę. Był to niski, dobrze zbudowany i starannie ubrany mężczyzna, około pięćdziesiątki. Sprawiał wrażenie człowieka energicznego, wysportowanego, z którym lepiej nie zadzierać.

- Dzień dobry - powiedział. - Mam nadzieję, że nie jechał pan taki kawał drogi specjalnie do nas. Z podpisaniem umowy mogliśmy śmiało poczekać do poniedziałku. Tylko dlatego, że my pracujemy siedem dni w tygodniu nie znaczy, że oczekujemy tego od wszystkich.

- Nie, mam parę spraw do załatwienia w Hartford.

- Proszę, niech pan usiądzie. Czy mogę panu zaproponować drinka? Albo kawę?

- Nie, dziękuję - odparł Matlock.

Usiadł w głębokim, obitym czarną skórą fotelu, jakie zwykle widuje się w ekskluzywnych, chlubiących się długą tradycją klubach dla dżentelmenów. Blackstone wrócił do biurka.

- Prawdę mówiąc, trochę się spieszę. Chciałbym podpisać zlecenie, zapłacić panu i...

- Naturalnie. Wszystko jest już przygotowane. - Szef agencji podniósł leżący na biurku skoroszyt i uśmiechnął się. - Tak jak wspomniałem przez telefon, chciałem zadać panu kilka pytań. Im więcej będziemy wiedzieli, tym lepiej sprostamy pańskim wymaganiom. Jeżeli pan pozwoli... to zajmie dosłownie kilka minut.

Matlock oczekiwał takiej prośby. Rozmowa z Blackstonem była częścią jego planu, dlatego tak bardzo zależało mu na tym spotkaniu. Liczył na to, że szef agencji udzieli mu kilku wskazówek - jeśli nawet sam z własnej woli nie wystąpi z taką inicjatywą, to kolejna "dodatkowa opłata" powinna go zachęcić. Jim przyjechał do Hartford głównie z tego powodu. Gdyby Blackstone'a można było kupić, zaoszczędziłby sobie mnóstwo czasu.

- Postaram się panu na wszystko odpowiedzieć - rzekł. - Zapewne pan już wie, że dziewczyna została ciężko pobita.

- Tak, tyle wiemy. Jednakże nikt nam nie chce wyjaśnić, dlaczego ją pobito. Na ogół chuligani aż tak nie maltretują swoich ofiar. Owszem, czasem się zdarza, ale wtedy policja szybko łapie sprawców. My nie jesteśmy potrzebni... Podejrzewam, że ma pan jakieś informacje, których policja nie posiada.

- Zgadza się.

- Czy wolno spytać, dlaczego nie przekazał ich pan policji? Dlaczego woli pan korzystać z usług naszej agencji? Jeśli istnieją ku temu jakieś podstawy, policja zawsze chętnie zapewni ochronę. I kosztuje to znacznie mniej.

- Czyżby odmawiał pan przyjęcia zlecenia?

- Nie, choć to nam się często zdarza. - Blackstone uśmiechnął się. - Ale zapewniam pana, nie robimy tego z przyjemnością.

- W takim razie dlaczego...

- Jak już wspomniałem - przerwał mu właściciel agencji - dzwonił w pana sprawie szef działu obliczeniowego "Aetny", poza tym jest pan synem bardzo znanego człowieka. Chcę, żeby pan wiedział, że ma pan inne możliwości. Tylko o to mi chodzi.

- Dziękuję za szczerość. Domyślałem się jednak, że chodzi panu również o to, żeby nie ucierpiało dobre imię agencji.

- To prawda.

- Mnie też chodzi o dobre imię. Nie moje, lecz dziewczyny. Panny Ballantyne. Jakby to panu powiedzieć? Zawierając znajomości, często wykazuje zdumiewający brak rozsądku. Jest to piekielnie bystra dziewczyna, którą czeka wspaniała kariera naukowa, niestety w innych dziedzinach życia inteligencja ją jakoś zawodzi.

Matlock świadomie zrobił przerwę i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Nie śpiesząc się, wyciągnął jednego i zapalił. Chwila ciszy odniosła zamierzony skutek Blackstone zadał pytanie.

- Czy te znajomości, które tak niefortunnie zawiera, dają jej korzyści finansowe?

- Bynajmniej. Moim zdaniem, wykorzystywano ją. Ale rozumiem, dlaczego pan o to pyta. W obecnych czasach młodzież uniwersytecka całkiem nieźle umie zarobić, prawda?

- Nie orientuję się. Uniwersytety nie są naszą specjalnością. Blackstone uśmiechnął się i Matlock wyczuł, że mężczyzna kłamie jak z nut. Nie zdziwiło go to.

- No tak - rzekł.

- Wracając do mojego pytania, panie Matlock, dlaczego pobito dziewczynę? I co pan zamierza zrobić?

- Uważam, że zaatakowano ją po to, żeby ze strachu przed kolejnym pobiciem nie zdradziła nikomu pewnych informacji. Rzecz w tym, że ona ich nie posiada. Zamierzam odnaleźć łobuzów i im to uświadomić. Kazać im odczepić się od niej.

- I boi się pan, że jeśli pójdzie pan na policję, wszyscy dowiedzą się o istnieniu owych znajomych, a raczej dawnych znajomych, i to może zaszkodzić we wspaniałej karierze, która czeka pannę Ballantyne.

- Dokładnie tak.

- Brzmi logicznie... Kim są osoby zamieszane w pobicie?

- Nie znam ich nazwisk, ale wiem, czym się zajmują. Głównie hazardem. Może mógłby mi pan pomóc? Oczywiście traktowałbym to jako dodatkową usługę, za którą uiściłbym dodatkową opłatę.

- Hmm. - Blackstone wstał i obszedł fotel. Odruchowo pokręcił tarczą nie włączonego klimatyzatora. - Obawiam się, że oczekuje pan ode mnie zbyt wiele.

- Nie chodzi mi o nazwiska. Oczywiście, chciałbym je poznać i chętnie bym za nie zapłacił, ale zadowoli mnie lista miejsc, w których uprawia się hazard. Naturalnie, sam mogę je znaleźć, dobrze pan o tym wie, ale gdyby miał pan taką listę, zaoszczędziłby mi pan mnóstwo czasu.

- Rozumiem, że interesują pana prywatne kluby... prywatne lokale dostępne wyłącznie dla członków?

- Tak. Miejsca, w których obywatele mający całkiem naturalny pociąg do hazardu mogą w spokoju, nie nękani przez stróżów prawa, wygrywać i przegrywać pieniądze. Od takich miejsc chciałbym zacząć.

- Nie da pan sobie tego wyperswadować? Może naprawdę byłoby lepiej, gdyby zgłosił się pan na policję?

- Nie.

Blackstone podszedł z kluczem do stojącego na lewo od biurka segregatora i otworzył go.

- Tak jak mówiłem, wszystko brzmi logicznie i przekonująco, ale nie wierzę w ani jedno słowo... Skoro jednak podjął pan decyzję, w pewien sposób ta sprawa również i mnie dotyczy.

Wyjął z segregatora cienką, metalową skrzynkę i wrócił z nią do biurka, następnie spośród licznych kluczy zawieszonych na łańcuszku wybrał właściwy, otworzył skrzynkę i wyciągnął z niej pojedynczy arkusz papieru.

- Tam stoi kserokopiarka - oznajmił, wskazując na duże, szare urządzenie w rogu pokoju. - Dokument, który chce się skopiować, kładzie się na szybie, przykrywa metalową

pokrywą, po czym wybiera się cyfrę oznaczającą liczbę egzemplarzy. Zwykle jeden egzemplarz wystarcza... A teraz pan wybaczy, panie Matlock. Wrócę za jakieś dwie minuty. Przypomniałem sobie, że muszę wykonać pilny telefon.

Blackstone podniósł kartkę papieru, którą wyjął ze skrzynki, i po chwili położył ją na skoroszycie zawierającym umowę przygotowaną dla Matlocka. Wyprostował się i charakterystycznym gestem człowieka, który chce, żeby jego drogi garnitur prezentował się jak najlepiej, obiema dłońmi lekko obciągnął marynarkę. Uśmiechnął się do swojego gościa i ruszył do drzwi. W progu odwrócił się.

- Nie wiem, czy o to panu chodzi. W ogóle nie wiem, o co panu chodzi. Co się mnie tyczy, niechący zostawiłem na biurku poufne notatki. Opłata za tę przysługę będzie figurować w pańskim kosztorysie jako "dodatkowy nadzór".

Wyszedł z gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Matlock podniósł się z czarnego skórzanego fotela i zbliżył do biurka. Przekręciwszy kartkę papieru, zerknął na nagłówek:

Inwigilacja: Teren - Hartford, New Haven & okolice

Stan na 15.III. Nie wynosić z biura

Prywatne kluby: lokalizacje i kontakty

(kierownicy)

Pod tym krótkim, pisany duża czcionką akapitem widniało ze dwadzieścia kilka adresów i nazwisk.

Nemrod był coraz bliżej.

19

Kierownik agencji wynajmu wozów "Luxor-Elite" przy Asylum Street w Hartford poszedł Matlockowi na rękę. Przyjął ze zrozumieniem wyjaśnienie klienta, że w lincolnie czuje się tak, jakby jechał na pogrzeb, a ponieważ papiery rejestracyjne były w porządku, kierownik nie miał nic przeciwko temu, żeby wymienić lincolna na cadillaca z opuszczanym dachem.

Nie miał również nic przeciwko dwudziestu dolarom napiwku.

Matlock uważnie przestudiował listę Blackstone'a. Postanowił skupić się na klubach położonych na północny zachód od Hartford po prostu dlatego, że znajdowały się najbliżej Carlyle. Dwa z nich były dosłownie o rzut kamieniem od miasta, jeden w odległości ośmiu kilometrów, drugi jedenastu, ale uznał, że te dwa mogą chwilę poczekać. Chciał, żeby wyprzedziła go fama; żeby właściciele kasyn - kiedy tam w końcu dotrze... jeśli dotrze - wiedzieli, że jest zapalonym hazardzistą. Nie jeleniem, ale facetem, który lubi wysoko grać. Jeśli będzie umiejętnie postępował, wieść szybko się rozniesie.

Zakreślił pierwszy adres. Był to prywatny klub z basenem mieszczący się na zachód od Avon. "Kontaktem", czyli kierownikiem był niejaki Jacopo Bartolozzi.

O dziewiątej trzydzieści Matlock wjechał w krętą alejkę i zatrzymał się pod długą, kilkumetrową markizą prowadzącą do drzwi wejściowych, nad którymi widniał napis "Klub pływacki w Avon". Odziany w uniform portier skinął na parkingowego, który wyłonił się jakby znikąd i - gdy tylko Matlock wysiadł zajął jego miejsce za kierownicą. Parking był, oczywiście, bezpłatny.

Idąc w stronę drzwi Matlock obejrzał klub z zewnątrz. Na wprost stał pomalowany na biało, niski, murowany budynek, wzdłuż którego ciągnął się wysoki, znikający w ciemnej dali parkan. Po prawej stronie budynku, w głębi za parkanem, widać było opalizujące niebiesko-zielone światła; stamtąd też dochodził odgłos pluskania. Natomiast po lewej stronie znajdowało się coś w rodzaju ogromnego namiotu, albo zawieszzonego na palach baldachimu, pod którym migotały liczne kaganki. Czyli na prawo był wielki basen, na lewo restauracja na wolnym powietrzu. Wokół rozbrzmiewała cicha muzyka.

Na pierwszy rzut oka rozległy klub prezentował się bardzo luksusowo.

Wystrój wnętrza jedynie potęgował to wrażenie. W foyer podłoga wyłożona była puszystym dywanem, a krzesła i stoliki stojące wzdłuż pokrytych adamaszkiem ścian wyglądały na prawdziwe antyki. Na lewo od wejścia mijało się przestronną szatnię, a nieco dalej, po prawej stronie holu, wysoki, marmurowy mebel z białym blatem przypominający stanowisko pracy recepcjonistki w eleganckim hotelu. Tylko jeden element wnętrza, na samym końcu wąskiego holu, odstawał od reszty: czarna, ozdobna brama z kutego żelaza, która - nie ulegało to najmniejszej wątpliwości - była zamknięta na klucz. Za nią widać było osłonięte baldachimem przejście między dwoma rzędami delikatnie oświetlonych, smukłych jońskich kolumn. Na straży przy bramie stał potężnie zbudowany mężczyzna ubrany w smoking.

Matlock podszedł do niego.

- Czy mogę zobaczyć pańską kartę wstępu? - zapytał goryl.

- Niestety, nie posiadam takowej.

- Przykro mi, proszę pana. Jest to prywatny klub. Tylko dla członków.

- Chciałbym się widzieć z panem Bartolozzim.

Mężczyzna za bramą przyjrzał się uważnie Matlockowi, sprawdzając wzrokiem, czy nie ma przy sobie broni.

- Niech pan porozmawia w recepcji - rzekł. - Tam, przy kontuarze.

Matlock wrócił do marmurowego mebla, przy którym zaledwie przed chwilą nikogo nie było. Powitał go lekko otyły recepcjonista w średnim wieku.

- Dobry wieczór. Czy mogę panu służyć?

- Niedawno przyjechałem w te strony. Chciałbym zapisać się do klubu.

- Przykro mi. Lista członków jest zamknięta. Proszę jednak wypełnić podanie; skontaktujemy się z panem, kiedy zwolni się miejsce. Interesuje pana karta rodzinna czy indywidualna?

Mężczyzna sięgnął pod ladę i jednym sprawnym ruchem wyciągnął dwa formularze.

- Indywidualna. Nie jestem żonaty - odparł Matlock. - Chciałbym się widzieć z panem Bartolozzim. Z panem Jacopem Bartolozzim. Mówiono mi, żebym zgłosił się do niego osobiście.

To, że gość wymienił kierownika klubu z nazwiska, nie wywarło na recepcjoniście większego wrażenia.

- Proszę wypełnić podanie - rzekł. - Dopilnuję, żeby jutro z samego rana trafiło na biurko pana Bartolozziego. Może szef do pana zadzwoni, ale podejrzewam, że nic nie będzie w stanie zrobić. Tak jak mówiłem, lista członków jest zamknięta i mamy kolejkę oczekujących.

- A dzisiaj nie ma go w klubie? W sobotni wieczór, kiedy panuje taki ruch, powinien chyba...

- Wątpię, proszę pana.

- Nie mógłby pan sprawdzić? Proszę mu powiedzieć, że mamy wspólnych znajomych w San Juan. - Wyciągnął portfel i wyjął z niego banknot pięćdziesięciodolarowy. Położył go przed recepcjonistą, który spojrzał badawczo na gościa i wolno podniósł pieniądze.

- W San Juan?

- W San Juan.

Kiedy tak stał oparty o biały marmurowy blat, Matlock zauważył, że strażnik dyżurujący przy żelaznej bramie przygląda mu się z zaciekawieniem. Wiedział, że jeśli numer z San Juan się uda i jeśli Bartolozzi zaprosi go do środka, czeka go kolejny suty napiwek. A powinno się udać, pomyślał. Historyjka, którą przygotował, była tak prosta i logiczna, że nie powinna budzić najmniejszych podejrzeń. Dwa lata temu spędził urlop zimowy w Puerto Rico i choć sam nie uprawiał hazardu, przebywał w towarzystwie ludzi, zwłaszcza pewnej dziewczyny, którzy co wieczór wpadali do kasyna. Poznał kilka osób z okolic Hartford, których nazwiska niestety wyleciały mu z pamięci.

Ozdobna brama otworzyła się i do holu weszły dwie rozbawione pary: dziewczyny śmiały się beztrudnie, radośnie, mężczyźni nieco sztucznie. One zapewne wygrały dwadzieścia lub trzydzieści dolarów, pomyślał Matlock, a oni stracili kilkaset. Niezła cena za udany wieczór. Po chwili usłyszał cichy chrzęst elektronicznego zamka. Żelazna brama zamknęła się.

- Przepraszam bardzo...

Odwrócił się na dźwięk głosu otyłego recepcjonisty.

- Tak?

- Proszę wejść. Pan Bartolozzi zobaczy się z panem.

- Wejść? Gdzie, jak?

Z tego co się orientował, na zewnątrz prowadziła tylko brama z kutego żelaza, a mężczyzna wskazywał ręką w przeciwnym kierunku.

- Tędy.

Nagle, z prawej strony marmurowego mebla, otworzyły się drzwi. Nie miały ani klamki, ani futryny, a ponieważ również były pokryte adamaszkiem, tak idealnie wtapiały się w ścianę, że prawie nie było ich widać. Matlock ruszył korytarzem za recepcjonistą, który zaprowadził go do gabinetu Jacopa Bartolozziego.

- Więc mamy wspólnych znajomych? - spytał ochryłym głosem Włoch, odchylając się na krzesło.

Nie uczynił najmniejszego gestu, żeby wstać, nawet nie skinął głową na powitanie. Był to niski, przysadzisty grubas, który wyglądał jak karykatura samego siebie. Choć nie widział całej sylwetki gospodarza, bo zasłaniało go biurko, Matlock gotów był przysiąc, że Włoch nie dotyka nogami podłogi.

- Tak jakby, panie Bartolozzi.

- Tak jakby? Z kim się pan widział w San Juan?

- Z kilkoma osobami. Jeden facet, którego poznałem, ma gabinet dentystyczny w West Hartford. Inny jest księgowym, który pracuje na Constitution Plaza.

- Hmm. - Bartolozzi usiłował dopasować zawody i lokalizacje, które Matlock wymienił, do konkretnych ludzi. - Jak się nazywają? Są członkami klubu?

- Chyba tak. Bo podali mi pańskie nazwisko.

- Proszę pana, prowadzę normalny klub pływacki, tyle że dostępny wyłącznie dla członków... Więc jak się nazywają ci nasi wspólni znajomi?

- Panie Bartolozzi, wtedy w kasynie "Condado", to była zwariowana noc, wszyscyśmy sporo wypili...

- W Puerto Rico nie podają w kasynach alkoholu. Przepisy zabraniają! - zawołał Włoch, dumny z własnej przebiegłości i refleksu. Pogroził Matlockowi swoim grubym paluchem.

- Tylko w teorii.

- Co?

- Daję panu słowo. Piliśmy, i to dużo; dlatego nazwiska wyleciały mi z pamięci... Proszę pana, mogę w poniedziałek pojechać na Constitution Plaza i warować tam cały dzień; prędzej czy później wypatrzę tego księgowego. Mogę również udać się do West Hartford i stuknąć do drzwi wszystkich dentystów. Ale po co? Lubię grać, mam pieniądze...

Bartolozzi uśmiechnął się.

- To jest klub pływacki. Nie mam pojęcia, o czym pan, u licha, mówi.

- W porządku - powiedział Matlock, nie kryjąc irytacji. Akurat pański klub mieści się w najbardziej dogodnym dla mnie miejscu; ale nie będę się napraszał. Znajomi z San Juan wspominali mi też o klubie Jimmiego Lacata w Middletown i Sammiego Sharpe'a w Windsor Shoals... Łaski mi pan nie robi! - Odwrócił się w stronę drzwi.

- Chwileczkę! Niech pan poczeka!

Matlock zobaczył, jak grubas zeskakuje w krzesła. Miał rację. Siedzący Bartolozzi nie sięgał nogami do podłogi.

- Po co? Pewnie wasze stawki są dla mnie i tak za niskie.

- Zna pan Jimmiego Lacata? I Sharpe'a?

- Osobiście nie. Mówiłem panu, że... Zresztą nieważne. Przepraszam, że zająłem panu tyle czasu. Wiem, że musi się pan mieć na baczności. W poniedziałek odszukam tego znajomego z Constitution Plaza i może kiedyś obaj tu wpadniemy... Po prostu miałem ochotę dzisiaj zagrać.

- No dobrze. W porządku. Rzeczywiście muszę się mieć na baczności. - Bartolozzi wyciągnął górną szufladę biurka i wyjął w niej jakieś papiery - Niech pan podejdzie i podpisze. Korci pana, żeby grać, będzie pan grał. Może ja pana ogołocę, a może pan mnie.

Matlock zbliżył się do biurka.

- Co to?

- Dokumenty do podpisu. Wstęp kosztuje pięćset dolarów. Przyjmujemy tylko gotówkę. Jasne? Żadnych czeków, żadnych kart kredytowych.

- Jasne. Wyłącznie gotówka. Jakie dokumenty?

- Pierwszy stwierdza, iż poinformowano pana o tym, że klub jest instytucją niedochodową i wszelkie pieniądze uzyskane z gier hazardowych przekazywane są na działalność charytatywną... Z czego się pan śmieje? To z moich pieniędzy wybudowano w Hamden kościół Najświętszej Marii Panny.

- A ten drugi papier? Widzę, że jest sporo dłuższy.

- Tak; ten zostaje w naszych aktach. Stwierdza, że jest pan udziałowcem. Za głupie pięćset dolców dostaje pan szumny tytuł wspólnika. Każdy członek klubu jest wspólnikiem... tak na wszelki wypadek.

- Na wypadek czego?

- Wszystko się może zdarzyć, a jeśli zdarzy się nam, zdarzy się również panu. I prasa zacznie trąbić.

Co jak co, ale w klubie pływackim w Avon rzeczywiście można było świetnie popływać. Ogromny basen miał około czterdziestu metrów długości; przy płytszym końcu znajdowało się kilkanaście małych, eleganckich kabin, a na otaczającym basen pięknie utrzymanym trawniku stało mnóstwo stolików i leżaków. Zainstalowane pod wodą reflektory stwarzały sympatyczny nastrój. Część kąpielowa klubu ciągnęła się po prawej stronie przejścia z kolumnami, po lewej zaś mieściła się część restauracyjna: pod wielkim baldachimem w biało-zielone pasy znajdowały się dziesiątki stołów, każdy ze szklanym kloszem i palącą się w środku świeczką. Dodatkowym źródłem światła były pochodnie umieszczone po bokach tak, by nie spowodować pożaru. Pod ścianą naprzeciw wejścia stał długi stół uginający się od wędlin, sałatek i innych przekąsek, obok niego zaś bar z napojami, przy którym kręciło się sporo osób.

Klub pływacki w Avon był uroczym miejscem do wypoczynku dla całej rodziny.

Przejście między kolumnami wiodło na sam koniec klubu, do białego, murowanego domku, który nie różnił się od tego przy ulicy. Nad czarnymi, lśniącymi drzwiami wisiała drewniana tabliczka z literami o wyszukanym kroju. Napis brzmiał:

“Gabinety odnowy biologicznej”

Ta część klubu zdecydowanie nie była przeznaczona dla całej rodziny.

Matlock, który całą swoją wiedzę o kasynach zdobył w San Juan, poczuł się tak jakby znów był w Puerto Rico. Grube wykładziny na podłodze skutecznie tłumiły odgłos kroków. Słychać było jedynie stukot żetonów, nerwowe szepty graczy oraz głosy krupierów. Stoliki do gry w kości stały wzdłuż ścian, stoły do blackjacka na środku, a pomiędzy nimi - tak jednak aby można było swobodnie przejść - ruletki. Stanowisko kasjera znajdowało się na podwyższeniu, w centralnym punkcie sali. Pracownicy “gabinetu odnowy biologicznej” byli starannie przystrzyżeni, ubrani w smokingi, i bardzo usłużni. Goście mieli na sobie swobodniejsze stroje.

Mężczyzna, który dyżurował przy żelaznej bramie, zadowolony z pięćdziesięciodolarowego napiwku, zaprowadził Matlocka do wysokiego, półkolistego kontuaru, za którym urzędował kasjer.

- To jest pan Matlock, przyjaciel szefa - powiedział, przerywając kasjerowi liczenie pieniędzy. - Traktujcie go dobrze.

- Wiadomo - odparł z uśmiechem kasjer.

- Niestety - zwrócił się cicho do Matlocka goryl - za pierwszym razem musi pan z góry zapłacić za żetony.

- Naturalnie... Na razie rozejrzę się trochę.

- Słusznie. Trzeba wczuć się w atmosferę... Daleko tej budzie do kasyn w Vegas. Między nami mówiąc, na ogół gra się tu drobnicą, a dla kogoś takiego jak pan... no, sam pan rozumie...

Matlock doskonale rozumiał, co bramkarz ma na myśli. Napiwek pięćdziesięciodolarowy należał w Avon do rzadkości.

Zajął mu trzy godziny i dwanaście minut, żeby przegrać cztery tysiące sto siedemdziesiąt pięć dolarów. Tylko raz się wystraszył: kiedy szczęście mu dopisało i wygrał niemal pięć tysięcy. Ale w sumie wszystko potoczyło się dobrze. Zorientował się, że klienci najczęściej kupują żetony za dwieście lub trzysta dolarów. Ładna mi drobnica, pomyślał. Za pierwszym razem nabył więc żetony za półtora tysiąca, za drugim za tysiąc, a za trzecim razem za dwa tysiące.

O pierwszej nad ranem siedział przy barze pod zielonobiałym, pasiastym baldachimem i w najlepsze przekomarzał się z Jacopem Bartolozzim.

- Równy z ciebie gość. Mnóstwo facetów, gdyby przejechało się tak jak ty, wołałoby o pomstę do nieba. Musiałbym wyciągać z szuflady papiery i pokazywać im, co podpisali.

- Spokojna głowa, jeszcze się odegram. Zawsze wychodzę na swoje... Ale dziś, jak to sam zauważyłeś, za bardzo byłem napalony. Może zajrzę tu jutro.

- Lepiej w poniedziałek. Jutro czynny jest tylko basen.

- Dlaczego?

- Bo niedziela. Dzień święty.

- O, cholera! Przyjeżdża znajomy z Londynu. W poniedziałek już go tu nie będzie. Bardzo lubi pograć.

- Wiesz co? Zadzwoń do Windsor Shoals, do Sharpe'a. Sharpe to Żyd. I w dupie ma dni święte.

- Byłbym ci wdzięczny.

- Może nawet sam tam wpadnę. Żona wybiera się wieczorem na jakieś zebranie parafian.

Matlock spojrzął na zegarek. Pierwsza faza planu przebiegła bez zakłóceń. Zastanawiał się, czy powinien dalej kusić los.

- Miło tu u ciebie - powiedział. - Jedyne problemy, kiedy przyjeżdża się w obce strony, to że traci się czas na szukanie właściwych kontaktów.

- Jakich kontaktów? - spytał Włoch.

- Wiesz, mam u siebie w motelu dziewczynę. Cały dzień byliśmy w drodze, więc zasnęła jak kamień... W każdym razie małej wyczerpał się zapas trawki. Zwykłej trawki, nic mocniejszego nie bierze. Obiecałem, że jej trochę zdobędę.

- Niestety, stary, nie mogę ci pomóc. Nie trzymam trawki na terenie klubu. Sam rozumiesz, tyle się tu w ciągu dnia kręci dzieciaków. Muszę dbać o swoją reputację, no nie? Ale mam jakieś prochy. Jeśli cię urządzają...

- Dzięki, ale pozwalam małej tylko na trawkę.

- Bardzo rozsądnie... Gdzie się zatrzymałeś?

- W Hartford.

Bartolozzi strzelił palcami i w oka mgnieniu zjawił się potężny barman. Było niemal coś groteskowego w sposobie, w jaki mały grubas dyrygował wszystkimi naokoło. Szef klubu poprosił barmana o kartkę i ołówek.

- Zapiszę ci adres - powiedział do Matlocka, bazgrząc coś na kartce - a sam wykonam telefon. Pod tym adresem mieści się pewien lokal. Miniesz budynek z napisem "G.Fox", wejdiesz na pierwsze piętro i powiesz, że chcesz mówić z Rocco. On ma wszystko, czego tylko dusza zapagnie.

- Jesteś aniołem - powiedział z nie udawaną wdzięcznością Matlock, biorąc kartkę z adresem.

- Ktoś, kto pierwszego wieczoru przegrywa cztery tysiące dolarów, ma u mnie chody... Hej, wiesz co? Nie podpisałeś żadnego z tych dwóch formularzy! Ale jaja!

- Na co ci mój podpis? Zawsze gram za gotówkę!

- Gdzie ją do diabła trzymasz?

- W trzydziestu siedmiu bankach rozsianych po całym kraju.

- Matlock odstawił szklanę i wyciągnął na pożegnanie rękę. Dziękuję za miły wieczór... To co, zobaczymy się jutro?

- Jasne. Odprowadzę cię do drzwi. Tylko pamiętaj, nie przegraj wszystkiego u Sharpe'a. Zostaw coś dla mnie!

- W porządku.

Niski Włoch przyjacielskim gestem położył swoje grube łapsko na plecach Matlocka i obaj mężczyźni ruszyli w stronę przejścia ciągnącego się między kolumnami. Nie zauważyli, że siedzący przy pobliskim stoliku dobrze ubrany jegomość uważnie im się przygląda, bawiąc się zepsutą zapalniczką. Kiedy minęli jego stolik, mężczyzna schował zapalniczkę do kieszeni i przyjął ogień od swojej towarzyszki. Kobieta uśmiechnęła się.

- Wyjdą na zdjęciach? - spytała szeptem.

Mężczyzna roześmiał się cicho.

- Wielki Karsh nie spisałby się lepiej. Mam nawet zbliżenia.

20

Jeśli klub pływacki w Avon był punktem startu, to wizyta w klubie myśliwskim w Hartford, którym sprawnie zarządzał Rocco Aiello, oznaczała pokonanie pierwszego etapu. Bo Matlock zaczął myśleć o swojej wędrówce w świat Nemroda w kategoriach wyścigu - wyścigu, który potrwa jeszcze piętnaście dni. Albowiem dokładnie za piętnaście dni miał się odbyć, gdzieś w okolicach Carlyle, zjazd żołnierzy Nemroda i mafijnych przywódców. Zjazd, podczas którego ktoś wyciągnie drugą połówkę srebrzystego korsykańskiego dokumentu.

Telefon, który Bartolozzi wykonał, okazał się bardzo pomocny. Matlock bez trudu odnalazł stary budynek z czerwonej cegły (wprawdzie w pierwszej chwili był pewien, że pomylił adres, gdyż w oknach nie paliły się światła i wokół panowała głucha cisza) wszedł do środka i na końcu korytarza zobaczył windę towarową, przed którą siedział na stołku samotny Murzyn. Ledwo gość ukazał się w drzwiach, czarny windziarz podniósł się i wskazał ją ruchem ręki.

W holu na piętrze czekał jakiś mężczyzna.

- Nazywam się Rocco, Rocco Aiello - powiedział, wyciągając na powitanie dłoń. - Cieszę się, że mogę pana poznać.

- Ja również... Muszę przyznać, że zacząłem się trochę niepokoić. Myślałem, że pomyliłem adresy. Cicho tu jak makiem zasiał.

- Tak, murarze odwalili kawał solidnej roboty: ściany grubości czterdziestu pięciu centymetrów, z obu stron wyłożone dźwiękoszczelną płytą, wszystkie okna zamurowane od wewnątrz... Klienci mają poczucie pełnego bezpieczeństwa.

- Istotnie.

Rocco sięgnął do kieszeni i wyjął małą, drewnianą papierośnicę.

- To dla pana. Skręty. Na koszt firmy. Chętnie oprowadziłbym pana po moim królestwie, ale Jacopo mówił, że panu się śpieszy.

- Jacopo trochę przesadził. Z przyjemnością się czegoś napiję.

- Świetnie! W takim razie zapraszam... Aha, muszę pana uprzedzić. Mam tu porządną klientelę. Rozumie pan, bogaci, superkonserwatywni ludzie. Niektórzy wiedzą, jakiego rodzaju działalność Jacopo prowadzi, ale większość się nie orientuje. Wie pan, co mam na myśli?

- Może pan na mnie liczyć, nie przepadam za pływaniem.

- Doskonale... - powiedział Rocco, otwierając grube, stalowe drzwi. - Zatem witam w najlepszym lokalu w Hartford... Słyszałem, że przegrał pan dzisiaj sporą działkę.

Matlock roześmiał się.

- Tak to się u was mówi? - spytał, rozglądając się po zatłoczonym lokalu, który składał się z kilku pograżonych w półmroku sal gęsto wypełnionych stołami.

- Tak... Widzi pan te schody? Mamy dwa piętra, na każdym piętrze jest pięć pokoi, a w każdym pokoju oddzielny bar. Spokojnie tu, kulturalnie. Można przyjść z żoną albo przyprowadzić znajomą panią... rozumie pan?

- Rozumiem. Podoba mi się.

- Kelnerzy to w większości studenci. Daję im zarobić parę dolców na książki. Zatrudniam różnych, czarnuchów, latynosów, żydów, nie jestem rasistą. Tylko jednego nie toleruję: włosów, długich włosów. Rozumie pan?

- To chyba dość ryzykowne? Dzieciaki nie potrafią trzymać języka za zębami.

- Spokojna głowa. Pierwotnym właścicielem tej budy był jakiś student. A w ogóle lokal funkcjonuje na zasadzie korporacji. To prywatny klub. Wszyscy regularnie płacą składki. Nikogo za to się nie wsadza.

- No tak. A ten interes na boku?

- Jaki interes?

- No wie pan...

- Co? Trawka? Jaka trawka? Musiało się panu coś przewidzieć. Matlock roześmiał się.

Nie chciał przeciągać struny.

- W porządku, Rocco, punkt dla pana... Swoją drogą, gdybym znał pana lepiej, może byłbym zainteresowany małą transakcją. Bartolozzi mówił, że ma pan wszystko czego dusza zapagnie. Ale nie będę zwracał panu głowy. Jestem dziś zupełnie wypompowany. Napiję się czegoś i zmykam, bo jeszcze dziewczyna nabierze podejrzeń.

- Bartolozzi za dużo gada.

- Chyba tak. Aha, umówiłem się z nim jutro u Sharpe'a w Windsor Shoals. Przyjeżdża mój znajomy z Londynu. Może przyłączyłby się pan do nas?

Słowa Matlocka zrobiły na jego rozmówcy wrażenie. Londyn zaczynał liczyć się bardziej w świecie hazardu od Las Vegas i Karaibów. A lokal Sammiego Sharpe'a nie był dotąd specjalnie znany.

- Może, kto wie... Jeśli... jeśli pan czegoś potrzebuje, niech pan pyta bez skrępowania, jasne?

- No dobrze. Ale muszę panu powiedzieć, że obecność tych dzieciaków trochę mnie tremuje.

Lewą ręką Aiello wziął Matlocka pod łokieć i zaprowadził do baru.

- Ale mnie pan zrozumiał - oznajmił. - Te dzieciaki, jak je pan nazywa, wcale nie są dziećmi... pojmuję pan?

- Nie. Dzieci to dzieci. Ja wolę starsze towarzystwo i trochę spokojniejsze rozrywki. Ale niech się pan nie przejmuję. Nie mam zamiaru wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Spojrzał na barmana i sięgnął do kieszeni po pieniądze. Wyciągnął banknot dwudziestodolarowy i położył go na ladzie.

- Bourbon z wodą, proszę.

- Niech pan schowa pieniądze - powiedział Rocco. Do baru podszedł młody, na oko dwudziestoletni człowiek w kelnerskim stroju.

- Panie Aiello... - zaczął.

- Co takiego?

- Czy może pan podpisać ten rachunek? Stolik jedenasty. Państwo Johnsonowie. Z Canton. Sprawdziliśmy.

Aiello wziął od młodzieńca bloczek i podpisał się inicjałami. Kelner podziękował i wrócił do pracy.

- Przyjrzał się pan temu chłopakowi? Właśnie o takich jak on mi chodzi. Studiuje w Yale. Pół roku temu wrócił z Wietnamu.

- I?

- Był oficerem. Porucznikiem. Teraz robi magisterium z zarządzania. Pracuje u mnie ze dwa razy w tygodniu. Chce wyrobić sobie kontakty. Do czasu kiedy skończy studia, będzie miał odłożoną niezłą sumkę i otworzy własny interes.

- Jaki?

- Jest dostawcą. Te dzieciaki... Żeby pan słyszał, co opowiadają! Sajgon, Da Nang, Hongkong. Prawdziwy, wielki przemyt. Ta dzisiejsza młodzież jest wspaniała. Niech mi pan wierzy, oni wiedzą, czego chcą, są inteligentni i nie mają żadnych zmartwień.

- Wierzę panu.

Matlock pociągnął kilka łyków ze szklanki, wcale nie dlatego, że był spragniony, ale dlatego, żeby ukryć przerażenie, jakie go ogarnęło po usłyszeniu tej sensacyjnej wiadomości. Ci, którzy zdobywali szlify w Wietnamie różnili się od naiwnych, pełnych zapału, młodych żołnierzy spod Armenti res, Anzio, czy nawet Phanmundzom. Byli inni: bardziej zgorzkniali,

bardziej obrotni i zdecydowanie lepiej zorientowani. W Wietnamie bohaterem był żołnierz, który miał wyrobione kontakty w portach i magazynach. Taki człowiek cieszył się szacunkiem kolegów. A teraz prawie wszyscy ci dwudziestokilkuletni starcy byli z powrotem w kraju.

Matlock dopił drinka i ruszył z Rocco na górę, żeby obejrzeć sale na drugim piętrze. Jak przystało na światowca, za którego Aiello go brał, z umiarkowanym entuzjazmem wyraził Włochowi uznanie i obiecał, że jeszcze kiedyś do niego wpadnie. Nie wracał do tematu jutrzejszego spotkania u Sammiego Sharpe'a w Windsor Shoals. Wiedział, że nie musi. Apetyt Rocca Aiella został dostatecznie zaostrożony.

Kiedy siedział za kierownicą cadillaca, dwie sprawy nie dawały mu spokoju, dwie sprawy, z którymi musiał się uporać jutro w ciągu dnia. Pierwsza to wyczarowanie Anglika, druga to wyczarowanie większej ilości gotówki. Jedno i drugie było absolutnie konieczne, jeśli wieczorem zamierzał się udać do Windsor Shoals i odwiedzić lokal Sharpe'a.

Anglik, który przyszedł mu do głowy, mieszkał w Webster. Był to profesor matematyki, który wykładał na Madison. W Stanach przebywał od niecałych dwóch lat. Matlock spotkał go zupełnie przypadkowo na wystawie łodzi w Saybrook, dokąd wybrał się z Pat. Okazało się, że Anglik, który z miejsca przypadł im do gustu, większość życia spędził na wybrzeżu Kornwalii i był zapalonym żeglarzem. Teraz Matlock modlił się tylko o to, żeby John Holden choć trochę znał się na hazardzie.

Pieniądze stanowiły większy problem. Znów trzeba będzie zwrócić się do Andersona. Matlock zdawał sobie sprawę, że bankier, jeśli zechce, z łatwością znajdzie dość wymówek, aby go grzecznie zbyć. Alex należał do ludzi ostrożnych, bojaźliwych. Z drugiej strony był łasy na "wdzięczność" okazywaną przez klientów. Cóż, należało go umiejętnie podejść.

Telefon Matlocka zaskoczył Johna Holdena, ale Anglik nie oburzył się z powodu późnej godziny. Przeciwnie, był bardzo serdeczny, choć ogromnie zaintrygowany. Dwukrotnie objaśnił, którędy najlepiej do niego dojechać. Matlock podziękował mu, zapewniając go, że pamięta drogę.

- Nie będę cię oszukiwał, Jim - oznajmił Holden, wpuszczając Matlocka do swojego trzypokojowego mieszkania. - Po prostu pękam z ciekawości. Czy coś się stało? Czy z Pat wszystko w porządku?

- I tak i nie. Zaraz ci wszystko opowiem, choć sam cholernie mało wiem... Słuchaj, mam prośbę. A właściwie dwie. Czy mógłbym tu przenocować?

- Co za pytanie! Oczywiście, że tak. Widzę, że jesteś skonany. Siadaj. Napij się czegoś?

- Nie, dziękuję.

Siadając na rozkładanej kanapie, przypomniał sobie, że jest to ta sama, na której kiedyś, po cudownym, zakrapianym alkoholem wieczorze, spędził noc z Pat. Boże, to chyba było wieki temu!

- A druga prośba? - spytał Anglik. - Bo pierwsza się w ogóle nie liczy. No? Jeśli potrzebujesz pieniędzy, mam trochę ponad tysiąc. Chętnie ci pożyczę.

- Nie, nie o to chodzi, ale dzięki. Chciałbym... chciałbym, żebyś gdzieś ze mną poszedł i udawał Anglika.

Holden wybuchnął tubalnym, zaraźliwym śmiechem. Mimo że był drobnym, czterdziestoletnim mężczyzną śmiał się jak stary, dobrotliwy grubas.

- To nie powinno być zbyt trudne, prawda? - powiedział trzymając się za boki. - Oczywiście już dawno straciłem swój kornwalijski akcent, ale jeśli się bardzo postaram, może sobie coś przypomnę.

- Może, choć diabli wiedzą, czy będziesz w stanie, bo mówisz już niemal jak rasowy Jankes... Ale serio. Sprawa jest ciut bardziej skomplikowana. Czy kiedykolwiek uprawiałeś hazard?

- Chodzi ci o wyścigi konne, totalizator piłkarski i tak dalej?

- Nie. O karty, kości i ruletkę.

- Trudno powiedzieć, żebym uprawiał. Jak każdy matematyk z odrobiną fantazji, przechodziłem taki etap w życiu, kiedy myślałem, że posługując się zasadami arytmetyki i rachunkiem prawdopodobieństwa zdołam przewidzieć szanse wygranej.

- I co? Potrafiłeś?

- Szybko się zniechęciłem. Jeśli istnieje jakiś system obliczeń pozwalający wygrywać, ja go do dziś nie odkryłem.

- Ale w ogóle grałeś? Znasz zasady gry?

- I to dość dobrze. Jeśli mam być szczery, przestudiowałem je na wylot. A dlaczego?

Matlock powtórzył Holdenowi to, co wcześniej mówił w agencji Blackstone'a. Nie powiedział jednak całej prawdy o obrażeniach Pat i podał nieco inny powód zaatakowania jej. Kiedy wreszcie umilkł, Anglik postukał fajką o brzeg dużej szklanej popielniczki i wysypał z cybucha popiół.

- Boże, w głowie się nie mieści, że takie rzeczy się naprawdę dzieją... Więc twierdzisz, że Patrycja nie jest ciężko ranna, tak? Że jest wystraszona, ale nic poważnego jej nie dolega?

- Tak. Gdybym jednak poszedł na policję, mogłaby stracić stypendium naukowe.

- Rozumiem... Właściwie to nie rozumiem, ale nieważne. Chodzi ci o to, żebym jutro przegrał trochę forsy?

- Niekoniecznie przegrał; po prostu żebyś dużo grał.

- Ale jesteś przygotowany na wysoką przegraną?

- Tak.

Holden wstał.

- W porządku. Chętnie wezmę udział w tym przedstawieniu. Może to być nawet dość zabawne. Nie powiedziałaś mi jednak całej prawdy. Szkoda. Ale nie będę cię ciągnął za język. Matematyk zawsze wyczuwa nieścisłości i niekonsekwencje.

- Jakie?

- Z tego co się orientuję, suma, jaką jesteś gotów jutro stracić, znacznie przekracza wysokość stypendium. Nasuwa się więc logiczny wniosek, że istnieje jakiś inny powód, dla którego nie chcesz lub nie możesz iść na policję.

Matlock popatrzył na Anglika, nie mogąc się nadziwić własnej głupocie. Poczul się zażenowany i bezradny.

- Przepraszam - powiedział. - To nie było świadome oszustwo. Nie musimy jutro nigdzie jechać. Chyba niepotrzebnie prosiłem Cię o...

- Nie twierdzą, że mnie okłamałeś, Jim, jedynie że nie powiedziałeś mi wszystkiego. Ale to bez znaczenia. Oczywiście, że ci pomogę... Jestem dobrym słuchaczem; pamiętaj o tym, jeśli kiedyś będziesz chciał się komuś zwierzyć. No, późno już, a ty padasz ze zmęczenia. Połóż się u mnie w sypialni, a ja...

- Nie, nie. Zostanę w tym pokoju. Wiążą się z nim miłe wspomnienia. Daj mi tylko jakiś koc. Aha, czy mogę zadzwonić?

- Pewnie. Wiesz, gdzie jest telefon, a koc zaraz przyniosę.

Kiedy Holden udał się na spoczynek, Matlock podszedł do telefonu. Zamówiony u Blackstone'a telektronik miał być gotowy dopiero w poniedziałek rano.

- Halo? Blackstone Security.

- Mówi James Matlock. Polecono mi zadzwonić pod ten numer. Czy są dla mnie jakieś wiadomości?

- Tak, proszę pana. Chwileczkę, znajdę tylko właściwą kartkę... Już mam. Zespół z Carlyle melduje, że wszystko jest w porządku. Kuracja przebiega prawidłowo, chora czuje się znacznie lepiej. Miała troje gości. Pana Samuela Kressela, pana Adriana Sealfonta i pannę

Lois Meyers. Były też dwa telefony, których lekarz nie pozwolił do niej przełączyć. Dzwoniący przedstawił się jako Jason Greenberg z Wheeling w Zachodniej Wirginii. Zespół z Carlyle nie spuszcza chorej z oka... Może się pan nie denerwować.

- Dziękuję. Uspokoił mnie pan. Jesteście bardzo dokładni. Dobranoc.

Zmęczony długim dniem, Matlock odetchnął głęboko z ulgą. Lois Meyers mieszkała po drugiej stronie korytarza w tym samym akademiku co Pat. To, że Greenberg dzwonił, podniosło Matlocka na duchu. Brakowało mu obecności agenta.

Wyciągnął rękę i zgasił lampę stojącą na stoliku przy kanapie. Przez okno widział księżyc, który tej kwietniowej nocy świecił jasno na niebie. Facet z biura Blackstone'a miał rację: nie było powodów do niepokoju.

Ale głowę wciąż miał nabitą myślami. Zastanawiał się, co przyniesie niedziela, co poniedziałek. Musiał utrzymać dotychczasowe tempo, tak by kolejne dni były równie owocne. Wiedział, że jeśli spocznie na laurach, jeśli pozwoli sobie na chwilę wytchnienia, straci ten pęd, który pcha go naprzód.

Niedziela i wieczór u Sammiego Sharpe'a w Windsor Shoals. A potem w poniedziałek, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ruszy z powrotem do Carlyle. Zacisnął powieki i zobaczył przed oczami wydrukowaną stronę, którą skserował sobie w gabinecie Blackstone'a.

“Klub w Carmount - kontakt: Hovard Stockton

Klub żeglarsko-narciarski w Zach. Carlyle

- kontakt: Alan Cantor”

Carmount leżało na wschód od Carlyle nie opodal Mount Holly. Natomiast klub żeglarsko-narciarski znajdował się na zachód od miasta, przy jeziorze Derron, które było popularnym ośrodkiem wypoczynkowym przez okrągły rok.

Zamierzał poprosić kogoś, Bartolozziego, Rocca Aiella, może Sammiego Sharpe'a, żeby zadzwonił i polecił go Stocktonowi i Cantorowi. Na miejscu sam już sobie poradzi: to rzuci znaczące słówko, to porozumiewawcze spojrzenie, a kto wie może posunie się dalej i zacznie zgłaszać życzenia, stawiać żądania... Musi być bezczelny, wykazać się tupetem, bo tak zachowywali się ludzie Nemroda.

Leżał zmęczony, z zamkniętymi oczami; wkrótce jego mięśnie rozluźniły się i zapadł w mrok. Tuż przed zaśnięciem przypomniał sobie o ukrytym skrawku papieru. O korsykańskim dokumencie. Musiał go zabrać z mieszkania. Ten srebrzysty papier mógł mu się przydać. Jako karta wstępu w świat Nemroda.

Był jego przepustką i zaproszeniem.

Jego dokumentem. Dokumentem Matlocka.

21

Gdyby rada starszych zboru kongregacjonalistów w Windsor Shoals dowiedziała się, że Samuel Sharpe, wybitnie zdolny prawnik pochodzenia żydowskiego, który prowadzi sprawy finansowe kościoła, to znany powszechnie w North Hartford i South Springfield "Cwany Sammy", zapewne odwołałaby na miesiąc nieszpory. Na szczęście, ta informacja jakoś nigdy nie dotarła do rady i kościół patrzył na Sharpe'a przychylnym okiem. Na przestrzeni lat Samuel Sharpe ogromnie przysłużył się swojej parafii i zawsze ją hojnie wspomagał. Nie tylko kongregacjoniści, ale większość mieszkańców Windsor Shoals miała o prawniku jak najlepsze zdanie.

Matlock przekonał się o tym w hotelu "Windsor Valley", gdzie mieścił się gabinet Sharpe'a. Oprawione w ramki podziękowania i pochwały wiszące na ścianach mówiły same za siebie; resztę dopowiedział mu Jacopo Bartolozzi. Bartolozzemu chodziło głównie o to, żeby uprzytomnić Matlockowi i jego przyjacielowi z Anglii, jakiego rodzaju człowiekiem jest Sharpe i że prowadzony przez niego lokal nie ma tak długiej i chlubnej tradycji co klub pływacki w Avon.

John Holden spisywał się na medal. Kilka razy Matlock omal nie parsknął głośno śmiechem patrząc, jak Holden bierze garść studolarówek (dostarczonych pośpiesznie do Webster przez zaniepokojonego, zdenerwowanego Alexa Andersona) i ciska je nonszalancko w stronę krupiera: nigdy nie liczył żetonów, ale zawsze sprawiał wrażenie, że zna ich wartość co do dolara. Grał inteligentnie, ostrożnie i w pewnym momencie był nawet dziewięć tysięcy do przodu. Pod koniec wieczoru jego wygrana zmniejszyła się do kilkuset dolarów i krupierzy z "Windsor Valley" odetchnęli z wyraźną ulgą.

James Matlock przeklinał, że drugi wieczór z rzędu ma pecha, ale widać było, że nic sobie nie robi ze straty tysiąca dwustu dolarów.

O czwartej nad ranem obydwaj mężczyźni siedzieli w towarzystwie Rocca Aiella, Bartolozziego, Sharpe'a i ich dwóch kumpli przy dużym dębowym stole w jadalni urządzonej w stylu kolonialnym. Poza nimi oraz kelnerem i dwoma sprzątaczkami, którzy porządkowali lokal, w środku nie było nikogo. Kasyna na piętrze też były już zamknięte.

Wielki Aiello i mały, gruby Bartolozzi plotkowali o swoich klientach, licytując się, który ma lepszych i bardziej znanych; Bartolozzi, zdaniem Aiella, powinien koniecznie poznać państwa Johnsonów z Canton, Aiello zaś, twierdził Bartolozzi, nawet nie wie co traci, że nie zna doktora Wadswortha. Sammy Sharpe natomiast wykazywał większe zainteresowanie Holdenem i kasynami w Londynie. Opowiedział im kilka zabawnych historyjek o swoich pobytach w klubach londyńskich i o tym, jakie miał szalone kłopoty, kiedy wciągnięty w wir gry musiał szybko przeliczać funty na dolary.

Jaki to czarujący człowiek, pomyślał Matlock, obserwując Sammiego Sharpe'a. Nietrudno było uwierzyć, że w Windsor Shoals uchodził za szanowanego obywatela. Mimo woli Jim porównał go do Jasona Greenberga. Choć podobni, istniała jednak między nimi zasadnicza różnica. Widoczna głównie w oczach. Greenberg, nawet wtedy gdy kipiał złością, spojrzenie miał łagodne, dobrotliwe. Oczy Sharpe'a były zimne, świdrujące, rozbiegane - dziwnie kontrastujące z jego spokojnym, odprężonym wyrazem twarzy.

Nagle pojawiła się okazja, na którą Matlock tak długo czekał. Bartolozzi zwrócił się bowiem do Holdena i spytał go o dalsze plany. Teraz Jim musiał jedynie wybrać odpowiedni moment.

- Niestety, na razie mój harmonogram musi pozostać tajemnicą - oświadczył Anglik, nie bardzo wiedząc, co ma odpowiedzieć.

- Słowem, nie może ci nic zdradzić - wtrącił Aiello patrząc na Bartolozziego.

Grubas posłał mu piorunujące spojrzenie.

Chciałem pana po prostu zaprosić do Avon - rzekł do Anglika. - Prowadzę tam bardzo sympatyczny klub, który powinien się panu spodobać.

- Na pewno by mi się spodobał. Ale może innym razem.

- Będę się widział z Johnem w przyszłym tygodniu - powiedział Matlock. - Może wtedy się skontaktujemy? - Przysunął do siebie popielniczkę i zgasił papierosa. - Wybieram się wkrótce do... jak się nazywa ta miejscina? Już wiem, Carlyle.

Przy stole zaległa krótka cisza. Aiello, Sharpe i jeden z ich kumpli wymienili znaczące spojrzenia. Tylko na Bartolozzim słowa Matlocka nie wywarły żadnego wrażenia.

- To tam jest ten uniwersytet? - spytał.

- Tak. Myślę, że zatrzymam się w Carmount albo w ośrodku żeglarsko-narciarskim pod miastem. Pewnie znacie panowie te miejsca?

- A znamy, znamy - odparł ze śmiechem Aiello.

- Co będzie pan robił w Carlyle? - spytał jeden z obcych, zaciągając się cygarem.

Ani on, ani ten drugi nie zostali Matlockowi przedstawieni.

- To moja sprawa - odrzekł spokojnie Matlock.

- Przepraszam. Nie chciałem pana urazić.

- Nie uraził pan... O cholera, już prawie wpół do piątej! Jesteście panowie zbyt gościnni. - Odsunął krzesło, zamierzając wstać.

Facet z cygarem nie dawał za wygraną.

- Czy pański kolega też wybiera się do Carlyle?

Holden żartobliwie pogroził mu palcem.

- Mówiłem, że nie mogę zdradzać mojego harmonogramu. Po prostu jestem turystą, który zwiedza wasze urocze zakątki... Powinniśmy już iść, James.

Wstali od stołu. Sharpe również wstał i zanim Rocco i Bartolozzi się podnieśli, oznajmił:

- Odprowadzę panów do samochodu i wskażę im drogę, a wy tu na mnie zaczekajcie. Musimy się jeszcze rozliczyć. Ja jestem coś winien Roccowi, Frank jest winien mnie. Kto wie, może wyjdę na czysto.

Mężczyzna z cygarem, który najwyraźniej miał na imię Frank, roześmiał się. Aiello wyglądał na zmieszanego, ale szybko pojął o co chodzi: Sharpe dawał im do zrozumienia, żeby nie odchodzili, dopóki nie wróci.

Matlock nie był pewien, czy dobrze wszystkim pokierował.

Chciał, aby jeszcze przez chwilę rozmowa obracała się wokół Carlyle: liczył, że któryś z mężczyzn zaproponuje, iż zadzwoni do Carmount albo do ośrodka żeglarskiego i poleci go znajomym. Ale stwierdzenie Holdena, że nie może ujawniać swojego harmonogramu, uniemożliwiło to. Jim obawiał się, że po wypowiedzi Anglika mężczyźni doszli do wniosku, że ich dzisiejsi goście są kimś tak ważnym, że nie potrzebują, aby ich polecać. Ponadto zdał sobie sprawę, że im bardziej zagłębiał się w świat Nemroda, tym bardziej polegał na tym, co mówił mu świętej pamięci Loring: że delegatom na zjazd w Carlyle nie wolno omawiać listy uczestników i że świadomość "Omerty" jest w nich tak silnie zakorzeniona, że żaden nie śmiałby naruszyć zakazu. A jednak Sharpe zażądał od kolegów przy stole, by na niego zaczekali.

Zrozumiał, że z powodu niedoświadczenia zbyt się zagalopował. Może nadeszła pora, żeby skontaktować się z Greenbergiem? Z drugiej strony wolał mieć jakieś konkretne informacje, zanim zadzwoni do agenta. Jeśli skontaktuje się z nim teraz, Greenberg może kazać mu wycofać się z akcji. A na to nie miał bynajmniej ochoty.

Sharpe odprowadził ich na parking. Sądząc po liczbie wozów, gości, którzy zostali na noc w hotelu "Windsor Valley" było niewiele.

- Nie reklamujemy naszych usług hotelowych - wyjaśnił Sharpe. - "Windsor Valley" kojarzy się ludziom głównie z dobrą restauracją.

- To rozumiałe - odparł Matlock.

- Panowie... - Sharpe zawahał się. - Obawiam się, że zabrzmie to trochę nieuprzejmie...

- Co takiego?

- Czy mógłbym z panem zamienić słowo, panie Matlock? Na osobności.

- Och, proszę się mną nie krępować - oznajmił Holden, odsuwając się od nich. -

Pospaceruję sobie tu w pobliżu.

- Bardzo miły facet, ten pański przyjaciel - powiedział Sharpe.

- Owszem. O co chodzi, Sammy?

- Mam kilka, że tak powiem, drobnych uwag.

- Tak?

- Jestem ostrożnym, metodycznym człowiekiem, panie Matlock, ale lubię mieć oczy i uszy otwarte... Jak pan widzi, prowadzę tu niezłe prosperujący interes...

- Widzę.

- Który się rozrasta. Może powoli, ale się rozrasta.

- No i?

- Wystrzegam się błędów. Jestem doświadczonym prawnikiem i szcycę się tym, że ich nie popełniam.

- Do czego pan zmierza?

- Będę z panem szczery. Odnoszę wrażenie... zresztą nie tylko ja, mój wspólnik Frank i Rocco Aiello też... że przybył pan w te strony, żeby poczynić pewne obserwacje.

- Skąd to panu przyszło do głowy?

- Skąd? Nagle ni stąd ni zowąd pojawia się taki gracz jak pan. Posiada wpływowych przyjaciół w San Juan. Zna tutejsze lokale jak własną kieszeń. Ma bardzo bogatego, miłego współpracownika rodem z Londynu. Jeśli dodamy to wszystko razem... Ale najważniejsza, i chyba pan o tym wie, była pańska wzmianka o interesach w Carlyle. To mówi samo za siebie, prawda?

- Czyżby?

- Nie jestem ryzykantem, panie Matlock. Tak jak wspominałem, jestem człowiekiem ostrożnym. Rozumiem obowiązujące zasady, nie zadaję pytań, których nie powinienem zadawać, i nie rozmawiam o rzeczach, o których nie powinienem wiedzieć... Chciałbym jednak, żeby generałowie zdali sobie sprawę, że mają w organizacji kilku inteligentnych, bardzo pracowitych oficerów. Niech pan zasięgnie opinii; każdy potwierdzi, że nie oszukuję i daję z siebie wszystko.

- Chce pan, żebym wstawił się za panem?

- Można to tak powiedzieć. Jestem cenionym obywatelem, powszechnie szanowanym prawnikiem. Mój wspólnik to niezwykle zdolny agent ubezpieczeniowy. Jesteśmy jakby stworzeni do tej roboty.

- A Aiello? Przyjaźnicie się, prawda?

- Rocco to dobry chłopak. Może nie najbystrzejszy, lecz uczciwy. Serdeczny wobec ludzi. Ale jeszcze mu sporo brakuje.

- A Bartolozzi?

- Bartolozzi? Nie wiem. Sam pan musi wyrobić sobie o nim opinię.

- Nie mówiąc nic, mówi pan bardzo wiele...

- Jacopo ciągle miele ozorem. Nie wiem, może to o niczym nie świadczy, może taki ma charakter. Ale jakoś mnie denerwuje. Natomiast Rocco jest w porządku.

Gdy tak stał bladym świtem na parkingu, słuchając ostrożnego, metodycznego Sharpe'a, Matlock powoli zaczął rozumieć, co się stało. A stało się to, co było do

przewidzenia, przecież sam obmyślił wszystkie posunięcia. Teraz jednak, gdy machina wreszcie poszła w ruch, czuł się dziwnie niezaangażowany, jak ktoś stojący na uboczu, kto chłodnym okiem obserwuje siebie i reakcje marionetek.

Wkroczył w świat Nemroda jako obcy, a tupet, z jakim to zrobił, wzbudzał nieufność.

I nagle ta nieufność znikła, a tupet obrócił się na jego korzyść, zyskując mu szacunek

Obcy, podejrzany człowiek zyskał szacunek za swój tupet, bo miał do niego prawo. Przybył jako wysłannik samej góry. Wzbudzał lęk. Jakiego określenia użył Greenberg? Mroczny świat cieni? Niewidoczne armie, które ustawiają w ciemnościach oddziały, czujnie wypatrują obcych patroli i wrogich zwiadowców.

Cienka lina, po której musiał stąpać, była niebezpieczna. Ale przynajmniej wiedział, czego się trzymać.

- Jest pan dobrym człowiekiem, Sharpe. I piekielnie byстрыm... Co pan wie o Carlyle?

- Nic! Absolutnie nic!

- Kłamie pan; to niezbyt rozsądne.

- Nie, przysięgam! Nic nie wiem. Owszem, słyszałem plotki, ale prawda i to, co ludzie gadają, to dwie różne rzeczy - powiedział Sharpe, unosząc do góry dwa palce.

- A co gadają? Dobrze radzę: niech pan niczego nie ukrywa.

- W porządku. No więc chodzą plotki, że ma się odbyć zjazd klanu. Spotkanie na najwyższym szczyśle. Że musi dojść do jakiegoś porozumienia.

- Nemrod?

Sammy Sharpe zamknął oczy, dokładnie na trzy sekundy, i oznajmił:

- Wymienił pan imię, którego wolę nie słydszeć.

- Więc niech je pan wymaże z pamięci.

- Już wymazałem, może mi pan wierzyć.

- To mi się podoba, Sammy. Kiedy wróci pan do kolegów, nie dyskutujcie na ten temat. To byłoby dość nierozsądne.

- Bardzo nierozsądne. Wręcz idiotyczne.

- Dlaczego prosił pan Rocca i Bartolozziego, żeby zostali? Jest już późno.

- Wiem. Chciałem ich spytać, co sądzą o panu i pańskim przyjacielu z Anglii. Ale ponieważ wymienił pan tamto imię, które wymazałem z pamięci, zapewniam pana, że o nic nie będę ich pytał. Tak jak mówiłem: rozumiem zasady.

- Doskonale. Wierzę panu. Myślę, że daleko pan w życiu zajdzie. A teraz niech pan już wraca do środka... Aha, jeszcze jedno. Byłbym... bylibyśmy wdzięczni, gdyby zadzwonił pan do Stocktona w Garmount i Cantora w ośrodku żeglarskim. Proszę im powiedzieć, że jestem pańskim znajomym i że do nich zajrzę. Nic więcej. Wolałbym, żeby nie mieli się na baczności. To ważne, Sammy. Więc ani słowa więcej.

- Obiecuję... Nie zapomni pan przekazać ode mnie ukłónów?

- Nie zapomnę. Jest pan dobrym człowiekiem, Sammy.

- Staram się. To wszystko.

I nagle poranną ciszę przerwało pięć głośnych wystrzałów. Rozległ się brzęk szkła. Z budynku doleciał tupot nóg, krzyk, odgłos przewracanych mebli. Matlock rzucił się na ziemię.

- John! John!

- Tu jestem! - zawołał Holden. - Przy samochodzie! Nic ci nie jest?

- Nie, nic. Nie ruszaj się!

W ciemnościach zamajaczyła sylwetka Sharpe'a biegnącego w stronę hotelu. Stał przy narożniku, przywierając plecami do muru. Wyteżając wzrok Matlock zobaczył, że postać przy murze sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciąga broń.

W budynku zagrzmiała kolejna seria strzałów, po której znów rozległy się pełne przerażenia krzyki. Przez boczne drzwi wyskoczył jeden ze sprzątaczy i na czworakach zaczął pełznąć w stronę parkingu. Wrzeszczał histerycznie w języku, którego Matlock nie znał.

Po paru sekundach wybiegł kelner w białej marynarce. Włókł za sobą jakiegoś mężczyznę, który najwyraźniej został ranny: krew lała mu się z prawego ramienia, ręka zwisała nieruchomo wzdłuż ciała.

Nie wiadomo skąd padł pojedynczy strzał i wydzierający się na całe gardło kelner zwał się na ziemię. Ranny mężczyzna zatoczył się i upadł twarzą na żwir. Z budynku doleciały krzyki:

- Idziemy! Zmywamy się! Do samochodu!

Matlock był pewien, że za moment ujrzy ludzi wybiegających bocznymi drzwiami, ale nikt się nie pojawił. Zamiast tego gdzieś poza parkingiem usłyszał warkot silnika, a po chwili pisk opon, jakby wóz brał ostry zakręt. Nagle zza lewego rogu, pięćdziesiąt metrów dalej, wyłonił się czarny samochód, który pomknął w stronę głównej szosy. Żeby do niej dotrzeć, musiał jednak przejechać obok zapalanej latarni. I wtedy Matlock mu się przyjrzał.

Była to ta sama limuzyna, która wyłoniła się z ciemności parę sekund po zabójstwie Ralphi Loringa.

Zaległa cisza. Stalowszare niebo powoli jaśniało.

- Jim! Jim, chodź tu! Chyba już odjechali!

Był to głos Holdena. Anglik opuścił kryjówkę przy samochodzie i stał pochylony nad mężczyzną w białej marynarce.

- Już idę! - zawołał Matlock, podnosząc się z ziemi.

- Ten facet nie żyje. Dostał między łopatki... - oznajmił Anglik, a następnie schylił się nad człowiekiem z krwawiącą, nieruchomą ręką. - Nieprzytomny. Ale jeszcze oddycha. Trzeba wezwać karetkę.

- Co tu tak cicho? Gdzie Sharpe?

- Włazł do środka. Tamtymi drzwiami. Trzymał w ręce broń. Obaj mężczyźni zbliżyli się ostrożnie do bocznych drzwi. Matlock otworzył je powoli i pierwszy wszedł do holu. Meble były w nieładzie, krzesła i stoły poprzewracane. Na drewnianej posadzce lśniła krew.

Matlock zawahał się.

- Sharpe? Gdzie się pan podziewa? - zawołał w końcu. Minęło kilka sekund, zanim usłyszeli odpowiedź. Głos Sharpe'a był cichy, ledwo słyszalny.

- Tu. W jadalni.

Przeszli pod obitym dębową boazerią łukiem. Nigdy w życiu nie myśleli, że kiedykolwiek ujrzą tak makabryczną jatkę.

Ogarnęła ich zgroza na widok ciał całych zlanych krwią. Rocco Aiello, czy raczej jego szczątki leżały wyciągnięte na przesiąkniętym krwią obrusie; kule rozerwały mu twarz. Wspólnik Sharpe'a, Frank, klęczał oparty o krzesło; tułów miał mocno przegięty do tyłu, krew ciekła mu z szyi i patrzył do góry szeroko otwartymi, martwymi oczami. Jacopo Bartolozzi leżał na podłodze, jakby oplatając swoim grubym ciałem nogę stołu; z rozerwanej z przodu koszuli wylewało się wielkie poharatane kulami brzuszysko; krew nadal ściekała pomiędzy gęstymi, czarnymi włosami porastającymi pierś grubasa. Bartolozzi najwyraźniej usiłował odciągnąć koszulę, żeby nie przylegała do żywego mięsa, bo w dłoni trzymał skrawek materiału. Czwarty trup leżał za Bartolozzim, z głową wspartą na prawej nodze grubasa. Ręce miał wyrzucone na bok, marynarkę na plecach podziurawioną i mokrą od krwi.

- Boże! - jęknął Matlock, nie dowierzając własnym oczom.

John Holden wyglądał tak, jakby za chwilę miał zwymiotować.

- Idźcie stąd - powiedział cicho, ze znużeniem w głosie Sharpe. - Lepiej, żeby was nikt tu nie widział.

- Trzeba zawiadomić policję - wymamrotał przerażony Matlock.

- Tam na ze... zewnątrz leży fa...facet. - Holden nie potrafił opanować jękania. - Mł. młody chłopak. On jeszcze ży... żyje.

Sharpe, wciąż ściskając w ręce broń, spojrzął na obu mężczyzn; w jego oczach malowała się podejrzliwość.

- Jestem pewien, że linie telefoniczne zostały przecięte oznajmił. - Najbliższe zabudowania znajdują się co najmniej kilometr stąd... Zajmę się wszystkim. A wam radzę ruszać w drogę.

- Myślisz, że powinniśmy odjechać? - spytał Holden, zwracając się do Matlocka.

- Słuchaj pan - odparł Sharpe. - Osobiście nie robi mi różnicy, czy zostanieie, czy nie. Za dużo mam na głowie, żeby się wami przejmować. Ale dla waszego dobra, radzę się wam stąd wynieść. Im mniej komplikacji, tym mniejsze ryzyko, prawda?

- Ma pan rację - stwierdził Matlock.

- Gdyby was zatrzymała policja, to wyjechaliście stąd pół godziny temu. I wiem o was tylko tyle, że jesteście przyjaciółmi Bartolozziego.

- W porządku.

Sharpe odwrócił się, żeby nie patrzeć na ciała pomordowanych mężczyzn. Przez chwilę Matlock miał wrażenie, że prawnik z Windsor Shoals rozplącze się. Ten jednak wziął głęboki oddech i rzekł:

- Jestem doświadczonym prawnikiem, panie Matlock. Mogą mieć ze mnie pożytek. Niech im pan to powie.

- Dobrze.

- I niech pan im powie, że potrzebuję ochrony. Że należy mi się ochrona. Słyszysz pan?

- Słyszę.

- A teraz wynoście się. - Z obrzydzeniem cisnął broń na podłogę. A potem oczy zaszyły mu łzami i wrzasnął: - Na miłość boską, wynoście się! Idźcie stąd!

Postanowili się czym prędzej rozdzielić. Matlock podwiózł matematyka do domu, sam zaś ruszył na południe w kierunku Fairfield. Zamierzał zatrzymać się na noc w jakimś przydrożnym motelu - na tyle daleko od Windsor Shoals, żeby mieć poczucie bezpieczeństwa, ale na tyle blisko Hartford, żeby przed drugą po południu zdążyć do Blackstone'a.

Był zbyt zmęczony, zbyt wystraszony, żeby zastanawiać się nad tym, co się stało. Znalazł trzeciorzędny motelik tuż na zachód od Stratford. Recepcjonista, który pełnił nocny dyżur, był wyraźnie zaskoczony pojawieniem się samotnego mężczyzny.

Kiedy wyciągnął księgę meldunkową, Matlock zaczął narzekać na podejrzliwą żonę, która czeka w domu w Westport; dziesięciodolarowy napiwek wystarczył, żeby recepcjonista wpisał drugą nad ranem jako godzinę przyjazdu gościa.

Położył się spać o siódmej, zamówiwszy uprzednio budzenie na dwunastą trzydzieści. Liczył na to, że po pięciu godzinach snu będzie miał nieco jaśniejszy umysł.

Obudził się po pięciu godzinach i dwudziestu minutach, a w głowie nic mu się nie przejaśniło. Nadal nie potrafił zrozumieć tego, co się stało. Prawdę mówiąc, masakra w Windsor Shoals wydawała mu się jeszcze większą zagadką. Może to on miał być ofiarą? A może zabójcy czekali cierpliwie na zewnątrz, aż wyjdzie, i dopiero wtedy wpadli do środka, żeby dokonać mordu?

Pomyłka? Czy ostrzeżenie?

O pierwszej piętnaście mknął już po Merritt Parkway. O pierwszej trzydzieści wjechał na Berlin Turnpike i bocznymi drogami dotarł do Hartford. Pięć po drugiej wszedł do gabinetu Blackstone'a

- Proszę pana. - Michael Blackstone oparł się o biurko i wbił wzrok w Matlocka. - Staramy się nie zadawać klientom zbyt wielu pytań, co nie znaczy, że bezkrytycznie akceptujemy wszystko, co robią!

- To akceptujcie krytycznie.

- Niech pan zabiera swoją forszę i szuka innego frajera! My nie chcemy takich klientów!

- Chwileczkę! Wynająłem pana do zapewnienia ochrony pewnej dziewczynie i to wszystko! Za to płacę trzy stowy dziennie! Wszelkie inne usługi są jakby na marginesie i za dodatkową opłatą.

- Nie ma żadnych dodatkowych opłat. Nie wiem, o czym pan mówi. - Nagle Blackstone zgiął ręce w łokciach i pochylił się nisko. - Chryste Panie! - szepnął ochryple. - Dwóch facetów, Matlock! Dwóch facetów z tej pieprzonej listy zostało wczoraj zamordowanych! Nie chcę mieć nic wspólnego z takimi szaleńcami jak pan! Zabójstwa to nie nasza działka! Gównu mnie obchodzi, czym jest pan synem i ile ma pan forsy!

- O czym pan, u licha, mówi? Wiem tylko tyle, co czytałem w gazecie. Wczorajszą noc spędziłem w motelu koło Fairfield. Przyjechałem tam o drugiej w nocy. Z tego, co pisze prasa, zabójstwa dokonano około piątej rano.

Blackstone podniósł łokcie znad blatu biurka i wyprostował się. Wciąż patrzył na Matlocka podejrzliwym wzrokiem.

- Może pan to udowodnić?.

- Chce pan, żebym podał nazwę motelu i numer telefonu? Proszę bardzo. Niech pan mi da książkę telefoniczną, zaraz sprawdzę.

- Nie! Nie chcę o niczym wiedzieć... Był pan wczoraj w Fairfield?

- Jeśli da mi pan książkę tele...

- Nie! Już dobrze. Mniejsza z tym. Myślę, że pan kłamie i że załatwił pan sobie alibi. Ale, jak pan słusznie zauważył, naszym zadaniem jest tylko i wyłącznie ochrona dziewczyny.

- Są jakieś zmiany od soboty? Czy wszystko jest w porządku?

- Tak... tak. - Blackstone wydawał się być zamyślony. - Pański telektronik jest gotowy. Opłata wynosi dwadzieścia dolarów dziennie.

- Rozumiem. Tanio jak barszcz.

- Nigdy nie mówiłem, że nasze usługi są tanie.

- Istotnie. Bo skłamałby pan.

- Istotnie. - Wciąż stojąc, Blackstone nacisnął klawisz aparatu łączącego go z sekretarką. - Pani będzie uprzejma przynieść telektronik pana Matlocka.

Po chwili w drzwiach ukazała się atrakcyjna dziewczyna z metalowym przyrządem w ręce, nie większym od paczki papierosów. Położyła go - wraz z niedużą karteczką - na biurku Blackstone'a, po czym bez słowa opuściła gabinet.

- To dla pana - oznajmił Blackstone. - Pański kod brzmi: Telcar trzy-zero. Czyli telektronik, Carlyle i okolice, zespół trzyosobowy. Trzymamy listę numerów rezerwowych, które są stosunkowo łatwe do zapamiętania. Pan będzie się kontaktował z numerem 555-68-68. Telektronik krótkimi dzwonekami poinformuje pana, jeśli ktoś będzie chciał przekazać panu jakąś wiadomość. Urządzenie wyłącza się wciskając ten guzik. W każdym bądź razie po usłyszeniu dzwonek powinien pan połączyć się z numerem, który panu podałem. Włączy się taśma z nagraniem wiadomością. Często wiadomość będzie składała się z samego numeru telefonu, pod którym zostanie pan jednego z ludzi przydzielonych do ochrony dziewczyny. Czy wszystko pan rozumie? To naprawdę nic skomplikowanego.

- Rozumiem - odparł Matlock, biorąc metalowy przyrząd. - Tylko nie za bardzo pojmuję, dlaczego pańscy ludzie nie mogą skontaktować się z panem, a pan ze mną. Pomijając sprawę opłaty, czy nie byłoby prościej?

- Nie. Istniałaby zbyt duża możliwość pomyłki. Mamy bardzo wielu klientów. Wolimy, żeby otrzymywali informacje bezpośrednio od ludzi, za których czas i pracę płacą.

- No tak.

- Poza tym szanujemy tajemnice naszych klientów. Nie byłoby dobrze, gdyby wiadomości docierały do nich z trzecich lub czwartych ust. Aha, jeszcze jedno. Moi ludzie oczywiście też mają telektroniki. W każdej chwili może się pan z nimi skontaktować. Wystarczy zadzwonić pod przydzielony panu numer i nagrać dla nich wiadomość.

- Gratuluję. Bardzo to sprytne.

- Po prostu przydatne - odparł Blackstone; wreszcie usiadł w fotelu i odchylił się wygodnie. - A teraz niech pan posłucha. Nie zdziwię się, jeśli potraktuje pan to, co powiem, jako pogroźkę. I nie zdziwię się, jeśli zechce pan zrezygnować z naszych usług... Otóż wiemy, że departament sprawiedliwości pilnie pana poszukuje. Jednakże nie wysunięto wobec pana żadnych oskarżeń i nie istnieje żaden nakaz aresztowania pana. Agenci federalni często bywają nadgorliwi i zapominają o prawach, które ludziom przysługują. Dzięki temu my możemy funkcjonować. Ale lojalnie pana uprzedzam: jeśli pański status się zmieni, jeżeli zostanie pan o cokolwiek oskarżony albo jeżeli sąd wyda nakaz aresztowania pana, nasza umowa automatycznie ulegnie rozwiązaniu i natychmiast powiadomimy odpowiednie władze o tym, gdzie pan przebywa. Wszelkie informacje, jakie zdobędziemy, są oczywiście zastrzeżone; prześlemy je wyłącznie pańskiemu obrońcy. Ale adres jest do wiadomości policji. Capiche?

- Tak. Brzmi to rozsądnie.

- No właśnie, ponieważ rozsądek to jedna z moich głównych cech, chciałbym pana prosić o dziesięciodniowy zadatek. Oczywiście, gdyby doszło do zerwania umowy, nadpłatę zwrócimy. Aha, jeżeli sytuacja ulegnie zmianie i agenci federalni uzyskają nakaz aresztowania pana, otrzyma pan od nas krótką wiadomość nagrałą na taśmie.

- Jaką?
- Telcar trzy-zero skasowany.

Idąc Bond Street Matlock czuł, że wszyscy mu się przyglądają, że obcy ludzie wlepiają w niego wzrok. Wiedział, że dopóki nie dotrze do kresu swych poszukiwań, nie dobiegnie do mety, to wrażenie go nie opuści. Mimo woli odwracał się, chcąc - bezskutecznie - przyłapać kogoś na gorącym uczynku.

Ulica na pozór wyglądała niewinnie.

Musiał przede wszystkim wydostać z łazienki korsykański dokument. Ale po tym, co powiedział Blackstone, było jasne, że sam nie ma co próbować. Mieszkanie jest pod obserwacją, i to przez dwie strony, myśliwych i zwierzyne.

Posłuży się jednym z ludzi przydzielonych do ochrony Pat i przekona się, czy Blackstone nie kłamał mówiąc, że wszelkie informacje dotyczące klienta są zastrzeżone. Tak, skontaktuje się z zespołem Blackstone'a... najpierw jednak czekał go ważniejszy telefon. Musiał dowiedzieć się, czy srebrzysta korsykańska przepustka była rzeczywiście potrzebna. Odpowiedzi na to mógł mu udzielić Samuel Sharpe, adwokat z Windsor Shoals w stanie Connecticut.

Postanowił zademonstrować Sharpe'owi bardziej ludzkie oblicze postaci, w którą się wcielił. Bądź co bądź był świadkiem, jak wczoraj Sharpe na moment sam stracił głowę. Nadszedł właściwy moment, aby udowodnić mu, że nawet tacy ludzie jak on, Matlock, którzy cieszą się przyjaźnią wpływowych osób w San Juan i Londynie, są zdolni do współczucia i nie myślą wyłącznie o własnej skórze.

Wszedł do hotelu "Americana" i zadzwonił z holu do Sharpe'a. Telefon odebrała sekretarka.

- Czy pan Sharpe mógłby za chwilę do pana oddzwonić?
- Niestety nie. Jestem w budce telefonicznej i bardzo się spieszę.

W słuchawce zaległa cisza. Sekretarka łączyła się na drugiej linii z szefem. Po niecałych dziesięciu sekundach znów się odezwała.

- Panie Matlock, czy mógłby pan zostawić numer aparatu w budce, z której pan dzwoni? Pan Sharpe skontaktuje się z panem za pięć minut.

Matlock podał numer i odwiesił słuchawkę.

Kiedy siedział na plastikowym krzeselku, czekając na telefon Sharpe'a, przypomniał sobie inną budkę telefoniczną i inne plastikowe krzeselko. Oraz czarną limuzynę, która przejechała szybko obok martwego ciała zgiętego w pół na tamtym krzeselku - ciała mężczyzny z dziurą w czole.

Rozległ się terkot telefonu. Matlock podniósł słuchawkę.

- Matlock?

- Sharpe?

- Powinien pan wiedzieć, że nie należy dzwonić do mnie do biura. Musiałem zejść na dół, do innego aparatu.

- Nie przyszło mi do głowy, że telefon w biurze cenionego prawnika może być na podsłuchu. Przepraszam.

Na drugim końcu linii zapadła krótka cisza. Sharpe najwidoczniej nie spodziewał się przeprosin.

- Mówiłem, jestem ostrożnym facetem. O co chodzi?

- Chciałem tylko spytać, jak pan się miewa? Jak pan sobie poradził z tym wszystkim?

Ta wczorajsza rzecz, to było straszne.

- Wie pan, jeszcze to do mnie w pełni nie dotarło. Za dużo spraw mam na głowie. Policja, formalności pogrzebowe, dziennikarze.

- Jakiej się pan trzyma wersji?

- Proszę się nie obawiać, nie popełnię błędu. Po prostu jestem niewinną, przypadkową ofiarą. Frank też, tylko że on nie żyje... Cholera, będzie mi go brakować. To był dobry człowiek... Sale na piętrze oczywiście pozamykam. Policja stanowa została już opłacona. Sądzę, że przez pańskich kolegów. Gazety wkrótce podadzą oficjalną wersję zdarzeń. Grupa włoskich chuliganów urządziła sobie strzelaninę w porządnym, spokojnym lokalu.

- Całkiem nieźle.

- Mówiłem panu - rzekł ze smutkiem w głosie Sharpe - jestem człowiekiem ostrożnym, zawsze przygotowanym na każdą ewentualność.

- Kto ich zabił?

Sharpe nie odpowiedział na pytanie. W ogóle się nie odezwał.

- Jak pan myśli, czyja to robota? - spytał ponownie Matlock.

- Sądzę, że pan i pańscy przyjaciele dowiedzą się prędzej niż ja... Bartolozzi miał wrogów, to był nieprzyjemny facet. Rocco chyba też miał wrogów... Ale dlaczego zabito Franka? Dlaczego?

- Nie wiem. Nie byłem z nikim w kontakcie.

- Niech pan się dowie. Bardzo pana proszę. Musiała zajść jakaś pomyłka.

- Postaram się. Przyrzekam... Jeszcze jedno, Sammy. Niech pan nie zapomni zadzwonić do Stocktona i Cantora.

- Nie zapomnę. Zapisałem sobie w kalendarzu. Mówiłem panu, jestem nie tylko ostrożny, ale i metodyczny.

- Dziękuję. I proszę przyjąć moje wyrazy współczucia. Frank sprawiał sympatyczne wrażenie.

- To był naprawdę świetny gość.

- Nie wątpię. Niedługo się odezwę, Sammy. I niech pan się nie martwi; pamiętam swoją wczorajszą obietnicę. Wywarł pan na mnie dos...

Nagle buczenie automatu w Windsor Shoals przerwało Matlockowi w pół słowa. Czas minął; nie było sensu łączyć się ponownie. Dowiedział się tego, o co mu chodziło. Korsykański dokument należało wydobyć z mieszkania. Mimo masakry, jaka o świcie wydarzyła się w "Windsor Valley", metodyczny Sharpe nie zapomniął o Stocktonie i Cantorze. To, że pamiętał o telefonach, że zapisał sobie w kalendarzu, graniczyło z cudem. Ostrożny prawnik nie uległ panice. Był jak skała.

W budce było duszno, ciasno i niewygodnie, a w dodatku gęsto od dymu. Matlock otworzył drzwi i ruszył pośpiesznie przez hol, kierując się w stronę wyjścia.

Skreślił w Asylum Street i zaczął rozglądać się za jakąś restauracją. Taką, w której mógłby zjeść obiad, czekając, aż Telcar trzy-zero zareaguje na telefon, który zamierzał wykonać. Blackstone mówił, że kiedy będzie chciał się porozumieć z zespołem, powinien nagrać wiadomość i zostawić numer, pod jakim można go zastać. Restauracja była idealnym do tego miejscem.

Nie opodal zobaczył lokal z szyldem "The Lobster", uczęszczany głównie przez dyrektorów i biznesmenów.

Kelner zaprowadził go do stolika za przepierzeniem. Dochodziła trzecia. Pora obiadowa minęła. Gości było coraz mniej. Usiadł i zamówiwszy bourbona z lodem, spytał, czy w lokalu jest telefon, z którego mógłby skorzystać. Już zamierzał wstać i zadzwonić pod numer 555-68-68, gdy nagle z wewnętrznej kieszeni marynarki doleciało go ostre, przeraźliwe brzęczenie. W pierwszej chwili zeszytniał. Miał wrażenie, jakby coś, jakaś część jego ciała, wpadła w histerię i rozpaczliwie szukała pomocy. Drżącą ręką sięgnął pod marynarkę, wyjął metalowy przyrząd, pośpiesznie odszukał właściwy przycisk i nacisnął go z całej siły. Następnie rozejrzał się po sali, sprawdzając, czy ludzie mu się przyglądają.

Ale nikt nie zwrócił uwagi na brzęczenie. Nikt na niego nie patrzył. Nikt niczego nie słyszał.

Wstał od stołu i szybkim krokiem ruszył do telefonu. Myślał tylko o Pat: musiało się coś stać, coś bardzo ważnego, skoro Telcar trzy-zero wzywał go za pomocą chytrego, podstępnego urządzenia, którego dźwięku tak się przestraszył.

Zamknął za sobą drzwi budki telefonicznej i wykręcił numer 555-68-68.

- Tu Telcar trzy-zero - oznajmił nagrany na taśmie męski głos. - Proszę zadzwonić pod numer 555-19-51. To nic pilnego i nie ma najmniejszego powodu do zdenerwowania. Będziemy pod tym numerem przez najbliższą godzinę. Powtarzam numer: 555-19-51. To wszystko.

Matlock oczywiście zauważył, że Telcar trzy-zero specjalnie starał się go uspokoić; zapewne postępowali tak z każdym, kto nigdy dotąd nie miał do czynienia z teletronikiem. Podejrzewał, że nawet gdyby na Carlyle spadła bomba i zmiotła miasto z powierzchni ziemi, słowa Telcara trzy-zero nadal brzmiałyby łagodnie i uspokajająco. Przypuszczalnie pracownicy Blackstone'a wychodzili z założenia, że wystraszony człowiek nie potrafi jasno myśleć. W każdym razie ich metoda była skuteczna. Uspokojony, wygrzebał z kieszeni garść monet. Trzeba rozmienić z pięć jednodolarowych banknotów na drobne; mogą się jeszcze przydać, pomyślał. Bądź co bądź budka telefoniczna stała się istotnym elementem jego życia.

- Czy to 555-19-51? - spytał

- Tak - odpowiedział ten sam głos, który nagrał wiadomość na taśmę. - Pan Matlock?

- Tak. Czy panna Ballantyne dobrze się czuje?

- Coraz lepiej. Załatwił jej pan świetnego lekarza. Dziś rano nawet siedziała. Opuchlizna już prawie znikła. Pan doktor jest bardzo zadowolony... Panna Ballantyne kilkakrotnie pytała o pana...

- Co jej pan powiedział?

- Prawdę. Że wynajął nas pan po to, byśmy jej strzegli.

- A o mnie co pan jej powiedział?

- Że musiał pan wyjechać na kilka dni. Może byłoby dobrze, gdyby pan do niej zadzwonił. Po południu już będzie mogła odbierać telefony. Oczywiście, będziemy sprawdzać kto dzwoni.

- Oczywiście... Czy dlatego skontaktował się pan ze mną?

- Tak, ale również z powodu niejakiego Greenberga. Jasona Greenberga. Facet wciąż wydzwaniania. Nalega, żeby pan się z nim porozumiał.

- Co mówił? Kto z nim rozmawiał?

- Ja. Na imię mam Cliff.

- W porządku, Cliff. Więc co mówił?

- Żeby przy najbliższej okazji powiedział panu, aby natychmiast pan do niego zadzwonił. Podkreślił, że to ważna, pilna sprawa. Zostawił numer telefonu. W Wheeling w Zachodniej Wirginii.

- Niech pan mi poda. - Wyjął długopis i zapisał numer na drewnianej półeczce pod aparatem.

- Panie Matlock...

- Słucham?

- Greenberg prosił, abym panu powtórzył: "miasta wcale nie umierają, one już umarły". To były jego słowa. Że miasta umarły.

23

Nie zadając zbędnych pytań, Cliff zgodził się zabrać z mieszkania Matlocka korsykański dokument. Później umówią się telefonicznie na spotkanie. Gdyby dokumentu nie było, Telcar trzy-zero miał natychmiast powiadomić o tym Matlocka.

Matlock ograniczył się do jednego drinka. Zjadł bez apetytu obiad i o trzeciej trzydzieści opuścił lokal. Czas najwyższy, żeby przegrupować oddziały, uzupełnić zapasy amunicji. Zostawił cadillaca na płatnym parkingu, kilka przecnic na południe od Bond Street, przy której mieściło się biuro Blackstone'a. Przyszło mu teraz do głowy, że po wyjściu od Blackstone'a powinien był wrócić na parking i wrzucić do licznika przy wozie kolejną monetę. Jedna moneta opłacała godzinny postój, a jego nie było prawie dwie. Zastanawiał się, co agencja wynajmu samochodów robi z mandatami, które klienci otrzymują, zwłaszcza ci przyjezdni, nie znający miasta. Dotarł na parking i przez chwilę wahał się, czy idzie we właściwym kierunku. Okazało się, że nie. Cadillac znajdował się dwa rzędy dalej, cztery wozy w lewo. Matlock zaczął przeciskać się między zderzakami i nagle stanął wpół kroku.

Wśród zaparkowanych pojazdów, tuż za cadillakiem zobaczył charakterystyczny niebiesko-biały wóz hartfordzkiej policji. Jeden policjant sprawdzał drzwi cadillaca, drugi - wsparty o maskę - rozmawiał przez radiotelefon.

Odszukali samochód! Matlock nawet nie był tym specjalnie zdziwiony, ale ogarnął go strach.

Zaczął się ostrożnie wycofywać, gotów rzucić się do ucieczki, gdyby go nagle dostrzegli. Sprawy się skomplikowały, musiał zastanowić się co robić dalej. W pierwszej kolejności należało zdobyć nowy samochód. Ponieważ wiedzieli, że przebywa na terenie Hartford, inny środek lokomocji nie wchodził w grę, ani pociąg, ani autobus. Podejrzewał, że dworce zostały już obstawione, taksówkarze uprzedzeni. Samochód... tylko skąd go zdobyć?

Naszły go jednak pewne wątpliwości. Blackstone wyraźnie powiedział, że nie wysunięto wobec niego, Matlocka, żadnych oskarżeń i policja nie otrzymała nakazu aresztowania go. Gdyby istniał taki nakaz, to pod numerem 555-68-68 czekałaby dla niego wiadomość. Krótka wiadomość składająca się z jednego zdania:

“Telcar trzy-zero skasowany”.

A dotąd niczego takiego nie usłyszał. Nikt go o niczym nie zawiadomił. Przez moment wahał się, czy nie wrócić na parking i nie zapłacić mandatu.

Zrezygnował z tego pomysłu. Policjanci rzadko zajmowali się sprawdzaniem liczników parkingowych. Poza tym wciąż miał żywo w pamięci zarówno wóz, który wjechał za nim na parking na tyłach domu towarowego, jak i policjanta ubranego po cywilnemu, który śledził go na kortach. Spotkania z policją powtarzały się zbyt często.

Ruszył pośpiesznie Bond Street, oddalając się od parkingu. Skręcił na pierwszym skrzyżowaniu i zaczął biec, ale po chwili zwolnił. Nic bardziej nie rzuca się w oczy na zatłoczonej ulicy niż biegnący mężczyzna - może tylko biegnąca kobieta. Dostosował swój krok do kroku przechodniów, starając się wtopić w falujący tłum. Od czasu do czasu nawet przystawał i tępym wzrokiem wpatrywał się w wystawy sklepowe, choć towary za szybą wcale go nie interesowały. Usiłował zrozumieć to, co się z nim dzieje. I zdał sobie sprawę, że nagle obudził się w nim pierwotny instynkt ściganego zwierza. Zmysły miał czujne, wyostrzone, skoncentrowane na badaniu wszystkiego wokół, żeby uniknąć ewentualnej napaści, a jednocześnie niczym kameleon próbował idealnie dopasować się do otoczenia, aby nie rzucać się w oczy.

Ale przecież nie był ściganym zwierzęciem! Był myśliwym! Do diabła, to wróg był zwierzną!

- Cześć, Jim! Jak się miewasz, stary? Co robisz w wielkim mieście?

Z zaskoczenia Matlock stracił równowagę. Dosłownie stracił równowagę, potknął się i upadł. Mężczyzna, który go zaczepił, schylił się i pomógł mu wstać.

- To ty, Jeff! Boże, ale się wystraszyłem. Dzięki.

Matlock podniósł się i otrząpął spodnie. Rozejrzał się wokoło, zastanawiając się, czy ktoś poza Jeffem Kramerem przygląda mu się.

- Co, zjadło się mocno zakrapiany obiad, hmm - spytał ze śmiechem Kramer.

Jeff Kramer ukończył wydział psychologii na uniwersytecie w Carlyle; wyniki miał tak imponujące, że z miejsca znalazł zatrudnienie w świetnie prosperującej agencji reklamowej.

- Nie, skądże! Po prostu byłem zamyślony. Wiesz jak to jest ze starzejącymi się belframi.

Matlock przyjrzał się uważnie Kramerowi. Wprawdzie Jeff pracował w firmie znanej z tego, że hojnie płaci pracownikom, ale miał żonę, która lubiła luksusowe życie, oraz dwójkę dzieci, którym niczego nie odmawiał, uczęszczających do bardzo drogich szkół. Zależało mu, żeby dawny kolega ze studiów nie wziął go za pijaka.

- Zamówiłem tylko jednego drinka i nawet go nie dokończyłem.

- Trzeba to naprawić! - powiedział Kramer, wskazując na karczmę "Pod świńskim łbem" po drugiej stronie ulicy. - Nie widzieliśmy się od kilku miesięcy. Czytałem w "The Courant", że cię okradziono.

- I to jak! Z kradzieżą, cholera, mógłbym się od biedy pogodzić, ale nawet nie masz pojęcia, jak mi zdemolowali mieszkanie! I samochód! - Ruszyli przez ulicę, kierując się w stronę karczmy. - Dlatego jestem w Hartford. Musiałem wstawić triumpha do warsztatu. Sęk w tym, że nie mam czym jeździć.

Ścigane zwierzę nie tylko miało wyostrzone zmysły, które pomagały mu zwietrzyć obecność wroga, ale posiadało również niezwykłą - choć może tylko chwilową - umiejętność spadania na cztery łapy.

Podczas gdy Matlock powoli sączył rozcieńzonego wodą bourbona, Jeff Kramer zdążył już opróżnić połowę szklanki. - Przeraża mnie myśl o podróży autobusem do Scarsdale, z przesiadką w New Haven i w Bridgeport. - Na miłość boską, wynajmij samochód! - Byłem w dwóch agencjach. W pierwszej powiedzieli, że mogą mi dać wóz dopiero późnym wieczorem, w drugiej że jutro.

Zdaje się, że w mieście odbywa się jakiś zjazd czy coś w tym rodzaju.

- No to zaczekaj do wieczora.

- Nie mogę. Interesy rodzinne. Ojciec zaprosił na kolację wszystkich swoich doradców ekonomicznych. Ale jeśli myślisz, że wybiorę się do Scarsdale bez własnych czterech kółek, to się grubo mylisz!

Roześmiał się i zamówił po jeszcze jednej kolejce, a następnie sięgnął do kieszeni i wyciągnął banknot pięćdziesięciodolarowy. Położył go na barze, świadomy, że nie ujdzie to uwagi człowieka, który ma żonę kochającą luksusy.

- Jesteś doradcą ekonomicznym swojego ojca? No proszę! A ja myślałem, że nie potrafisz nawet prowadzić własnych rachunków!

- Kiedy się jest jedynym spadkobiercą, mój drogi... No, sam rozumiesz.

- Skurczybyk! Ten to ma szczęście!

- Słuchaj! Mam genialny pomysł! Jesteś tu samochodem?

- Ej, chwilkę, przyjacielu...

- Nie, czekaj. - Wyjął kilka banknotów. - Na koszt mojego starego. Więc jak? Wynająłbyś mi wóz? Na cztery, pięć dni? Zapłacę ci dwieście... nie, trzysta dolarów.

- Aż tyle? Czyś ty zwariował!

- Nie. Ojcu zależy, żebym się zjawił. On pokryje koszty. Matlock wiedział, że Kramer przelicza w myślach, ile kosztuje wynajęcie samochodu w jednej z tańszych agencji.

Osiemdziesiąt dolarów za tydzień, plus opłata w wysokości siedmiu centów za każdy przejechany kilometr, a średnio pokonuje się dziennie w mieście jakieś trzydzieści, czterdzieści kilometrów. W sumie wydatek rzędu stu pięciu, może stu dziesięciu dolarów.

A Kramer miał żonę kochającą luksusy i dwójkę dzieci, którym niczego nie potrafił odmówić, uczęszczających do bardzo drogich, ekskluzywnych szkół...

- Nie mógłbym tyle od ciebie wziąć.

- Nie ode mnie! Od niego!

- Czy ja wiem...

- Słuchaj, zrobimy tak. Sporządzimy umowę, którą wręcę ojcu natychmiast po przyjeździe do domu. - Matlock sięgnął po firmową serwetkę i odwrócił ją czystą, niezadrukowaną stroną do góry. Następnie wyjął długopis i zaczął pisać: - Ja, niżej podpisany James B. Matlock, zapłaciłem Jeffreyowi Kramerowi sumę trzystu... a, do diabła, to tylko pieniądze...czterystu dolarów za wynajęcie od niego... jaki to wóz?

- Ford kombi. Biały. Zeszłoroczny - odparł Kramer, spoglądając to na serwetkę, to na plik banknotów, które Matlock niedbale rzucił na blat.

-...forda kombi na okres... mogę na tydzień?

- Tak.

-... jednego tygodnia. Dobra, a teraz podpisz się tu koło mnie... Proszę, oto twoje czterysta dolarów. Z kasy Jonathana Munro Matlocka. Gdzie stoi wóz?

Instynkt zwierzyny okazał się bezbłędny. Tak jak Matlock się spodziewał, Kramer zgarnął pieniądze, otarł spoconą brodę i wyjął z kieszeni dwa kluczyki oraz pokwitowanie z parkingu. Widać było, że chce się już pożegnać. Odejść i nacieszyć się pieniędzmi.

Matlock obiecał, że zadzwoni do niego przed upływem tygodnia i zwróci samochód. Kiedy chciał zapłacić za drinki, Kramer sprzeciwił się: sam uregulował rachunek i opuścił pośpiesznie karczmę. Matlock w samotności dopił bourbona, zastanawiając się nad kolejnym posunięciem.

Od tej chwili był i łowcą, i zwierzyną.

24

Białe kombi puło szosą numer 72 w stronę Mount Holly. Za godzinę Matlock zamierzał ponownie się zatrzymać, ponownie wrzucić monetę do automatu i ponownie zadzwonić. Tym razem do Howarda Stocktona, właściciela klubu w Carmount. Zerknął na zegarek. Dochodziło wpół do dziewiątej. Samuel Sharpe, prawnik z Windsor Shoals, już kilka godzin temu powinien był porozumieć się ze Stocktonem.

Ciekaw był, jak Stockton zareagował. W ogóle ciekaw był Stocktona.

W światłach reflektorów pojawił się napis:

Mount Holly. Prawa miejskie od 1896

A tuż za nim następny:

Klub Rotariański w Mount Holly

Restauracja Harpera -1,5 km.

Czemu nie, pomyślał Matlock. Niczym nie ryzykował, nie miał nic do stracenia, a może mógł się czegoś dowiedzieć.

Był łowcą.

Frontowa ściana przyozdobiona białą sztukaterią oraz czerwone neony w oknach najlepiej świadczyły o tym, jakiego rodzaju lokal prowadzi pan Harper. Matlock zaparkował wóz koło furgonetki, wysiadł i zamknął starannie drzwi. Nowa walizka pełna kupionych niedawno ubrań leżała na tylnym siedzeniu. Wydał w Hartford kilkaset dolarów; nie chciał kusić złodzieja.

Ruszył po nierównym podjeździe, wysypanym grubym żwirem, wszedł do restauracji i stanął przy barze.

- Jadę do Carmount - powiedział, płacąc dwudziestodolarowym banknotem za drinka.

- Nie wie pan, gdzie u licha leży ta miejscowość?

- Jakies pięć kilometrów na zachód stąd. Przy najbliższym rozwidleniu musi pan skręcić w prawo... Nie ma pan drobnych? Bo w kasie mam tylko dwie piątki i jedynki, a jedynki mi się przydadzą.

- Niech mi pan da piątki i rzucimy monetę. Jeśli wypadnie orzeł, zatrzyma pan swoje jedynki; jeśli reszka, też je pan zatrzyma, ale postawi mi kolejkę. - Wyjął z kieszeni monetę, podrzucił do góry, a kiedy spadła na fornirowany blat, przykrył ją dłonią. Po chwili odsunął rękę i podniósł monetę, nie pokazując jej barmanowi. - Ma pan pecha, przyjacielu. Forsa jest pana, ale musi mi pan postawić jednego.

Kątem oka Matlock zauważył, że trzech mężczyzn, którzy popijali piwo, przysłuchują się rozmowie. I bardzo dobrze, pomyślał, rozglądając się za telefonem.

- Ubikacja jest z tyłu, za rogiem - powiedział jeden z piwoszy, prostacko wyglądający facet w tandetnej marynarce i czapce baseballowej na głowie. - Dzięki. A jest tu jakiś telefon?

- Koło ubikacji.

- Dziękuję.

Wyjął z kieszeni kartkę, na której widniało: Howard Stockton. Carmount, tel. 203-421-1100 i skinął na barmana. Nim się obejrzał, barman już był przy jego boku.

- Muszę zadzwonić do tego gościa - oznajmił cicho Matlock - ale nie wiem, czy dobrze zapisałem nazwisko. Nie jestem pewien, czy brzmi Stackton czy Stockton. Nie wie pan przypadkiem?

Barman spojrzał na kartkę i w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania.

- Dobrze pan zapisał. Stockton. Pan Stockton. Wiceprezes klubu rotariańskiego. Przedtem był prezesem. Prawda, chłopaki? - zwrócił się do trzech piwoszy.

- Jasne.

- Pewnie. Stockton.
- Sympatyczny gość.
- Jest właścicielem klubu - dodał mężczyzna w tandetnej marynarce i czapce baseballowej, czując potrzebę rozwinięcia wątku. - Miłe miejsce. Bardzo przyjemne.
- Klubu? - spytał Matlock z lekką ironią w głosie.
- Tak - odparł barman. - Jest tam basen, pole golfowe, w sobotę i niedzielę odbywają się wieczorki taneczne. Jest tam całkiem sympatycznie.
- Słyszałem wiele pochlebnych opinii. To znaczy o Stocktonie. - Matlock wypił do końca drinka. - Czyli co, telefon jest tam na tyłach?
- Tak. Za zakrętem.

Sięgnął do kieszeni po drobne i ruszył w stronę wąskiego korytarzyka, na końcu którego znajdowały się toalety i telefon. Za rogiem przystanął i przywarł plecami do ściany. Wyteżył słuch, podejrzewając, że mężczyźni będą rozmawiać na jego temat. Pierwszy odezwał się barman.

- Lubi facet szastać forszą, co?
- Oni wszyscy lubią. Nie wiem, czy wam opowiadałem... kilka tygodni temu mój syn pracował tam jako chłopak do noszenia kijów golfowych. Gość, za którym je nosił, tak się ucieszył ze swojego wyniku, że dał smarkaczowi pięćdziesiąt dolców. Wyobrażacie sobie? Pięćdziesiąt dolców!

- Moja stara twierdzi, że te wszystkie eleganckie damulki, które tam bywają to, za przeproszeniem, kurwy. Autentyczne kurwy. Stara trochę tam dorabia, pracuje w kuchni... Mówię wam, autentyczne kurwy...

- Oj, chciałbym taką dopaść. Chryste! Większość z nich nawet nie nosi staników!
- Autentyczne kurwy...
- No i co z tego? Ten Stockton to porządny gość. Ja go tam lubię. Wiecie, co niedawno zrobił? Pamiętacie Kingów, co? No więc któregoś dnia Artie King strzygł trawę w klubie i dostał zawału. Już się biedaczysko nie podniósł. Stary Stockton nie tylko dał wdowie i dzieciom kupę szmalu, ale w dodatku otworzył im rachunek w domu towarowym. To naprawdę porządny gość.

- Autentyczne kurwy. Rozchylają nogi dla forsy...
- A, i nie zapominaj, że dał forszę na szkołę, na dobudowanie drugiego pawilonu. Masz rację, facet jest w porządku. Do licha, moje dzieciaki chodzą do tej szkoły!
- I wiesz co jeszcze? Pamiętasz ten festyn na trzydziestego maja? Na to też dał forszę.
- Jak Boga kocham, autentyczne kurwy...

Trzymając się blisko ściany, Matlock ruszył na palcach do telefonu, po czym najciszej jak mógł zamknął za sobą drzwi. Mężczyźni przy barze coraz głośniejszymi głosami wychwalali zalety Howarda Stocktona, właściciela klubu w Carmount. Nie było obawy, że usłyszą jego opóźnione wejście do budki.

Przez chwilę stał przy telefonie, zastanawiając się nad samym sobą. Jeżeli zwierzyna - z racji tego, że ucieka - posiada instynkt obronny, samozachowawczy, to łowca - z racji tego, że jej szuka - posiada instynkt tropiciela. Wiedział, że musi kierować się węchem, iść po śladach zwierzyny, a przede wszystkim dokładnie poznać jej zwyczaje. Wszelkie zdobyte informacje stanowiły dodatkową broń, cóż z tego, że niematerialną. Posługując się nią dobry łowca był w stanie obmyślić pułapkę, zastawić na zwierzynę sidła.

Jaką wiedzę dysponował? Jaki był Stockton?

Howard Stockton - były prezes, obecnie wiceprezes klubu rotariańskiego w Mount Holly był człowiekiem hojnym, o wielkim sercu; człowiekiem, który zaopiekował się rodziną swojego zmarłego pracownika, Artiego Kinga, i który sfinansował budowę drugiego pawilonu szkolnego; był właścicielem luksusowego klubu, w którym chłopcy do noszenia kijów golfowych dostają pięćdziesięciodolarowe napiwki, a cieszący się poważaniem

obywatele mogą miło spędzić wieczór z panienką; był dobrym patriotą, który w dniu trzydziestego maja zorganizował miesz kańcom Mount Holly festyn.

Na początek powinno wystarczyć. Gdyby co do czego doszło, jak określił to Sam Sharpe, miał dość informacji, żeby wytrącić Stocktona nieco z równowagi. Jeszcze kwadrans temu nic o nim nie wiedział. Wprawdzie nadal nie znał rysów jego twarzy, ale sam człowiek nie stanowił już dla niego całkowitej zagadki. W Mount Holly w stanie Connecticut Howard Stockton był niemal instytucją.

Matlock wrzucił monetę i wykręcił numer klubu w Carmount.

- Jak to miło, że pan przyjechał, panie Matlock! - zawołał Howard Stockton, witając się z Jimem na marmurowych schodach przed klubem. - Chłopak odprowadzi pański samochód na parking. Hej! Chłopcze! Tylko nie zadrappaj gdzie wozu!

Parkingowy, Murzyn, roześmiał się z tonu, jakim Stockton wydał mu polecenie i złapał w powietrzu półdolarówkę, którą mu rzucił.

- Dziękuję, szefie.

- Zawsze powiadam, traktuj ich dobrze, to będą dobrze pracować. Prawda, chłopcze? Dobrze was traktuję?

- Jasne, szefie!

Matlock poczuł się tak, jakby oglądał jakąś obrzydliwą reklamę w telewizji, po chwili jednak pojął, że Howard Stockton wcale nie udaje stereotypowego południowca. Po prostu nim jest. Świadczył o tym cały jego wygląd: przetykane siwizną jasne włosy, spieczona słońcem twarz, kontrastujące z opalenizną białe wąsy i głęboko osadzone, błękitne oczy otoczone siecią drobnych zmarszczek.

- Witam w Carmount, panie Matlock. Wprawdzie nie jest to Richmond, ale z drugiej strony nie jest to zabita dechami wiocha.

- Dziękuję. I na imię mam Jim.

- Jim? Podoba mi się to imię. Krótkie, męskie, uczciwe. Na mnie przyjaciele mówią Howard. Ty też mów mi Howard.

Wnętrze klubu nasunęło Matlockowi na myśl stare domy na południowych plantacjach, wzniesione jeszcze przed wojną secesyjną. Zważywszy na osobę właściciela, nie ma się czemu dziwić, pomyślał. Wnętrze zdobiły liczne palmy w donicach, nad głowami wisiały delikatnie rżnięte kryształowe żyrandole, a ściany pokryte były cieniutką, jasnoniebieską tapetą przedstawiającą sceny z okresu rokoka, na których widniały piękne, swawolne postacie w przypudrowanych perukach. Howard Stockton, choć nigdy by się do tego otwarcie nie przyznał, tęsknił za światem, który przestał istnieć w 1865 roku. Nawet służba, składająca się przeważnie z Murzynów, ubrana była w liberie - w najprawdziwsze liberie! Z ogromnej sali jadalnej płynęła cicha muzyka: ósmioosobowy zespół orkiestry smyczkowej ze stylowym wdziękiem grał stare melodie. Pośrodku głównego holu, który idealnie pasowałby do rezydencji antyfederalisty Jeffersona Davisa - lub Scarlett z "Przeminęło z wiatrem" - znajdowały się wspaniałe, kręte schody. Wszędzie wkoło atrakcyjne kobiety spacerowały pod rękę z nieco mniej atrakcyjnymi panami.

Towarzysząc swojemu gospodarzowi do jego - jak to skromnie zostało określone - prywatnej biblioteki, Matlock był pod wrażeniem tego, co go otaczało.

Stockton zamknął solidne, drewniane drzwi i skierował się do świetnie zaopatrzonego, mahoniowego barku. Nie pytając gościa o zdanie, przyrządził dwa drinki.

- Sam Sharpe powiedział, że pijasz bourbona z lodem. Znasz się na tym co dobre, Jim. Mamy podobny gust - oznajmił, podchodząc do Matlocka z dwiema szklankami. - Proszę. Którą wolisz? Bo jedynie wykazując brak jakichkolwiek uprzedzeń, džentelmen z Południa może dziś zyskać przychylność mieszkańca północnych stanów.

- Dziękuję. - Matlock wziął szklankę i usiadł na fotelu wskazanym przez gospodarza.

- Dzentelmen z Południa, którego widzisz przed sobą - ciągnął dalej Stockton - ma rzadko spotykany na Południu zwyczaj, że lubi od razu przechodzić do sedna... Będę z tobą szczery, Jim. Przyprowaździłem cię tu, do biblioteki, bo nie jestem pewien, czy powinieneś się pokazywać w klubie.

- Nie rozumiem. Kiedy dzwoniłem, mogłeś mi powiedzieć, żebym nie przyjeźdżał. Dlaczego nic nie wspomniałeś?

- Przypuszczalnie sam wiesz. Sammy twierdzi, że jesteś ważnym człowiekiem... światowcem. Nie mam nic przeciwko temu. Lubię zdolnych, młodych ludzi, którzy wspinają się wysoko i odnoszą sukcesy. Chwali im się to, ale... Otóż ja zawsze płacę swoje rachunki. Punktualnie. Co miesiąc. I prowadzę najlepsze kasyno, jakie istnieje na północ od Atlanty. Nie chcę mieć żadnych kłopotów.

- Ja ci ich nie przysporzę. Jestem znużonym biznesmenem, który chce się trochę zabawić i tyle.

- A to, co się stało u Sharpe'a? Wszystkie gazety o tym piszą! Nie zależy mi na takim rozgłosie!

Matlock popatrzył na swojego gospodarza. Naczynia krwionośne pokrywające opaloną twarz były rozszerzone i czerwone; zapewne to za ich sprawą mężczyzna wyglądał tak, jakby przed chwilą spiekł się na słońcu. Dopiero z bliska widać było liczne skazy i plamki na skórze.

- Chyba czegoś nie rozumiesz - powiedział Matlock, wolno odmierzając słowa. Podniósł szklankę do ust. - Nie przyjechałem taki kawał drogi dla własnej przyjemności. Przyjechałem, bo musiałem przyjechać. Z powodów osobistych dotarłem w te strony nieco wcześniej i ponieważ mam trochę wolnego czasu, postanowiłem rozejrzeć się po okolicy. I właśnie to robię. Rozglądam się... Bo spotkanie zostało wyznaczone dopiero za kilka dni.

- Jakie spotkanie?

- W Carlyle w stanie Connecticut.

Stockton zmrużył oczy i pociągnął za swoje siwe, starannie utrzymane wąsy

- Masz spotkanie w Carlyle?

- Tak. Bardzo poufne, ale nie muszę ci tego mówić, prawda?

- Nic mi nie musisz mówić.

Nie spuszczał oczu z twarzy gościa. Matlock wiedział, że mężczyzna tylko czeka na jakąś fałszywą nutę, niewłaściwe słowo, czy lękliwe spojrzenie, które zadałoby kłam informacji, jaką usłyszał.

- To dobrze... A ty, Howard, przypadkiem nie wybierasz się do Carlyle? Za jakieś dziesięć dni?

Stockton napił się kilka łyków, oblizwał głośno wargi i delikatnie, jakby to było cenne dzieło sztuki, odstawił szklankę na stolik.

- Ja tam jestem prostym chłopakiem z Południa, który chce zarobić parę centów - odparł. - Pracuję i cieszę się życiem. To wszystko. Nie wiem o żadnym spotkaniu w Carlyle.

- Przepraszam. Niepotrzebnie poruszyłem ten temat... to duży błąd z mojej strony. Dla dobra nas obu byłoby lepiej, żebyś nikomu o tym nie wspominał. Ani o mnie.

- Masz to jak w banku. Jeśli o mnie chodzi, jesteś przyjacielem Sammiego, który pragnie się trochę zabawić... - Nagle Stockton pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i splótł dłonie. Wyglądał jak bardzo zmartwiony ksiądz, który pyta parafianina o grzechy. - Co, u diabła, wydarzyło się w Windsor Shoals? O co, cholera, poszło?

- Z tego, co się orientuję, były to miejscowe porachunki. Bartolozzi miał wrogów. Niektórzy uważali, że za dużo gada. I że Aiello też nie potrafi utrzymać języka za zębami. Lubili się przechwalać. A Frank... no cóż, po prostu tam był.

- Przekłęci makaroniarze! Wszystko spieprzyli! Hołota. Rozumiesz, co mam na myśli...

I znów. Kolejne pytanie, które jednak w wykonaniu Stocktona wcale nie było pytaniem, lecz stwierdzeniem.

- Tak - odparł ze znużeniem Matlock.

- Obawiam się, Jim, że mam dla ciebie złe wieści. Na kilka dni zamknąłem kasyno. Po prostu padł na mnie blady strach po tej strzelaninie u Sharpe'a.

- To się nawet dobrze składa. Prześladował mnie pech.

- Słyszałem. Sammy mi opowiadał. Ale mamy tu inne rozrywki. Nie będziesz się nudził, obiecuję.

Wypili do końca whisky i Stockton, wyraźnie już odprężony, zaprowadził gościa do eleganckiej jadalni pełnej biesiadników. Jedzenie było wykwintne, podane tak jak na wielkich, bogatych plantacjach przed wojną secesyjną.

Kolacja, choć upłynęła w sympatycznej i w pewien sposób nawet relaksującej atmosferze, była jednak stratą czasu. Howard Stockton niechętnie wypowiadał się na temat swojej działalności, nie chciał wchodzić w szczegóły, podkreślał jedynie bez przerwy, że jego klienci reprezentują "najlepszą klasę Jankesów". Słownictwo miał naszpikowane różnymi anachronizmami - wyraźnie urodził się sto lat za późno. W trakcie posiłku nagle przeprosił Matlocka i odszedł pożegnać się z jakimś ważnym członkiem klubu.

Jim wykorzystał okazję, żeby przyjrzeć się "najlepszej klasie Jankesów".

Określenie pasowało idealnie, jeśli przez "klasę" rozumiało się "pieniądze", jednakże dla Matlocka nie były to pojęcia równoznaczne. Wszędzie wkoło pachniało forszą. O zamożności klienteli świadczyły chociażby opalenizny, których nie zdobywa się w maju w stanie Connecticut. Członkowie klubu należeli do ludzi, którzy - gdy tylko przyjdzie im ochota - wsiadają w samolot i lecą na tropikalne wyspy. Inną oznaką zamożności był głęboki, beztroski śmiech, który rozbrzmiewał po sali, a także połyskująca biżuteria, ubrania - miękkie, eleganckie garnitury, jedwabne marynarki, krawaty od Diora - oraz najdroższe gatunki szampana, które stały dostojnie w srebrnych kubekach wspartych na zgrabnych, wiśniowych trójnogach.

Ale coś było nie tak, czegoś brakowało, coś zakłócało harmonię i przez kilka minut Matlock nie umiał się zorientować o co chodzi. Wreszcie zrozumiał.

Opalenizny, śmiech, zegarki i sygnety, garnitury, marynarki, krawaty od Diora, słowem pieniądze, należały do mężczyzn; i to oni odznaczeni się elegancją.

Kobiety, a raczej dziewczyny, były ich przeciwieństwem. Owszem, kilka pasowało do swoich partnerów, ale większość wyraźnie od nich odstawała. Głównie wiekiem. Były znacznie młodsze. I zdecydowanie inne.

Z początku nie wiedział na czym polega ich inność. I nagle doznał olśnienia. Dziewczyny miały w sobie coś znajomego, coś z czym się wielokrotnie stykał. Otóż reprezentowały one typ uniwersytecki, który różnił się na przykład od typu biurowego. Studentki wszędzie zachowują się swobodniej niż urzędniczki lub sekretarki, które przez cały dzień muszą ślęczeć nad aktami lub maszynami do pisania. Tworzą odrębną kategorię kobiet. Matlock, który widywał studentki codziennie od dziesięciu lat, bez trudu odróżniał je od innych dziewcząt - także poza uczelnią.

Wtem zdał sobie sprawę, że dziewczyny w lokalu różni jednak coś od studentek. Mianowicie strój. Zdecydowanie inny w stylu niż znany mu z uczelni. Suknie, które miały na sobie dziewczyny w lokalu, były zbyt gustowne, zbyt eleganckie. W dzisiejszych czasach, kiedy wszyscy nosili się na sportowo, były po prostu za kobiece.

Dziewczyny wyglądały jak w przebraniach!

I nagle usłyszał chichot i jedno zdanie, wypowiedziane podnieconym tonem przez osobę siedzącą kilka stolików dalej, które przekonało go, że się nie myli.

- Jak babcię kocham, to wprost bombowe!

Rozpoznał głos! Boże, znał ten głos!

Zastanawiał się, czy głośny okrzyk był przeznaczony dla jego uszu.

Zastaniając ręką twarz, powoli odwrócił się w stronę, skąd dobiegł go chichot. Dziewczyna piła szampana i co rusz wybuchała śmiechem, a siedzący naprzeciw niej sporo starszy mężczyzna patrzył z zachwytem na jej obfity biust.

Była to Ginny Beeson. "Bombowa", wciąż studiująca żona Archera Beesona, który wykładał historię na uniwersytecie w Carlyle.

Beesona, który tak bardzo spieszył się do awansu.

Wręczył napiwek czarnemu boyowi, który wniósł jego walizkę po krętych schodach, po czym rozejrzał się po obszernym, bogato zdobionym pokoju przydzielonym mu przez Stocktona. Białe ściany ze żłobkowanym gzymsem biegnącym pod sufitem, podłoga pokryta grubym dywanem w kolorze wina, w rogu łoże z baldachimem. Na biurku stał pojemnik na lód, dwie butelki bourbona i kilka szklanek. Matlock otworzył walizkę, wyjął przybory kosmetyczne i położył je na stoliku nocnym. Następnie wyjął garnitur, letnią marynarkę, dwie pary spodni, zaniósł wszystko do szafy, po czym wrócił do walizki, ściągnął ją z łóżka i postawił na drewnianych poręczach fotela.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Był pewien, że to Howard Stockton, ale okazało się, że nie.

W progu stanęła uśmiechnięta dziewczyna ubrana w nieprzyzwoicie obcisłą, czerwoną suknię. Na oko miała dziewiętnaście, może dwadzieścia lat i była niezwykle pociągająca.

Ale uśmiech miała sztuczny.

- Tak?

- Prezent od pana Stocktona - oznajmiła wskazując na siebie i weszła do pokoju.

- Piękny prezent. To bardzo miło ze strony pana Stocktona.

- Cieszę się, że się panu podoba. Widzę, że ma pan whisky, lód i szklanki. Chętnie bym się napiła. Chyba że się panu spieszy?

Matlock ruszył wolno do biurka.

- Nie, nie spieszy mi się. Czego się napijesz?

- Wszystko jedno. Byle z lodem.

- Dobrze. - Przyrządził drinka i podał dziewczynie szklankę.

- Może usiądziesz?

- Na łóżku?

Na jednym fotelu leżała walizka, drugi stał w głębi pokoju, przy drzwiach balkonowych.

- Przepraszam.

Zdjął walizkę i dziewczyna usiadła. Howard Stockton miał gust bez zarzutu. Dziewczyna była prześliczna.

- Jak ci na imię?

- Jeannie - odparła.

Pociągnęła kilka łyków, opróżniając prawie połowę szklanki. Może nie znała się na alkoholach, skoro było jej wszystko jedno co pije, ale pić umiała, to musiał jej przyznać. I nagle, gdy odjęła szklankę od ust, na środkowym palcu jej prawej ręki Matlock dojrzał pierścionek.

Widział takich mnóstwo. Sprzedawano je w księgarni uniwersyteckiej w Webster, kilka przecznic od miejsca, gdzie mieszkał John Holden. Był to pierścionek z godłem Uniwersytetu Madison.

Matlock oparł się o jeden ze słupków podtrzymujących baldachim i zwrócił się do Jeannie:

- A gdybym ci powiedział, że nie interesują mnie te sprawy?

- Zdziwiłabym się. Nie wygląda pan na pedała.

- Nie jestem pedałem.

Dziewczyna skierowała na Jima swoje jasnoniebieskie oczy. Spojrzenie miała serdeczne, ale była to zawodowa serdeczność, równie sztuczna co uśmiech, który zagościł na jej świeżych, pełnych ustach.

- Może potrzebuje pan drobnej zachęty?

- Myślisz, że nabrałbym ochoty?

- Na pewno. Jestem dobra - powiedziała cicho, ale z arogancją. Taka młoda, a już tak dorosła, pomyślał Matlock. I tyle w niej nienawiści! Wprawdzie starała się ją ukryć, ale kamuflaż był niedoskonały. Po prostu dziewczyna grała, stąd obcisła suknia - jej przebranie - stąd zalotne spojrzenie i nęcący uśmiech. Może nie cierpiała roli, jaka przypadła jej w udziale, ale ją przyjęła. Wykonywała zadanie.

- A gdybym chciał tylko porozmawiać?

- To zupełnie co innego. W tej sprawie nie ma żadnych sztywnych zasad. Obowiązuje pełna równość. Qui pro quo, panie beznazwiska.

- Widzę, że znasz łacińskie powiedzenia. Czy to mi powinno coś mówić?

- Niby dlaczego?

- Bo na ogół dziwki urzędujące w hotelach nie używają takich zwrotów jak qui pro quo.

- Raczy pan zauważyć, że akurat ten hotel nie mieści się na Avenidas de las Putas.

- Tennessee Williams?

- A któż to wie?

- Pani.

- Dobrze. W porządku. Możemy podyskutować w łóżku o Prouście. Bo chyba chce pan iść do łóżka?

- Hmm, chyba zadowoli mnie sama rozmowa.

Dziewczynę nagle ogarnął strach.

- Jest pan gliną? - spytała ochryple.

- Wprost przeciwnie. - Matlock roześmiał się. - Można nawet powiedzieć, że kilku najważniejszych gliniarzy w okolicy intensywnie mnie poszukuje. Choć wcale nie jestem przestępcą... Zresztą wariatem też nie.

- To mnie nie interesuje. Może mi pan zrobić nowego drinka?

- Oczywiście.

Wziął od niej szklankę i napełnił ją w milczeniu. Dziewczyna również milczała. Dopiero gdy odszedł od biurka, spytała:

- Czy mogę tu chwilę zostać? Żeby wyglądało na to, że pan mnie przeleciał.

- Nie chcesz stracić forsy, co?

- Pięćdziesiąt dolców piechotą nie chodzi.

- A kilka musisz wydać na przekupienie dyżurnej w akademiku. W Madison panują trochę staroświeckie zwyczaje. W akademikach sprawdzają wieczorem obecność. Chyba się spóźnisz.

Na twarzy dziewczyny odmalowało się zaskoczenie.

- A jednak jest pan gliną! Podłym gliną!

Zaczęła się podnosić. Matlock błyskawicznie znalazł się przy fotelu, przytrzymał ją za ramiona i zmusił, żeby ponownie usiadła.

- Mówiłem ci, nie jestem gliniarzem. Ale bardzo mnie interesuje jedna rzecz i ty zaspokoisz moją ciekawość.

Znów zaczęła wstawać i znów ją przytrzymał. Szarpała się, wrywała, w końcu pchnął ją brutalnie na fotel.

- Zawsze nosisz ten pierścionek, kiedy facet cię "przelatuje"? Chcesz mu pokazać, że pieprzy się z panienką, która ma klasę?

- O Boże! O Jezu! - Chwyciła się za palec i wykręciła go, rozpaczliwie usiłując ściągnąć pierścionek.

- A teraz słuchaj! Albo będziesz odpowiadać na moje pytania, albo jutro z samego rana udam się do Webster i tam poszukam odpowiedzi! Wybór należy do ciebie!

- Proszę! Błagam!

Łzy napłynęły dziewczynie do oczu. Ręce jej drżały; dyszała ciężko.

- Jak trafiłaś do tej roboty?

- Nie! Nie...

- Odpowiadaj!

- Zwerbowano mnie...

- Kto cię zwerbował?

- Inne... Inne dziewczyny. Nawzajem się werbuujemy.

- Ile was jest?

- Niewiele. Nie tak dużo... Prawie nikt nie wie, że tu przychodzimy. Musimy to trzymać w tajemnicy... Niech mnie pan puści, błagam. Chcę stąd odejść.

- O nie. Jeszcze nie. Najpierw mi powiesz, ile was jest i dlaczego to robicie?

- Już panu mówiłam! Jest nas niewiele. Siedem czy osiem.

- Na dole widziałem ze trzydzieści takich jak ty.

- Ja ich nie znam! One nie są z Webster. My się sobie nawzajem nie przedstawiamy!

- Ale wiesz skąd są, prawda?

- Tylko... tylko o niektórych wiem.

- Z innych uczelni?

- Tak...

- Dlaczego, Jeannie? Na miłość boską, dlaczego?

- A jak pan myśli? Dla pieniędzy!

Sukienka, w którą była ubrana, miała długie rękawy. Matlock chwycił dziewczynę za prawą rękę i podciągnął rękaw aż za łokieć. Jeannie broniła się, ale Jim poradził sobie.

Przedramię było gładkie. Żadnych śladów, żadnych znaków.

Zaczęła go kopać. Kiedy uderzył ją w twarz, zaskoczona na moment znieruchomiała. Szybko chwycił jej lewą rękę i podciągnął do góry materiał.

Dojrzał je. Stare, ledwo widoczne ślady.

Małe, fioletowe punkciki po ukłuciu igłą.

- Nie szprycuję się! Od miesiący się nie szprycuję!

- Ale forsa ci jest potrzebna! Przychodzisz tu, żeby zarobić te swoje pięćdziesiąt czy sto dolarów! Co teraz bierzesz? Żółte prochy? Czerwone? LSD? Amfetę? No, na co się przerzuciłaś? Marihuana tyle nie kosztuje!

Dziewczyna zaniósła się szlochem. Łzy ciekły jej po policzkach: Zakryła dłońmi twarz i łkając wydusiła z siebie:

- To takie trudne! Jest potem tyle... problemów! Niech mi pan pozwoli odejść! Proszę!

Matlock ukląkł na podłodze, wziął Jeannie w ramiona i przytulił jej głowę do swojej klatki piersiowej.

- Jakich problemów? Powiedz mi, nie bój się. Jakich problemów?

- Zmuszają nas... Nie mamy wyboru... Tak wiele osób potrzebuje pomocy. A oni nie pomagają, jeśli ktoś im się sprzeciwi. Błagam pana, niech mnie pan zostawi w spokoju. Niech mnie pan puści. Błagam!

- Najpierw mi coś wyjaśnij. Potem sobie pójdziesz, a ja nikomu nie wspomnę o tym słowa... Czy dlatego tu przychodzisz? Bo cię szantażują? Bo ci grożą? Bo wszystkim grożą?

Wciągnęła gwałtownie powietrze i oddychając ciężko, skinęła głową.

- Czym ci grożą? - ciągnął dalej Matlock. - Że zawiadomią uczelnię? Ujawnią, że bierzesz narkotyki? Nie warto się tym przejmować. W dzisiejszych czasach...

- Pan chyba spadł z księżycy! - zawołała poprzez łązy. - Oni mogą człowieka zniszczyć. Tak żeby się nie pozbiarał do końca życia. Mogą zniszczyć jego rodzinę; mogą sprawić, że wyleci ze szkoły, mogą zniszczyć mu przyszłość... Wszystko mogą! Uzależnienie, ćpanie, handel narkotykami, dystrybucja... Twój przyjaciel ma poważne kłopoty i oni mogą mu pomóc... Twoja przyjaciółka jest w trzecim miesiącu ciąży i rozpaczliwie szuka lekarza, oni pomogą go znaleźć, nikt się o niczym nie dowie...

- Na co ci oni?! Dziewczyno, na jakim świecie ty żyjesz?! Przecież są różne poradnie, ośrodki...

- Chryste! Wczoraj się pan urodził, czy co?! Sądy, lekarze, prawnicy! Oni ich wszystkich mają w kieszeni! I pan niczego nie zmieni! Ani pan, ani ja! Więc niech mi pan pozwoli odejść i zostawi nas w spokoju! Zbyt wiele osób może przez pana ucierpieć!

- I co, nadal będziesz grzecznie robić to, co ci każą, tak? Biedne, przerażone dzieci! Roztkliwiają się nad sobą, ale nie mają odwagi się sprzeciwić! Nie mają odwagi przestać ćpać, łykać, kłuć się!

Z wściekłością chwycił ją za lewą rękę, tę ze śladami igły, i podniósł do góry.

Dziewczyna popatrzyła na niego; w jej oczach malował się strach zmieszany z pogardą.

- Zgadza się - oznajmiła dziwnie opanowanym głosem. - Wiedziałam, że pan nie zrozumie. Po prostu to pana przerasta. Jesteśmy od pana inni. Nikogo poza sobą nie mamy. Pomagamy sobie. I tylko na siebie możemy liczyć... Lubię moich przyjaciół i nie chcę być bohaterką. Nie jeżdżę z flagą amerykańską przyklejoną do szyby wozu i nie cierpię filmów z Johnem Wayne: To stary pierdoła. Pan też. Wszyscy jesteście gówno warci.

Matlock puścił rękę dziewczyny.

- Jak myślisz, długo jeszcze wytrzymasz?

- Och, ja akurat jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że za miesiąc odbieram dyplom i wyjeżdżam. Później zwykle się z nami już nie kontaktują. Wprawdzie mówią, że nas odnajdą, ale na ogół tego nie robią... Trzeba jednak ciągle liczyć się z tą możliwością.

Zrozumiał, co starała się mu powiedzieć i odsunął się od fotela.

- Przykro mi. Tak strasznie mi przykro.

- E, co tam! Nie ma mi pan co współczuć. Za miesiąc odbieram ten pięknie wytłoczony świstek, na którym rodzicom tak bardzo zależy, a dwa tygodnie później wsiadam w samolot i spieprzam z tego cholernego kraju. Więcej moja noga tu nie postanie!

25

Nie potrafił zasnąć, ale też nie spodziewał się, że mu się uda. Odesłał dziewczynę, wręczywszy jej trochę pieniędzy, bo nie mógł jej dać nic innego - ani nadziei, ani odwagi. Nie zgodziła się na jego propozycję, gdyż wiązało się to z narażeniem na niebezpieczeństwo innych młodych ludzi, przekonanych, że mogą liczyć tylko na siebie. Żądać nie mógł; wiedział, że nie wzbudzi ich zaufania, ani że nie osiągnie nic groźbami, bo ciężar, jaki te dzieci dźwigały, był zbyt wielki. Same musiały się zmagać ze swoimi problemami. Nie chciały pomocy.

Przypomniał sobie prastare hinduskie ostrzeżenie. Patrzcie na dzieci; obserwujcie je pilnie. Rosną, stają się silne i polują na tygrysa sprawniej i z większą przebiegłością niż wy. Lepiej od was strzegą stada. Jesteście starzy i zniedołężniali. Patrzcie na dzieci. Strzeżcie się dzieci.

Czy dzieci rzeczywiście lepiej polowały na tygrysa? Jeśli nawet tak, czyje stado chciały uratować? I kto był tygrysem?

Czy cały "ten cholerny kraj"?

Czy doszło aż do tego?

Pytanie paliło mu umysł. Ile było takich dziewczyn jak Jeannie? Jak rozległy był obszar, z którego rekrutował je Nemrod?

Musiał się dowiedzieć.

Dziewczyna przyznała, że jest wiele takich miejsc jak klub w Carmount, nie wiedziała jednak gdzie się znajdują. Jej koleżanki wysyłało do New Haven, do Bostonu, niektóre na północ, pod Hanover.

Yale. Harvard. Dartmouth.

Najbardziej przerażająca była myśl, że Nemrod mógł zagrażać tysiącom absolwentów. Jak to powiedziała Jeannie?

"Później zwykle się z nami już nie kontaktują. Wprawdzie mówią, że nas odnajdą, ale na ogół tego nie robią... Trzeba jednak ciągle liczyć się z tą możliwością".

Jeśli tak było w istocie, hinduskie ostrzeżenie miało się z prawdą. Dzieci wcale nie cechowała przebiegłość i siła; nie było powodu się ich obawiać. Należało im tylko współczuć.

Chyba że dzieci dzieciom były nierówne i jedne, silniejsze, narzucały swoją wolę innym, słabszym.

Postanowił wybrać się do New Haven. Może tam uda mu się znaleźć jakąś odpowiedź. Miał mnóstwo przyjaciół na Yale. Choć ten nie planowany wypadek nie bardzo był mu po drodze, wiązał się jednak z celem całej podróży. Stanowił ważną część odysei w poszukiwaniu Nemroda.

Krótkie świdrujące dźwięki przerwały bieg myśli Matlocka. Zamarł na łóżku, otwierając szeroko oczy i odruchowo naprężając mięśnie. Trwało kilka sekund zanim zorientował się o co chodzi. Nieprzyjemne dźwięki wydobywały się z telektronika, którego nie wyjął z kieszeni marynarki. Ale gdzie rzucił marynarkę? Bo nie było jej przy łóżku.

Zapalił nocną lampkę i rozejrzał się po pokoju; drażniący hałas sprawił, że serce waliło mu jak młotem, a na czoło wystąpiły kropelki potu. Wreszcie zobaczył marynarkę. Wisiała na oparciu fotela, który stał przy drzwiach balkonowych. Spojrzał na zegarek: 4.35. Czym prędzej podbiegł do fotela, wyciągnął przeraźliwie piszczące urządzenie i wyłączył sygnał.

Znów poczuł się jak ścigana zwierzyna. Ze stolika przy łóżku podniósł słuchawkę; telefon miał bezpośrednio wyjście na miasto, nie trzeba było dzwonić przez centralę hotelową.

Sygnal brzmiał tak samo jak w innych telefonach na prowincji. Był jednostajny, może odrobinę cichszy. Zresztą, gdyby aparat był na podsłuchu, Jim i tak nie umiałby tego poznać. Wykręcił numer 555-68-68 i czekał na połączenie.

- Telcar trzy-zero - powiedział głos w słuchawce. - Przepraszam, jeśli pana obudziłem. Z chorą wszystko w porządku, stan zadowolający. Ale pański przyjaciel z Wheeling w Zachodniej Wirginii bardzo nalega na kontakt. Telefonował kwadrans po czwartej i żądał, aby natychmiast pan do niego zadzwonił. To chyba ważne. Bez odbioru.

Matlock odłożył słuchawkę i zmusił się, żeby o niczym nie myśleć, dopóki nie znajdzie papierosa i nie zapali. Potrzebował kilka chwil, żeby uspokoić łomotanie serca.

Nienawidził tego cholernego urządzenia! Tych przeraźliwych pisków, które wprawiały go w stan bliski rozstroju nerwowego.

Zaciągnął się głęboko dymem. Nie ma wyboru, pomyślał. Trzeba opuścić klub i poszukać innego telefonu. Greenberg nie dzwoniłby o czwartej nad ranem, gdyby nie zdarzył się jakiś nagły wypadek. Z pokoju zaś wołał nie łączyć się z agentem, było to zbyt ryzykowne.

Wrzucił swoje rzeczy do walizki i ubrał się pospiesznie. Liczył na to, że w budce na parkingu zastanie nocnego stróża; obudzi go i poprosi o wydanie pożyczonego od Kramera samochodu. Gdyby budka okazała się pusta, zamierzał obudzić kogoś z pracowników klubu, choćby samego Stocktona. Stockton, przerażony tym co się stało w Windsor Shoals, bał się kłopotów, więc nie będzie próbował go zatrzymać. Sprzedawcy młodych, powabnych ciał wystarczy podać byle jaką wymówkę.

Stockton - opalony południowy kwiatuś, który rósł w Connecticut Valley i od którego unosił się fetor Nemroda.

Matlock zamknął cicho drzwi i ruszył wymarłym korytarzem w stronę ogromnych schodów. Na ścianach paliły się kinkiety - specjalnie wstawiono do nich słabe żarówki, żeby światło, jakie dawały, kojarzyło się z blaskiem świec. Howard Stockton nie potrafił zapomnieć o swoim ukochanym Południu. Chciał, żeby nawet w środku nocy jego klub przypominał wielki dom na plantacji sprzed ponad stu lat.

Matlock skierował się do drzwi frontowych. Ale już po kilku krokach zorientował się, że do nich nie dojdzie. Przynajmniej nie od razu.

Zza oszklonych drzwi obok wejścia wyłonił się bowiem Howard Stockton, odziany w obszerny welurowy szlafrok, jakie nosiło się w dziewiętnastym wieku. Towarzyszył mu rostry mężczyzna, wyglądający na Włocha, którego błyszczące złowrogo, czarne jak węgiel oczy zdawały się świadczyć o jego trwających od pokoleń powiązaniach z La Mano Nera. Towarzysz Stocktona był zawodowym mordercą.

- Co to, Jim? Opuszczasz nas?

Matlock postanowił przejść do ataku.

- Do jasnej cholery! Skoro założyliście podsłuch na telefonie w moim pokoju, to chyba wiesz, że mam kłopoty! Ale nic ci do tego! Nie podoba mi się, że wsadzasz nos w nie swoje sprawy!

Metoda poskutkowała. Gniew Matlocka wyraźnie stropił Stocktona.

- Nie denerwuj się... Ja też jestem człowiekiem interesu. Jeśli wtykam w cokolwiek nos, to dla twojego bezpieczeństwa. Do diabła, mówię prawdę!

- Przyjmuję to kiepskie wyjaśnienie. Czy kluczyki są w wozie?

- Nie. Ma je mój przyjaciel Mario. To wspaniały chłopak, Włoch, możesz mi wierzyć.

- Widzę, że Włoch, głowę ma całą w makaronie. Proszę mi dać kluczyki, szybko!

Mario popatrzył zmieszany na Stocktona.

- Chwileczkę, chwileczkę - powiedział Stockton. - Po co ten pośpiech... Jestem rozsądnym człowiekiem, Jim. Bardzo rozsądnym, roztropnym człowiekiem. Proстым chłopakiem z Południa...

- Który chce zarobić parę centów! - przerwał mu Matlock. Już to słyszałem. I dobra. Ale teraz złaćcie mi z drogi i oddajcie kluczyki!

- Dlaczego się tak wściekasz? Po co te nerwy? Postaw się na moim miejscu! Jakiś dziwny szyfr, "telcar trzy-zero", pilny telefon z Wheeling w Zachodniej Wirginii... I zamiast oddzwonić z telefonu w pokoju, pakujesz manele i wynosisz się w popłochu! Sam powiedz, Jim. Co byś zrobił na moim miejscu?

- Starabym się zrozumieć, z kim mam do czynienia - odparł Matlock lodowatym tonem. - Przeprowadziliśmy mały wywiad, Howard. Moi przełożeni są zaniepokojeni tobą.

- Jak to? Co? Dlaczego? - spytał Stockton, zlewając te cztery słowa w jedno.

- Uważają... uważamy, że za bardzo zwracasz na siebie uwagę. Prezes i wiceprezes klubu rotariańskiego! Chryste! Fundator nowych pawilonów szkolnych; wielki dobroczyńca wdów i sierot, nawet otwierasz im rachunki! Organizator festynów na trzydziestego maja! Jakby tego było mało, to jeszcze płacisz tubylcom, żeby rozgłaszali wszem i wobec, że po klubie łążą półnagie dziewczuchy! Myślisz, że miejscowi nie gadają o tobie? Za bardzo pajacujesz, Howard!

- Kim, u licha, jesteś?

- Znużonym biznesmenem, którego szlag trafia, kiedy widzi, jak inny biznesmen robi z siebie osła. Do cholery, co ty sobie myślisz? Chcesz ubiegać się o urząd burmistrza, czy co, że udajesz świętego Mikołaja? Nie przychodzi ci do głowy, że w takim kostiumie wszystkim rzucasz się w oczy?

- Uwziąłeś się na mnie, ot co! Prowadzę najlepszy interes na północ od Atlanty! Nie wiem, z kim gadałeś, ale powiem ci jedno: mieszkańcy Mount Holly poszliby za mną do piekła! Informacje, które zebraliście, świadczą o mnie jak najlepiej! A ty wykręcasz kota ogonem, czynisz mi ze wszystkiego zarzuty! Tak nie można!

Stockton wyciągnął chustkę i otarł czerwoną, ociekającą potem twarz. Był tak zdenerwowany, że słowa mu się zlewały, a głos stał się cienki i piskliwy. Matlock błyskawicznie podjął decyzję: nadszedł właściwy moment, żeby posłużyć się Stocktonem. Wiedział, że musi zachować ostrożność, ale wiedział również, że prędzej czy później musi nawiązać kontakt i wysłać własne za prośbą. Zapoczątkować ostatni etap pogoni za Nemrodem.

- Uspokój się, Howard. Nie denerwuj się. Może masz rację... Nie czas się teraz nad tym zastanawiać. Mamy kryzys. Wszyscy. Ten telefon to poważna sprawa. - Matlock urwał, zmierzył Stocktona długim spojrzeniem, po czym postawił walizkę na marmurowej posadzce. - Zaufam ci, Howard; zlecę ci pewne zadanie powiedział wolno, starannie dobierając słowa. - Mam nadzieję, że dasz radę się z tego wywiązać. Jeśli dobrze się spiszesz, do końca życia nie będziesz się musiał niczego obawiać.

- O co chodzi?

- Powiedz swojemu kumpłowi, żeby poszedł się przejść. Wystarczy, jak stanie na końcu korytarza.

- Słyszałeś, Mario. Idź, zapal sobie cygaro.

Mario, z miną na pół tępą, na pół obrażoną, ruszył wolno w kierunku schodów.

- Co mam zrobić? - spytał Stockton. - Tylko pamiętaj, Jim, nie chcę żadnych kłopotów.

- Wszyscy będziemy je mieli, jeśli w porę nie dotrę do kilku delegatów. To właśnie oznaczał telefon z Wheeling.

- Jakich... delegatów?

- Na zjazd w Carlyle, gdzie spotykamy się z ludźmi Nemroda.

- To nie moja sprawa! - wyrzucił z siebie szybko Stockton. O niczym nie wiem!

- I słusznie, bo miałeś o niczym nie wiedzieć. Ale sprawy przybrały inny obrót... Czasami należy łamać zasady i ten moment właśnie nadszedł. Nemrod posunął się za daleko; tylko tyle mogę ci powiedzieć.

- To dla mnie nie nowość! Przecież to ja stykam się na codzień z jego ludźmi! To ja muszę z nimi gadać, a kiedy narzekam, wiesz, co mi mówią nasi? "Tak to już jest w interesach, Howard. Nie ma na to rady". Po prostu ręce mi opadają? Dlaczego akurat ja muszę gadać z tymi facetami?

- Może już więcej nie będziesz musiał. Jeśli zdołam nawiązać kontakt z innymi delegatami.

- Przecież nie bywam na spotkaniach wysokiego szczebla! Nie znam nikogo.

- Jasne. Właśnie tak to zaplanowano. Słuchaj, konferencja w Carlyle jest bardzo ważna... pojmujesz, same grube ryby, i dlatego wszystko trzymaliśmy w ścisłej tajemnicy. Niestety sami się na tym przejechaliśmy, bo nie wiemy, kto jest w okolicy. Z jakiej organizacji, z której rodziny... No a ja dostałem rozkaz, żeby skontaktować się z jedną czy dwiema osobami.

- Nie mogę ci pomóc.

Matlock zmierzył południowca gniewnym spojrzeniem.

- Chyba możesz - rzekł. - Posłuchaj. Zadzwońisz rano do swoich szefów i przekażesz im coś ode mnie. Tylko ostrożnie, bo nie chcemy paniki! Powiesz, że spotkałeś człowieka, który ma koryskański dokument, srebrny korsykański dokument i że ten człowiek musi koniecznie zobaczyć się z kimś, kto też ma taki papier. Na początek wystarczy jedna osoba. Zrozumiałeś?

- Tak, ale wcale mi się to nie podoba! To nie moja sprawa!

- Chcesz, żeby ci zamknięto klub? Wolisz utracić tę wspaniałą relikwię i przez następne dziesięć czy dwadzieścia lat oglądać świat przez kraty? Podobno pogrzeby wieńcowe to bardzo wzruszające ceremonie.

- Dobra! Dobra! Zadzwońię do faceta, któremu przekazuję szmal. Powiem, że o niczym nie wiem, że tylko przekazuję wiadomość!

- W porządku. Kiedy się z nim skontaktujesz, powiedz, że dziś albo jutro będę w ośrodku żeglarsko-narciarskim. I żeby gość, który przyjdzie na spotkanie, miał przy sobie dokument. Jeśli go z sobą nie przyniesie, nie będę z nim gadał!

- Nie będziesz gadał...

- A teraz proszę o kluczyki.

Stockton przywołał z powrotem Mario.

Opuszczając Mount Holly skręcił na południe na autostradę 72. Pamiętał, że jadąc z Hartford minął po drodze kilka budek telefonicznych. To dziwne: po raz pierwszy w życiu jego umysł rejestrował ich obecność - może dlatego, że akurat budki telefoniczne stanowiły jedyny kontakt z rzeczywistością, jaką znał. Wszystko inne, co go otaczało, było zmienne, przejściowe, obce i przerażające. A więc dobrze; zadzwoni do Greenberga, skoro jak twierdził Telcar trzy-zero - agentowi tak bardzo na tym zależało, ale wcześniej porozumie się z jednym z detektywów od Blackstone'a.

Musiał bowiem jak najszybciej mieć w rękę korsykański dokument. Przekazał przez Stocktona wiadomość, że chce nawiązać kontakt, a bez dokumentu, którym mógłby się wylegitymować, niczego się nie dowie. Jeśli Stockton wykona polecenie, to człowiek, który przybędzie na spotkanie prędzej zabije jego - Matlocka - albo sam zginie, niż złamie przysięgę milczenia. Chyba że Jim pokaże mu papier.

A może te wszystkie starania są na nic? Może jest tylko amatorem? Może Kressel i Greenberg mają rację? Nie wiedział. Starął się przemyśleć wszystko w najdrobniejszych szczegółach, długo rozważał każdy krok, korzystając z doświadczenia, jakiego nabrał przy analizowaniu różnych problemów naukowych. Ale czy jego zdolności były wystarczające? A

może chęć zniszczenia szajki, obrzydzenie, jakie w nim wywoływała, oraz głębokie pragnienie zemsty sprawiły, że przeistoczył się w jeszcze jednego Don Kichota?

Jeśli nawet tak, to nie miał sobie nic do zarzucenia. Po prostu zrobi tyle, na ile go będzie stać. Powodów miał kilka, żeby się nie poddawać: śmierć młodszego brata; pobicie Pat; zabójstwo łagodnego starca nazwiskiem Herron; śmierć sympatycznego faceta nazwiskiem Loring; groźby, o których mówiła przerażona, otumaniona studentka z Madison imieniem Jeannie. Jaką to go napawało odrazą!

Zatrzymał się przy budce na pustym odcinku autostrady 72 i połączył się z numerem 555-68-68. Nagrał wiadomość, podając numer automatu, i czekał, aż Telcar trzy-zero oddzwoni.

Obok budki przejechał wóz mleczarski. Usta kierowcy poruszały się; najwyraźniej śpiewał. Pomachał wesoło do Matlocka. Po kilku minutach szosą przemknął ogromny autobus, chwilę później jakaś ciężarówka. Dochodziło wpool do szóstej; na dworze robiło się coraz jaśniej, choć słońce było niewidoczne, gdyż skrywały je ciężkie, deszczowe chmury.

Wreszcie automat zadzwonił.

- Słucham?

- O co chodzi, proszę pana? Czy porozumiał się pan już z przyjacielem w Zachodniej Wirginii? On bardzo nalegał na telefon. Powiedział, że nie żartuje.

- Zadzwoń do niego za parę minut. Czy mówię z Cliffem? spytał Jim, choć poznał, że głos brzmi inaczej niż człowieka, z którym wcześniej rozmawiał.

- Nie, proszę pana. Mam na imię Jim, tak samo jak pan.

- W porządku, Jim. Powiedz mi, czy Cliff zrobił to, o co go prosiłem? Czy znalazł ten dokument?

- Tak jest. Jeśli ma pan na myśli ten srebrzysty papier zapisany po włosku... chyba po włosku...

- Właśnie o ten papier mi chodzi.

Matlock umówił się, że za dwie godziny pracownik Blackstone'a imieniem Cliff spotka się z nim w czynnym całą noc barze na Scofield Avenue w pobliżu granicy West Hartford. Telcar trzy-zero nalegał, żeby oddanie przesyłki odbyło się szybko, na parkingu. Matlock opisał wóz Jeffa Kramera i odwiesił słuchawkę.

Następny telefon wykonał do Jasona Greenberga w Wheeling. Greenberg był wściekły.

- Idiota! Mało że łamiesz słowo, które mi dałeś, to jeszcze wynajmujesz własną armię! Co, myślisz, że te pajace są lepsi od agentów rządu Stanów Zjednoczonych?

- Te pajace kosztują mnie trzysta dolarów dziennie, Jason. Muszą być dobrzy.

- Zerwałeś z nami kontakt! Dlaczego? Dałeś mi słowo, że tego nie zrobisz. Obiecałeś, że będziesz współpracował z moim następcą!

- Twój następca podyktował mi warunki, które były nie do przyjęcia! Jeśli to był twój pomysł, powiem ci to samo, co Houstonowi.

- O czym ty gadasz? Jakie warunki?

- Nie udawaj, że nie wiesz! Nie lubię takich zabaw... - Matlock odetchnął głęboko, żeby się uspokoić; chciał, aby to co powie zabrzmiało tak przekonująco, by Greenberg nie poznał, że kłamie. - Pewien adwokat w Hartford ma obszerne, podpisane przeze mnie oświadczenie. Bardzo podobne do tego, które podpisałem tobie. Tylko treść nieco się różni: zawarłem w nim prawdziwą wersję wydarzeń. Szczegółowy opis, jak mnie, skurwysyny, zwerbowaliście, jak wciągnęliście mnie w to wszystko, a potem zostawili na lodzie. Jak zmusiliście mnie do podpisania fałszywego oświadczenia... Jeśli tylko spróbujecie jakichś numerów, adwokat opublikuje moje słowa, a wówczas krętacze z departamentu sprawiedliwości będą się mieli z pyszna... Sam mi podsunąłeś ten pomysł, Jason. To naprawdę znakomity pomysł. Może kilku bardziej wojowniczych studentów zechce roznieść

w proch Uniwersytet Carlyle. Może rozruchy odbędą się i na innych uczelniach, a jeśli dopisze szczęście, w całym kraju. Środowisko akademickie tylko czeka, żeby się przebudzić; tak właśnie mówił Sealfont, prawda? Ale tym razem nie będzie chodziło o wojnę, pobór czy narkotyki. Będzie lepszy powód: infiltracja przez siły rządowe, widmo państwa policyjnego, gestapowskie metody... Jesteście na to gotowi?

- Przestań, na miłość boską! To ci nic nie da. Nie jesteś na tyle ważny... Co się stało, do cholery? Rozmawiałem z Houstonem. Był tylko jeden warunek, że masz go informować o swoich posunięciach.

- Gówno prawda! Powiedział, że nie wolno mi działać poza terenem uniwersytetu, że nie wolno mi rozmawiać ani z pracownikami administracji, ani z wykładowcami. Że mogę kontaktować się wyłącznie ze studentami, ale muszę każdorazowo prosić go o pozwolenie! Jeśli pominąć te drobne ograniczenia, to jestem wolny jak ptak, oczywiście! Żarty się was trzymają, czy co? Widziałeś Pat, widziałeś, co jej zrobili. Wiesz co jeszcze jej zrobili, Greenberg? Została zgwałcona! Więc coś ty myślał? Że podziękuję Houstonowi, że tak się o mnie troszczy?

- Wierz mi - zaczął powoli Greenberg; z jego głosu przebijał gniew - te warunki dodano później. Powinni mnie byli poinformować, to fakt. Ale im chodzi wyłącznie o twoje bezpieczeństwo. Chyba to rozumiesz, co?

- Nie tak się umawialiśmy!

- Wiem. Dlatego powinni mnie byli...

- Ciekawe o czyje bezpieczeństwo im naprawdę chodzi? Moje czy ich?

- Dobrze pytanie. Powinni mnie byli uprzedzić. Z jednej strony zwalają na ciebie odpowiedzialność, a z drugiej usiłują cię ubezwłasnowolnić. To nielogiczne.

- To niemoralne! Wiesz, w trakcie tej mojej małej odysei coraz częściej mam okazję zastanawiać nad istotą moralności.

- Cieszę się, ale i obawiam, że twoja odyseja dobiega niestety końca.

- Tylko spróbujcie ją przerwać!

- Spróbują, Jim. Oświadczenia złożone u adwokatów są gówno warte. Powiedziałem im, że może cię jakoś przekonam... Słuchaj, jeśli w ciągu czterdziestu ośmiu godzin nie oddasz się w ich ręce, każą cię aresztować. Dla twojego własnego dobra.

- Na jakiej podstawie?!

- Stanowisz zagrożenie dla otoczenia. Jesteś nie zrównoważony psychicznie. Szalony. Powołają się na przebieg twojej służby wojskowej: dwie rozprawy przed sądem wojennym, areszt, niestabilność emocjonalna w warunkach bojowych. Używanie narkotyków. I nadużywanie alkoholu, na co mają świadków. Poza tym jesteś rasistą; Kressel dał im to pismo z Lumumba Hall. Słyszałem też, choć nie znam konkretów, że wszedłeś w konszachty z przestępcami. Są zdjęcia - z klubu w Avon... Poddaj się, Jim. Inaczej zniszczą ci życie.

Czterdzieści osiem godzin! Dlaczego czterdzieści osiem? Dlaczego nie dwadzieścia cztery, nie dwanaście, dlaczego nie od razu? Nagle zrozumiał i zaczął się śmiać. Śmiał się do rozpuku w budce telefonicznej o piątej trzydzieści rano na pustym odcinku autostrady w pobliżu Mount Holly w stanie Connecticut.

Praktyczni mocodawcy z Waszyngtonu dawali mu akurat dość czasu, żeby zdążył coś osiągnąć - jeśli w ogóle był w stanie cokolwiek osiągnąć. Gdyby mu się nie udało albo gdyby coś się wydarzyło, oni byliby kryci. Mieli w papierach potwierdzenie, że jest niezrównoważonym psychicznie narkomanem o uprzedzeniach rasowych, który kontaktuje się ze znanymi przestępcami - i uprzedzili go, że powinien oddać się w ich ręce. Ponieważ szaleńcy bywają niebezpieczni i należy postępować z nimi bardzo ostrożnie, dali mu czas na poddanie się. Boże, ale przebiegli cwaniacy!

Dotarł do baru w West Hartford za kwadrans siódma i zjadł obfite śniadanie, jakby wierzył, że jedzenie zastąpi mu sen i da zastrzyk energii, której tak potrzebował. Co rusz zerkał na zegarek, świadom, że o siódmej trzydzieści musi być na parkingu.

Zastanawiał się, jak człowiek Blackstone'a będzie wyglądał. Facet przewyższał go o głowę, choć Matlock nigdy nie uważał się za ułomka. Cliff kojarzył mu się z włoskim bokserem Primo Carnera ze starych zdjęć. Tylko twarz miał inną. Szczupłą i inteligentną, z szerokim uśmiechem.

- Niech pan nie wysiada, panie Matlock - rzekł Cliff, wsuwając rękę przez okno wozu, żeby ucisnąć dłoń Jima. - Oto dokument; włożyłem go do koperty. A przy okazji, chciałem powiedzieć, że wieczorem panna Ballantyne nawet się śmiała. Encefalograf był w porządku, przemiana materii poprawia się z dnia na dzień, rozszerzenie źrenic się cofa. Uznałem, że to pana ucieszy.

- To chyba rokowania są dobre?

- Tak. Zaprzyjaźniliśmy się z lekarzem. Nie okłamuje nas.

- Władze szpitala nie mają nic przeciwko temu, że trzymacie straż?

- Pan Blackstone wszystko z nimi załatwił. Zajęliśmy pokoje po obu stronach pokoju chorej.

- Za które na pewno przyjdzie mi zapłacić!

- Wie pan, jaki jest pan Blackstone...

- Wiem. Wszystko musi być na najwyższym poziomie, bez względu na koszty.

- Jego klientów na to stać. Muszę już wracać. Miło było pana poznać.

Człowiek Blackstone'a odszedł szybko i wsiadł do niepozornego, kilkuletniego wozu.

Czas ruszać do New Haven, pomyślał Matlock.

Nie miał opracowanego z góry planu, nie zastanawiał się, z kim się spotka; słowem, nie wytyczał sobie drogi, lecz dawał się nieść prądom. Informacje, które posiadał, były niejasne, mgliste, zbyt mało konkretne, aby mógł cokolwiek robić na pewniaka. Ale było ich tyle, że ktoś kompetentny bez trudu potrafiłby powiązać luźne końce. Osoba taka musiała oczywiście znać od podszewki życie uczelni. Musiała, podobnie jak Sam Kressel, mieć do czynienia z różnymi napięciami, które tam występują.

Ale Uniwersytet Yale był pięć razy większy od Uniwersytetu Carlyle, zajmował znacznie rozleglejszy teren i nie był tak odizolowany od miasta - stanowił właściwie dzielnicę New Haven. Najlepszym miejscem, żeby zdobyć informacje, był oczywiście rektorat, ale Matlock nie znał tam nikogo. Gdyby po prostu wszedł z ulicy i opowiedział niewiarygodną historię o studentkach pracujących - lub zmuszanych do pracy - w burdelach na terenie stanów Connecticut, Massachusetts i New Hampshire, wywołałby - zakładając, że w ogóle by

mu powierzono - największą aferę ostatnich lat. Nie chciał jednak nadawać sprawie rozgłosu, a poza tym nie miał pewności, czy ktokolwiek mu uwierzy; gdyby zaś nie dano wiary jego opowieści, nie udzielono by mu też żadnych informacji.

Istniała inna możliwość: biuro rekrutacyjne. Była to słaba namiastka rektoratu, ale pracownicy biura również mieli niezłe rozeznanie w życiu uczelni. Jednym z ludzi odpowiedzialnych za nabór studentów do Yale był Peter Daniels, z którym Matlock nieraz występował wspólnie na spotkaniach informacyjnych dla młodzieży. Znał Danielsa dostatecznie dobrze, aby móc z nim szczerze porozmawiać; wiedział, że Daniels mu uwierzy i nie wpadnie w panikę. Postanowił jednak ograniczyć swoją opowieść do tego, co usłyszał od dziewczyny.

Zaparkował białe kombi na Chappel Street w pobliżu skrzyżowania z York. Po jednej stronie ulicy znajdował się łuk wiodący na teren Silliman College, po drugiej rozległy trawnik, przez który biegnęły wybetonowane alejki prowadzące do budynku mieszczącego działy administracyjne uczelni. Daniels miał gabinet na pierwszym piętrze. Matlock wysiadł z samochodu, zamknął na klucz drzwiczki i ruszył w kierunku starego gmachu z czerwonej cegły, na którym - obok flagi Stanów Zjednoczonych - powiewał proporzec Yale.

- Czyś ty zwariował! Przecież żyjemy w erze Wodnika, w latach swobody obyczajowej. Nikt nie płaci za seks; każdy sypia z kim chce.

- Wiem, co widziałem. I co mówiła mi ta dziewczyna; nie kłamała.

- To się nie mieści w głowie! Nie wydaje mi się możliwe.

- Ta sprawa wiąże się z masą innych, o których niedawno się dowiedziałem.

- Pozwól, że zadam ci jedno oczywiste pytanie. Dlaczego nie poszedłeś z tym na policję?

- Odpowiedź też jest oczywista. Uczelnie borykają się z różnymi kłopotami. A ja mam tylko garść faktów. Muszę zdobyć więcej informacji. Nie chcę bezpodstawnie ciskać oskarżeń, szerzyć paniki. Mieliśmy tego już dosyć w poprzednich latach.

- To prawda. Ale nie mogę ci pomóc.

- Podaj mi jakieś nazwiska. Studentów albo wykładowców. Osób, o których wiesz na sto procent, że mają problemy, poważne problemy. Że coś jest z nimi nie tak. Przecież znasz takie nazwiska, na pewno je znasz... Przysięgam, nikt się nie dowie, kto mi je poda.

Daniels wstał z fotela i zapalił fajkę.

- Mówisz bardzo ogólnie - rzekł. - Jakie problemy? Z władzami uczelni? Polityczne? Chodzi ci o narkotyki, o pijaństwo? Problemy bywają różne.

- Poczekaj...

Słowa Danielsa poruszyły coś w jego pamięci: przypomniał sobie słabo oświetlone, zadymione pomieszczenie w pozornie opuszczonym budynku w Hartford. Klub myśliwski należący do Rocca Aiella. I wysokiego młodzieńca w stroju kelnera, który przyniósł rachunek do podpisania. Kombatanta z Wietnamu, porucznika. Studenta Yale, który wyrabiał sobie kontakty, odkładał pieniądze... i pisał pracę magisterską z zarządzania.

- Wiem, z kim chciałbym się spotkać - oświadczył.

- Z kim?

- Nie znam nazwiska... Ale to kombatant, walczył w Wietnamie, ma jakieś dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata; dosyć wysoki, ciemny blondyn... w tym roku kończy zarządzanie.

- Ten opis pasuje pewnie do pięciuset studentów. Z wyjątkiem studentów medycyny, prawa i nauk ścisłych, wszyscy pozostali podciągnięci są pod nauki humanistyczne. Musielibyśmy przejrzeć wszystkie akta.

- Może na podaniach o przyjęcie są zdjęcia?

- Już dawno temu skasowano ten wymóg.

Matlock popatrzył na okno, marszcząc w zamyśleniu czoło, po czym nagle spojrzął na Danielsa.

- Pete, przecież jest maj...

- Co z tego? Równie dobrze mógłby być listopad; skasowano wymóg dołączania zdjęć, żeby komisja nie sugerowała się wyglądem kandydata.

- Za miesiąc odbędzie się uroczystość wręczania dyplomów... Ostatni rok zawsze robi sobie zdjęcia pamiątkowe do almanachu uczelni.

Daniels w mig pojął, o co Matlockowi chodzi. Wyjął fajkę z ust i ruszył w stronę drzwi.

- Chodź ze mną.

Student nazywał się Alan Pace. Pisał pracę nie z zarządzania, tylko nauk politycznych. Mieszkał poza terenem uczelni na Church Street, w pobliżu granicy miejskiej Hamden. Z akt wynikało, że jest znakomitym studentem - ze wszystkich przedmiotów miał najwyższe oceny i kroila mu się asystentura w Wyższej Szkole Nauk Politycznych w Syracuse. W wojsku spędził dwadzieścia osiem miesięcy, o cztery więcej niż wymagano. Podobnie jak inni kombatanci, brał niewielki udział w życiu społecznym uczelni.

Podczas pobytu w wojsku służył jako podporucznik w jednostce kwatermistrzowskiej. Sam wystąpił o czteromiesięczne przedłużenie służby w Sajgonie, co wyraźnie podkreślił w podaniu na studia. Alan Pace dobrowolnie podarował ojczyźnie cztery miesiące ze swojego życia. W tych latach cynizmu i prywaty był najwyraźniej człowiekiem honoru.

Wiedział, czego chce, pomyślał Matlock.

Jadąc Church Street w stronę Hamden, miał czas na rozważania. Prowadził je stopniowo, etapami, po jednej sprawie na raz. Nie mógł popuścić wodzy wyobraźni, wyciągać konkluzji na podstawie oderwanych od siebie faktów. Nie mógł też po prostu wszystkiego dodać, bo kto wie, czy wynik nie przewyższyłby wartości składników.

Było całkiem prawdopodobne, że Alan Pace działał w pojedynkę. Na własny rachunek, bez znaczniejszych powiązań.

Ale nie było to logiczne.

Mieszkał w nie rzucającym się w oczy budynku z brunatnej cegły, jakich wiele stoi na obrzeżach miast. Czterdzieści czy pięćdziesiąt lat temu takie domy były dumnym symbolem rozrastającej się klasy średniej, która wyprowadzała się z centrum miasta, ale nie miała dość odwagi, aby całkiem przenieść się na wieś. Obecnie budynek był nie tyle zniszczony, co bardzo zaniedbany. Studenci rzadko wynajmowali takie obiekty.

Ale właśnie tu mieszkał Alan Pace; Peter Daniels znalazł jego adres w papierach.

Pace nie chciał otworzyć drzwi. To, że w końcu zmienił zdanie, wynikało z dwóch faktów; po pierwsze Matlock solennie go zapewnił, że nie jest z policji, a po drugie wymienił nazwisko Rocca Aiella.

- Czego pan chce? Mam pełno roboty, nie mam czasu na rozmowę. Jutro zdaję egzamin.

- Czy mogę usiąść?

- Po co? Przecież już panu powiedziałem, że jestem zajęty.

Wysoki młody blondyn podszedł do biurka zawałonego książkami i papierami. Poza bałaganem na biurku, wszędzie panował idealny porządek. Mieszkanie było całkiem spore: świadczyło o tym kilka korytarzy i kilkoro drzwi wiodących do innych pokoi. Zwykle na takiej powierzchni mieszkało wspólnie czterech lub pięciu studentów. Ale Alan Pace mieszkał sam.

- A jednak usiądę. Przynajmniej tyle jesteś winien Roccowi.

- Nie rozumiem.

- Rocco był moim przyjacielem. Siedziałem z nim przy stoliku przedwczoraj, kiedy przyniosłeś mi do podpisania rachunek. Pamiętasz? Zawsze troszczył się o ciebie... A teraz nie żyje.

- Wiem. Czytałem o tym w gazecie. Bardzo mi przykro. Ale nic mu nie jestem winien.

- Kupowałeś od niego.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Nie udawaj, chłopcze. I nie traćmy czasu. Wiem, że nie masz nic wspólnego z jego śmiercią. Posiadasz jednak informacje, które mi są potrzebne.

- Trafił pan pod niewłaściwy adres. Nie znam pana. I nic nie wiem.

- Ale ja wiem o tobie wszystko. Aiello i ja mieliśmy zostać wspólnikami. Wiem, że to nie twoja sprawa, lecz Rocco i ja wymieniliśmy informacje... dotyczące naszych pracowników. Jeśli mam być szczerzy, to właśnie dlatego do ciebie przyszedłem. Teraz, kiedy Rocco nie żyje, ktoś musi wprowadzić mnie w szczegóły. Za tę przysługę gotów jestem zapłacić.

- Tak jak powiedziałem, trafił pan pod zły adres. Prawie nie znałem Aiella. Po prostu pracowałem w jego lokalu, obsługując stoliki. Owszem, słyszałem plotki, ale to wszystko. Nie wiem, czego pan chce; lepiej będzie, jeśli porozmawia pan z kim innym.

Bystry chłopak, pomyślał Matlock. Nie przyznawał się do żadnych powiązań, a jednocześnie nie upierał się naiwnie, że o niczym nie wie. Z drugiej strony, może rzeczywiście mówił prawdę? Istniał tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

- Zacznę od początku... Piętnaście miesięcy w Wietnamie. Sajgon, Da Nang; wypadły do Hongkongu i Japonii. Podporucznik w wojskach kwatermistrzowskich: najnudniejszy, najbardziej nieznośny rodzaj pracy dla młodego człowieka. Zwłaszcza tak inteligentnego, że na uniwersytecie uchodzącym za jeden z najtrudniejszych ma same świetne oceny.

- Kwatermistrzostwo to niezła fucha; żadnej walki, żadnego zagrożenia. A do Hongkongu i Japonii latał na odpoczynek każdy, kto dostawał przepustkę. Łatwo to sprawdzić.

- Potem ten oddany podporucznik wraca do cywila - ciągnął Matlock, jakby nie słyszał wtrętu Pace'a. - Ale najpierw sam z własnej woli przedłużył o cztery miesiące służbę w Sajgonie; aż dziw, że nie skapowali się, o co chodzi. Wraca z dostateczną ilością forsy, żeby poczynić pewne inwestycje; na pewno nie jest to zaoszczędzony żołd. A teraz jest jednym z największych zaopatrzeniowców w New Haven. Mam mówić dalej?

Pace, który wciąż stał przy biurku, nagle wstrzymał oddech. Z twarzą białą jak kreda wpatrywał się w Matlocka. Kiedy odezwał się, w jego głosie brzmiał strach.

- Nic mi pan nie udowodni! Żadnych lewych interesów! W wojsku nie miałem kłopotów, tutaj też nie mam! Cieszę się znakomitą opinią!

- Znakomitą. Nieskazitelną. Możesz być dumny; mówię to całkiem szczerze. I nie chciałbym być zmuszony zepsuć ci tej opinii. To też mówię szczerze.

- Nie dałby pan rady! Jestem czysty!

- O nie, mój drogi. Tkwisz w gównie po szyję. Twoja asystentura wisi na włosku. Aiello wszystko mi jasno wyłożył. Na papierze.

- Kłamie pan!

- Nie bądź głupi. Myślisz, że Aiello robiłby interesy z kimś, kogo nie sprawdził? Myślisz, że by mu pozwolono? Najpierw zasięgnął języka, potem wszystko spisał. Jego notatki są teraz u mnie. Tak jak ci mówiłem, mieliśmy zostać wspólnikami, więc udostępniliśmy sobie wszystkie dane o swoich operacjach, to chyba jasne.

- Takie dane nie figurują na papierze - powiedział Pace głosem niewiele wyższym od szeptu. - Figurują tylko nazwy miast i miejscowości oraz pseudonimy. Ale nie nazwiska. Nigdy prawdziwe nazwiska.

- Więc skąd się tu znalazłem?

- Widział mnie pan w Hartford i teraz chce ze mnie coś wyciągnąć.
- Nie wygłupiaj się, chłopcze. Nie jesteś tępy.

Groźba pobrzmiwająca w spokojnym głosie Matlocka wprowała młodzieńca w przerażenie.

- Dlaczego pan do mnie przyszedł? - spytał. - Nie jestem nikim ważnym! Skoro wie pan o mnie wszystko, to powinien pan chyba wiedzieć, że jestem tylko pionkiem!

- Mówiłem już. Potrzebuję informacji. Wolę nie zaczynać od grubych ryb, od ludzi, którzy rządzą całym interesem. Nie chcę być w niekorzystnej pozycji. Dlatego gotów jestem ci zapłacić i zniszczyć wszystkie pisemne dane na twój temat.

Możliwość uwolnienia się spod władzy obcego musiała się wydać Pace'owi niebywale atrakcyjna, bo spytał szybko:

- A co jeśli nie będę znał odpowiedzi na pańskie pytania? Pomyśli pan, że kłamię!

- Nic na tym nie stracisz. Zobaczymy.

- No to strzelaj pan.

- Poznałem dziewczynę... z pobliskiej uczelni. Spotkałem ją w okolicznościach, z których jasno wynikało, że ona i jej koleżanki uprawiają prostytucję. Zawodowo. Umówione spotkania, z góry określona cena, żadnego wcześniejszego kontaktu z klientem i tak dalej. Co ci wiadomo na ten temat?

Pace postąpił kilka kroków w stronę Matlocka.

- Jak to, co mi wiadomo? - spytał. - Wiem, że są studentki, które trudnią się prostytucją. Co jeszcze można wiedzieć?

- Studentki z Yale?

- Z różnych uczelni. To nic nowego.

- Dla mnie to nowość.

- Bo widocznie nie jest pan stąd. Wystarczy przejść się po kilku miasteczkach uniwersyteckich.

Matlock przełknął ślinę. Czyżby tak bardzo nie miał kontaktu z rzeczywistością?

- A gdybym ci powiedział, że znam... środowisko akademickie?

- W takim razie porusza się pan w dość ograniczonych kręgach. Zresztą ja nie mam z tym nic wspólnego. Co dalej?

- Jeszcze wróćmy na moment do tej sprawy... Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego trudnią się prostytucją?

- Dla szmalu. Po co się w ogóle cokolwiek robi?

- Jesteś zbyt inteligentny, żeby wierzyć w to, co mówisz... Czy ktoś tym kieruje? Jakaś siatka?

- Chyba tak. Ale ja naprawdę nie mam z tym nic wspólnego.

- Uważaj, mały! Pamiętaj o notatkach, które mi Rocco zostawił.

- No dobrze. Wszystko jest zorganizowane. Musi być zorganizowane, jeśli ma sprawnie działać.

- Gdzie się te "działania" odbywają?

- Mówiłem panu! Wszędzie.

- Na terenie uczelni?

- Nie, nie na uczelni. Na obrzeżach miast. Jeśli uczelnia znajduje się w niewielkim miasteczku, wówczas kilka kilometrów od niego. W starych wiejskich rezydencjach. A jeśli uczelnia jest w dużym mieście, wówczas w innych dzielnicach, w hotelach, w prywatnych klubach, w wynajętych mieszkaniach. Ale nie w moim.

- Czy mówimy o takich uczelniach jak Columbia, Harvard, Radcliffe, Smith, Holyoke? I innych, dalej na południe?

- Wszyscy zawsze zapominają o Princeton - oznajmił Pace, uśmiechając się kwaśno. - A przecież w okolicy jest tyle wspaniałych starych rezydencji... Tak, mówimy właśnie o tych uczelniach.

- Aż trudno uwierzyć - powiedział Matlock, nie tyle do Pace'a, co do siebie. - Ale dlaczego? Bo nie wmówisz mi, że chodzi tylko o szmal...

- Człowieku, szmal to wolność! Dla tych wszystkich dzieciaków szmal to wolność! Nie szaleją, nie biegają po uczelni w czarnych beretach i panterkach. Prawie nikt z nas tego nie robi. Nauczyliśmy się. Wiemy, że należy zdobyć forszę i wtedy każdy będzie się do ciebie uśmiechał... Pewnie pan zauważył, że w uczciwy sposób coraz trudniej jest się dorobić. Większość tych dziewczyn potrzebuje forsy.

- Ta, o której wspomniałem, powiedziała, że została zmuszona.

- Gówno prawda! Nikogo się nie zmusza.

- A jednak tak powiedziała. Powiedziała mi też parę innych rzeczy... Że ci, dla których pracuje, mają w swoich rękach sądy, lekarzy... Że mogą uniemożliwić znalezienie pracy.

- Nic o tym nie wiem.

- I później, nawet po kilku latach, mogą kogoś odnaleźć i znów nawiązać z nim kontakt. Stosują szantaż. Tak jak ja wobec ciebie w tej chwili.

- Widocznie ta dziewczyna wcześniej miała kłopoty. Jeśli robota jej nie odpowiada, nikt jej nie zmusza. Chyba że jest komuś winna forszę i inaczej nie może jej spłacić.

- Kto to jest Nemrod? - spytał cicho Matlock, nie zmieniając tonu.

Pytanie jednak sprawiło, że młody człowiek odwrócił się i odszedł kilka kroków.

- Nie wiem. Nie posiadam takich informacji.

Matlock wstał z krzesła i przez chwilę stał bez ruchu.

- Zapytam cię jeszcze raz, a jeśli nie odpowiesz, wyjdę stąd - rzekł. - Będziesz skończony. Świetnie zapowiadająca się kariera nagle zostanie przerwana. Jakby w ogóle się nie rozpoczęła... Kto to jest Nemrod?

Chłopak obrócił się i Matlock ujrzał na jego twarzy strach, taki sam jak na twarzy i w oczach Lucasa Herrona.

- Na miłość boską, nie mogę na to odpowiedzieć!

- Nie możesz, czy nie chcesz?

- Nie mogę! Nie wiem!

- Mnie się wydaje, że wiesz. Ale powiedziałem, że zapytam tylko jeden raz. Koniec rozmowy. - Matlock ruszył w stronę drzwi wejściowych, nie patrząc na studenta.

- Nie! Na Boga, ja naprawdę nie wiem! Skąd miałbym wiedzieć?! Nie może pan! - Pace podbiegł do Matlocka.

- Czego nie mogę?

- Nie może pan spełnić swojej groźby... Przysięgam, nie wiem, kim oni są! Nie mam...

- Oni?

Pace umilkł zmieszany.

- Tak... Chyba "oni" - odparł w końcu. - Nie wiem. Nie mam z nimi żadnych kontaktów. Nie wtrącali się do mnie.

- Ale wiesz o ich istnieniu?

- Czy wiem? Pewnie, że wiem. Ale nie mam pojęcia, kim są!

Matlock powoli odwrócił się do studenta.

- W porządku, może osiągniemy kompromis - oświadczył. Ale musisz mi wszystko powiedzieć.

I wystraszony młody człowiek tak uczynił. Kiedy mówił, Matlocka również ogarnął strach.

Nemrod był niewidocznym lalkarzem, w którego rękę skupiały się wszystkie sznurki. Nieokreślony, bezkształtny, a jednak obdarzony przerażającą, niesłychaną władzą. Nie był to

ON, ani ONI, lecz jakby czysta siła - tak przynajmniej wynikało ze słów Alana Pace'a. Skomplikowana abstrakcja, której niewidoczne macki przenikały każdą uczelnię na północnym wschodzie, wszystkie władze miejskie tam, gdzie znajdowały się uniwersytety, wszystkie piramidy finansowe, które dostarczały funduszy na działanie skomplikowanych struktur szkolnictwa wyższego w Nowej Anglii. I dalej na południu, jeśli dać wiarę plotkom.

Narkotyki stanowiły tylko jedną dziedzinę działalności Nemroda - tę, w której zorganizowana przestępczość nie chciała akceptować jego konkurencji; właśnie w celu zawarcia porozumienia zwołano majową konferencję, na którą kartą wstępu był korsykański dokument.

W miastach uniwersyteckich kwitła prostytutka i handel narkotykami, jednakże administracja większości uczelni również nosiła piętno Nemroda. Pace był przekonany, że programy nauczania, zatrudnianie i zwalnianie wykładowców, przyznawanie stopni naukowych i stypendiów odbywało się pod dyktando Nemroda. Matlock przeniósł się myślami do Carlyle: przypomniał sobie prorektora do spraw administracji - mianowanego przez Nemroda, według słów nieżyjącego Loringa. Także Archera Beesona, który szybko awansował na wydziale historii; trenera drużyny piłki nożnej i nazwiska kilkunastu innych wykładowców i pracowników administracji, które figurowały na liście Loringa.

Ilu ich było? Jak głęboko Nemrod przeniknął strukturę uniwersytetu?

W jaki sposób?

Z prostytutką sprawa była najprostsza. Studentki prowadziły nabór między sobą; wystarczyło dostarczyć adresy, ustalić ceny.

Młode, zdolne i atrakcyjne ciała trafiały do Nemroda i zawierały z nim pakt. Pakt, który oznaczał szmal i wolność.

I nikt na tym nie cierpiał; było to przestępstwo bez ofiar.

- Żadne przestępstwo, człowieku, tylko wolność. Życie bez napięć. Można studiować spokojnie, nie denerwując się, nie martwiąc, że za parę złych ocen straci się stypendium.

Pace widział wiele korzyści płynących z działalności niewidzialnego, lecz jakże praktycznego Nemroda. Wiele dobra.

- Panu się wydaje, że to tak bardzo różni się od normalnego, uczciwego świata. Nieprawda. Świat Nemroda to taka mini-Ameryka: zorganizowana, skomputeryzowana, podzielona na liczne szczeble. Jest odzwierciedleniem naszego kraju! General Motors i inne korporacje działają dokładnie w ten sam sposób! A tu jeden facet wpadł na pomysł, żeby na podobnej zasadzie zorganizować sławne amerykańskie uczelnie. Przedsięwzięcie handlowe jak każde inne. Organizacja szybko się rozrasta. Nie ma co stawać okoniem. Lepiej się przyłączyć.

- I to właśnie zamierzasz zrobić? - spytał Matlock.

- Człowieku, to jedyna droga. Ta organizacja ma przyszłość. Zresztą, może już pan należy do Nemroda? Może zjawił się pan, żeby mnie sprawdzić i wciągnąć do współpracy? Jesteście wszędzie; czekałem, aż się mną zainteresujecie.

- A jeśli nie należę?

- To wpłatał się w pan w coś, co przerasta pana o wiele pięt. I chyba łatwo się pan nie wypłaci.

Gdyby ktoś zobaczył białe kombi mknące do centrum New Haven, zapewne pomyślałby, że jest to drogi wóz, który idealnie pasuje do mieszkańca bogatej, podmiejskiej dzielnicy, a siedzący za kierownicą mężczyzna idealnie pasuje do wozu.

Obserwator nie zdawałby sobie sprawy, że kierowca - pod wpływem szoku w jaki wprawiły go zdobyte w ciągu ostatniej godziny informacje - ledwo rejestruje inne sunące szosą pojazdy. Matlock, wyczerpany brakiem snu, gdyż przez dwie doby nie zmrzążył oka, miał wrażenie, że wisi nad bezdenną przepaścią, uczipiony cienkiej liny, która lada moment się zerwie, a on sam runie w dół w wydobywające się z przepaści opary.

Ze wszystkich sił próbował o niczym nie myśleć. Lata doświadczenia, a zwłaszcza długie miesiące pracy naukowej, kiedy sam wyznaczał sobie różne terminy i starał się ich nie przekraczać, nauczyły go, że nadmiernie przeciążony i wyczerpany umysł ludzki - a przynajmniej jego umysł - nie jest w stanie sprawnie funkcjonować.

A właśnie to było najważniejsze - sprawnie funkcjonować.

Poruszał się po nieznanach wodach, morzach pełnych malutkich wysepek, na których zamieszkiwali groteskowi ludzie. Julian Dunois, Lucas Herron, Bartolozzi, Aiello, Sharpe, Stockton, Pace i dziesiątki im podobnych. Truciciele i zatruci.

Nemrod.

Nieznane wody?

Nie, nie są nieznane, pomyślał.

Wielu przecież po nich żeglowało. Najwięksi cynicy na świecie.

Pojechał do hotelu "Sheraton" i wynajął pokój.

Usiadł na brzegu łóżka i zadzwonił do Howarda Stocktona w Carmount. Stocktona nie było w klubie.

Oстрыm, rozkazującym tonem powiedział telefonistce, żeby Stockton zadzwonił do niego - spojrzął na zegarek; dochodziła druga - za cztery godziny. O szóstej. Podał numer hotelu "Sheraton" i rozłączył się.

Potrzebował przynajmniej czterech godzin snu. Nie wiedział, kiedy znów będzie miał okazję się przespać.

Jeszcze raz podniósł słuchawkę i zamówił budzenie na piątą czterdzieści pięć.

Położył głowę na poduszce i zasłonił przedramieniem oczy. Przez materiał koszuli poczuł zarost na policzku. Trzeba się wybrać do hotelowego fryzjera, pomyślał; walizkę z ubraniami i przyborami kosmetycznymi zostawił w białym kombi. Był zbyt zmęczony, a umysł miał zbyt zaprzątnięty innymi sprawami, aby pamiętać o tym, żeby zabrać ją do pokoju.

Trzy krótkie, ostre dzwonki telefonu oznaczały, że nadeszła pora pobudki. Była dokładnie piąta czterdzieści pięć. Kwadrans później znów zabrzączał telefon; tym razem sygnał by normalny, dłuższy. Howard Stockton dzwonił punktualnie o szóstej.

- Będę mówił zwięźle, Jim. Nawiązałem kontakt. Ale facet nie chce się spotykać w knajpie na terenie ośrodka. Chce, żebyś wjechał wyciągiem na East Gorge. Wyciąg działa przez cały rok, bo wiosną i latem turyści lubią podziwiać z góry widoki. Pojedziesz tam dziś, o ósmej trzydzieści wieczorem. Ktoś będzie na ciebie czekał. To wszystko. Nie chcę więcej mieć z tą sprawą nic wspólnego!

Stockton z taką siłą cisnął słuchawkę na widełki, że Matlockowi zadzwoniło w uszach.

Ale udało się! Odniósł sukces! Nawiązał kontakt z Nemrodem, z którymś z uczestników konferencji!

Ruszył ciemnym szlakiem w kierunku wyciągu. Wystarczył dziesięciodolarowy napiwek, żeby strażnik, który dyżurował w budce na parkingu przed restauracją, pokiwał ze zrozumieniem głową i poszedł Matlockowi na rękę. Sympatycznie wyglądający gość w białym kombi spieszył się na randkę. Mąż kobiety miał się zjawić dopiero za kilka godzin. Normalka! Zdarzają się w życiu takie sytuacje.

Kiedy Matlock dotarł do stóp East Gorge, z ciężkich chmur, które od rana wisiały na niebie, zaczął padać deszcz. W Connecticut kwietniowe opady szybko przekształcały się w ulewy; Matlock był zły na siebie, że nie pomyślał o kupnie płaszcza przeciwdeszczowego.

Spojrzał w stronę opustoszałego wyciągu: podwójna lina, która biegła w kierunku szczytu, rysowała się na tle ciemnego nieba, przypominając grube cumy na tle wody. W baraku mieszczącym skomplikowane maszyny, które wprawiały linę w ruch, paliło się słabe światło. Matlock podszedł do drzwi i zastukał. Uchylił je drobny, żylasty mężczyzna, który przyjrzał mu się uważnie.

- To pan wybiera się na szczyt?

- Tak.

- Jak się pan nazywa?

- Matlock.

- W porządku. Wie pan, jak się na czymś takim siedzi?

- Jeżdżę na nartach. Zadek na deskę, nogi na podpórkę, ręce mocno zaciśnięte na drążku.

- Zgadza się. Włączę silnik, a pan niech siada.

- Dobra.

- Zmoknie pan do nitki.

- Wiem.

Matlock ustawił się na prawo od urządzenia, które włączyło się z głuchym warkotem. Lina, trzeszcząc, zaczęła się przesuwac i po chwili podjechało pierwsze krzeselko. Matlock wsunął się na nie, oparł nogi na podpórce i zablokował metalową poręcz zabezpieczającą przed upadkiem. Lina poruszyła się, odrywając go od ziemi.

Jechał na szczyt East Gorge na spotkanie z wysłannikiem Nemroda. Kiedy kołysał się trzy metry nad ziemią, czuł - mimo nieprzyjemnego deszczu - jak wzbiera w nim radość. Zbliżał się do końca swojej wędrówki, cel był już niemal w zasięgu wzroku. Osobnik oczekujący na górze będzie całkiem zdezorientowany. Matlock bardzo na to liczył. Jeśli to, co mu powiedzieli zamordowany Loring i tryskający życiem Greenberg było prawdą, inna reakcja po prostu nie wchodziła w grę. Otoczona tajemnicą konferencja, nie znani sobie delegaci, Omerta, szyfry i kontrszyfry stosowane przez przestępców dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa - to wszystko było prawdą. Miał na to wiele dowodów. Jednakże wszelkiego rodzaju tajne, dokładnie obmyślane plany często biorą w łeb, jeśli nagle zdarza się coś nieoczekiwane; pojawiają się wówczas wzajemne podejrzenia, strach, zdezorientowanie. Właśnie na zdezorientowanie Matlock liczył najbardziej.

Lucas Herron zarzucił mu, że bezkrytycznie wierzy w spiski. Nie wierzył bezkrytycznie; wierzył, bo miał dowody. A to różnica. I dzięki temu udało mu się dotrzeć tak daleko; tak daleko, że dzielił go tylko krok od Nemroda.

Deszcz zaczął coraz mocniej, a wiejący w górze wiatr wzmagal jego siłę. Z każdym mijanym wspornikiem podtrzymującym linę metalowe krzeselko kołysało się coraz gwałtowniej. Poprzez strugi deszczu Matlock ledwo widział światło migoczące blade za jego plecami. Na oko znajdował się w połowie drogi do szczytu.

Nagle coś szarpnęło i wyciąg stanął. Matlock, zaciskając ręce na poręczy, zadął głowę usiłując dojrzeć, czy lina przypadkiem nie zasupłała się na kole przy wsporniku. Ale nie.

Obrócił się z trudem na krzeselku i znów spojrzął za siebie. Nie dostrzegł nic, choćby najbardziej mglistego światełka. Podniósł dłoń do czoła, żeby deszcz nie lał mu się do oczu. Albo ulewa aż tak utrudniała widoczność, albo jakiś wspornik przysłaniał barak, w którym mieściła się maszyna, bo przecież światło musiało się palić. Wychylił się w prawo, potem w lewo, ale nadal nie widział żadnego blasku u stóp góry.

Może wysiadły korki, może to było przyczyną awarii. Jeśli tak, nic dziwnego, że światło zgasło. Pewnie nastąpiło spięcie. Na ogół przecież wyciągi nie chodzą podczas deszczu.

Spojrzął pod nogi. Był jakieś pięć metrów nad ziemią. Jeśli spuści się na rękach z podpórki, odległość zmniejszy się do około trzech. Poradzi sobie. Resztę drogi pokona na piechotę. Musi się jednak pospieszyć. Dotarcie na szczyt zajmie pewnie ze dwadzieścia minut. Nie może ryzykować, że czekający na górze człowiek zniechęci się i odejdzie!

- Nie ruszaj się! Nie odblokowuj poręczy!

Mimo szumu deszczu głos, który rozległ się w mroku, dobiegł głośno i wyraźnie. Matlock zamarł, nie tyle ze strachu, co z zaskoczenia. Dopiero po chwili dojrzał, że na prawo od wyciągu stoi jakiś mężczyzna. Ubrany był w płaszcz przeciwdeszczowy, a na głowie miał czapkę, która przysłaniała mu twarz. Z góry Matlock nie był nawet w stanie stwierdzić, czy facet jest wysoki czy niski.

- Kim jesteś? Czego chcesz? - zawołał.

- Umówiliśmy się, pamiętasz? Chcę zobaczyć ten dokument. Wyjmij go z kieszeni i rzuć na ziemię.

- Najpierw ty pokaż swój! Taka była umowa!

- Nic nie rozumiesz, Matlock. Rzuć ten papier. I koniec.

- Co to ma znaczyć, do cholery?!

Oślepił go silny strumień światła wydobywający się z latarki. Matlock chwycił za haczyk, chcąc odblokować poręcz.

- Nie dotykaj poręczy! Trzymaj ręce przed sobą, bo cię zastrzelę!

Stożek jaskrawego światła przesunął się z twarzy Matlocka na jego pierś; przez kilka sekund jedyne co Jim widział to tysiące wirujących punkcików. Kiedy odzyskał wzrok, zobaczył, że mężczyzna oświetla sobie drogę i powoli zbliża się do wyciągu. W poświacie latarki zobaczył również i to, że facet trzyma w prawej ręce potężny, groźnie wyglądający pistolet. Wróg stanął pod krzeselkiem i oślepiający snop znów powędrował do góry.

- Nie wygrażaj mi, gnojku! - wrzasnął Matlock, pamiętając, jakie wrażenie jego krzyk wywarł na Stocktonie, kiedy o czwartej rano natknął się na niego w holu. - Schowaj pukawkę i pomóż mi zejść! Nie mamy czasu i nie lubię takich żartów!

Tym razem jednak skutek był inny. Mężczyzna po prostu zaczął się śmiać. Matlocka przeszły ciarki, bo śmiech, który do niego doleciał, wcale nie był udawany. Facet wyraźnie dobrze się bawił.

- Ale z ciebie dowcipniś! A jak durnie wyglądasz, wisząc z tyłkiem na desce! Wiesz, co mi przypominasz? Takie podskakujące blaszane małpy w strzelnicy na jarmarku! Kojarzysz, o czym mówię? Więc przestań pieprzyć i rzuć mi ten papier!

Ponownie się roześmiał i nagle Matlock zrozumiał, co się stało.

Wcale nie zdołał nawiązać kontaktu. Nikogo nie zdołał przestraszyć. Wszystkie jego ruchy, tak starannie przemyślane, okazały się daremne. Był w tym samym punkcie co tydzień temu, zanim w ogóle wiedział o istnieniu Nemroda.

Dał się wciągnąć w pułapkę.

Ale musiał grać dalej. Nic innego mu nie pozostało.

- Robisz błąd, największy błąd w swoim życiu! - zawołał.

- Na miłość boską, przestań się wygłupiać! Dawaj papier! Szukamy tego cholernego skrawka od tygodnia! Mam rozkaz, żeby ci go odebrać i szlus!

- Nie mogę go dać.
- Rozwalę ci łeb!
- Nie powiedziałem, że nie dam, tylko że nie mogę!
- Nie wciskaj mi tu ciemnoty! Wiem, że masz go przy sobie! Nie przyszedłbyś bez tego świstka!

- Jest w kopercie, którą mam umocowaną do pleców!
- To ją wyciągnij i rzuć!
- Nie mogę! Też byś nie mógł, gdybyś siedział na desce szerokości dziesięciu centymetrów, siedem metrów nad ziemią!

Zacinający deszcz częściowo zagłuszył jego słowa.

- Powiedziałem, rzuć! - krzyknął zniecierpliwiony mężczyzna.
- Muszę zejść, bo nie sięgnę! - ryknął Matlock, usiłując przekrzyczeć szum deszczu i wycie wiatru. - Możesz się nie obawiać! Nie mam broni!

Mężczyzna cofnął się kilka kroków od wyciągu. Wycelował w Matlocka wielki, groźnie wyglądający pistolet oraz jasny snop światła.

- Dobra, zeskakuj! Tylko bez sztuczek, bo rozwalę ci łeb!

Matlock odblokował poręcz; czuł się jak dziecko na szczycie diabelskiego młyna, przerażone tym co będzie, jeśli młyn nagle się zatrzyma, a ono będzie musiało skakać z wysoka na ziemię.

Chwycił się rękami podpórki, na której opierał stopy, i opuścił się w dół. Przez chwilę wisiał w powietrzu oślepiiony blaskiem latarki, czując jak deszcz siecze go po ciele. Musiał coś szybko wymyślić, zdecydować się na coś. Dla faceta, który czekał w dole, jego życie było znacznie mniej warte niż życie ludzi wymordowanych w Windsor Shoals przez podobnych mu zbirów.

- Skieruj światło na ziemię! Nic nie widzę!

- Gównu mnie to obchodzi! Skacz!

Skoczył.

Ładując krzyknął głośno, przewrócił się i złapał się rękami za nogę.

- Auuu! Moja noga, moja kostka! Złamałem nogę!

Krzywiąc się z bólu, zaczął miotać się po mokrej trawie.

- Stul pysk i dawaj ten papier! Szybko!

- Daj ty mi święty spokój! Nie widzisz, że mam wykręconą nogę? Poszła kość!

- Trudno! Dawaj papier!

Matlock leżał na ziemi, rzucając głową z boku na bok i napinając mięśnie szyi, żeby nie wrzeszczeć z bólu. Wyszarpnął ze spodni połę koszuli, ukazując płócienny pas.

- Papier jest w pasie - wycharczał przez zęby. - Rozepnij go!

- Sam go rozepnij! No już! - rozkazał mężczyzna. Widocznie miał jakieś wątpliwości, bo jednak podszedł bliżej, a potem przysunął się jeszcze o krok. Latarka znalazła się tuż nad Matlockiem. Snop prześlizgnął się do jego brzucha i w poświacie Jim ujrzał długą lufę groźnego, czarnego pistoletu.

Była to chwila, na którą czekał.

Błyskawicznie wyciągnął rękę w stronę pistoletu, równocześnie uderzając ciałem w nogi stojącego obok mężczyzny. Zaciśnął dłoń na lufie i szarpnął ją mocno w dół. Upadając mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym dwukrotnie nacisnął na spust. Odgłos wystrzałów zadudnił Matlockowi w uszach, a siła odrzutu o mało nie wyrwała mu broni z ręki.

Chwilę później miał wroga pod sobą; morderca kopał, walił go raz po raz wolną ręką, ale Matlock był cięższy. Przygwoździł do mokrej ziemi dłoń zaciśniętą na kolbie pistoletu, po czym wbił zęby w nadgarstek mężczyzny. Zaciśkał szczęki coraz mocniej, aż wreszcie poczuł w ustach smak krwi zmieszanej z deszczem.

Mężczyzna zawył z bólu i puścił broń. Wciąż ściskając pistolet za lufę, Matlock podniósł go i zaczął tłuc nim mężczyznę po twarzy. Latarka leżała parę metrów dalej; jej jaskrawy snop oświetlał tylko mokre od deszczu zarośla.

Matlock dźwignął się na kolana i spojrzał na zakrwawioną twarz półprzytomnego mordercy. Sam dyszał ciężko, a w ustach wciąż czuł obrzydliwy smak krwi. Splunął kilka razy.

- Jazda! - Chwycił leżącego za kołnierz i szarpnął do góry jego głowę. - Teraz mi wszystko wyśpiewasz! To była pułapka, tak?

- Papier! Muszę mieć ten papier! - wymamrotał mężczyzna ledwo słyszalnym szeptem.

- Zastawiliście pułapkę, tak? Od tygodnia macie mnie na oku.

- Tak... tak. Papier.

- Zależy wam na tym świstku, co?

- Zabiją cię... Zabiją cię, żeby go zdobyć! Nie masz szansy... żadnej szansy...

- Kto mnie zabije?!

- Nie wiem... nie wiem...

- Kim jest Nemrod?

- Nie wiem... Omerta! Omerta!

Mężczyzna otworzył szeroko oczy - w świetle leżącej na trawie latarki Matlock zobaczył, że z rannym dzieje się coś dziwnego. Jakaś myśl nie dawała mu spokoju, gnębiła go, przyprawiała o przerażenie. Matlock patrzył zdumiony - przypomniał sobie strach na twarzy Lucasa Herrona, paniczny lęk Alana Pace'a.

- No, wstawaj, pomogę ci zejść na dół, a potem... Nie skończył zdania. Nagle, pod wpływem przerażenia, człowiek ociekający krwią zdobył się na nieludzki wysiłek: rzucił się w przód, usiłując chwycić broń. Matlock szarpnął pistolet do tyłu i odruchowo pociągnął za spust. Z szyi mężczyzny buchnęły strugi krwi, strzępy mięsa poleciały na boki.

Matlock powoli wstał z ziemi; dym wystrzału nadal unosił się nad trupem, a siarczysty deszcz nie pozwalał mu wzbić się w górę.

Jim nachylił się, żeby podnieść z trawy latarkę i schylając się zaczął wymiotować.

Dziesięć minut później, ukryty za pnem ogromnego klonu, obserwował parking położony sześćdziesiąt metrów niżej. Młode liście częściowo chroniły go przed ulewą, ale ubranie miał brudne, umazane krwią i błotem. Widział białe kombi zaparkowane nie opodal kamiennej bramy wiodącej na teren ośrodka. Niewiele się na dole działo; nie podjeżdżały żadne nowe samochody, a goście siedzący w restauracji zapewne czekali z opuszczeniem lokalu aż przestanie padać. Strażnik, któremu dał dziesięć dolarów, stał pod markizą przy wejściu do restauracji i rozmawiał z portierem. Matlocka korciło, żeby zbiec do wozu i czym prędzej odjechać, ale wiedział, że jego brudne ubranie zwróci uwagę obu mężczyzn; będą się zastanawiać, co się zdarzyło na zboczu East Gorge, może nawet zawiadomią policję. Postanowił zaczekać, aż zajmą się wychodzącymi gośćmi, albo schronią się przed deszczem.

Nienawidził czekania. Im dłużej czekał, tym większy ogarniał go strach. Schodząc ze zbocza nie widział nikogo przy wyciągu, ale to nie znaczyło, że nikogo tam nie ma. Było mało prawdopodobne, aby zastrzelony wysłannik Nemroda przyszedł sam: na pewno miał współników, którzy czaili się gdzieś w pobliżu. Jeśli odnajdą zwłoki, będą chcieli go zabić - nie po to, żeby się zemścić na Matlocku, ale żeby zdobyć korsykański dokument.

Nie miał wyboru. Wypuścił się na zbyt głębokie wody, przecenił swoje możliwości. Nemrod manipulował nim tak samo jak ludzie z departamentu sprawiedliwości. Tak, musi zadzwonić do Jasona Greenberga i zastosować się do jego poleceń.

W pewien sposób poczuł, ulgę, że jego rola dobiegła końca - no, prawie dobiegła końca. Nadal pragnął dopomóc w zniszczeniu szajki, ale więcej już nic nie mógł zrobić. Musiał się poddać.

Wreszcie otworzyły się drzwi restauracji i pokazała się w nich kelnerka. Dała znak portierowi. Obaj mężczyźni ruszyli po schodkach do budynku.

Matlock zbiegł na wysypany żwirem parking i zaczął przemykać się wzdłuż wozów stojących w pierwszym rzędzie. Co kilka kroków spoglądał w stronę restauracji. Kelnerka wręczyła portierowi termos kawy. Wszyscy troje palili papierosy i śmiali się z jakiegoś dowcipu.

Matlock dotarł do właściwego rzędu i kucnął przy kombi. Zerknął przez boczne okno do środka i odetchnął z ulgą na widok kluczyka w stacyjce. Nabrał głęboko powietrza, otworzył bezszelestnie drzwi i wsunął się na siedzenie. Chociaż bardzo chciał, żeby światelko, które się zapaliło, zgasło jak najszybciej, nie zatrasnął drzwi - zamknął je powoli i najciszej jak mógł, żeby hałas nie zwrócił uwagi rozmawiających mężczyzn. Udało się: nadal żartowali z kelnerką, nieświadomi tego, co dzieje się na parkingu.

Usiadł za kierownicą, przekręcił kluczyk w stacyjce, a kiedy silnik zaskoczył, wrzucił wsteczny bieg i ruszył tyłem do bramy. Minął z wyciem kamienne słupki i wyjechał na drogę wiodącą na autostradę.

Mężczyźni i kobieta rozmawiający na schodach pod markizą podnieśli zdziwieni głowy. Po chwili zdziwili się jeszcze bardziej i zaczęła wzbierać w nich ciekawość. Z końca parkingu dobiegł ich bowiem głęboki warkot drugiego wozu, wyposażonego w silnik znacznie większej mocy. Zapaliły się jasne reflektory, których równe snopy światła zostały nieco zniekształcone przez deszcz, i długa, czarna limuzyna pomknęła przez parking.

Złowieszczo wyglądający pojazd skręcił z piskiem opon i minął kamienne słupki przy bramie; potem kierowca wcisnął gaz do dechy i ruszył w pościg za białym kombi.

Wprawdzie ruch na autostradzie był niewielki, lecz Matlock uznał, że bocznymi drogami szybciej dotrze do Carlyle. Postanowił jechać prosto do Kressela, mimo jego tendencji do wpadania w histerię. Razem zadzwonią do Greenberga. Bądź co bądź przed

chwilą zabił człowieka. Bez względu na to, czy ten brutalny, gwałtowny czyn był usprawiedliwiony czy nie, wciąż o nim myślał. Podejrzewał, że do końca życia nie zdoła wymazać z pamięci dzisiejszego wieczoru.

Miał duże wątpliwości, czy Kressel jest akurat tą osobą, do której powinien się udać. Ale któż inny mu pozostał? Od biedy mógł wrócić do siebie i czekać, aż przyjdzie po niego agent FBI. Ale co gdyby wcześniej od agenta zjawił się wysłannik Nemroda?

Miał przed sobą trzy kolejne zakręty. Za nimi, o ile dobrze pamiętał, szosa ciągnęła się między polami - dopiero tam, na prostym odcinku, mógł zwiększyć szybkość. Autostrada niemal cały czas biegła prosto, ale jadąc nią nadkładało się kawał drogi, a poza tym panował na niej większy ruch. Wychodząc z ostatniego zakrętu, Matlock nagle zdał sobie sprawę, że ściska kierownicę tak mocno, że bołą go dłonie. Była to reakcja obronna organizmu na stres: mięśnie napięły się, żeby opanować drżenie ciała i uchronić go przed jechaniem zygzakami po obu pasach jezdni.

Zbliżał się do długiego, prostego odcinka szosy; ulewa zelżała. Wcisnął pedał gazu do samej podłogi i poczuł, jak kombi nabiera prędkości.

Od czasu do czasu spoglądał w lusterko sprawdzając, czy przypadkiem nie jedzie za nim radiowóz. Wtem zobaczył zbliżające się światła. Zerknął na szybkościomierz. Pędził z prędkością stu trzydziestu dziewięciu kilometrów na godzinę, ale odległość między nim a pojazdem z tyłu zmniejszała się.

Instynkt ściganej zwierzyny podszeptął mu, że doganiający go pojazd to na pewno nie radiowóz. Zalegała cisza, syrena nie wyła, na dachu nie migało czerwone światło.

Nadepnął jeszcze mocniej na pedał gazu, ale już nic więcej nie był w stanie wycisnąć z kombi. Szybkościomierz wskazywał sto pięćdziesiąt kilometrów - kombi pruło z maksymalną prędkością.

Reflektory jadącego z tyłu wozu były tuż za nim. Przedni zderzak znajdował się niespełna pół metra od tylnego zderzaka kombi. Nagle reflektory skrzyły w lewo i pojazd zrównał się z Matlockiem.

Była to ta sama czarna limuzyna, którą widział tuż po zabójstwie Loringa! Ten sam ogromny wóz, który wyłonił się z ciemności w kilka minut po masakrze w Windsor Shoals! Patrząc to na szosę, to na czarną limuzynę, która zaczęła spychać go na prawe pobocze, Matlock usiłował coś szybko wymyślić. Kombi dygotało od szaleńczej szybkości i z najwyższym trudem panował nad kierownicą.

Nagle w bocznym okienku limuzyny spostrzegł wymierzoną w siebie lufę pistoletu. A za nią rozlatane oczy kierowcy, który na przemian zerkał na drogę i brał go na muszkę.

Usłyszał wystrzały, a jednocześnie poczuł, jak odłamki szyby uderzają go w twarz i rozsypują się po siedzeniu. Nacisnął z całej siły na hamulec i obrócił kierownicę w prawo: wóz skręcił na pobocze, zerwał ogrodzenie z drutu kolczastego i kołysząc się gwałtownie, wjechał na pole pełne kamieni. Przez pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów sunął po trawie, po czym wpadł na kamienny nasyp znaczący granicę pola. Reflektory stłukły się i zgasły, maska wgniotła się z hukiem. Matlock poleciał do przodu i tylko dzięki temu, że podniósł ramiona, żeby osłonić twarz, nie wyrznął głową w przednią szybę.

Był przytomny - i instynkt ściganej zwierzyny go nie opuścił. Usłyszał trzask otwieranych, a potem zamykanych drzwi i domyślił się, że morderca idzie przez pole do swojej ofiary. Po to, żeby zabrać jej korsykański dokument. Czuł, że po czole ścieka mu strużka krwi - nie wiedział, czy drasnęła go kula, czy też zranił kawałek szyby, ale był wdzięczny losowi za tę drobną ranę. Potrzebował jej teraz, potrzebował, żeby morderca zobaczył na jego czole krew. Siedział pochylony nad kierownicą, nieruchomy, milczący.

W prawej ręce trzymał pod marynarką groźny pistolet, który odebrał mężczyźnie w nieprzemakalnym płaszczu na zboczu East Gorge. Lufa skierowana była w stronę drzwi.

Słyszał miękki chrzęst kroków zbliżających się po wilgotnej ziemi. A po chwili - jak niewidomy, który szóstym zmysłem wyczuwa czyjąś obecność - zorientował się, że obcy stoi tuż obok i przygląda mu się przez rozbitą szybę. Sekundę później usłyszał zgrzyt naciskanej klamki i odgłos otwierających się drzwiczek.

Kiedy ręka obcego chwyciła go za ramię, nacisnął spust. Huk był ogłuszający; po nim krzyk zranionego mordercy przeciął wilgotny mrok. Matlock wyskoczył z wozu i całym ciałem napał na mężczyznę, który trzymał się dłonią za lewe ramię, tam gdzie trafiła go kula. Z dziką furią zaczął okładać go pistoletem po głowie, nie bacząc na to, czy celnie czy nie, dopóki wróg nie zwałił się na ziemię. Morderca miał ręce puste, broni nigdzie nie było widać. Matlock postawił nogę na gardle powalonego.

- Kiedy dasz mi znak, ty skurwysynu, że gotów jesteś gadać, przestanę naciskać! Inaczej w ogóle nie przestanę!

Morderca zakrzuszył się, oczy wyszły mu na wierzch. Uniósł błagalnie prawą rękę.

Matlock odsunął nogę i ukląkł obok mężczyzny. Był to mocno zbudowany brunet o tępych rysach brutalnego zbira.

- Kto cię za mną wysłał? Skąd wiedziałeś, jakim jadę wozem? Mężczyzna podniósł nieco głowę, jakby zamierzał odpowiedzieć. Nagle sięgnął prawą ręką do paska, wyszarpnął zza niego nóż, po czym szybko przetoczył się w lewo, mierząc potężnym jak u goryla kolanem w krocze Matlocka. Ostrze noża przecięło koszulę Jima, który - czując na skórze dotyk stali - pomyślał, że jeszcze nigdy nie był tak blisko śmierci.

Z całej siły spuścił lufę ciężkiego pistoletu na skroń mordercy. Jeden cios wystarczył. Głowa rannego mężczyzny poleciała do tyłu, u nasady włosów pojawiła się krew. Matlock zerwał się z ziemi i tym razem przydeptał rękę zaciśniętą na trzonku noża.

Po kilku sekundach morderca otworzył oczy.

Przez następne pięć minut Matlock robił coś, do czego, jak sądził, nigdy nie będzie zdolny: torturował drugiego człowieka. Torturował mordercę jego własnym nożem, tnąc mu skórę wokół oczu i kalecząc mu wargi - tym samym stalowym ostrzem, które wcześniej dotknęło jego piersi. A ilekroć ranny krzyczał, walił go w usta lufą pistoletu, krusząc mu przednie zęby.

Nie trwało to długo.

- Miałem zabrać dokument!

- Co jeszcze?

Mężczyzna jęczał i pluł krwią, miotając głową na boki, ale nie chciał mówić. W końcu Matlock odezwał się; cicho, stanowczo, z przekonaniem oznajmił:

- Jeśli nie odpowiesz, przebiję ci nożem obie gałki oczne. Nie będę miał litości. Możesz mi wierzyć.

- Ten starzec! - wymamrotał morderca grubym, ochryłym głosem. - Mówił, że wszystko spisał... Nikt nie wie... Ty z nim rozmawiałeś...

- Jaki sta... - Matlock urwał; niesamowita myśl przyszła mu do głowy. - Lucas Herron?! O nim mówisz?!

- Twierdził, że wszystko spisał. Oni myślą, że wiesz od niego... Może kłamał... Cholera, mógł kłamać!

Morderca stracił przytomność.

Matlock podniósł się wolno z ziemi; drżały mu ręce, dygotał na całym ciele. Spojrzał w stronę szosy, na wielką czarną limuzynę, która stała w rzednącym deszczu. Tak, to będzie ostatnia zagrywka, ostatnia próba.

Coś zaczęło budzić się w jego umyśle, jakaś ulotna, ale realna nadzieja. Nauczył się polegać na swoim instynkcie, zarówno instynkcie łowcy, jak i ściganej zwierzyny. Postanowił i tym razem mu zaufać.

Musi udać się do domu starca!

Odpowiedź znajdowała się gdzieś na terenie posiadłości Lucasa Herrona.

29

Zaparkował czarną limuzynę czterysta metrów od domu Herrona i ruszył poboczem, gotów skoczyć w rosnący przy szosie las, gdyby tylko usłyszał warkot zbliżającego się wozu.

Żaden się jednak nie pojawił.

Minął jeden dom, potem następny, przy każdym przyspieszając kroku i zerkając w oświetlone okna, żeby upewnić się, czy nikt go nie obserwuje.

Nikt nie obserwował.

Dotarł do skraju posiadłości Herrona i przypadł do ziemi. Chwilę nastuchiwał, po czym wolno i bezgłośnie zaczął się skradać podjazdem w kierunku domu. Budynek tonął w ciemnościach; nie było przed nim żadnych samochodów, żadnych ludzi... Żadnych śladów życia. Zwyciężyła śmierć.

Wszedł na wyłożoną płytami ścieżkę i ruszył do drzwi; z 7daleka widział na nich majaczący w mroku biały, urzędowo wyglądający pasek papieru. Kiedy podszedł bliżej i zapalił zapałkę przekonał się, że drzwi są zaplombowane z rozkazu szeryfa.

Okrzyżował dom i kiedy stanął na tarasie przypomniał sobie widok Herrona pędzącego po przyszczyżonej trawie w stronę dzikiej, imponującej ściany lasu; przypomniał sobie, jak z wprawą rozchylił gałęzie i znikł za drzewami.

Na drzwiach prowadzących na taras widniał przyklejony do szyby kolejny pasek papieru z pieczęcią szeryfa.

Jedno przestępstwo więcej, pomyślał Matlock.

Wyciągnął zza pasa pistolet i najciszej jak potrafił, stłukł kolbą jedną ze szklanych płytek w drzwiach, po czym wsunął rękę przez otwór, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Zdziwił go mrok panujący wewnątrz. Podział na ciemność i jasność bywa względny, o czym przekonał się w ciągu ostatniego tygodnia. W nocy również jest światło, do którego oczy muszą się po prostu dostosować; za dnia natomiast pewne rzeczy bywają spowite w cieniu lub we mgle. Ale mrok panujący w domu Herrona był nieprzenikniony. Matlock zapalił zapałkę i zrozumiał dlaczego.

Okna w kuchni były zasłonięte. Nie wisały w nich jednak zwykłe zasłony, lecz specjalne, opuszczane story, najwyraźniej robione na zamówienie. Wykonane z grubego materiału, przylegały szczelnie do okien; boczne krawędzie wpuszczone były w pionowe listwy zamocowane do framug dużymi, aluminiowymi klamrami. Matlock podszedł do okna nad zlewem i zapalił następną zapałkę. Materiał nie tylko był znacznie grubszy od tych, które na ogół się stosuje, ale w dodatku tak idealnie przylegał ze wszystkich stron, że światło nie miało którędy przenikać. Nikt też nie mógł zajrzeć do środka.

Pragnienie izolacji, lub jej potrzeba, było w wypadku Herrona wręcz zdumiewające. Matlockowi przyszło do głowy, że jeśli jednak okna w całym domu są tak szczelnie zasłonięte, to będzie miał łatwiejsze zadanie, niż się spodziewał.

Zapalił trzecią zapałkę i wszedł do salonu. To, co ujrzał w migoczącym płomyku, sprawiło, że stanął w pół kroku i wstrzymał oddech.

Salon był w ruinie. Książki leżały na podłodze, meble były powywracane, tapicerka rozpruta, dywany podwijane, miejscami tynk obtłuczony ze ścian. Matlock poczuł się tak jak po powrocie do własnego mieszkania po wizycie u Beesonów. Ktoś dokładnie, z dużym samozaparciem przeszukał salon Herrona.

Matlock wrócił do kuchni sprawdzić, czy zaprzątnięty oglądaniem okna nie przegapił czegoś bardziej istotnego. I rzeczywiście. Wszystkie szuflady były wyciągnięte, na półkach panował nieład. Potem dojrzał dwie latarki na dnie szafy na miotły. Jedna nie chciała się zapalić, ale druga - długa, na kilka baterii rozbłysła od razu.

Wrócił szybko do salonu i rozejrzał się w ciemnościach, usiłując zorientować się w sytuacji. Skierowawszy latarkę na okna przekonał się, że są równie szczelnie zasłonięte co te w kuchni.

Po drugiej stronie wąskiego korytarza wiodącego ku jeszcze węższym schodom zobaczył otwarte drzwi. Za nimi mieścił się gabinet Herrona, w którym - jeśli to w ogóle było możliwe - panował większy bałagan niż w salonie. Dwie szafy na akta leżały przewrócone na podłodze, w ich tylnych ściankach ziały dziury; na środku pokoju stało masywne biurko z pokrytym skórą blatem, które się ledwo trzymało. Podobnie jak w salonie, ze ścian sypał się tynk. Prawdopodobnie tam, gdzie przy obstukiwaniu rozlegał się głuchy dźwięk, sprawdzano, czy w ścianie nie ma skrytki.

Dwa małe pokoje i łazienka na górze były w identycznym stanie - dokładnie spenetrowane.

Schodząc w dół Matlock zauważył, że poodrywano nawet deski ze schodów.

Dom Lucasa Herrona przeszukali zawodowcy. Jeśli oni nic nie znaleźli, to on tym bardziej nie ma szans. Wrócił do salonu i usiadł na wybebeszonym fotelu, przygnębiony świadomością, że nic tu nie działo. Zapalił papierosa i spróbował uporządkować myśli.

Ludzie, którzy spenetrowali dom, nie znaleźli tego, czego szukali. Czy aby na pewno? Nie wiedział, ale wskazywały na to wyznania zawodowego mordercy, którego torturował na polu. Gość powiedział, że stary wszystko zapisał. Wyglądało na to, że te zapiski były równie ważne jak korsykański dokument, który tak bardzo chcieli odzyskać. I dodał: Może kłamał... Cholera, mógł kłamać! Dlaczego Herron miałby kłamać? I dlaczego zawodowy morderca, doprowadzony do granic wytrzymałości, dodał to zastrzeżenie?

Należało przyjąć, że umysł człowieka doprowadzonego do skrajnej wytrzymałości, wręcz do skrajnej szaleńczości, stara się odrzucić możliwość, którą uważa za najgorszą. Że usiłuje zdobyć się na jakiś optymizm, aby nie pogrążyć się w otchłani obłędu.

Nie... Nie znaleźli tego, na czym tak bardzo im zależało. Ale jeśli nie znaleźli mimo gruntownych poszukiwań, może to oznacza, że zapiski nie istnieją?

Ale Matlock wiedział, że istniały.

Nawet jeśli coś łączyło Herrona ze światem Nemroda, starzec nie należał do tego świata. Więzy z Nemrodem nie była mu obojętna, na pewno sprawiała mu ból. I dlatego Matlock sądził, że starzec sporządził pisemne oskarżenie. Był zbyt porządnym, zbyt uczciwym człowiekiem, żeby tego nie uczynić. Gdzieś coś musiał zostawić.

Ale gdzie?

Matlock wstał z fotela i zaczął przechadzać się po mrocznym pokoju, gasząc i zapalając latarkę - nie po to, żeby oświetlić sobie drogę, tylko nerwowo wciąż naciskał przełącznik.

Analizował kolejno każde słowo wypowiedziane przez Lucasa podczas ich pamiętnego spotkania przed czterema dniami. Znow był łowcą idącym za tropem, wietrzącym ślady... Był blisko; cholera, był tak blisko! Herron, gdy tylko otworzył drzwi, od razu domyślił się, w jakiej sprawie Matlock przybył. W jego oczach nie było zaskoczenia, zdumienia; oczekiwał tej wizyty. Matlock zresztą napomknął mu wówczas o tym, lecz starzec zbył go śmiechem twierdząc, że wszędzie doszukuje się spisków.

Ale było coś jeszcze. Zanim Herron powiedział o spiskach... W salonie. Zanim zaproponował, żeby wyszli na zewnątrz... Tylko że właściwie on nie zaproponował, lecz rozkazał... oświadczył, że wychodzą i już.

A wcześniej, przed propozycją wyjścia na taras, udał się do kuchni, po czym wrócił do salonu tak cicho, że Matlock go nie usłyszał. Wszedł przez wahadłowe drzwi, niosąc dwie pełne szklanki... a jednak nie było go słyhać! Matlock nacisnął przycisk latarki i skierował snop światła na drzwi prowadzące do kuchni. Na drewnianej posadzce nie leżało nic, żaden dywan czy chodnik, który tłumiłby kroki. Następnie ruszył przez salon do kuchni, zamknął za

sobą drzwi, po czym pchnął je łokciem w przeciwnym kierunku, tak jak powinien był to uczynić Herron w sytuacji, gdy miał obie ręce zajęte. Drzwi zaskrzypiały tak jak skrzypią stare, nie naoliwione drzwi wahadłowe. Gdy wróciły do poprzedniej pozycji, Matlock otworzył je wolno, centymetr po centymetrze...

Nie rozległo się żadne skrzypnięcie.

A zatem Lucas Herron przyrządził drinki, po czym wolno, ostrożnie pchnął drzwi, tak aby nie było go słychać. Chciał zobaczyć, co Matlock robi, a nie chciał, żeby młodszy mężczyzna zorientował się, że jest obserwowany. A potem szybko oświadczył, że wychodzą na taras.

Matlock skupił się, usiłując przywołać w pamięci dokładne słowa Herrona oraz moment, w którym je wypowiedział.

Może wyjdziemy do ogrodu. Przy tej pogodzie szkoda siedzieć w domu. Chodźmy.

Nie czekając na odpowiedź Matlocka, na jakąkolwiek reakcję z jego strony, ruszył pośpiesznie na taras. Zwykła uprzejmość wymagała, żeby poczekać na reakcję gościa, Lucas jednak okazał zadziwiający i całkiem do siebie niepodobny brak kurtuazji.

Propozycja wyjścia na powietrze brzmiała jak rozkaz. Jak rozkaz wojskowy.

Jak rozkaz oficera.

Tak, o to chodziło! Matlock skierował szybko latarkę na biureczko pod ścianą.

Zdjęcie! Zdjęcie oficera piechoty morskiej, który stoi z mapą i pistoletem maszynowym w jakiejś dżungli na niewielkiej wysepce na południowym Pacyfiku.

Trzymam tę starą fotografię na pamiątkę dni sławy i chwały. W chwili kiedy Herron wyłonił się z kuchni, Matlock przyglądał się z bliska zdjęciu! Właśnie to zaniepokoiło starca, do tego stopnia go zaniepokoiło, że natychmiast polecił, by wyszli na zewnątrz. Rozkazującym tonem, tak do niego nie pasującym!

Matlock zbliżył się do biureczka. Nieduża, osłonięta celofanem fotografia w tekturowej ramce wisiała na dawnym miejscu, przypięta pinezką do ściany tuż nad meblem. Kilka innych, większych fotografii, oprawnych w ramki i szkło, rozbito; ta jednak wisiała nie tknięta. Była tak mała, że ci, co buszowali po domu, nie zwrócili na nią uwagi.

Podważył palcem tekturową ramkę i oderwał ją od ściany. Obejrzał dokładnie zdjęcie, po czym obrócił je i zbadał krawędzie tektury.

W jasnym świetle latarki odniósł wrażenie, że jeden z górnych rogów jest lekko porysowany. Ślady paznokcia? Może. Skierował światło na blat biureczka. Leżały na nim nie zatemperowane ołówki, kartki, nożyczki. Podniósł nożyczki i wsunął koniec ostrza pod pasek tektury; przeciął go i wyjął zdjęcie z ramki.

I tak trafił na to, czego szukał.

Na odwrocie znajdował się szkic wykonany piórem wiecznym. Przedstawił prostokąt; dolny bok zaznaczony był przerywaną kreską, nad górnym zaś postawiono dwie małe strzałki, z których jedna wskazywała na północ, a druga - narysowana nad nią na wschód. Obok każdej napisana była liczba 30. Dwie trzydziestki.

Dwie.

Po obu stronach prostokąta widniały naszkicowane w dziecięcy sposób drzewa.

U góry zaś, nad liczbami, narysowane były nierówne, połączone ze sobą półkola, prawdopodobnie miały to być chmury, a pod nimi kolejne drzewa.

Nie ulegało wątpliwości, co przedstawia szkic. Była to mapa ogrodu za tarasem; trzy ciągłe linie stanowiące boki prostokąta oznaczały ściany bujnej zieleni, które z trzech stron otaczały teren.

Liczby - dwie trzydziestki - oznaczały odległość, ale nie tylko. Były współczesnymi symbolami.

Albowiem Lucas Herron, dziekan romanistyki od kilku dziesięcioleci, bezgranicznie kochał słowa i ich dziwne skojarzenia. A czy istniał bardziej odpowiedni symbol niż liczba "30", żeby wyrazić myśl, że wszystko jest skończone?

Każdy student pierwszego roku dziennikarstwa może potwierdzić, że liczba 30 napisana pod gotowym artykułem oznacza koniec tekstu. Historia Herrona dobiegła końca.

Co innego mógł napisać?

Trzymając w lewej ręce odwróconą fotografię, a w prawej ściskając latarkę, Matlock ruszył do lasu i znikł za ścianą zieleni mniej, więcej w tym miejscu, które wskazywał szkic. Liczba trzydzieści mogła oznaczać stopy, jardy, metry, kroki - ale na pewno nie centymetry lub cale.

Najpierw przeszedł trzydzieści stóp na północ, potem skręcił i przeszedł trzydzieści stóp na wschód.

Nic.

Tylko wilgotne od deszczu gęste zarośla, które czepiały się jego nóg.

Wrócił do punktu, w którym zagłębił się w las, i postanowił odmierzyć odległość w krokach i jardach zarazem, gdyż zdawał sobie sprawę, że stawianie identycznej długości kroków na tak nierównym, w dodatku gęsto porośniętym terenie może być dość trudne.

Złamał gałąź w miejscu, do którego doszedł po trzydziestu krokach, po czym ruszył dalej, aż pokonał mniej więcej trzydzieści jardów. Następnie wrócił do złamanej gałęzi i skręcił w bok.

Znów nic nie znalazł. Po trzydziestu krokach dotarł bowiem do starego, spróchniałego klonu; wokół wszystko wyglądało zupełnie normalnie. Cofnął się do złamanej gałęzi i wrócił do punktu oddalonego o trzydzieści jardów od ogrodu.

Ponownie skręcił w prawo i przedzierając się przez mokre i coraz gęstsze krzewy i zarośla, zaczął odmierzać trzydzieści jardów. Trzydzieści na północ, trzydzieści na wschód, w sumie więcej niż połowa długości boiska piłki nożnej.

Szedł coraz wolniej, co rusz ocierając się o gałęzie. Żałował, że nie ma maczety albo czegoś, czym mógłby odgarniać z drogi wilgotną roślinność. W pewnym momencie zagapił się i nie był pewien, czy odmierzył już dwadzieścia jeden czy dwadzieścia trzy jardy. Ale czy błąd tego rzędu, czy różnica dwóch jardów mogła być aż tak istotna?

Skończył odmierzanie. Znajdował się albo dwadzieścia osiem, albo trzydzieści jardów od miejsca, w którym skręcił w prawo. Jeśli Herron zostawił jakiś znak, powinien go wypatrzeć. Skierował latarkę pod nogi i zaczął ją wolno przesuwając z lewa na prawo i z powrotem.

Nic. Jedynie setki mokrych chwastów i ciemny, wilgotny grunt. Omiatając światłem ziemię, z wyteżoną uwagą posuwał się naprzód centymetr po centymetrze, co rusz się zastanawiając, czy już przypadkiem nie sprawdzał tych czy tamtych zarośli, bo wszystkie wydawały mu się jednakowe.

Coraz mniejszą miał nadzieję na to, że cokolwiek znajdzie. Mogę wrócić do początku i zacząć od nowa, pomyślał. Może starzec posłużył się inną jednostką miary; może chodziło o metry? Może o coś jeszcze innego? Może należało dokładniej obejrzeć szkic? Policzyć kreski, którymi Lucas zaznaczył dolny bok prostokąta? Dlaczego w ogóle zaznaczył go kreskami?

Przebył te dwa jardy, o które mógł się pomylić, potem jeszcze jeden.

Nic.

Myśląc, że może liczba kresek rzeczywiście coś mu podpowie, wyjął z kieszeni zdjęcie. Kiedy prostował się, żeby ulżyć obolałym plecocom - cały czas bowiem szedł nisko pochylony nad ziemią - poczuł pod stopą jakiś twardy przedmiot, który nie ustępował pod naciskiem buta. W pierwszej chwili Matlock uznał, że to ułamana gałąź albo jakiś kamień.

Wkrótce zorientował się, że to jednak coś innego. Nie widział co, gdyż zakrywała to kępka chwastów. Wyczuł jednak nogą kształt. Było to coś o równych, prostych brzegach. Na pewno dzieło ludzkich rąk, nie przyrody.

Zbliżył latarkę do kępki i przekonał się, że to wcale nie chwasty, lecz nieduży krzew z barwnymi kwiatkami. Krzew, który nie potrzebuje słońca i otwartej przestrzeni.

Tropikalny krzew, który nie rośnie w tych stronach. Zapewne został kupiony w kwiaciarni i tu posadzony.

Matlock pochylił się i odsunął na bok gałązki. Ujrzał grubą, politurowaną deskę mierzącą sześćdziesiąt na czterdzieści centymetrów. Deska spoczywała jakieś dwa, trzy centymetry w ziemi; jej powierzchnia była wypolerowana i pokryta dla ochrony tyłoma warstwami polityry, że w blasku latarki lśniła jak ze szkła.

Wepchnął palce w mokry grunt i podważył deskę. Pod spodem leżała nieco zniszczona metalowa tabliczka, prawdopodobnie mosiężna.

Majorowi Lucasowi N. Herronowi

Wdzięczni towarzysze broni z Kompanii Bravo Czternasty Batalion

Pierwsza Dywizja Piechoty Morskiej

Wyspy Salomona - Południowy Pacyfik

Maj 1943

Patrząc w blasku latarki na wbitą w ziemię tabliczkę, Matlock miał wrażenie, że patrzy na płytę nagrobną.

Odgarnął ziemię, tworząc wokół tabliczki niewielki rowek. Po czym ukląkł, podniósł ją ostrożnie i odłożył na bok.

Znalazł to, czego szukał.

W ziemi zakopany był metalowy pojemnik - taki sam, jakich używa się w bibliotekach i archiwach do przechowywania cennych rękopisów. Hermetyczny, wodoszczelny, próżniowo zamykany, mogący przetrwać wieki.

Metalowa trumna, pomyślał Matlock.

Wsunął mokre, zmarznięte palce pod umocowaną do pojemnika klamrę i pociągnął do góry. Szarpnął raz i drugi i w końcu udało mu się go otworzyć. Rozległ się syk powietrza, tak jak po otwarciu szczelnie zapakowanej puszki kawy. Pokrywka ustąpiła, ukazując powleczone gumą krawędzie. W środku leżał owinięty w ceratę pakiet w kształcie grubego notesu.

Znalazł oskarżenie spisane przez Herrona.

Notes był gruby - liczył ponad trzysta zapisanych atramentem stron - i miał charakter pamiętnika. Poszczególne wpisy były różnej długości. Herron nie prowadził notatek regularnie; czasem zapisywał swoje uwagi dzień po dniu, czasem tygodniami, a nawet miesiącami nie pisał w notesie ani słowa. Styl też nie był jednolity: niektóre partie były jasne i zrozumiałe, inne chaotyczne, bezładne i tak nabazgrane, że Matlock nie potrafił odczytać całych zdań.

Pamiętnik Lucasa Herrona był krzykiem bólu, zapisem męki. Wyznaniem człowieka pozbawionego nadziei.

Siedząc na zimnej, mokrej ziemi, zahipnotyzowany słowami Herrona, Matlock zrozumiał, dlaczego profesor zamieszkał na uboczu, na skraju lasu, dlaczego odseparował się od ludzi, dlaczego tak szczelnie zasłaniał okna.

Od ćwierć wieku Lucas Herron był narkomanem. Bez narkotyków jego ból był nie do zniesienia. Jedyne, co mogli zrobić lekarze, to skazać starca na spędzenie reszty życia na oddziale zamkniętym w szpitalu dla kombatantów.

Żeby uniknąć tej śmierci za życia, Lucas Herron wybrał piekło.

Major Lucas Nathaniel Herron, przydzielony do wojsk desantowych - Bataliony Szturmowe Amerykańskiej Floty Wojennej na Pacyfiku - dowodził kolejno różnymi kompaniami Czternastego Batalionu Pierwszej Dywizji Piechoty Morskiej w czasie szturmów sił amerykańskich na Karoliny i Wyspy Salomona znajdujące się rękach Japończyków.

Z maleńkiej wysepki Peleliu z grupy wysp Palau w Karolinach zabrano majora na noszach; wcześniej - pod nieprzyjacielskim ostrzałem - zdołał przeprowadzić przez dżungłę dwie kompanie żołnierzy. Nikt nie sądził, że major przeżyje.

Japońska kula utkwiała w kręgach szyjnych, tuż przy samym rdzeniu. Wszyscy byli przekonani, że Herron umrze. Lekarze wojskowi, najpierw w Brisbane, potem w San Diego i wreszcie w Bethesda w stanie Maryland uznali, że nie są w stanie go operować. Bali się, że pacjent nie przeżyje operacji, a jeśli nawet przeżyje, to prawdopodobnie będzie całkowicie sparaliżowany. Żaden chirurg nie chciał podjąć się zabiegu.

Zdecydowali się na środki uśmierzające, żeby zmniejszyć jego cierpienie. Major przeleżał w szpitalu w Maryland ponad dwa lata.

Częściowy powrót do zdrowia trwał długo i był bolesny. Najpierw kołnierz ortopedyczny i proszki przeciwbólowe; potem kołnierz, stalowy aparat do chodzenia i proszki. W końcu kołnierz, kule i znów proszki. Lucas Herron wrócił do świata żywych - ale nie mógł obyć się bez proszków. A kiedy w nocy ból stawał się nie do wytrzymania - bez zastrzyku morfiny.

Istniały setki, może tysiące mężczyzn takich jak Lucas Herron, ale niewielu posiadało tyle zalet co on - zalet w oczach tych, którzy go wyszukali. Był prawdziwym bohaterem wojny na Pacyfiku, znakomitym uczonym, człowiekiem poza wszelkimi podejrzeniami.

Był wprost idealny. I idealnie nadawał się do ich celów. Z jednej strony, nie mógł żyć i funkcjonować bez narkotyków - pigułek i coraz częstszych zastrzyków - które przynosiły mu ulgę. Z drugiej strony, gdyby lekarze zdawali sobie sprawę ze stopnia jego uzależnienia, natychmiast wzięliby go z powrotem do szpitala.

Sytuację, w jakiej się znalazł, unaoczniono mu stopniowo i subtelnie. Stopniowo - bo ci, którzy nawiązali z nim kontakt, z początku rzadko prosili go o jakąkolwiek przysługę, czasem tylko musiał się spotkać z kimś w Bostonie albo dostarczyć pieniądze do Nowego Jorku. Subtelnie - bo kiedy Herrona nurtowały wątpliwości, przekonywali go, że to co robią jest zupełnie nieszkodliwe. Nieszkodliwe, lecz konieczne.

Z biegiem lat stał się dla nich ogromnie cenny, ale oni też byli mu potrzebni. Spotkania w Bostonie i wyjazdy do Nowego Jorku powtarzały się coraz częściej i były coraz bardziej konieczne. Potem zaczęto wysyłać Lucasa w dalsze trasy. W czasie zimowych ferii, przerwy międzysemestralnej, letnich wakacji jeździł do Kanady, Meksyku, Francji oraz do krajów nad Morzem Śródziemnym.

Został kurierem.

W jego udreżonym mózgu tkwiła pamięć o tym, że inaczej będzie musiał wrócić do szpitala. Na zawsze.

Manipulowali nim genialnie. Nie widział efektów swojej działalności, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wielką i straszną w skutkach siatkę pomaga zbudować. Kiedy wreszcie przejrzał na oczy, było za późno. Siatka istniała.

Nemrod obrósł w potęgę.

22 kwietnia 1951. W przerwie międzysemestralnej wysyłają mnie znów do Meksyku. Jak zwykle zatrzymam się na uniwersytecie, a w drodze powrotnej w Baylor. Jak na ironię, kwesor Carlyle oznajmił, że chętnie zwróci mi koszty tego "wyjazdu naukowego". Odpowiedziałem, że dziękuję, ale renta inwalidzka wystarczy mi na podobne wydatki. Może powinienem był się zgodzić...

13 czerwca 1956. Na trzy tygodnie do Lizbony. Jak mnie powiadomiono, mam płynąć niedużym statkiem. Przez Azory, Kubę (jeden bajzel!), Panamę. Mam wpaść na Sorbonę, potem uczelnie w Toledo i Madrycie. Czuję się jak akademicki pasikonik! Nie podobają mi się te metody - bo jak mogłyby się podobać? - ale to nie ja odpowiadam za archaiczne przepisy. Przecież tylu osobom można pomóc. I ta pomoc jest konieczna! Rozmawiałem przez telefon z dziesiątkami ludzi, z którymi mnie skontaktowali. Ci ludzie bez naszej pomocy nie mieliby siły żyć... Mimo wszystko, martwię się... Ale co mogę zrobić? Gdybym się nawet wycofał, znajdą się inni na moje miejsce...

24 lutego 1957. W środku cały dygoczę, ale próbuję tego nie okazywać. Mam nadzieję, że mi się uda. Otóż powiedziano mi, że w trakcie wyjazdów powinienem się przedstawiać jako wysłannik "Nemroda"! Twierdzą, że to imię nic nie znaczy, że jest szyfrem, który będzie otwierał mi drzwi. Jakie to głupie. Wiadomości, które dochodziły do nas z kwatery głównej Mac Arthura na południowym Pacyfiku, też były zaszyfrowane. Wszystko szyfrowali, ale nie znali żadnych faktów... Ból staje się coraz większy, lekarze uprzedzili mnie, że tak będzie. Ale... "Nemrod" jest bardzo uczynny... ja również...

10 maja 1957. Byli na mnie wściekli! Przez dwa dni nie dawali mi nic, ani jednej dawki - myślałem, że zwariuję! Wsiadłem w samochód i ruszyłem w stronę szpitala dla kombatantów w Hartford, ale zatrzymali mnie na szosie. Jechali wozem policyjnym z Carlyle - powinienem był się domyślić, że kontrolują tutejszą policję! Miałem do wyboru: kompromis albo oddział zamknięty... A jednak! Jadę do Kanady odebrać licznika z północnej Afryki... Muszę to zrobić! Co rusz ktoś do mnie dzwoni. Dziś wieczorem zadzwonił żołnierz piechoty - 27 dywizja, inwalida z Naha, obecnie zamieszkały w East Orange w New Jersey - i powiedział, że on i sześciu innych liczy na mnie! Iluż nas jest?! Dlaczego? Na miłość boską, dlaczego się nami pogardza? Potrafimy normalnie funkcjonować, tyle że potrzebujemy pomocy, a nas się chce umieszczać na oddziałach zamkniętych!

19 sierpnia 1960. Dałem im jasno do zrozumienia, co o tym myślę! Posuwają się za daleko... "Nemrod" to nie tylko hasło otwierające drzwi, to także pseudonim konkretnego człowieka! A raczej - bo osoba może się zmieniać - określenie stanowiska, które obecnie zajmuje. Nie pomagają już takim ludziom jak ja - no, może pomagają, ale zataczają coraz szersze kręgi! Wciągają innych, kuszą, a w grę wchodzi ogromna forsa!

20 sierpnia 1960. Teraz mi grożą. Mówią, że jak skończy mi się zapas, więcej nie dostanę... A niech mi grożą! Mam dość na tydzień, a jeśli los będzie łaskawy, to może nawet na półtora... Szkoda, że nie lubię alkoholu; gdybym przynajmniej po nim nie wymiotował...

28 sierpnia 1960. Nogi trzęsły mi się jak galareta, ale poszedłem na komisariat policji w Carlyle. Nie byłem w stanie rozumować logicznie. Chciałem mówić z komendantem, ale okazało się, że pojechał do domu, bo było już po piątej. Kiedy powiedziałem, że mam ważne informacje na temat narkotyków, komendant zjawił się w ciągu dziesięciu minut... Nie panowałem nad sobą, nad swoim ciałem... zeszczalałem się w spodnie. Komendant wprowadził mnie do niedużego pomieszczenia, wyjął strzykawkę i sam zaaplikował mi dawkę. On też pracuje dla Nemroda!

7 października 1965. Aktualny Nemrod jest ze mnie niezadowolony. Moje stosunki z poprzednimi dwoma, których poznałem, zawsze układały się poprawnie, ale ten, jest bardziej nieustępliwy i znacznie więcej ode mnie wymaga. Oświadczyłem mu, podobnie jak jego poprzednikom, że za nic w świecie nie tknę swoich studentów. Przyjął to do wiadomości, ale zarzucił mi, że pajacuję na wykładach, że nie jestem dość surowy. Nie zależy mu na tym, abym znajdował mu klientów - wcale tego ode mnie nie żąda - ale powinienem głosić, no, bardziej konserwatywne poglądy... Dziwne. Nazywa się Matthew Orton, pracuje w biurze zastępcy gubernatora w Hartford. Ale jest Nemrodem. Więc będę mu posłuszny...

14 listopada 1967. Bóle krzyża stają się potworne - lekarze mówili, że będzie coraz gorzej, ale nie wyobrażałem sobie, że aż tak! Po czterdziestu minutach muszę przerywać wykład i wychodzić! Od lat zadaję sobie pytanie, czy warto tak żyć? Chyba warto, bo inaczej nie ciągnąłbym tego wszystkiego... A może jestem zbyt wielkim egoistą - lub zbyt wielkim tchórzem - żeby odebrać sobie życie? Dziś wieczorem mam spotkanie z Nemrodem. Za tydzień jest Święto Dziękczynienia - ciekawe, gdzie mnie wyślą...

27 stycznia 1970. To się musi wreszcie skończyć. Jak to pięknie ujął C. Fry, "anielska truskawka, lśniąca na swej grządce" musi się w końcu obrócić i pokazać zabłocony spód. Nie mam już siły, Nemrod zbyt wielu zaraził, za daleko dotarł... Odbiorę sobie życie... w możliwie jak najmniej bolesny sposób... za dużo, już wycierpiałem...

28 stycznia 1970. Próbowalem się zabić! Nie potrafię! Przykładam pistolet, przykładam nóż, ale nie mogę! Czy naprawdę środki, które biorę, tak mnie zniszczyły, tak osłabiły moją wolę, że nie umiem uczynić tego, czego pragnę najbardziej...? Zabije mnie Nemrod. Wiem o tym, a on wie jeszcze lepiej ode mnie.

29 stycznia 1970. Nemrodem jest teraz Arthur Latona! Nie do wiary! Ten sam Arthur Latona, który wybudował osiedle tanich domków jednorodzinnych w Mount Holly! W każdym razie, wydał mi polecenie, którego nie mogę spełnić. Powiedziałem mu, że się nie zgadzam. Jestem dla nich zbyt cenny, żeby może po prostu skreślił; to też mu powiedziałem... Chciał, żebym zawiózł masę pieniędzy do Toros Daglari w Turcji! Boże, Boże, dlaczego ja jeszcze żyję?

18 kwietnia 1971. Co za zdumiewający, dziwny świat. Żeby żyć, istnieć, oddychać, robi się różne rzeczy, których się coraz bardziej nie cierpi. Wniosek jest przerażający... zło można usprawiedliwić, uzasadnić przed samym sobą... I nagle dzieje się coś, co zawiesza - a przynajmniej odsuwa - konieczność podejmowania decyzji... Ból przemieścił się z szyi i krzyża na boki. Wiedziałem, że to musi być coś innego. Coś nowego... Poszedłem do lekarza Nemroda, do którego każą mi chodzić. Straciłem na wadze, organizm mam wycieńczony. Lekarz przejął się, jutro biorą mnie do prywatnego szpitala w Southbury. Na obserwację... Wiem, że uczynią wszystko, żeby mnie ratować. Planują dla mnie jakieś bardzo ważne wyjazdy. Nemrod mówi, że będę w podróży przez większość lata... Jeśli ja nie pojedę, pojedzie ktoś inny. Ból jest nieznośny.

22 maja 1971. Stary, znużony żołnierz wrócił do domu. Ten dom jest moim zbawieniem! Wycięli mi jedną nerkę. Lekarz mówi, że nie wiadomo, w jakim stanie jest druga. Ale ja wiem. Umieram... Boże, jak się cieszę! Nie będzie więcej podróży, więcej grózb... Nemrod nie może mi nic zrobić. Będą starali się utrzymać mnie przy życiu jak

najdłużej. Nie mają wyboru! Wspomniałem lekarzowi, że od lat prowadzę zapiski. Ze strachu zabrakło mu słów, tylko na mnie patrzył! Jeszcze nie widziałem tak przerażonego człowieka...

23 maja 1971. Rano zajął do mnie Latona - Nemrod. Zanim zdążył otworzyć usta, oznajmiłem mu, że jestem umierający. Że teraz, kiedy zapada decyzja - nie moja - że mam zejść z tego świata, nic mnie już nie obchodzi. Powiedziałem mu, że jestem pogodzony z myślą o śmierci i że nawet odczuwam ulgę; powiedziałem też, że wcześniej próbowałem odebrać sobie życie, ale nie potrafiłem. Nemrod spytał mnie o to, "co podobno mówiłem lekarzowi". Słowo "notatki" nie chciało mu przejść przez gardło! Strach, który go ogarnął, zalegał w salonie niby gruba warstwa mgły... Odparłem spokojnym, stanowczym tonem, że otrzyma wszystkie moje zapiski pod warunkiem, że postarają mi się ułatwić te parę ostatnich miesięcy życia. Był wściekły, ale bezsilny. Co można zrobić starcowi, który i tak cierpi katusze, a poza tym wie, że umrze? Jakże można przytoczyć argumenty?

14 sierpnia 1971. Nemrod nie żyje! Latona umarł na atak serca! Odszedł przede mną, czyż to nie ironia losu? Ale wszystko toczy się bez zmian. Co tydzień dostaję swój zapas i co tydzień wystraszony posłaniec dopytuje, gdzie są moje zapiski. Kiedy próbują mi grozić, przypominam im, że dałem słowo Nemrodowi, iż przed śmiercią oddam notatki. Dlaczego miałbym nie dotrzymać obietnicy? Wtedy przestają nalegać, ale strach wciąż czai się w ich oczach... Wkrótce zostanie wybrany nowy Nemrod... Powiedziałem, że nie chcę wiedzieć, jak się nazywa; naprawdę nie chcę!

20 września 1971. Początek nowego roku akademickiego. To będzie mój ostatni rok, wiem o tym, ale może dam radę zrobić coś pożytecznego... Śmierć Nemroda dodała mi odwagi. A może własna zbliżająca się śmierć? Bóg wie, że nie jestem w stanie naprawić zła, które wyrządziłem, ale trzeba spróbować! Znalazłem kilka osób, którym narkotyki zniszczyły życie, i niosę im pomoc... Rozmawiam z nimi, udzielam rad - świadomość tego, że ja również przez to wszystko przeszedłem, dodaje im otuchy. Na początku zawsze przeżywają szok. Jak to? Herron? To niewiarygodne! Największa znakomitość Carlyle? Bóle i drętwienie są nie do wytrzymania. Może nie doczekam...

23 grudnia 1971. Za dwa dni moje ostatnie Boże Narodzenie. Tym, którzy zapraszali mnie do siebie na święta, mówiłem, że jadę do Nowego Jorku. Nigdzie nie jadę, oczywiście. Spędzę święta w domu... Trochę się niepokoję. Posłańcy twierdzą, że nowy Nemrod jest znacznie bardziej surowy i władczy od poprzednich. Że jest bezwzględny. Wydaje rozkazy mordowania z równą łatwością, jak jego poprzednicy zwykłe polecenia. Czyżby specjalnie tak mówili, żeby mnie wystraszyć? Nie boję się!

18 lutego 1972. Lekarz powiedział, że zwiększa mi dawkę, ale kazał uważać, żebym nie przedawkował. On też mówił o nowym Nemrodzie. Martwi się - z jego słów wręcz wynikało, że ma go za szaleńca. Oświadczyłem mu, że to mnie nie interesuje. Że nie mam z tym już nic wspólnego.

26 lutego 1972. Nie do wiary! Nemrod to potwór! Naprawdę jest szalony! Zażądał, aby wszyscy, którzy pracują tu ponad trzy lata, wynieśli się, wyjechali za granicę! Jeśli ktoś odmówi, to zginie! Lekarz wyjeżdża w przyszłym tygodniu. Zostawia żonę, rodzinę, pacjentów... Żona Latony została zamordowana. Niby zginęła w wypadku samochodowym, ale to nie był żaden wypadek! Jednego z posłańców, Pollizziego, zastrzelono w New Haven. Drugi, Capablo, przedawkował i zmarł, ale podobno ktoś inny zrobił mu zastrzyk!

5 kwietnia 1972. Dostałem wiadomość od Nemroda, że jeśli nie oddam zapisków jego posłańcom, przestanę otrzymywać środki. Mój dom będzie obserwowany dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeśli gdziekolwiek wyjdę, będą mnie śledzić. Uniemożliwią mi udanie się do lekarza. Twierdzą, że cierpienie spowodowane rakiem i głodem narkotycznym będzie tak potworne, że mnie wykończy. Nemrod jednak nie wie, że przed wyjazdem, lekarz zaopatrzył mnie w taką ilość środków, że wystarczy mi na kilka miesięcy. Nie wierzył, że

będę tak długo żył, ale... Po raz pierwszy w tym swoim biednym, okropnym życiu rozmawiam z nimi z pozycji siły. Zbliżająca się śmierć dodaje mi odwagi...

10 kwietnia 1972. Nemrod wpadł w histerię. Grozi, że wyjawি o mnie całą prawdę - ale to mnie nie wzrusza. Powiedziałem jego posłańcom, żeby mu to powtórzyli. Szantażuje mnie, że zniszczy uniwersytet w Carlyle, ale gdyby to zrobił, zniszczyłby również siebie. Krąży pogłoska, że chce zwołać konferencję... Ważne spotkanie ważnych ludzi. Mój dom jest pod ciągłą obserwacją, tak twierdzą posłańcy. Obserwuje mnie, oczywiście, miejscowa policja. Prywatna armia Nemroda!

22 kwietnia 1972. Nemrod wygrał! To potworne, ale wygrał! Przesłał dwa wycinki z gazety. W obu wypadkach studenci zginęli na skutek przedawkowania. Najpierw dziewczyna z Cambridge, potem chłopak z Trinity. Nemrod oświadczył, że jeśli nie oddam zapisków, lista będzie się powiększać z tygodnia na tydzień. Morduje zakładników! Trzeba go powstrzymać! Ale jak? Mam pewien plan, ale nie wiem, czy się uda. Zamierzam sporządzić dodatkowe zapiski, a te stare zostawić sobie. Nie będzie łatwo, bo chwilami ręce tak bardzo mi drżą, że nie mogę napisać ani słowa. Czy podołam? Muszę. Powiedziałem, posłańcom, że swoje zapiski będę przekazywał stopniowo, po kilka stron. Dla własnego bezpieczeństwa. Mam nadzieję, że Nemrod się na to zgodzi.

24 kwietnia 1972. Nemrod, choć z gruntu zły, jest realistą. Wie, że nie może mi nic zrobić! Obaj się spieszymy; ostateczny termin upływa wraz z moją śmiercią. Sytuacja patowa! Raz piszę na maszynie, kiedy indziej ręcznie, używając różnych piór i różnych gatunków papieru. Zabójstwa wstrzymano, ale zaczną się, jeśli nie oddam w terminie kolejnej porcji notatek! Życie zakładników Nemroda jest w moich rękach! Tylko ja mogę zapobiec egzekucjom!

27 kwietnia 1972. Dzieje się coś dziwnego! Młody Beeson zadzwonił do naszego człowieka w rektoracie. Był u niego Jim Matlock, Beeson go podejrzewa. Matlock zadawał mu pytania, zalecał się do jego żony... Nazwisko Matlocka nie figuruje na liście biorących. Nie należy do Nemroda, nie jest po żadnej stronie. Nigdy nic nie kupował, nic nie sprzedawał... Wozy policji z Carlyle bez przerwy warują pod moim domem. Armia Nemroda została zaalarmowana. O co chodzi?

27 kwietnia 1972, ciąg dalszy. Przyszli dwaj posłańcy; to, co powiedzieli, jest tak niesamowite, że nie mogę tego zapisać... Nigdy nie pytałem o nazwisko Nemroda, nie chciałem wiedzieć, kto nim został.

Ale na wszystkich padł blady strach, dzieje się coś, nad czym nawet Nemrod nie panuje. I posłańcy zdradzili mi jego tożsamość... Kłamią! Nie chcę, nie mogę w to uwierzyć! Jeśli to prawda, jesteśmy w piekle!

Matlock popatrzył bezradnie na ostatnią notatkę. Pismo było ledwo czytelne, większość słów zlewała się ze sobą, jakby piszący tak bardzo się spieszył, że nie chciał ani na moment oderwać ołówka od papieru.

28 kwietnia. Przed chwilą był u mnie Matlock. On wie! Inni też wiedzą! Mówi, że sprawą zajmują się agenci federalni... A więc koniec! Niestety, oni sobie nawet nie wyobrażają, co się stanie - rzeź, morderstwa, egzekucje... Tak właśnie Nemrod zareaguje. Ile będzie cierpienia, ile bólu... masowe zabójstwa... Wszystko przez jakiegoś tam wykładowcę literatury elżbietańskiej... Dzwonił posłaniec. Sam Nemrod wybiera się do mnie. Ostateczna konfrontacja. Wkrótce poznam prawdę, będę wiedział, kim jest... Jeśli tą osobą, o której mi mówiono, postaram się, żeby te zapiski trafiły do wiadomości publicznej. Teraz ja mogę grozić... Ale to już koniec. Ból też niedługo się skończy... Tyle się już nacierpiałem... Kiedy przekonam się, kim jest Nemrod, zapiszę jego nazwisko...

Matlock zamknął notatnik. Co powiedziała Jeannie? Że mają w swoich rękach sądy, policję, lekarzy. A Alan Pace dodał, że również administracje uniwersytetów na całym północnowschodnim wybrzeżu. Wszystko było pod ich kontrolą: zatrudnianie i zwalnianie

wykładowców, programy nauczania, fundusze, jakie uczelnie dostają na swoje utrzymanie, dotacje...

Ale Matlock miał w ręku oskarżenie Herrona.

Dostatecznie obciążający dowód, żeby powstrzymać Nemroda - kimkolwiek był. I nie dopuścić do rzezi i egzekucji.

Musiał się tylko porozumieć się z Jasonem Greenbergiem.

Sam.

31

Z owiniętym w ceratę pakunkiem Matlock ruszył na piechotę do Carlyle; szedł bocznymi drogami, na których w nocy nie było prawie żadnego ruchu. Bał się jechać czarną limuzyną; to było zbyt niebezpieczne. Człowiek, którego zostawił na polu, zapewne już oprzytomniał i zdążył zawiadomić Nemroda. Prawdopodobnie ogłoszono alarm i niewidoczne armie poszukiwały teraz Matlocka. Musiał koniecznie porozumieć się z Greenbergiem. Jason Greenberg powie mu, co ma robić.

Koszulę miał zachlapaną krwią, spodnie i marynarkę zabłocone. Wyglądał nie lepiej niż obdarci bywalcy "Bill's Bar & Grill" przy dworcu towarowym. Dochodziła druga trzydzieści, lecz tego typu knajpy bywały czynne niemal do rana. Już dawno zniesiono purytańskie prawa o wczesnym zamykaniu lokali z wyszynkiem. Dotarł do szosy prowadzącej na uniwersytet i skręcił w dół, w stronę dworca:

Otrzeptał nieco z błota wilgotne ubranie i zapiął marynarkę, żeby zakryć krwawe plamy na koszuli. Wszedł do baru. Nad gośćmi w wymiętych ubraniach unosiły się kłęby dymu z tanich papierosów; z szafy grającej płynęła jakaś słowacka melodia; kilku facetów dyskutowało podniesionymi głosami przy mocno sfatygowanym stole do bilarda. Matlock wiedział, że nie odstaje od reszty. Mógł tu chwilę odpocząć.

Usiadł przy jednym ze stolików na końcu sali.

- Co, u licha, się panu stało?

Pytanie zadał barman, ten sam podejrzliwy barman, którego Matlockowi udało się przekonać do siebie przed paroma dniami. A może raczej latami, przed dziesiątkami lat.

- Złapała mnie burza. Przewróciłem się kilka razy. Takie są skutki picia podłej whisky... Ma pan coś do jedzenia?

- Kanapki z serem. Bo tych z wędliną nie polecam. Ale chleb jest dość czerstwy.

- Nie szkodzi. Niech pan mi poda ze dwie kanapki. I szklankę piwa, dobrze?

- Oczywiście, oczywiście... Ale na pewno chce pan tutaj jeść? No, bo wie pan, od razu można poznać, że nie stołuje się pan w takich mordowniach, rozumie pan, co mam na myśli?

- Rozumiem... ale jestem głodny.

- Pańskie ryzyko. - barman ruszył znużonym krokiem z powrotem do kontuaru.

Matlock znalazł kartkę z telefonem Greenberga i podszedł do cuchnącego automatu na ścianie. Wrzucił monetę i zaczął kręcić.

- Bardzo mi przykro - odezwał się nagle głos telefonistki z centrali w Carlyle - ale numer został skasowany. Jeśli ma pan inny numer do tej samej osoby, chętnie pana połączę.

- Skasowany? To niemożliwe! Niech pani spróbuje jeszcze raz!

Spróbowała, ale rezultat był identyczny. Kierownik urzędu telefonicznego w Wheeling w Zachodniej Wirginii poinformował ją, że z panem Greenbergiem można się skontaktować poprzez jego biuro w Waszyngtonie. Nazwy biura nie wymienił, jakby wychodząc z założenia, że osoby pragnące rozmawiać z Greenbergiem wiedzą, o jakie biuro chodzi.

- Ale proszę uprzedzić dzwoniącego, że pan Greenberg będzie osiągalny w Waszyngtonie dopiero od dziewiątej rano - dodał.

Matlock zaczął się intensywnie zastanawiać. Czy warto dzwonić do Waszyngtonu, do działu walki z narkotykami w departamencie sprawiedliwości? Czy ma dość zaufania do pracujących tam ludzi? Czy chcąc zyskać na czasie, nie dadzą znać swoim ludziom w Hartford, żeby go zwinęli? Greenberg powiedział mu bez ogródek, że nie ufa hartfordzkim agentom.

O wiele lepiej rozumiał teraz zasadność podejrzeń Greenberga. Skoro policja w Carlyle jest na usługach Nemroda, inni też mogą być.

Nie, nie będzie dzwonił do Waszyngtonu. Zatelefonuje do Adriana. Rektor uniwersytetu był jego ostatnią nadzieją. Wykręcił numer domowy Sealfonta.

- James, Bogu dzięki! Nic ci nie jest? Gdzieś ty, u diabła, się podziewał?!

- Byłem w różnych dziwnych miejscach, o których istnieniu dotąd nie wiedziałem. Nawet nie sądziłem, że istnieją.

- Ale nic ci nie jest? To najważniejsze! Nic ci nie jest?

- Nie, wszystko w porządku. I mam co trzeba. Gotowe oskarżenie. Herron wszystko spisał. Przez dwadzieścia trzy lata prowadził notatki.

- Więc jednak miał z tym coś wspólnego?

- Od samego początku.

- Biedny, chory człowiek... Nic nie rozumiem. Ale to nieważne. Teraz wszystkim zajmą się odpowiednie władze. Gdzie jesteś? Wyślę po ciebie wóz... Albo nie, sam przyjadę. Tak strasznie martwiliśmy się o ciebie. Jestem w stałym kontakcie z pracownikami departamentu sprawiedliwości.

- Wiesz co? - powiedział szybko Matlock. - Nie przyjeżdżaj po mnie. Sam do ciebie przyjadę. Tak będzie bezpieczniej, bo wszyscy znają twój wóz. A ja jestem poszukiwany. Poproszę kogoś, żeby zamówił mi taksówkę. Chciałem się tylko upewnić, czy jesteś w domu.

- Jestem. Przyjeżdżaj. Kamień spadł mi z serca, Jim. Aha, zadzwonię do Kressela. Powinien usłyszeć to, co masz do powiedzenia.

- Zgoda. No to wkrótce będę.

Wrócił do stolika i wziął się za jedzenie niezbyt apetycznie wyglądającej kanapki z serem. Zdażył wypić pół piwa, kiedy nagle rozległy się krótkie, świdrujące piski elektronika. Sięgnął do kieszeni wilgotnej marynarki, wyjął urządzenie i wyłączył sygnał. Myśląc tylko o tym, żeby jak najprędzej połączyć się z numerem 555-68-68, zerwał się z krzesła i pobiegł do aparatu. Ręka mu drżała, kiedy wrzucał monetę i wykręcał numer.

A gdy usłyszał nagraną wiadomość, poczuł się tak, jakby ktoś zdzielił go po twarzy.

- Telcar trzy-zero skasowany.

Po tych słowach zaległa cisza. Blackstone uprzedził go, że w momencie zerwania umowy, na taśmie zostanie nagrane to jedno zdanie, wypowiedziane tylko raz. Na linii nie było nikogo, z kim mógłby porozmawiać, do kogo mógłby się zwrócić. Nikogo.

To niemożliwe! Nie pozwoli, żeby tak po prostu umyli ręce! Jeśli Blackstone zrywa umowę, powinien mu przynajmniej powiedzieć dlaczego! Przecież on, Matlock, musi wiedzieć, czy Pat nic nie grozi!

Po kilku minutach, kiedy posunął się do gróźb, połączono go z samym Blackstone'em.

- Nie mamy o czym rozmawiać! - oświadczył gniewnie senny głos. - Powiedziałem panu jasno, że właśnie tak postąpimy! I jeśli uda mi się namierzyć skąd pan dzwoni, natychmiast zawiadomię policję!

- Niech pan nie straszy! Tyle panu zapłaciłem, że nie powinien pan wycinać mi takich numerów! Dlaczego rezygnujecie? Mam prawo wiedzieć!

- Bo śmierdzisz, Matlock! Śmierdzisz jak zdechły szczur!

- To żaden argument! Takie gadanie nic nie znaczy!

- Więc powiem ci, o co chodzi. Jest nakaz aresztowania ciebie, wydany przez sąd.

- Po co, do cholery? Chcą mi zapewnić ochronę? Żeby nic mi się nie stało?

- Nie, Matlock! Jesteś podejrzany o morderstwo! O rozprowadzanie narkotyków! O pomaganie znanym handlarzom narkotyków! Przeszedłeś na drugą stronę! Śmierdzisz i tyle! Z takimi jak ty nie chcę mieć nic do czynienia.

Matlock oniemiał. Morderstwo? Rozprowadzanie narkotyków? Na Boga, o czym Blackstone mówił?!

- Nie wiem, co ci powiedziano, ale to wszystko bzdury! Łgarstwa! Ryzykowałem życie! Rozumiesz? Ryzykowałem życie po to żeby...

- Gadać to ty umiesz - przerwał mu Blackstone - ale zostawiłeś, bratku, ślady! Krwiożerczy z ciebie sukinsyn! Na polu pod Carlyle znaleziono faceta z poderżniętym gardłem. Po dziesięciu minutach agenci rządowi znali już właściciela białego kombi!

- Nie zabiłem tego gościa! Przysięgam na Boga, że go nie zabiłem!

- No jasne! I pewnie nigdy na oczy nie widziałeś faceta, któremu pod wyciągiem odstrzeliłeś pół głowy, co? Tylko że strażnik na parkingu i dwóch gości widziało cię na miejscu zbrodni! W dodatku jesteś głupi. Nawet nie wyjąłeś kwitka z parkingu zza wycieraczki!

- Poczekaj, to nie tak! To szaleństwo! Ten facet pod wyciągiem chciał się tam ze mną spotkać. I próbował mnie zabić!

- Opowiesz tę bajeczkę swojemu prawnikowi. Mnie poinformowali o wszystkim ludzie, którym ufam - agenci departamentu sprawiedliwości. Zażądałem tego. Mam dobrą reputację... Jedno trzeba ci przyznać. Tanio to ty się nie sprzedałeś! Ponad sześćdziesiąt tysięcy dolców na koncie. Tak, Matlock, śmierdzisz jak zdechły szczur!

Matlock był tak zaskoczony, że nie potrafił wydobyć głosu. Kiedy wreszcie się odezwał, mówił szeptem, jakby brakowało mu tchu.

- Posłuchaj. Musisz mnie wysłuchać. To, co mówisz... wszystko to mogę wytłumaczyć. Poza tym człowiekiem na polu. Tego nie rozumiem. Ale nieważne, czy mi wierzysz czy nie. To mnie nie obchodzi. Mam w ręku dowody, jakich potrzebuję... Obchodzi mnie tylko dziewczyna! Nie zostawiajcie jej! Pilnujcie jej! Będę dalej płacił za obstawę!

- Chyba nie wyraziłem się dość jasno, Matlock. Nasza umowa uległa zerwaniu! Telcar trzy-zero został skasowany!

- A co z dziewczyną?

- Nie jesteśmy ludźmi nieodpowiedzialnymi - odparł z goryczą Blackstone. - Nic jej nie grozi. Znajduje się pod ochroną policji z Carlyle.

W barze podniosła się wrzawa. Właściciel zamykał interes i większość klientów miała mu to za złe; nad zalany piwem, brudnym kontuarem fruwały przekleństwa. Bardziej spokojni lub bardziej pijani bywalcy ruszyli chwiejnym krokiem w stronę wyjścia.

Matlock stał jak sparaliżowany przy automacie. Awantura przy barze osiągnęła szczyt, lecz on nic nie słyszał, a jedyne co widział to jakieś zamazane kształty. Zbierało mu się na mdłości; przycisnął do brzucha dłoń, w której trzymał owinięty w pergamin notes Lucasa Herrona. Tak, czuł, że zaraz zwymiotuje, jak wtedy przy trupie na zboczu East Gorge.

Ale nie miał na to czasu! Pat znajdowała się w rękach prywatnej armii Nemroda. Musiał wziąć się do działania. Od razu. I dać z siebie absolutnie wszystko, bo druga okazja już się nie nadarzy.

Najstraszniejsze było jednak to, że nie wiedział, co robić, od czego zacząć.

- Co tam, proszę pana? Kanapki zaszkoziły?

- Co?

- Ma pan taką minę, jakby chciał puścić pawia.

- Co...? Nie, nie. - Dopiero w tym momencie Matlock spostrzegł, że bar już całkiem opustoszał.

Notes będzie okupem! Podjął decyzję: nie odda go papierowym ludziom z Waszyngtonu! Tym manipulatorom! Odda go Nemrodowi, odda za Pat! Wręczy mu ten cenny dowód!

Ale co potem? Czy Nemrod pozwoli jej żyć? Czy pozwoli jemu żyć? Lucas Herron pisał o nowym Nemrodzie, że jest bezwzględny, że jest potworem... wydaje rozkazy mordowania z równą łatwością, co jego poprzednicy zwykłe polecenia...

To, że ktoś wiedział o istnieniu pamiętnika Herrona, na pewno było dla Nemroda dostatecznym argumentem, żeby kazać go sprzątnąć...

- Słuchaj pan, przepraszam, ale zamykam lokal.

- Może mi pan wezwać taksówkę?

- Taksówkę? Jest po trzeciej. Nawet gdyby jakaś taksówka jeździła po mieście o tej porze, za nic by tu nie przyjechała.

- Ma pan samochód?

- Wolnego. Najpierw muszę posprzątać, podliczyć utarg. Dziś było sporo klientów. Zajmie mi to ze dwadzieścia minut.

Matlock wyciągnął plik banknotów. Najmniejszym nominałem była setka.

- Potrzebny mi jest samochód; natychmiast. Ile pan chce? Odstawię go z powrotem za godzinę, może szybciej.

Barman popatrzył na banknoty w dłoni Matlocka. Rzadko oglądał taką ilość pieniędzy.

- E, to stary grat - powiedział. - Wątpię, czy będzie umiał go pan prowadzić.

- Poprowadzę choćby traktor! Trzymaj pan stówkę! Jeśli rozwalę wóz, dam panu cały ten plik! no, bierz pan forszę!

- W porządku, w porządku. - Barman wsunął rękę pod fartuch i wyciągnął kluczyki. - Ten z kwadratową główką to do stacyjki. Wóz stoi za barem. Chevrolet z sześćdziesiątego drugiego roku. Niech pan wyjdzie tylnymi drzwiami.

- Dzięki. - Matlock ruszył do drzwi, które wskazał mu barman.

- Hej, chwileczkę!

- Co?

- Jak się pan nazywa? Końcówka to zdaje się "rock", ale nie pamiętam. Kurczę, daję panu wóz, a nawet nie wiem, jak pan się nazywa!

- Nie "rock", a "rod" - powiedział szybko Matlock. - Nazywam się Nemrod.

- To żadne nazwisko, panie! - oburzył się tęgi barman, robiąc krok w jego stronę. - To rodzaj muszki do łowienia pstrągów! No więc jak? Skoro pożyczam panu wóz, mam prawo wiedzieć!

Matlock wciąż trzymał w ręce plik banknotów. Wyjął z niego kolejne trzy setki i rzucił na podłogę. Suma wydała mu się odpowiednia. Od Kramera też za czterysta wynajął kombi. Przynajmniej będzie jakaś symetria. Pozory logiki.

- Masz pan czterysta dolarów. Nikt by tyle nie dał za chevroleta z sześćdziesiątego drugiego roku! Niedługo go zwrócę! barmana, który był usatysfakcjonowany sumą, ale mocno skonfundowany.

- Nemrod. Cholerny dowcipniś!

Wóz był rzeczywiście gratem, ale ruszył i tylko to się liczyło. Matlock miał nadzieję, że Sealfont pomoże mu przeanalizować fakty, zastanowić się, co robić. Co dwie głowy to nie jedna! Bał się brać na siebie całą odpowiedzialność; wiedział, że w tej chwili nie może sobie na to pozwolić. Sealfont znał wysoko postawionych ludzi, z którymi mógł się skontaktować. Kressel, który pełnił rolę łącznika, będzie słuchał przerażony i protestował. A niech protestuje. Nic mu to nie da. Najważniejsza była Pat. Sealfont na pewno to zrozumie.

Może należało zaszantażować Nemroda - tak jak to w końcu uczynił Herron. Nemrod miał Patrycję, ale on, Matlock, miał pamiętnik Herrona. Życie jednej osoby za bezpieczeństwo setek, może tysięcy. Nawet Nemrod przyzna, że Matlock ma go w ręku. Nie odrzuci jego oferty, musi na nią przystać.

Zbliżając się do dworca, Matlock pomyślał, że rozumuje w podobny sposób co krętacze i manipulatorzy z departamentu sprawiedliwości. Pat stała się iksem w równaniu, pamiętnik Herrona igrekiem. Równanie zostanie zaprezentowane drugiej stronie, która z matematycznym obiektywizmem zdecyduje, co jej się bardziej opłaca. Emocje w ogóle nie

wchodziły w grę, odrzucano je z pogardą; tylko chłodna kalkulacja dawała szanse przetrwania.

Przerażające!

Przy dworcu skręcił w prawo i wjechał na szosę prowadzącą na uniwersytet. Rezydencja Sealfonta mieściła się na skraju terenu zajmowanego przez uczelnię. Mimo że nie zdejmował nogi z gazu, nie potrafił wydusić ze starego chevroleta więcej niż pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Ulice były puste i czyste po deszczu. W witrynach mijanych sklepów i w oknach domów nie paliły się światła; wszędzie panowała cisza.

Nagle przypomniał sobie, że Kressel mieszka na High Street, zaledwie jedną przecznicę dalej. Wstąpię po niego, pomyślał, zajmie mi to tylko pół minuty. Jeśli Kressel jeszcze nie wyruszył do Sealfonta, pojedziemy razem i pogadamy po drodze. Nie mógł już dłużej wytrzymać; chciał z kimś porozmawiać, naradzić się. Dotąd sam dźwigał cały ciężar; było to już ponad jego siły.

Skręcił w lewo w High Street. Kressel mieszkał w dużej, szarej willi, którą od ulicy odgradzał szeroki trawnik z klombem rododendronów. Na parterze paliły się światła. Chyba Kressel jeszcze nie wyszedł. Przed domem stał jeden wóz, na podjeździe drugi; Matlock zwolnił.

Jakiś matowy odbłask przyciągnął jego wzrok. W kuchni paliła się lampa; światło, padające przez okno na zewnątrz, odbijało się w masce drugiego samochodu na podjeździe. Czyli przed domem stały trzy wozy, a przecież Kresselowie mieli tylko dwa!

Spojrzał ponownie na samochód zaparkowany przed samym wejściem i zobaczył, że jest to wóz patrolowy. Policjanci z Carlyle byli w domu Kressela?

Prywatna armia Nemroda odwiedziła Kressela!

A może prywatna armia Nemroda odwiedziła Nemroda?!

O mało nie potracając radiowożu, pomknął do najbliższego rogu. Skręcił w prawo i wcisnął gaz do dechy. Był oglupiały, wystraszony, w głowie miał chaos. Jeśli Sealfont zadzwonił do Kressela - co najwyraźniej uczynił - a Kressel współpracował z Nemrodem, albo sam nim był, to inne radiowozy i inni żołnierze prywatnej armii Nemroda będą czekać przed domem Sealfonta.

Wrócił myślami do zabójstwa Loringa i pobytu na komisariacie w Carlyle - Boże, to było wieki temu, choć minął zaledwie tydzień! Przypomniał sobie, że nie podobała mu się wówczas postawa Kressela. A wcześniej, podczas rozmowy z Loringiem i Greenbergiem, wrogość Kressela wobec agentów federalnych też jakby wykraczała poza granice rozsądku.

Cholera jasna! Teraz wszystko było takie oczywiste! Przeczucie go nie myliło - ten instynkt, który podpowiadał mu co robić, zarówno kiedy był łowcą, jak i zwierzyną. Instynkt nie kłamał! Zbyt pilnie go śledzono, zbyt dobrze przewidywano jego ruchy. Kressel, który miał być łącznikiem, w rzeczywistości był tropicielem, mordercą i głównym wrogiem!

Iluzja mieszała się z prawdą, ale pozory nie były w stanie oszukać instynktu. Od początku należało polegać tylko na nim!

Trzeba skontaktować się z Sealfontem. Ostrzec go, że Kressel jest zdrajcą. Teraz obaj muszą mieć się na baczności, znaleźć jakieś bezpieczne schronienie i przygotować kontratak.

Bo inaczej zginie dziewczyna, którą kocha.

Nie było ani sekundy do stracenia. Kiedy Sealfont powiedział Kresselowi, że Matlock ma pamiętnik Herrona, Kressel - Nemrod wiedział, co ma robić.

Od dawna chciał zdobyć korsykański dokument i pamiętnik; kilka minut temu usłyszał, kto ma jedno i drugie. Poinformuje swoją prywatną armię, że nadszedł decydujący moment, od którego zależy zwycięstwo albo klęska. Będą czekać u Sealfonta; wiedząc, że jest w drodze do rezydencji rektora, zastawia tam na niego pułapkę.

Przy najbliższym rogu Matlock skręcił na zachód. W kieszeni miał pęk kluczy, wśród nich klucz do mieszkania Pat. Był przekonany, że nikt nie wie, iż posiada klucz do jej

mieszkania, a już na pewno nie spodziewa się, że właśnie tam pojedzie. Musiał zaryzykować; nie chciał korzystać z automatów z obawy, że ktoś go zobaczy w świetle latarni. Wozy policyjne mogły go szukać po całej okolicy.

Nagle usłyszał głośny warkot silnika i poczuł ostry skurcz w żołądku. Ktoś za nim jechał - ktoś go gonił. Stary chevrolet nie nadawał się do ucieczki!

Prawa noga zdrętwiała mu od naciskania z całej siły na gaz. Ujął mocniej kierownicę, po czym szarpnął nią tak gwałtownie, że zaboląły go napięte mięśnie i skręcił w najbliższą ulicę. Nie zwalniając, przy następnym rogu wziął kolejny zakręt; jednym kołem wjechał na przeciwległy krawężnik, ale udało mu się opanować starego grata i wrócić na jezdnię. Jadący za nim wóz trzymał się ciągle w tej samej odległości, trzy metry od tylnego zderzaka chevroleta; odbijające się w lusterku reflektory oślepiły Matlocka.

Człowiek, który go ścigał, nie zamierzał zmniejszyć odstępu między wozami! Jeszcze nie teraz, nie w tej chwili. Mógł to zrobić sto albo dwieście metrów wcześniej. Ale nie zrobił; czekał. Wyraźnie na coś czekał. Na co?

Tyle było rzeczy, których Matlock nadal nie rozumiał! Ileż popełnił błędów, ileż razy się omylił! We wszystkich istotnych sprawach poniósł klęskę. Mieli rację ci, co mówili, że jest amatorem! Teraz jego ostatnia próba też skończy się porażką; nie wymknie się swemu prześladowcy. Zabiją go, zabiorą korsykański dokument, zabiorą pamiętnik, zabiją dziewczynę, którą kocha, niewinną osobę, którą swoim działaniem skazał na śmierć. Sealfonta też wykończą - zbyt wiele wie! Ilu jeszcze ludzi zamordują?

Trudno, niech się stanie, co ma się stać.

Skoro to już rzeczywiście koniec, skoro zabrano mu resztki nadziei, to przynajmniej nie przyjmie śmierci pokornie, lecz zdobędzie się na ostatni, buntowniczy gest. Sięgnął do pasa po pistolet.

Ulice, po których pędzili - zwierzyna i łowca - znajdowały się na obrzeżach uczelni; mieściły się tu głównie instytuty naukowe i parkingi. Domów mieszkalnych było bardzo niewiele.

Matlock zbliżył wóz do prawego krawężnika, po czym wystawił prawą rękę z bronią przez lewe okno, celując w goniący go wóz.

Dwukrotnie nacisnął spust. Jadący z tyłu samochód przyspieszył i raz po raz zaczął walić zderzakiem w lewy błotnik chevroleta. Nie zważając na wstrząsy i metaliczny zgrzyt, Jim ponownie nacisnął spust. Zamiast głośnego wystrzału, rozległ się suchy trzask iglicy spadającej na pustą komorę.

Nawet ten gest okazał się daremny.

Samochód jadący z tyłu znów stuknął chevroleta. Matlock stracił panowanie nad starym gratem; kierownica zakręciła się tak gwałtownie, że puścił ją i chevrolet zaczął zjeżdżać na pobocze. Jedną ręką Matlock chwycił nerwowo za klamkę, żeby w razie czego wyskoczyć na jezdnię, drugą zaś usiłował zrobić coś z wozem.

Przestał myśleć, przestał nawet walczyć o życie. Na kilka sekund czas po prostu dla niego stanął. Bo jadący z tyłu wóz zrównał się z chevroletem i Jim dojrzał twarz swojego prześladowcy.

Spod okularów wystawały plastry i kawałki gazy, ale nie zakrywały całej twarzy mężczyzny - czarnego rewolucjonisty, Juliana Dunois.

Była to ostatnia rzecz, jaką Matlock widział, zanim chevrolet skręcił w prawo i podskakując gwałtownie, stoczył się z pochyłości.

A potem był już tylko mrok.

Obudził go ból, który promieniował wzdłuż lewego boku. Przekręcił lekko głowę - leżała na poduszce.

W pokoju panował półmrok, jedyne światło pochodziło z lampy stojącej na biurku pod ścianą. Matlock napiął mięśnie i spróbował się podnieść. Kiedy oparł się prawym łokciem o materac, chcąc nie chcąc lewa połowa ciała, ciężka i sztywna, też się podniosła.

Nagle znieruchomiał.

Pod ścianą, dokładnie naprzeciw łóżka, siedział na fotelu jakiś mężczyzna. W pierwszej chwili Jim nie widział jego twarzy. Światło było zbyt niki, a ponadto z bólu i wyczerpania nie potrafił skoncentrować wzroku.

Wreszcie niewyraźne rysy obcego nabrały ostrości i zobaczył młodego Murzyna w idealnie kulistej fryzurze afro, który spozierał na niego swoimi ciemnymi oczami. Był to student Carlyle, Adam Williams, radykał z Czarnych Rewolucjonistów.

Kiedy Williams przemówił cicho, Matlock miał wrażenie, że słyszy w jego głosie nutę współczucia.

- Powiem bratu Julianowi, że pan się obudził. Zaraz tu przyjdzie. - Student wstał z fotela i ruszył w stronę drzwi. - Rozbił sobie pan lewe ramię. Proszę nie wstawać z łóżka. W tym pokoju nie ma okien, a na korytarzu jest straż. Niech się pan odpręży. Potrzebuje pan odpoczynku.

- Nie mam czasu odpoczywać, ty cholerny idioto! - zawołał Jim; usiłował wstać, ale ból okazał się zbyt silny.

- Nie ma pan wyboru. - Williams wyszedł szybko z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Matlock opadł na poduszkę. Brat Julian... Przypomniał sobie oblepioną plastrami twarz Juliana Dunois, który patrzył na niego z pędzącego obok wozu, oraz słowa, które z charakterystycznym karaibskim akcentem wykrzykiwał do swojego kierowcy:

- Stuknij go jeszcze raz! Zepchnij z szosy!

A potem wszystko pogrążyło się w mroku, rozległy się gwałtowne trzaski, chrobot, zgrzyt metalu i poczuł, jak jego ciało skręca się, zwija i tonie w czarnej czeluści.

Boże, ile minęło czasu? Usiłował podnieść lewą rękę, żeby spojrzeć na zegarek, ale choć przeszył go ostry ból, ręka ledwo drgnęła. Wyciągnął prawą rękę, żeby zdjąć z lewej zegarek - zegarka nie było!

Zebrał się w sobie; po chwili udało mu się zsunąć na brzeg łóżka i spuścić nogi na podłogę. Oparł boscie stopy o posadzkę, szczęśliwy, że siedzi... Wiedział, że musi poskładać w całość fragmenty łamigłówek, które kołatały mu po głowie, przypomnieć sobie, co się stało, dokąd jechał...

Jechał do Pat! Żeby skorzystać z jej telefonu i skontaktować się z Adrianem Sealfontem. Chciał go ostrzec, że Kressel jest wrogiem, Nemrodem. Postanowił, że pamiętnik Herrona posłuży jako okup za dziewczynę. A potem rozpoczął się pościg, który właściwie nie był pościgiem. Jadący za nim wóz, w którym siedział Julian Dunois i wydawał polecenia kierowcy, starał się napędzić mu stracha. Bawili się z nim niczym lampart z ranną kozą. Wreszcie zaatakowali - stal zazgrzytała o stal - i zepchnęli go z szosy.

Trzeba uciekać, pomyślał. Ale skąd i dokąd?

W pokoju bez okien otworzyły się drzwi. Do środka wszedł Dunois, za nim Williams.

- Dzień dobry - powiedział prawnik. - Widzę, że udało się panu usiąść. To dobrze. To świadczy, że nie jest pan tak poturbowany jak myślałem.

- Która godzina? Gdzie jestem?

- Dochodzi wpół do piątej. Jest pan w Lumumba Hall. Widzi pan? Nic przed panem nie ukrywam. I chciałbym, żeby pan był ze mną równie szczery. Radzę niczego nie przemilczać.

- Słuchaj pan - powiedział Matlock spokojnym głosem. - Ani ja do was nic nie mam, ani wy do mnie! Moim...

- Myli się pan. - Dunois uśmiechnął się. - Niech pan tylko spojrzy na moją twarz. Miałem ogromne szczęście, że przez pana nie straciłem wzroku. Próbował mi pan wgnieść okulary. Czy wie pan, jak bardzo ucierpiałyby moja praca, gdybym stracił wzrok?

- Cholera! Przecież naszpikował mnie pan LSD!

- Sam mnie pan do tego zmusił. Pańska działalność mogła przynieść szkodę moim braciom! Nikt pana nie upoważnił do żadnych ruchów... Ale ten spór do niczego nas nie zaprowadzi. Swoją drogą jesteśmy panu wdzięczni za piękny prezent. To, co pan osiągnął, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania.

- Macie pamiętnik...

- I korsykański dokument. Zaproszenie, o którego istnieniu wiedzieliśmy. Co do pamiętnika nie byliśmy pewni. Wprawdzie krążyły pogłoski, ale traktowaliśmy je jako bezpodstawne aż do naszego spotkania na drodze. Może pan być z siebie dumny. Ludziom znacznie bardziej doświadczonej nie udało się osiągnąć ułamka tego, co panu. Znalazł pan skarb. Prawdziwy skarb!

- Zwróćcie mi pamiętnik!

- Nie ma mowy! - powiedział Williams, który dotąd stał w milczeniu, oparty o ścianę, i obserwował obu mężczyzn.

- Jeśli go nie oddacie, dziewczyna umrze! Możecie ze mną zrobić co wam się żywnie spodoba, ale oddajcie pamiętnik, żebym uwolnił Pat! Na miłość boską, proszę!

- Rzeczywiście panu zależy... Ma pan łzy w oczach...

- Chryste! Jest pan wykształconym człowiekiem! Nie może pan skazać jej na śmierć! Niech pan posłucha! Spiszcie z pamiętnika, co chcecie! A potem mi go oddajcie i wypuśćcie mnie stąd! Przysięgam, że wrócę! Tylko pozwólcie mi ocalić Pat!

Dunois podszedł wolno do fotela przy ścianie, tego na którym siedział Adam Williams, kiedy Matlock się zbudził. Przysunął go do łóżka i usiadł, zakładając elegancko nogę na nogę.

- Czuj się pan bezradny, prawda? - zapytał. - Może nawet... opuściła pana nadzieja?

- Bardzo wiele przeszedłem.

- Nie wątpię. Apeluje pan do mnie jako do... wykształconego człowieka. Zdaje sobie pan sprawę, że jestem w stanie panu pomóc, że mam nad panem przewagę. W przeciwnym razie nie prosiłby pan tak usilnie.

- Boże, niech pan przestanie!

- Teraz pan wie, jak ja się czuję. Jest pan bezradny. Nadzieja pana opuściła. Boi się pan, że puszcze mimo uszu pańską prośbę... Czy naprawdę myśli pan, że obchodzi mnie życie panny Ballantyne? Czy sądzi pan, że mogę przejąć się jej losem? A czy dla pana ważny jest los naszych dzieci, tych wszystkich, których my kochamy?

Matlock wiedział, że musi odpowiedzieć na to pytanie. Na pewno nic nie uzyska od Haitańczyka, jeśli będzie stosował uniki. To też była gra i musiał, przynajmniej na razie, ją podjąć.

- Nie zasługuję na takie słowa. Nienawidzę ludzi, których nie obchodzi wasz los. Kilka dni temu dał mi pan jasno do zrozumienia, że zebrał o mnie trochę informacji. Więc powinien pan wiedzieć!

- Ale nie wiem! Dokonał pan wyboru, podjął decyzję, żeby współpracować z wielkimi ludźmi z Waszyngtonu! Przez dziesiątki lat, przez całe wieki, czarni zwracali się do wielkich

ludzi z Waszyngtonu! "Pomóżcie nam!" - prosiliśmy. - "Nie zostawiajcie nas bez żadnej nadziei!" Ale oni nas nie słuchali i nadal nie słuchają. A pan chce, żebym usłuchał pana?

- Tak! Bo nie jestem waszym wrogiem! Może nie spełniam waszych oczekiwań, ale nie jestem wrogiem. Jeśli skierujecie swoją nienawiść na takich jak ja, sami na tym straciecie; przegracie. Bo was jest mniej, Dunois, i musicie o tym pamiętać. Nie szturmujemy Białego Domu, kiedy krzyczycie, że dzieje się wam krzywda, ale słyszymy was. I chcemy wam pomóc; naprawdę chcemy wam pomóc.

Dunois popatrzył na niego zimnym wzrokiem.

- Niech pan to udowodni - rzekł.

Matlock spojrział mu prosto w oczy.

- Użyjcie mnie jako przynęty, jako zakładnika. Zabijcie mnie, jeśli musicie. Ale pozwólcie mi uwolnić Pat.

- Wziąć pana jako zakładnika albo zabić możemy i bez pańskiej zgody. Odważne słowa, ale nic nie znaczą.

- Dam wam oświadczenie - powiedział cicho Matlock, nie spuszczać oczu z Haitańczyka. - Na piśmie. Albo możecie mnie nagrać. Opowiem wszystko, dobrowolnie, bez przymusu. O tym, jak się mną posłużono, o tym co robiłem. Wszystko od początku do końca. Będziecie mogli załatwić nie tylko Nemroda, ale i Waszyngton.

Dunois skrzyżował ręce na piersi i odpowiedział równie cichym głosem:

- Zdaje pan sobie sprawę, że to położy kres pańskiej karierze akademickiej? Z tego, co się orientuję, życie wykładowcy całkiem panu odpowiada. Żaden porządny uniwersytet nigdy już pana nie zatrudni. Nikt nie będzie panu ufać. Zupełnie nikt. Stanie się pan pariasem.

- Chciał pan jakiegoś dowodu. To jedyny, jaki mogę zaproponować.

Dunois siedział nieruchomo w fotelu. Williams, który stał oparty o ścianę, wyprostował się. Przez kilka chwil zalegało milczenie. W końcu Dunois uśmiechnął się łagodnie. W jego oczach, obklejonych plastrami, widać było współczucie.

- Jest pan dobrym człowiekiem. Momentami nieporadnym, ale za to wytrwałym. Pomożemy panu. Nie zostawimy pana bez nadziei. Zgadzasz się, Adam?

- Tak.

Dunois wstał z fotela i podszedł do Matlocka.

- Zna pan to wyświechtane powiedzenie, że polityka prowadzi do najdziwniejszych małżeństw? Z przyczyn praktycznych zawiera się najdziwniejsze sojusze. W historii jest wiele takich przykładów... Chcemy pokonać Nemroda nie mniej niż pan. I tego mafioso, z którym zamierza się pogodzić. To oni i im podobni żerują na naszych dzieciach. Trzeba dać im porządną nauczkę, tak żeby strach obleciał innych Nemrodów, innych mafiosi... Pomożemy panu, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że to my rozprawimy się z Nemrodem i resztą tych drani. Nie ufamy waszym sędziom, waszym ławom przysięgłych. Sądy są skorumpowane, sprawiedliwość można kupić... Do więzienia trafiają narkomani, którzy nie mają centa przy duszy, a bogaci gangsterzy mogą odwoływać się w nieskończoność. Rozprawimy się z nimi sami.

- Co mnie obchodzi ich los? Róbcie co chcecie.

- To, że pana nie obchodzi, to trochę za mało. Musimy mieć gwarancję.

- Jaka?

- Obieca nam pan, że nikomu nic nie powie. Że nie wspomni pan słowem o naszej roli. Weźmiemy koryskański dokument, jakoś się dowiemy, gdzie ma się odbywać konferencja i stawimy się na niej. Wykorzystamy informacje z pamiętnika, właśnie robimy sobie odbitki... lecz pańskie milczenie jest dla nas kluczowe. Zrobimy co w naszej mocy, żeby panu pomóc, ale zachowa pan w tajemnicy, że mieliśmy cokolwiek wspólnego z tą sprawą. Bez względu na to, co się stanie, nie może pan nikomu, pośrednio ani bezpośrednio,

wspomnieć o naszym udziale. Jeśli piśnie pan choć słowo, zabijemy pana i dziewczynę. Czy wyrażam się jasno?

- Tak.

- I zgadza się pan na ten warunek?

- Tak.

- Dziękuję - powiedział z uśmiechem Dunois.

W miarę jak Julian Dunois analizował różne warianty działania i opracowywał ostateczną strategię, Matlock coraz lepiej rozumiał, dlaczego Murzyni tak intensywnie go poszukiwali i dlaczego Dunois gotów był mu pomóc. Potrzebowali informacji, które on posiadał. Takich jak: z kim się kontaktował na uniwersytecie i poza uczelnią? Jak się nazywają agenci rządowi, z którymi współpracuje i gdzie teraz są? W jaki sposób się z nimi porozumiewa?

Innymi słowy, kogo Julian Dunois powinien unikać, jeśli chce własnymi siłami pokonać Nemroda.

- Czyli gdyby się nagle coś wydarzyło, byłby pan zdany wyłącznie na siebie, prawda?
- spytał Dunois. - Kiepsko to było obmyślane.

- Też tak uważam. Ale nie ja o tym decydowałem.

- Fakt! - Dunois parsknął śmiechem, Williams również. Siedzieli w pokoju bez okien. Do środka wniesiono stół karciany i kilka bloczków żółtego papieru. Dunois zapisywał wszystko, co mu Matlock mówił. Upewniał się co do pisowni nazwisk, dwukrotnie powtarzał za nim adresy; widać było, że zna się na tej robocie. Matlocka ogarnęło to samo uczucie co wtedy, gdy rozmawiał z Greenbergiem - że jest tylko amatorem.

Prawnik spał razem kilka kartek i sięgnął po kolejny bloczek.

- Co pan robi? - spytał Matlock.

- Te notatki zostaną powielone na kserokopiarce i przesłane do mojego biura w Nowym Jorku... Podobnie jak odbitki wszystkich stron pamiętnika profesora Herrona.

- Zawsze jest pan taki dokładny?

- Owszem.

- No dobrze; powiedziałem już wszystko, co wiem. I co się dzieje teraz? Od czego zaczynamy? Boję się jak cholera. Nawet nie mam odwagi myśleć, co zrobią Pat.

- Zapewniam pana, że nic. Akurat w tej chwili pannie Ballantyne nic nie grozi. Jest równie bezpieczna jak w ramionach swojej matki. Albo pana. Proszę pamiętać, że jest przynęta. Każdy myśliwy dba o to, żeby przynęta była świeża, zdrowa. Pan natomiast ma coś, czego oni chcą. Pamiętnik. Bez niego mogą pożegnać się ze wszystkim.

- Więc złożymy im propozycję. Im szybciej, tym lepiej.

- Złożymy, niech się pan nie denerwuje. Ale musimy się dobrze zastanowić, bo nie wolno zapominać o żadnym drobiazgu. Na razie mamy dwie możliwości. Albo udać się od razu do źródła, do Kressela. Albo skontaktować się z policją i niech gliny przekażą Nemrodowi pańską propozycję.

- Ale po co posługiwać się glinami? Co nam to daje?

- Po prostu przedstawiam dwa istniejące warianty. A co nam daje policja? Jeszcze nie wiem. Ale z pamiętnika Herrona wynika, że co jakiś czas Nemrod się zmienia. Obecny jest zdaje się trzecim, o jakim pisze.

- Tak. Najpierw wymienił Ortona, jakiegoś urzędnika z biura zastępcy gubernatora. Potem był Angelo Latona, przedsiębiorca budowlany. Trzecim, najwyraźniej, jest Kressel. Do czego pan zmierza?

- Zastanawiam się... Ten, kto zostaje Nemrodem, ma nieograniczoną władzę. Istotne jest więc stanowisko, a nie człowiek, który je piastuje. Bo bez stanowiska ten sam człowiek niewiele może.

- Ale stanowisko ktoś mu przydziela i równie dobrze może go z niego zdjąć - wtrącił Williams. - Nemrod wcale nie jest niepodzielnym władcą.

- Właśnie. Może należy rozpuścić pogłoski, że reprezentuje pan kogoś znacznie ważniejszego. Że Kressel - Nemrod powinien postępować ostrożnie. Dla dobra wszystkich.

- Ale czy wtedy jeszcze więcej zbirów nie będzie chciało mnie wykończyć?

- Może. A z drugiej strony może będą chcieli pana chronić. Dopóki zagrożenie nie zostanie usunięte, nikt nie będzie działał pochopnie. I nikt nie pozwoli, żeby Nemrod działał pochopnie.

Matlock zapalił papierosa, chłonąc słowa rozmówcy.

- Czyli chce pan skłócić Nemroda z jego własnymi ludźmi?

Dunois strzelił palcami obu rąk; dźwięk, podobny do stuku kastanietów, był wyrazem uznania.

- Szybko się pan uczy - powiedział z uśmiechem. - Pierwsza zasada wojny. Jeden z głównych celów infiltracji. Skłócić wroga! Podzielić jego siły!

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł młody Murzyn, bardzo czymś podniecony. Bez słowa wręczył Julianowi kartkę. Ten przeczytał ją i, zaskoczony, na chwilę zamknął oczy. Po czym podziękował uprzejmie posłańcowi i go odesłał. Spoglądając na Matlocka, podał kartkę Williamsowi.

- Może nasze strategie są świetne i mają historyczne precedensy, ale niestety odpadają. Kressel i jego żona nie żyją. A profesor Sealfont został uprowadzony ze swojej rezydencji. Zabrala go policja z Carlyle.

- Co? Kressel nie żyje? Jak to? Nie wierzę!

- Niestety, to prawda. Nasi ludzie widzieli, jak przed kwadransem wynoszono ciała. Morderstwo i samobójstwo. Jakżeby inaczej? Pasuje znakomicie.

- O, Chryste! O, Chryste Panie! To moja wina! Ja ich do tego pchnąłem! Ja zmusiłem! I jeszcze Sealfont! Dokąd go zabrali?

- Nie wiemy. Bracia, którzy obserwowali dom, nie odważyli się jechać za radiowozem.

Matlockowi zabrakło słów. Znowu poczuł, jak ogarnia go paraliżujący strach. Oniemiały, zatoczył się i opadł na łóżko. Siedział na nim, patrząc przed siebie, lecz nie widząc nic. Świadomość klęski, bezskuteczności własnych działań i beznadziei zupełnie go załamały. Tak wiele spowodował bólu! I znowu przez niego zginęli ludzie.

- To poważnie komplikuje całą sprawę - oznajmił Dunois, opierając łokcie o stół. - Nemrod usunął osoby, z którymi był pan w kontakcie. Robiąc ten ruch, odpowiedział nam na istotne pytanie i uchronił nas przed popełnieniem dużego błędu - chodzi mi o Kressela i pańskie podejrzenia wobec niego. Ale jeśli spojrzeć na to z drugiej strony, Nemrod rozwiązał nam pewien problem. Otóż nie mamy teraz innego wyjścia. Po prostu musimy pertraktować z nim poprzez jego prywatną armię, czyli miejscową policję.

Matlock popatrzył tępo na Juliana Dunois.

- Nie rozumiem. Nie pojmuję, jak pan może siedzieć i chłodno obmyślać kolejne posunięcia?! Kressel nie żyje! Jego żona nie żyje. Sealfonta też już pewnie ukatrupiono. To byli moi przyjaciele!

- Współczuję panu, ale nie będę pana oszukiwał: nie boli mnie śmierć tej trójki. Żałuję, jeśli zabili Adriana Sealfonta, bo to był mądry facet i moglibyśmy wspólnie coś zdziałać, ale nie będę wylewał łez. Tysiące naszych ginie co miesiąc w gettach. Ich śmierć boli mnie znacznie bardziej... Ale wracajmy do sprawy. Uważam, że naprawdę nie ma pan wyboru. Musi pan nawiązać kontakt z Nemrodem za pośrednictwem policji.

- Myli się pan. - Matlock poczuł nagle przyływ siły. - Mam wybór... Greenberg wyjechał rano z Zachodniej Wirginii. O tej porze jest już w Waszyngtonie. Zostawił mi nowojorski numer, pod którym uzyskam informację, gdzie go łąpać. Zamierzam się z nim porozumieć.

Spowodował już dość cierpienia. Nie chciał ryzykować, że przez niego zginie Pat. Tej odpowiedzialności nie mógł wziąć na siebie. Po prostu nie mógł.

Dunois uniósł łokcie ze stołu, odchylił się na krześle i spojrzał twardo na Matlocka.

- Powiedziałem, że szybko się pan uczy - rzekł. - Pomyliłem się... może ma pan bystry umysł, ale niewiele pan w sumie pojmuje... Na żadnego Greenberga się nie zgadzam. Nasza umowa tego nie przewidywała i nie pozwolę panu jej złamać. Albo dotrzyma pan warunków, jakie ustaliliśmy, albo poniesie pan konsekwencje, o jakich wspomniałem.

- Cholera, niech mi pan nie grozi! Mam już po uszy gróźb! - zawołał Matlock, zrywając się z miejsca.

Dunois wsunął dłoń pod marynarkę, wy dobył pistolet - była to ta sama broń, którą Matlock odebrał zastrzelonemu mężczyźnie na zboczu East Gorge - i również wstał.

- Sekcja zwłok na pewno wykaże, że zginął pan o świcie.

- Na miłość boską, dość żartów! Przecież Pat jest w rękach morderców.

- Pan też - odparł spokojnie Dunois. - Wciąż pan tego nie rozumie? Kierują nami inne pobudki, ale niech pan wreszcie przejrzy na oczy. Jesteśmy gotowi mordować. I walczyć o swoje!

- Nie posuniecie się do zabójstwa!

- Posuniemy. Już się posunęliśmy. I do jeszcze gorszych rzeczy. Wyrzucimy pańskie nędzne ciało przed komisariatem, z kartką przypiętą do zakrwawionej koszuli. Zażądamy, żeby zabili dziewczynę, zanim przystąpimy do jakichkolwiek negocjacji. Co chętnie uczynią, bo żywa stanowi dla nich tylko zagrożenie. I dopiero kiedy ją załatwią, rozpocznie się bitwa gigantów.

- Skurwysyn!

- Nie przeczę.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Matlock zacisnął mocno powieki i szepnął:

- Więc co mam robić?

- Nareszcie pan zmądrzał.

Dunois usiadł i spojrzał na Williamsa, który wyraźnie zdenerwowany przysłuchiwał się rozmowie. Matlock poczuł, że łączy go pewna więź z młodym radykałem z Carlyle. Chłopak też się bał, też się niepokoił. Podobnie jak on sam, był całkiem nieprzygotowany do tego, by radzić sobie ze światem Juliana Dunois i Nemroda.

- Musi pan uwierzyć w siebie - powiedział Haitańczyk, jakby czytał w myślach Jima. - Niech pan nie zapomina, że osiągnął pan dużo więcej niż inni. Dysponując znacznie skromniejszymi środkami. I wykazał pan wyjątkową odwagę.

- Nie czuję się specjalnie odważny.

- Odważni ludzie rzadko się tak czują. Czy to nie dziwne? No, niech pan siada.

Matlock usłuchał.

- Wie pan, wcale tak bardzo nie różnimy się od siebie - kontynuował Dunois. - W innych warunkach może bylibyśmy sprzymierzeńcami. Tylko że ja zawsze, jak twierdzi wielu moich braci, szukam świętych.

- Święci nie istnieją - powiedział Matlock.

- Może nie. A może tak... Kiedy indziej jednak o tym podyskutujemy. Teraz trzeba obmyśleć plan. Nemrod będzie się pana spodziewał. Nie możemy go zawieść. Ale musimy zabezpieczyć się na każdą ewentualność. - Przynął się bliżej stołu; jego oczy lśniły, na ustach błąkał się uśmiech.

Strategia czarnego rewolucjonisty składała się z serii posunięć, których nadrzędnym celem było zapewnienie bezpieczeństwa Matlockowi i Patrycji. Jim, mimo niechęci do Haitańczyka, zdawał sobie z tego sprawę.

- Mam dwa motywy - wyjaśnił Dunois. - Prawdę mówiąc, drugi jest dla mnie istotniejszy. Nemrod nie pojawi się osobiście, jeśli nie będzie musiał, a mnie chodzi właśnie o niego. Żaden wysłannik, żaden zastępca mnie nie urządza.

Podstawą całej strategii był pamiętnik Herrona, zwłaszcza ostatnie wpisy.

Dotyczące tożsamości Nemroda.

- Herron wyraźnie stwierdza, że nie zapisze nazwiska, które mu podali posłańcy. Znał je, ale najwyraźniej bał się zaszkodzić temu człowiekowi, gdyby informacja okazała się fałszywa. Nie chciał oskarżać nie mając konkretnych dowodów. Tak jak pan nie chciał nikomu mówić o Herronie na podstawie historycznego telefonu Beesona. Starzec wiedział, że może umrzeć w każdej chwili, że jego udęczone ciało lada moment może przestać funkcjonować... A jednak chciał być pewien.

W trakcie swojego wywodu Dunois rysował jakieś geometryczne kształty na kartce żółtego papieru.

- A potem go zamordowano - rzekł Matlock. - Upozorowano samobójstwo.

- Tak. Notatki, które prowadził właśnie na to wskazują. Przekonawszy się, kim jest Nemrod, poruszyłby niebo i ziemię, żeby zawrzeć tę informację w pamiętniku. Nemrod nie wie, że Herron tego nie uczynił. Dlatego ten pamiętnik to nasz miecz Damoklesa.

Pierwszym krokiem Matlocka, mającym zapewnić mu bezpieczeństwo, była rozmowa z komendantem policji w Carlyle, któremu należało uświadomić, że on, Matlock, zna tożsamość Nemroda i jedynie z nim gotów jest pertraktować. Takie wyjście wydawało się najlepsze. Bądź co bądź był poszukiwanym przestępcą. Policja w Carlyle niewątpliwie wiedziała, że wydano nakaz aresztowania go. Może prokuratura zrezygnowałaby z oskarżenia o narkotyki, ale na pewno nie z oskarżenia o morderstwo. Albo nawet o dwa. Istniały dowody, a on nie miał żadnego alibi. Nie znał zamordowanych mężczyzn. Nikt nie widział, że na zboczu góry działał w obronie własnej; ani że gdy odjeżdżał z pola, człowiek, który mu powiedział o zapiskach Herrona, jeszcze żył. W dodatku były to morderstwa tak brutalne, że wyrzutek społeczeństwa, który się ich dopuścił, nie mógł liczyć na żadną litość. Najłżejszy wyrok, jaki go czekał, to wieloletnia odsiadka.

W rozmowie z komendantem podał swoje warunki i poprosił, aby przekazano je Nemrodowi. A więc pamiętnik Lucasa Herrona za życie jego - Matlocka - i życie dziewczyny. Pamiętnik przedstawiał tak cenną zdobycz, że Nemrod powinien również wyłożyć odpowiednią sumę pieniędzy, aby Jim z Patrycją mogli wyjechać daleko od Carlyle i rozpocząć nowe życie pod nowymi nazwiskami.

Nemrod był w stanie im to umożliwić. I musi przystać na taki warunek.

- Kluczową sprawą na tym etapie jest pańska rozmowa z komendantem; wszystko zależy od tego, jak przekonująco będzie pan mówił - powiedział po namyśle Dunois. - Proszę pamiętać: jest pan przerażony. Zabijał pan, pozbawiał ludzi życia. Nie jest pan nawykły do przemocy, ale okoliczności zmusiły pana do popełniania gwałtownych czynów.

- Tak było. To wszystko prawda.

- W porządku. Więc niech pan rozmawia tak, żeby go o tym przekonać. Jak przerażony człowiek, który marzy tylko o tym, by uciec z miejsca przestępstwa. Ważne jest, żeby Nemrod w to uwierzył. Jeśli uwierzy, to przynajmniej na razie będzie pan bezpieczny.

Po jakimś czasie Matlock miał ponownie zadzwonić do komendanta i spytać, czy Nemrod zgadza się na spotkanie. Miejsce spotkania zapewne ustali Nemrod. Matlock będzie musiał zadzwonić jeszcze raz, żeby się dowiedzieć, gdzie je wyznaczono. Ale niech koniecznie nalega, żeby odbyło się przed dziesiątą rano.

- I wtedy, w trakcie tej rozmowy, widząc wolność w zasięgu ręki, nagle zacznie pan odczuwać wzmożony strach - powiedział Dunois. - Bliski hysterii zażąda pan jakiejś gwarancji.

- Czyli?

- Wprowadzi pan trzecią osobę; nie istniejącą osobę...

Matlock miał powiedzieć swojemu rozmówcy z komisariatu w Carlyle, że spisał wszystko, co wie na temat działalności Nemroda. Opisał pamiętnik Herrona, zanotował znane mu nazwiska i tak dalej. Kartki ze swoim oświadczeniem schował do koperty, którą wręczył, zaklejoną, pewnemu przyjacielowi. Jeśli do dziesiątej rano nie odwoła instrukcji, przyjaciel wyśle ją do departamentu sprawiedliwości.

- Powodzenie na tym etapie również zależy od tego, jak przekonywująco pan wypadnie. Wystarczy spojrzeć na uwięzione zwierzę, któremu nagle otwiera się klatkę. Jest ostrożne, podejrzliwe; nie rzuca się od razu do ucieczki, tylko wolno podchodzi do drzwi. Pan musi zachowywać się w podobny sposób. Tego będą oczekiwać. Przez ostatni tydzień dawał pan z siebie wszystko. Już dawno powinien być pan trupem, a jednak, dzięki przebiegłości, udało się panu przetrwać. Musi pan nadal tak postępować.

- Pojmuję.

Obmyślając ten ruch Julian Dunois miał na względzie - o ile to w ogóle było możliwe w sytuacji, w której musiało dojść do przemocy - uwolnienie Pat i zapewnienie bezpieczeństwa Matlockowi. Wszystko zależało od trzeciego, ostatniego telefonu na komisariat i rozmowy, której celem było ustalenie miejsca oraz dokładnej godziny spotkania.

Kiedy rozmówca powie Matlockowi, gdzie Nemrod mu wyzna- czyli spotkanie, Matlock ma się zgodzić bez wahania.

Na początku.

Ale po chwili, jakby działając wyłącznie pod wpływem paniki i strachu, niech odrzuci propozycję Nemroda.

Nie co do pory, ale co do lokalizacji.

Ma się wahać, jąkać i zachowywać tak irracjonalnie, jak tylko potrafi. A potem niech rzuci jakieś inne miejsce. Jakby podjął tę decyzję nagle, na poczekaniu. Po czym niech ponownie wspomni o mitycznym przyjacielu, któremu wręczył kopertę z oświadczeniem i instrukcjami, aby ją wysłał do Waszyngtonu o dziesiątej rano. Następnie ma odwieścić słuchawkę, nie czekając na odpowiedź.

- W czasie trzeciej rozmowy, najważniejsze będzie pańskie histeryczne zachowanie. Nemrod powinien zrozumieć, że przestał pan myśleć logicznie, że miota się pan jak przerażone zwierzę. Wkrótce ma dojść do przełomowego spotkania. A pan atakuje, cofa się, stawia przeszkody, żeby uniemożliwić łowcy zarzucenie sieci. W swojej histerii jest pan dla niego równie niebezpieczny jak ranna kobra dla tygrysa. Bo nie działa pan racjonalnie, myśli pan tylko o przetrwaniu. Chcąc zdobyć pamiętnik, Nemrod musi się z panem spotkać, musi przyprowadzić dziewczynę. Przybędzie, oczywiście, ze swoją gwardią przyboczną. Jego zamiary nie ulegną zmianie. Weźmie pamiętnik, może zacznie omawiać z panem pańskie dalsze warunki, kiedy jednak zorientuje się, że nie sporządził pan oświadczenia i żaden przyjaciel niczego nie wyśle do Waszyngtonu, wówczas będzie chciał was zabić, pana i dziewczynę... Ale mu się nie uda. Bo do akcji wkroczymy my.

- Kto?

- Ja i moja gwardia przyboczna... Teraz ustalmy to niby wymyślone na poczekaniu miejsce spotkania. Powinno być gdzieś, gdzie pan często bywa i dobrze zna teren. Niezbyt daleko, bo sądzą, że pan nie ma samochodu. Trochę na odludziu, bo przecież poszukują pana władze federalne. A jednak łatwo dostępne, najlepiej przy jakiejś bocznej drodze, bo potem będzie pan chciał się szybko oddalić.

- Opis pasuje do domu Herrona.

- Może, ale dom profesora odpada. Choćby ze względu na pański stan emocjonalny. Ten dom jest źródłem pańskiego strachu. Za nic w świecie nie chce pan tam wrócić... Musimy znaleźć coś innego.

- Myślę, że może... - zaczął Williams i urwał; wciąż nie czuł się zbyt pewnie; nie wiedział, czy chce wejść w świat Haitańczyka.- Co, bracie Williams? Co myślisz?

- Doktor Matlock często bywa w "Kocie z Cheshire".

Matlock spojrział zaskoczony na młodego radykała.

- Wy też mnie śledziliście?

- Owszem. Ale nie wchodziliśmy do środka. Za bardzo rzucalibyśmy się w oczy.

- Mów dalej, bracie - wtrącił Dunois.

- "Kot z Cheshire" znajduje się sześć kilometrów od Carlyle. Jest jakieś pół kilometra cofnięty od autostrady, którą się tam jedzie, ale można do niego dotrzeć innymi drogami. Z trzech stron budynku wychodzą na ogród obszerne tarasy, na których latem goście jadają. Dalej ciągnie się las.

- Kto strzeże lokalu?

- Chyba tylko jeden strażnik. Restauracja jest czynna od pierwszej. Nie sądzę, żeby sprzątaczkę czy kucharkę przychodzili przed dziewiątą trzydzieści lub dziesiątą.

- Znakomicie. - Dunois zerknął na zegarek. - Jest dziesięć po piątej. Powiedzmy, że będzie pan dzwonił do komisariatu co kwadrans, dodajmy do tego dwadzieścia minut na przejazd, czyli do szóstej piętnaście wszystko powinno być ustalone. Na wszelki wypadek dorzucimy jeszcze kwadrans. Czyli do szóstej trzydzieści. Spotkamy się o siódmej. Za "Kotem z Cheshire". Przynieś notes, bracie Williams. A ja uprzedzę ludzi.

Williams wstał i ruszył do drzwi. Zatrzymał się na progu i zwrócił do Haitańczyka.

- Nie zmienisz zdania? - spytał. - Nie pozwolisz mi pójść z wami?

Dunois nawet na niego nie spojrział.

- Nie denerwuj mnie - rzucił krótko. - Mam wiele rzeczy na głowie.

Williams opuścił szybko pokój.

Matlock przyglądał się Haitańczykowi, który wciąż coś kreślił na żółtym bloczku, jakieś geometryczne linie, tylko że teraz naciskał ołówek z całej siły, tak że na papierze powstawały wgniecenia. A po chwili zobaczył, co Dunois tak zawzięcie rysuje. Była to seria zakrzywionych linii zbiegających się w jednym punkcie.

Przedstawiały błyskawice.

- Niech pan posłucha - rzekł. - Jeszcze nie jest za późno. Niech pan zawiadomi departament sprawiedliwości. Na miłość boską, niech pan zrobi jak mówię! Nie może pan ryzykować życia dzieci!

Oczy Dunois, otoczone plastrami, spojrzały gniewnie przez szkła okularów. Kiedy Haitańczyk odezwał się, w jego głosie brzmiała nuta pogardy.

- Czy naprawdę pan uważa, że pozwoliłbym tym dzieciakom wypłynąć na wody, na których nawet ja mógłbym sobie nie poradzić? My nie jesteśmy tacy jak wasi szefowie połączonych sztabów sił zbrojnych, Matlock. Kochamy naszych młodych, szanujemy ich życie.

Matlock przypomniał sobie słowa Adama Williama, pytanie, które zadał przed wyjściem.

- Czy to właśnie miał na myśli Williams, kiedy prosił, żeby pan go zabrał?

- Coś panu pokażę.

Dunois wyprowadził Matlocka z pokoju bez okien i ruszyli korytarzem do schodów. Po budynku kręciło się kilku studentów, ale dosłownie kilku. Lumumba Hall pogrążony był we śnie. Zeszli dwa piętra w dół do drzwi, które - z tego co Matlock pamiętał - prowadziły do suterenu i starej sali zebrań, sali o wysokim sklepieniu, w której przed paroma dniami oglądał zapierający dech w piersi afrykański rytuał plemienny. Dunois nie powiedział ani słowa odkąd opuścili pokój.

W sali znajdowało się ośmiu Murzynów, z których każdy mierzył ponad metr osiemdziesiąt. Ubrani byli w identyczne rozpięte pod szyją obcisłe mundury polowe barwy

khaki oraz czarne skórzane buty do kostek na grubych gumowych podeszwach. Jedni siedzieli i grali w karty, inni czytali lub rozmawiali cicho między sobą. Kilku miało podwinięte rękawy: Jim zobaczył żyłaste mięśnie chodzące tuż pod skórą. Wszyscy skinęli na powitanie głową. Dwóch czy trzech uśmiechnęło się do Matlocka, jakby chciało go uspokoić. Oczywiście mieli bystre, inteligentne.

- Moja gwardia przyboczna - powiedział cicho Dunois.

- Chryste!

- Elitarny oddział. Członkowie przechodzą trzyletnie szkolenie. Nie ma na świecie broni, którą nie umieliby się posługiwać, lub której nie umieliby zreperować, gdyby coś się zepsuło. Potrafią naprawić każdy pojazd... i uczestniczyć w każdej debacie filozoficznej. Są obeznani ze wszystkimi formami walki, zarówno tradycyjnej, jak i partyzanckiej. I każdy z nich gotów jest oddać życie.

- Brygada morderców? To nic nowego.

- Myli się pan, tak ich nazywając. Niech pan nie zapomina, że tam, gdzie się urodziłem, brygady morderców na usługach państwa terroryzują cały kraj. Tajna policja Duvaliera, Ton Ton Macoute, to banda hien; nieraz widziałem ich przy pracy. Mnie również wciąż deptali po piętach. Ale moi ludzie nie są takimi bestiami.

- Nie miałem na myśli Duvaliera.

- Muszę jednak przyznać, że pomysł gwardii zawdzięczam właśnie jemu. Stworzenie jednostki typu Ton Ton działało na moją wyobraźnię. Ale wiedziałem, że trzeba to zrobić inaczej. Grupy takie jak ta powstają teraz wszędzie.

- Dawniej też powstawały - powiedział Matlock. - I też się nazywały elitarnymi oddziałami. Chodzi mi o SS.

Po wyrazie oczu Juliana Dunois poznał, że Haitańczyk czuje się urażony.

- Takie porównania są bolesne. I nieusprawiedliwione. Robimy to, co musimy robić. To, co uważamy za słuszne.

- Ein Volk, Ein Reich, Ein F hrer - odparł cicho Matlock.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Matlockowi przydzielono dwóch członków gwardii przybocznej Haitańczyka, a pozostali wyruszyli do "Kota z Cheshire", żeby przygotować się do potyczki z innym elitarnym oddziałem - garstką najlepszych żołnierzy z prywatnej armii Nemroda, którzy niewątpliwie będą mu towarzyszyć. Kiedy zwiadowcy donieśli, że droga jest wolna, Matlock opuścił Lumumba Hall. Dwaj ogromni Murzyni zaprowadzili go do aparatu telefonicznego na parterze pobliskiego akademika, skąd wykonał pierwszy telefon.

Strach, głęboki strach, jaki wciąż odczuwał, pomógł mu wyrzucić na rozmówcy takie wrażenie, jakiego Dunois od niego oczekiwał. Bez trudu odegrał rolę człowieka na granicy hysterii błagającego o kontakt z Nemrodem, gdyż sam niemal odchodził od zmysłów. Kiedy mówił spanikowanym tonem do słuchawki, właściwie nie wiedział, gdzie kończy się fikcja, a zaczyna rzeczywistość. Chciał wyjechać jak najdalej. Chciał, żeby Pat żyła i żeby mogli razem cieszyć się życiem. Jeśli Nemrod mógł to sprawić, dlaczego on, Matlock, nie miał z nim negocjować w dobrej wierze?

To było jak koszmarny sen. W pewnej chwili wystraszył się, że nagle wyzna prawdę i zda się na łaskę Nemroda.

Jedynie widok gwardzistów Dunois, tak podobnych do strasznych Ton Ton Macoute, pomógł mu się wziąć w garść; zdołał zakończyć rozmowę, nie mówiąc nic ponadto, co ustalił z Dunois. Komendant policji obiecał, że przekaże wiadomość; niech Matlock zadzwoni ponownie za kilkanaście minut.

Zwiadowcy donieśli gwardzistom, że automat, z którego Jim miał wykonać następny telefon, nie wchodzi w grę: w pobliżu ulicy, na której się znajdował, zauważono radiowóz. Dunois, świadom tego, że policja może sprawdzić, skąd ktoś dzwoni, nawet jeśli dzwoni z budki - wówczas sprawdzanie trwa nieco dłużej - podał gwardzistom lokalizację kilku w miarę bezpiecznych automatów, z zastrzeżeniem, że ostatni telefon Matlock musi wykonać z budki przy autostradzie. Zaprowadzili więc szybko Jima do kolejnego aparatu na liście, który znajdował się na tyłach siedziby Związku Studentów.

Podczas drugiej rozmowy denerwował się trochę mniej, ale nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Powtórzył kilka razy, że sporządził pisemne oświadczenie, które - gdyby mu się coś stało - o dziesiątej rano zostanie wysłane do Waszyngtonu, i od razu poczuł się raźniej, bo skutek był natychmiastowy. Komendant tak się przestraszył, że nie potrafił opanować drżenia głosu. Czyżby członków prywatnej armii Nemroda zaczęły nurtować wątpliwości? Czyżby wreszcie zrozumieli, że gdyby doszło do wojny z agentami federalnymi, niejednen z nich mógłby dostać kulą w brzuch? Skoro żołnierze Nemroda się bali, generałowie zapewne też nie czuli się zbyt pewnie.

Matlock i jego obstawa pognali do czekającego wozu. Był to stary, poobijany buick, nie rzucający się w oczy. Wnętrze jednak zadawało kłam pierwszemu wrażeniu. Stary gruchot był w rzeczywistości wozem bojowym o kuloodpornych szybach grubości co najmniej półtora centymetra. Pod tablicą rozdzielczą znajdowała się potężna radiostacja, z boku wisiały dwa wielkie automaty o krótkich lufach, a drzwi miały specjalne, obramowane gumą otwory, w które wsuwało się broń, żeby strzelać bez otwierania okien. Również ryk silnika zrobił na Matlocku niemałe wrażenie. Nigdy dotąd nie słyszał tak potężnej maszyny.

Jechali z umiarkowaną szybkością w kolumnie składającej się z trzech samochodów, Matlock z przydzielonymi mu gwardzistami w środkowym wozie. Dunois najwyraźniej nie lekceważył przeciwnika. Był zawodowcem.

Ale na myśl o tym, czym się ten zawodowiec trudnił, Matlock poczuł niepokój.

Przypomniał sobie własne słowa: Ein Volk, Ein Reich, Ein F hrer.

Odnosiły się zarówno do Haitańczyka, jak i Nemroda.

A potem przypomniał sobie co innego.

Czy rzeczywiście aż do tego doszło?

Panu się wydaje, że to tak bardzo różni się... To taka mini-Ameryka... Przedsięwzięcie handlowe jak każde inne...

Kraj był chory. Gdzie było lekarstwo?

- Jesteśmy na miejscu. Ostatnia rozmowa - powiedział Murzyn dowodzący grupą i stuknął Jima lekko w ramię, uśmiechając się, żeby mu dodać otuchy.

Matlock wysiadł z buicka. Znajdowali się na autostradzie na południe od Carlyle. Wóz jadący przodem zatrzymał się na poboczu sto metrów przed nimi; kierowca zgasił światła. Trzeci wóz również się zatrzymał.

Dwie oszklone aluminiowe budki telefoniczne stały na wybetonowanym kawałku pobocza. Jeden z członków obstawy podszedł do budki po prawej i otworzył drzwi, a kiedy automatycznie zapaliło się w niej światło, szybko odsunął szklaną osłonę i wykręcił żarówkę. Budka znów pograżyła się w mroku. Zachowanie olbrzyma zdziwiło Matlocka i wywarło na nim pozytywne wrażenie - o ileż łatwiej i prościej było po prostu stłuc żarówkę.

Zgodnie z poleceniem Dunois, w trakcie trzeciej, ostatniej rozmowy Matlock miał zacząć panikować i odrzucić miejsce zaproponowane przez Nemroda. Odrzucić w taki sposób, żeby Nemrod nie miał innego wyboru i przystał na propozycję spotkania w "Kocie z Cheshire".

W głosie komendanta komisariatu w Carlyle, kiedy przekazywał wiadomość od Nemroda, czuło się lekkie zdenerwowanie.

- Nasz wspólny przyjaciel rozumie pańskie obawy, panie Matlock. Na pańskim miejscu zachowałby się tak samo. Przyprowdzi dziewczynę na spotkanie. Proszę czekać przy wschodnim wejściu na stadion, na lewo od ostatnich trybun. Mam na myśli ten mały stadion przy budynku wychowania fizycznego i domów studenckich. W nocy pilnują go strażnicy; nic tam panu nie grozi.

- W porządku. W porządku. Zgoda. - Matlock starał się mówić łamiącym się, histerycznym głosem, żeby uprawdopodobnić nagłą zmianę decyzji, która za moment miała nastąpić. - W pobliżu mieszkają studenci, więc gdybyście próbowali jakichś sztuczek, zacznę wrzeszczeć! Wrzeszczeć ile tchu!

- Oczywiście. Ale nie będzie pan musiał. Nikt nie chce, żeby komukolwiek stała się krzywda. Chodzi tylko o prostą wymianę; nasz wspólny znajomy prosił, żebym to panu powtórzył. Podziwia pana...

- Skąd mogę mieć pewność, że przyprowdzi Pat? Muszę mieć pewność!

- Przecież ma pan coś na wymianę, panie Matlock. - Głos był niemal przymilny, wyczuwało się w nim desperację; kobra, o której wspomniał Dunois, rzeczywiście była nieobliczalna. - Po to się panowie spotykają. Nasz wspólny znajomy pragnie otrzymać tę rzecz, którą pan znalazł.

- No tak... - Matlock zaczął się szybko zastanawiać, co dalej. Musiał utrzymać się na granicy hysterii, na granicy nieczytalności, żeby zmienić miejsce spotkania nie wzbudzając podejrzeń komendanta. Bo jeśli Nemrod domyśli się prawdy, zapewne każe zabić Pat. - Niech pan powie naszemu wspólnemu przyjacielowi, że napisałem oświadczenie, które w razie czego trafi do Waszyngtonu!

- Na miłość boską, już mu o tym mówiłem... On naprawdę nie chce, żeby cokolwiek się wydarzyło, rozumie pan? Zatem spotkamy się przy stadionie, dobrze? Za godzinę, zgoda?

To był odpowiedni moment. Okazja mogła się nie powtórzyć.

- Nie! Chwileczkę... Nie mogę się pokazywać w pobliżu uczelni! Agenci z Waszyngtonu obserwują cały teren! Są wszędzie wkoło! Zgarną mnie!

- Nie, nic panu nie...

- Skąd pan wie, do cholery?!

- Nikogo tam nie ma. Jak Boga Kocham, żadnych agentów. Niech się pan uspokoi, proszę.

- Łatwo panu mówić, bo to nie pana ścigają! Spotkamy się gdzie indziej...

Mówił pośpiesznie, bełkotliwie, bez ładu i składu, jakby nerwowo próbował wymyślić inne miejsce. Najpierw zaproponował dom Herrona, ale zanim komendant zdążył się odezwać, odrzucił własną propozycję. Potem wymienił dworzec towarowy, ale zaraz znalazł kilka mało racjonalnych powodów, żeby zrezygnować i z tego miejsca.

- Chwileczkę, nie ma co się tak denerwować - powiedział głos w słuchawce. - W końcu chodzi tylko o prostą wymianę...

- Restauracja za miastem! "Kot z Cheshire"! W ogrodzie za restauracją...

Rozmówca, wyraźnie zdezorientowany kolejnymi pomysłami Matlocka, nie zaproponował; Jim czuł, że udało mu się zmylić przeciwnika. Rzucił coś jeszcze na temat zapisków Herrona i oświadczenia, które zostanie wysłane do Waszyngtonu, po czym prędko odwiesił słuchawkę.

Przez moment stał w budce, zupełnie wyczerpany. Pot spływał mu po twarzy, choć poranek był chłodny.

- Świetnie się pan spisał - pochwalił go czarny dowódca. - Jak rozumiem, nieprzyjaciel chciał się spotkać na terenie uczelni. Inteligentny ruch z jego strony. Ale znakomicie pan sobie poradził.

Matlock popatrzył na Murzyna w polowym mundurze, wdzięczny za pochwałę, a jednocześnie zdziwiony, że tak dobrze mu poszło.

- Wątpię, czy potrafiłbym to zagrać jeszcze raz - rzekł.

- Pewnie, że by pan potrafił - powiedział Murzyn, prowadząc Matlocka z powrotem do buicka. - Silny stres powoduje, że umysł działa na zdwojonych obrotach wykonując wiele czynności naraz. Jak komputer. Bada, analizuje, odrzuca i wybiera dane. Dopóki nie ulegnie się panice, oczywiście. Prowadzone są bardzo ciekawe badania zachowań w sytuacjach podprogowych.

- Naprawdę? - spytał Matlock, kiedy doszli do wozu. Murzyn skinął na niego, żeby wsiadł pierwszy. Kiedy znaleźli się w środku, wóz natychmiast ruszył z miejsca; pozostałe dwa też.

- Pojedziemy boczną drogą, na skróty - oznajmił Murzyn za kierownicą. - Zajedziemy od południowego zachodu i wysadzimy pana mniej więcej sto metrów od ścieżki, której używają pracownicy, żeby dojść do tylnych drzwi budynku. Wskażemy ją panu. Proszę udać się prosto do tej części ogrodu, gdzie znajduje się duża biała altana oraz sadzawka z rybkami. Wie pan o czym mówię?

- Tak. Dziwię się, że pan ją zna.

Kierowca uśmiechnął się.

- Nie jestem jasnowidzem - rzekł. - Kiedy pan dzwonił do komendanta, porozumiałem się przez radio z naszymi ludźmi. Wszystko jest gotowe. Zajęli już pozycje. Niech pan pamięta, altana i sadzawka... Proszę. Oto notes i koperta.

Kierowca sięgnął do schowka na drzwiach i wyciągnął owinięty w ceratę pakiet. Koperta była wsunięta pod szeroką gumkę okalającą pakunek.

- Będziemy na miejscu za niecałe dziesięć minut - powiedział dowódca, poprawiając się w fotelu.

Matlock skierował na niego wzrok i zobaczył przyszytą do obcisłych spodni skórzaną pochwę. Nie zwrócił na nią wcześniej uwagi, ponieważ była pusta. Teraz jednak sterczała z niej kościana rękojeść noża. Sądząc po długości pochwy, ostrze noża musiało mierzyć ponad dwadzieścia pięć centymetrów.

Gwardia przyboczna Dunois była dobrze przygotowana do boju.

Zatrzymał się przy białej altanie. Słońce pojawiło się już na wschodzie, lecz w lesie za plecami Matlocka wciąż wisiała ciężka mgła, którą blask poranka dopiero zaczynał rozpraszać. Przed sobą miał wyłożony kamiennymi płytami plac, do którego wiodły od restauracji alejki biegnące między szpalerami drzew. Po obu stronach placu stało kilka marmurowych ławek; mokrych i lśniących od rosy. Na środku znajdowała się sadzawka z cicho szmerzącym wodotryskiem. Wokół zaś rozbrzmiewał świergot ptaków, który co rusz przybierał na sile, kiedy przedstawiciele kolejnych gatunków zaczęli witać słońce i wyruszać na łowy.

Patrząc na plac z altaną, Matlock pomyślał o domu Herrona, o niedostępnej ścianie zieleni odgradzającej starca od zewnętrznego świata. Wydało mu się słuszne, że koniec całej tej historii rozegra się w miejscu tak podobnym do tamtego.

Zapalił papierosa, zaciągnął się dwa razy, po czym go zgasił. Z taką siłą przyciskał do piersi notes, jakby to była tarcza, której nie imają się kule, a ilekroć słyszał jakiś dźwięk, natychmiast odwracał głowę, czując, że serce podchodzi mu do gardła.

Intrygowało go, gdzie są ludzie Dunois. Gdzie się ukryła elitarna gwardia? Czy obserwowali go, czy śmiali się pod nosem, widząc jego nerwowe ruchy, jego strach? Czy rozlokowali się na całym terenie? Czy - niby partyzanci przygotowujący zasadzkę czekali schowani za krzakami lub wysoko na gałęziach drzew, gotowi w każdej chwili wyskoczyć z ukrycia i zacząć zabijać?

Czy będą zabijać?

I kogo będą zabijać? Jak liczna i jak uzbrojona będzie obstawa Nemroda? Czy Nemrod w ogóle się zjawi? Czy przyprowadzi Pat, jego ukochaną, czy mu ją odda? A jeśli tak, czy wówczas on i Pat nie padną ofiarami masakry, która na pewno nastąpi?

Kim jest Nemrod?

Przestał oddychać. Czuł, jak łydki i ramiona mu sztywnieją i zaczynają drżeć ze strachu. Zacisnął mocno powieki - sam nie wiedział, czy po to, żeby lepiej słyszeć, czy żeby się modlić, choć nie wierzył w istnienie Boga. Stał nasłuchując z zamkniętymi oczami, aż dobiegł go warkot samochodów.

Najpierw jeden, potem drugi wóz zjechał z autostrady na drogę wiodącą do "Kota z Cheshire". Oba pojazdy pędziły z ogromną szybkością, z piskiem opon biorąc zakręt na parking.

Potem znów zapanowała cisza. Nawet ptaki przestały śpiewać - znikąd nie docierały żadne dźwięki.

Wszedł do altany i przywarł plecami do ścianki z cienkich listew. Wy tężał słuch, ale nadal nic.

Tylko cisza... Nagle coś ją zakłóciło. Jakiś dźwięk tak cichy, że wcześniej nie zwrócił na niego uwagi, tak jak nie zwraca się uwagi na szelest liści.

Szuranie. Ktoś wolno, niepewnie zbliżał się jedną z ukrytych pośród drzew alejek, które wiodły w stronę placu.

Początkowo ledwo uchwytnie. Ledwo słyszalne. Potem kroki stały się trochę wyraźniejsze, trochę bardziej pewne siebie.

I nagle usłyszał cichy, bolesny jęk i szept, który ścisnął go za serce.

- Jimmy... Jimmy? Jimmy, błagam...

Szept przeszedł w szloch. W Matlocka wstąpiła furia, jakiej nigdy w życiu nie czuł. Cisnął na ziemię owinięty w ceratę notes i wyskoczył z białej altany; biegł niemal na oślep,

bo łyzy wściekłości zalały mu oczy, i krzyczał tak głośno, że wystraszone wrzaskiem ptaki przerwały milczenie i zaczęły nerwowo świergotać.

- Pat! Pat! Gdzie jesteś? Boże, Pat, gdzie jesteś? Gdzie? Szloch - pełen bólu, lecz teraz i ulgi - wzmógł się.

- Tu...Tu, Jimmy, tu! Nic nie widzę.

Zorientowawszy się, z której alejki dochodzi głos, Matlock pognał w stronę restauracji. Mniej więcej w połowie drogi zobaczył Pat, która klęczała pod drzewem, z obandażowaną głową opartą o ziemię. Najwyraźniej upadła. Strużki krwi spływające po karku świadczyły o tym, że szwy musiały popękać.

Matlock podbiegł do dziewczyny i delikatnie uniósł jej głowę. Bandaże kończyły się na czole, ale górną połowę twarzy Patrycji pokrywały warstwy szerokiego plastra, sięgające od skroni do skroni; poprzyklejane do powiek, były grube i solidne niczym stalowa maska. Miał ochotę czym prędzej je zerwać, lecz wiedział, że byłoby to dla dziewczyny straszliwą torturą.

Więc jedynie przytulił ją do siebie i szeptał jej imię, co pewien czas dodając:

- Wszystko będzie dobrze... Wszystko będzie dobrze... Wziął ją łagodnie na rękę, przyciskając jej twarz do swojej. Mimo furii, od której cały aż dygotał, powtarzał cicho słowa otuchy.

Nagle, ni stąd ni zowąd, bez żadnego ostrzeżenia, posiniaczonym ciałem dziewczyny wstrząsnął dreszcz; rzucając z boku na bok poranioną głowę, zaczęła krzyczeć:

- Na miłość boską, oddaj im to! Nie wiem, o co chodzi, ale oddaj im! Oddaj!

Potykając się, niósł dziewczynę w stronę altany.

- Oddam, kochanie, oddam... - szepnął.

- Błagam cię, Jimmy! Nie pozwól im więcej mnie skrzywdzić! Nigdy więcej!

- Nie, nie pozwolę, kochanie. Już nigdy...

Na skraju wyłożonego kamiennymi płytami placu pochylił się ostrożnie i położył dziewczynę na miękkiej ziemi.

- Odsłoń mi oczy. Proszę cię, zdejmij taśmę.

- Nie mogę, kochanie. Za bardzo by cię bolało. Poczekaj...

- Nie chcę czekać! Już dłużej tak nie wytrzymam! Co zrobić? Co powinienem zrobić? O, Boże! Ty cholerny Boże! Powiedz mi! Powiedz!

Spojrzał w stronę altanki. Zawinięty w pergamin notes leżał tam, gdzie go rzucił.

Nie miał wyboru. I nic go nie obchodziło.

- Nemrod! Nemrod! Wyłaż! Z tą całą swoją armią! Chodź i weź ten cholerny notes! Mam go przy sobie!

Nagle w ciszy rozległy się kroki.

Pewne, równe, sprężyste.

Ze środkowej alejki wyłonił się Nemrod.

Zatrzymał się na skraju placu. Był to Adrian Sealfont.

- Przykro mi, James.

Matlock zdjął ostrożnie głowę dziewczyny z kolan. Nie był w stanie zebrać myśli; mózg odmawiał mu posłuszeństwa. Szok, jakiego doznał, był tak ogromny, że Jimowi zabrakło słów; patrzył przed siebie, widział rektora Carlyle, ale wciąż nie dowierzał własnym oczom. podniósł się ociężale.

- Daj mi pamiętnik, James. Spełnimy twoje warunki. Będziesz bezpieczny.

- Nie... Nie. Nie wierzę! To nie tak. To przecież nie może być prawdą...

- A jednak. - Sealfont strzelił palcami prawej ręki, dając komuś znak.

- Nie... Nie! Nie! - Matlock nagle zdał sobie sprawę, że krzyczy na całe gardło; spojrzał na Pat i zobaczył; że ona również krzyczy. Po chwili znów zwrócił się do Sealfonta: - Podobno zabrała cię policja! Myślałem, że nie żyjesz! Winiłem się za twoją śmierć!

- To nie była policja; to była moja eskorta. Oddaj pamiętnik.
- Sealfont, rozdrażniony, ponownie strzelił palcami. - I korsykański dokument. Mam nadzieję, że masz go przy sobie.

Za drzewami rozległo się jakieś kasznięcie czy westchnienie. Sealfont zerknął szybko przez ramię i rzucił w stronę swojej niewidocznej gwardii:

- Chodźcie tutaj!

- Dlaczego? - spytał Matlock.

- Bo musieliśmy. Bo musiałem. Nie miałem wyboru.

- Nie miałeś wyboru? - Matlock nie był pewien, czy się nie przesłyszał. - Jak to?

- Groził nam upadek! Brakowało funduszy! Wyczerpaliśmy wszystkie środki, nie było do kogo się zwrócić o ratunek! Korupcja moralna dopełniła się: błagania wyższych uczelni o pomoc wywoływały tylko znudzenie i wzruszenie ramion. Nie było innego wyjścia, jak przejąć sprawy we własne ręce... i obejść się bez niczyjej pomocy. Tak zrobiliśmy. I dzięki temu przetrwaliśmy!

Matlock słuchał oniemiały, powoli jednak kawałki łamigłówek zaczęły układać się w całość. Czuł się tak, jakby stał przed grubymi, pancernymi drzwiami skarbcza, które otwierają się, ukazując, co się za nimi kryje... Więc to tak Sealfont gromadził fundusze na to, żeby uniwersytet mógł funkcjonować! Ale w grę wchodził nie tylko Carlyle; Sealfont właśnie to potwierdził. Prośby wyższych uczelni o pomoc wywoływały tylko znudzenie. A potem sytuacja nagle się zmieniła.

Wszędzie!

Uczelnie wciąż zabiegały o fundusze ze źródeł prywatnych i państwowych, ale w ostatnich czasach nie słyszało się okrzyków paniki i nie mówiło się o zagrożeniu bytu tych szacownych instytucji, choć w przeszłości tyle uniwersytetów podobno znajdowało się na skraju bankructwa!

Każdy, kto się nad tym zastanawiał - jeśli w ogóle się zastanawiał - zapewne uważał, że kryzys, jaki dotknął szkolnictwo wyższe, skończył się. Że wszystko wróciło do normy.

Ale to nie była prawda. Za pozorami normalności krył się koszmar.

- Boże... - szepnął Matlock, kompletnie zdruzgotany.

- Bóg nam nic nie pomógł, możesz mi wierzyć - oznajmił Sealfont. - Wszystko osiągnęliśmy sami. I pomyśl tylko jak wiele. Jesteśmy niezależni! Nasza sytuacja finansowa systematycznie się polepsza. W ciągu pięciu lat wszystkie ważniejsze uczelnie północnego wschodu sfederalizują się i będą całkowicie samowystarczalne!

- Jesteście chorzy! Pożera was rak!

- Ale trwamy i radzimy sobie! Wybór nie był zresztą trudny. I tak żadna siła nie zmieniłaby istniejącego układu. A już na pewno my byśmy nic nie wskórali... Więc dziesięć lat temu zdecydowaliśmy się przejąć główne role.

- Ale ty, właśnie ty... jak mogłeś...

- Mogłem. I dobrze, że wybrali właśnie mnie, nie uważasz? Ponownie odwrócił się w stronę wiodących do restauracji alejek i zawołał: - Mówiłem, żebyście tu przyszl! Nie macie się czego obawiać. Nasz przyjaciel wkrótce zniknie z tego miasta... Prawda, James?

- Jesteś szalony! Jesteś...

- Nie gadaj! Nie ma drugiego człowieka tak trzeźwo myślącego jak ja. Ani bardziej praktycznego... Powinieneś wiedzieć, że historia lubi się powtarzać. Zdrowa tkanka społeczna uległa zniszczeniu, społeczeństwo podzieliło się na wrogie, zwalczające się obozy... Nie daj się zwieść pozornej ospałości; wystarczy podrapać powierzchnię, a krwawi cały kraj.

- Krwawi przez takich jak ty! - ryknął Matlock. Wszystko się w nim kotłowało.

- Wręcz przeciwnie, ty zarozumiały, świętoszkowaty ośle! - Sealfont patrzył na Matlocka z zimną furią, jego głos ział nienawiścią. - Kto ci dał prawo wygłaszać kazania? Gdzie byłeś, kiedy tacy ludzie jak ja zrozumieli, że za moment będą musieli pozamykać

uniwersytety na cztery spusty? Ty nie miałeś żadnych trosk... Dzięki nam nie musiałeś się martwić o swój byt... Ale nasze ostrzegawcze głosy były wołaniem na puszczy, nasze prośby o pomoc puszczano mimo uszu. Nasze potrzeby nie obchodziły nikogo...

- Za mało się staraliście, nie robiliście dość...

- Bzdura! - ryknął Sealfont. - Dureń jesteś!

Matlock pomyślał, że rektor zachowuje się jak człowiek opętany przez demony - a raczej gnębiony przez nie.

- Co nam zostało? - spytał Sealfont. - Dary od osób prywatnych? Ich ilość systematycznie malała! Przeznaczając pieniądze na inne cele można było uzyskać znacznie korzystniejsze odpisy podatkowe! Pomoc fundacji? Kierowane przez tyranów z węzłem w kieszeni, dawały coraz mniej. Rząd? Ślepy! Skorumpowany! Za swoje względy kazał sobie płacić albo w gotówce, albo w głosach wyborczych! A myśmy nie mieli ani pieniędzy, ani wpływu na wyborców. Dla nas system załamał się! Rozpadł się. I ja najlepiej zdawałem sobie z tego sprawę. Przez lata prosiłem, zebrałem, wyciągałem ręce do durni z ważnych komitetów... To było beznadziejne, tylko wypruwałem z siebie flaki. Nie słuchał nikt. I zawsze... zawsze... oprócz wykrętów, grania na zwłokę, były uśmiešky i aluzje do tego, że nie stanowimy żadnej siły. Byliśmy tylko nauczycielami! Nie umieliśmy działać!

Choć zniżył głos, Sealfont mówił z coraz większym żarem, z coraz większą pewnością siebie.

- Więc nauczyliśmy się działać, młody człowieku. System zawalił się do reszty; i dobrze. Przywódcy nic nie rozumieją. Ale spójrz na dzieci. Zobaczyły, zrozumiały... I przyłączyły się do nas. Nasze sprzymierzenie nie jest sprawą przypadku.

Matlock wbił wzrok w swego rozmówcę. Rektor powiedział: spójrz na dzieci! Patrzcie na dzieci; obserwujcie je pilnie... Patrzcie na dzieci. Strzeżcie się. Przywódcy nic nie rozumieją... Boże, czyżby naprawdę było aż tak źle? Czy na świecie naprawdę liczyli się tylko Nemrodowie lub tacy jak Dunois, elitarne oddziały, gwardie przyboczne? Czyżby historia rzeczywiście się powtarzała?

- Gdzie jest ten list, James? Komu go wręczyłeś?

- List? Jaki list? .

- Ten, który ma zostać wysłany rano. Nie możemy do tego dopuścić, prawda?

- Nie rozumiem. - Matlock rozpaczliwie starał się uporządkować chaos myśli.

- Kto ma list?!

- List? - Słyszając własny głos, Matlock zdał sobie sprawę, że zachowuje się niewłaściwie. Powinien potwierdzić istnienie listu, ale nie potrafił. Nie umiał zebrać myśli, w głowie miał totalną pustkę.

- Aha! A więc nie ma żadnego listu, tak? Nie ma żadnego oświadczenia, które czeka w zaklejonej kopercie i ma być wysłane do Waszyngtonu o dziesiątej rano! Kłamałeś!

- Kłamałem... kłamałem. - Nie miał siły dłużej walczyć, dłużej się opierać, dłużej udawać.

Sealfont roześmiał się cicho. Ale był to inny śmiech niż Matlock pamiętał z przeszłości. Brzmiało w nim okrucieństwo.

- Cwaniak z ciebie, co? Ale w sumie jesteś słaby. Od początku wiedziałem, że jesteś słaby. Agentom rządowym pasowałeś idealnie, bo nie masz ani zdecydowanych poglądów, ani trwałych przekonań. Określili cię mianem "mobilny". A to oznacza, że na niczym ci specjalnie nie zależy, więc nadajesz się do każdego towarzystwa. Lubisz sobie pogadać z tym i owym, ale to wszystko. Nic sobą nie reprezentujesz... Jesteś typowym konformistą. - Sealfont zerknął przez ramię i krzyknął w stronę alejki: - No już, wyłazcie! Doktor Matlock nie poda nikomu waszych nazwisk ani rysopisów! Wyjdźcie z nory, moje króliczki!

- Aaaa...

Krótki, urwany charkot przebił ciszę. Sealfont obejrzał się szybko.

Rozległ się kolejny gardłowy jęk, nieomylny odgłos, jaki wydaje ludzka krtań, kiedy ucieka z niej powietrze.

I jeszcze jeden, przechodzący w głośny skowyt.

- Co się dzieje? Kto tam jest? - zawołał Sealfont, biegnąc w stronę alejki, z której dolatywały dziwne dźwięki.

Zatrzymał się jednak w pół kroku, gdyż nagle w zupełnie innej części ogrodu rozległ się stłumiony krzyk przerażenia. Obrócił się na pięcie i podbiegł do Matlocka; widać było, że powoli ogarnia go strach, że traci nad sobą panowanie.

- Do jasnej cholery, co się dzieje? - krzyknął. - Gdzie jesteście? Wychodźcie!

Cisza. Sealfont zmierzył wzrokiem Matlocka.

- Coś ty zrobił? Coś ty zrobił, ty mały gnojku? Kogo tu przyprowadziłeś? Kto tam jest?! Mów szybko!

Nawet gdyby Matlock potrafił mu odpowiedzieć, nie było takiej potrzeby, albowiem z ostatniej alejki wyłonił się Julian Dunois.

- Dzień dobry, Nemrodzie - powiedział.

Sealfont wybałuszył oczy.

- Kim pan jest? Gdzie są moi ludzie?

- Nazywam się Jacques Devereaux, Heysou Daumier, Julian Dunois; jak pan woli. Pańscy ludzie nie mogli się równać z moimi. Pan miał dziesięciu, ja ośmiu. Pańscy byli bez szans. Nie żyją; to już nasza sprawa, jak pozbedziemy się ciała.

- Kim pan jest?!

- Pańskim wrogiem.

Sealfont jednym szarpnięciem lewej ręki rozpiął marynarkę i wsunął pod spód prawą rękę. Dunois krzyknął ostrzegawczo. W następnej chwili Matlock niemal odruchowo skoczył w stronę człowieka, którego czcił i szanował przez dziesięć lat. Rzucił się na niego opętany żądzą, którą musiał zaspokoić choćby za cenę własnego życia.

Żądzą krwi.

Twarz rektora była tuż przy jego własnej. Dumne oblicze, tak podobne do oblicza Lincolna, wykrzywił teraz grymas strachu. Rozczapierzoną ręką o palcach zakrzywionych na kształt szponów Matlock przejechał po twarzy Sealfonta. Poczuł, jak drze pazurami skórę, jak krew tryska z rozharatanych warg.

Usłyszał głośny huk i ostry ból przeszył mu lewe ramię. Ale atakował nadal.

- Odsuń się, Matlock! Odsuń się, do cholery!

Ktoś go szarpnął. Silne, umięśnione czarne ręce odciągnęły go od rektora, przewróciły i przygniotły do ziemi. A w powietrzu wibrował krzyk, świdrujący, nieludzki krzyk Pat i jej głos powtarzający jego imię:

- Jimmy... Jimmy... Jimmy...

Napiął wszystkie mięśnie i szarpnął się z furją. Zaskoczeni Murzyni, którzy go przytrzymywali, oderwali na moment ramiona, a wówczas uniósł nogi i zaczął nimi wierzgać, kopać z całej siły...

I nagle był wolny.

Rzucił się do przodu i zaczął się czołgać po kamiennych płytach. Bez względu na to, co się stało, bez względu na to, co oznaczał piekący ból, który rozchodził się po jego lewym boku, musiał dotrzeć do leżącej na ziemi dziewczyny. Do dziewczyny, która przez niego przeszła tak straszliwe katusze.

- Pat!

Ból był nie do wytrzymania. Matlock upadł na brzuch, ale zdołał wyciągnąć rękę i chwycić dłoń Patrycji. Trzymali się za ręce, każde rozpaczliwie pragnąc dodać drugiemu otuchy, oboje świadomi, że mogą umrzeć lada moment.

Nagle dłoń Matlocka zwiotczała.

Zapadł się w ciemność.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że siedzi bez koszuli, którą najwyraźniej mu zdjęto, wsparty plecami o marmurową ławkę; w lewym ramieniu czuł pulsowanie. Naprzeciw niego klęczał potężny Murzyn.

- Ból jest o wiele gorszy od samej rany - powiedział Murzyn.

- Najpierw w wypadku samochodowym porządnie pan sobie poobijał lewy bok, a teraz pocisk wszedł pod chrząstkę w lewym ramieniu. Ból się nakłada i dlatego jest taki nieznośny.

- Zastosowaliśmy miejscowe znieczulenie. Powinno pomóc - oznajmił Julian Dunois, który stał obok - Pannę Ballantyne już zawieziono do lekarza. Usunie jej plastry. Doktor jest Murzynem i w sumie dobrze nam życzy, woli jednak nie zajmować się pacjentem z raną postrzałową. Zawiadomiliśmy przez radiostację własnego lekarza w Torrington. Przybędzie za dwadzieścia minut.

- Dlaczego zabraliście Pat? Mogła też na niego poczekać...

- Jeśli mam być szczerzy, chciałem z panem porozmawiać. Krótko, ale bez świadków. Poza tym, im szybciej usunie się jej te plastry, tym lepiej dla niej.

- Gdzie jest Sealfont?

- Znikł. To wszystko, co pan wie i czego się pan dowie. Ważne, żeby pan to zrozumiał. Bo jeśli będzie trzeba, spełnimy nasze groźby wobec pana i panny Ballantyne. Nie chcemy tego robić. .. Pan i ja nie jesteśmy wrogami.

- Myli się pan. Jesteśmy.

- No może. W końcu to nieuchronne. Ale dziś pomogliśmy sobie, kiedy obaj byliśmy w potrzebie. Jestem tego świadom. Mam nadzieję, że pan również.

- Tak.

- Może też nauczyliśmy się czegoś od siebie.

Matlock popatrzył czarnemu rewolucjonście w oczy.

- Ja sam spojrzałem nieco inaczej na wiele spraw - rzekł. - Ale nie wiem, czego pan mógł się nauczyć ode mnie.

Haitańczyk roześmiał się cicho.

- Że poprzez swoje czyny, czy swoją odwagę, człowiek potrafi wznieść się ponad przypisane etykiety.

- Nie pojmuję.

- Więc proszę się nad tym zastanowić. Zrozumie pan.

- Co teraz będzie? Z Pat? Ze mną? Zaaresztują mnie...

- Szczerze w to wątpię. Za niespełną godzinę Greenberg przeczyta dokument przygotowany przez moją organizację. A konkretnie, przeze mnie. Podejrzewam, że moja epistoła zostanie schowana do teczki, którą faceci z Waszyngtonu zakopią głęboko w archiwach. Zawarty materiał kompromituje ich... Moralnie, prawnie i na pewno politycznie. Popełnili zbyt wiele poważnych błędów... Tego ranka wystąpimy jako pańscy pośrednicy. Może nadeszła odpowiednia pora, żeby wykorzystał pan część swoich pieniędzy, o których tyle się ostatnio mówiło, i wyjechał z panną Ballantyne w długą, rekonwalescencyjną podróż... Jestem przekonany, że wszyscy uznają to za doskonały pomysł. Nie mam cienia wątpliwości.

- A Sealfont? Co się z nim stanie? Zabijecie go?

- Czy Nemrod zasługuje na to, żeby umrzeć? Niech pan nie sili się na odpowiedź; nie będziemy na ten temat dyskutować. Wystarczy, że powiem, iż zostanie przy życiu, dopóki nie uzyskamy odpowiedzi na pewne pytania.

- Wyobraża pan sobie, co będzie, kiedy okaże się, że znikł?

- Wybuchnie afera, zaczną krążyć różne brzydkie plotki. O wielu sprawach. Kiedy padają bóstwa, wiernych ogarnia panika. Taki już jest porządek rzeczy. Potem wszystko się uspokoi... A teraz niech pan odpocznie. Lekarz wkrótce się zjawi.

Dunois zwrócił się do Murzyna w mundurze polowym, który podszedł do niego i powiedział coś szeptem. Klęczący olbrzym, który opatrzył Matlockowi ranę, wstał. Obserwując, jak wysoki, szczupły Haitańczyk cichym, pewnym siebie głosem wydaje instrukcje, Jim poczuł bolesną wdzięczność. Bolesną, bo obok Dunois zobaczył nagle widmo...

Widmo śmierci.

- Dunois?

- Tak?

- Niech pan będzie ostrożny.

Epilog

Gorące, popołudniowe słońce odbijało się w zielonoblękitnej wodzie Morza Karaibskiego; jego oślepiające, lustrzane wizerunki kołysały się na grzbietach setek fal. Piasek był ciepły i miękki. Zarówno na samotnej plaży, jak i na całej wyspie, panował idealny spokój; świat i jego problemy wydawały się tak odległe, że prawie nierealne.

Matlock podszedł do skraju wody; miniaturowe fale liznęły mu kostki. Podobnie jak piasek, woda była ciepła.

Matlock trzymał pod pachą gazetę przysланą przez Greenberga. Właściwie tylko kawałek gazety.

Masakra w Carlyle w Connecticut

23 Zabitych Murzynów i Białych,

Miasteczko w szoku,

Tajemnicze zniknięcie rektora

Carlyle, 10.V - W jednej ze starych rezydencji położonych na obrzeżach tego niewielkiego miasteczka uniwersyteckiego, miała wczoraj miejsce masakra. Zginęły dwadzieścia trzy osoby; władze federalne uważają, że jedna grupa przestępców wpadła w zasadzkę zastawioną przez drugą, w wyniku czego zginęli członkowie obu gangów...

Następowała lista zabitych i krótka charakterystyka ich sylwetek sporządzona na podstawie akt policyjnych.

Jednym z wymienionych był Julian Dunois.

Widmo śmierci nie było przywidzeniem; Dunois zginął. Przypłacił życiem masakrę, jaką spowodował.

Reszta artykułu zawierała dość niejasne rozważania na temat przyczyn i przebiegu masakry. A także wzmiankę o tym, że prawdopodobnie miała związek z tajemniczym zniknięciem Adriana Sealfonta.

Były to tylko spekulacje. Nie było bowiem nic o Nemrodzie, nic o Matlocku, nic o śledztwie prowadzonym od dawna przez władze federalne. Nic o tym, co wydarzyło się naprawdę.

Słyszając, jak otwierają się drzwi chaty, Matlock odwrócił się. Na małej werandzie, pięćdziesiąt metrów od wody, stała Pat. Pomachała do niego i ruszyła w dół po schodach.

Szła bosą, uśmiechnięta, ubrana w szorty i cienką, jedwabną bluzkę. Z rąk i nóg zdjęto jej już bandaż, a karaibskie słońce opaliło jej skórę na piękny, złocisty brąz. Czoło dziewczyny okalała szeroka, pomarańczowa opaska, która zasłaniała rany na głowie.

Pat oświadczyła, że nie wyjdzie za Matlocka. Stwierdziła, że nie chce, aby się z nią żenił ani z litości, ani dlatego, że, ma wobec niej prawdziwe lub wymaginowane poczucie długu. Ale Matlock wiedział, że jednak się pobiorą. Albo do końca życia pozostaną sobie wierni. Julian Dunois sprawił, że byli już sobie przeznaczeni.

- Przyniosłaś papierosy? - spytał.

- Nie - odpowiedziała. - Przyniosłam zapalniczki.
- To brzmi dość zagadkowo.
- To samo powiedziałam w rozmowie z Jasonem. "To brzmi dość zagadkowo."

Pamiętasz?

- No jasne! Byłaś potwornie wściekła.
- Bo władowano w ciebie LSD... Cierpiałeś... Chodźmy w stronę mola.
- Po co wzięłaś zapalniczki? - Przełożył gazetę pod drugą pachę i ujął dziewczynę za rękę.
- Żeby rozpaść stos pogrzebowy. Archeolodzy przykładają do tego wielkie znaczenie.
- O czym ty mówisz?
- Chodzisz z tą cholerną gazetą przez cały dzień. Chcę ją spalić. - Uśmiechnęła się łagodnie.
- Spalenie gazety nie zmieni jej treści.
- Jak ci się zdaje, dlaczego Jason ją przysłał? - spytała, puszczając mimo uszu jego słowa. - Myślałam, że przez kilka tygodni mamy nie wracać do tamtych spraw. Żadnych gazet, radia, żadnego kontaktu z cywilizacją. Tylko ciepła woda i piasek. Sam ustalił zasady, a teraz je złamał.
- Zalecił, nie ustalił; pewnie jednak wiedział, że trudno będzie ich przestrzegać.
- Mógł poczekać, aż ktoś inny je złamie. Nie jest tak dobrym przyjacielem jak myślałam.

- Może jest lepszym.
- Sofistyka - odparła, ściskając dłoń Matlocka.

Długa, pojedyncza fala omyła im nogi. Mewa bezgłośnie spłynęła z nieba na przybrzeżną wodę, po czym zaczęła kręcić łbem i gwałtownie wymachiwać skrzydłami; po chwili wzbijała się ze skrzekiem w powietrze. W dziobie nie miała żadnej zdobyczy.

- Greenberg wie, że muszę podjąć niełatwą decyzję.
- Już ją podjąłeś. To również wie.

Matlock spojrzał na Patrycję. Tak, Greenberg wiedział; ona też wiedziała.

- Będzie dużo bólu - rzekł. - Może więcej niż to warte.

- Tak ci powiedzą. Powiedzą, żebyś pozwolił im załatwić wszystko po swojemu. Sprawnie, po cichu, oszczędzając ambarasu.

- Może tak byłoby lepiej; może mają rację.
- Ani przez sekundę w to nie wierzysz.
- Tak, masz rację.

Przez chwilę szli w milczeniu. Molo było tuż przed nimi; wychodzący w morze pazur z głązów ułożonych kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset lat temu, żeby powstrzymać dawno zapomniane prądy. Choć wydawał się dziełem natury, był dziełem człowieka.

Podobnie i Nemrod był dziełem człowieka; był następstwem tego, w jakim kierunku rozwijała się sytuacja w całym kraju; następstwem niepożądanym, ale jak najbardziej logicznym. Które należało po cichu zwalczać.

Mini-Ameryka... tuż pod powierzchnią.

Przedsięwzięcie handlowe jak każde inne.

Wszędzie.

Łowcy, założyciele. Mordercy i ich ofiary zawierali przymierza. Spójrz na dzieci. Zobaczyły, zrozumiały... I przyłączyły się do nas. Przywódcy nic nie rozumieją.

Mikrokosmos nieuchronnej przyszłości? Nieuchronnej, po nieważ potrzeby były tak prawdziwe? Tak prawdziwe od lat?

A jednak przywódcy tego nie rozumieli.

- Jason powiedział kiedyś, że prawda nie jest ani dobra, ani zła. Po prostu jest prawdą. Dlatego mi to przysłał. - Matlock usiadł na wielkim, płaskim kamieniu; Pat stanęła obok.

Był przyptyw; fale przyboju rozbrygiwały się na skałach. Dziewczyna wyciągnęła rękę i wzięła od Jima gazetę.

- Więc to jest ta prawda - oznajmiła.

- Ich prawda. I ocena. Przypisać wydarzeniom czytelne etykiety i kontynuować grę. Ma być jak na westernie; źli bandyci i porządny szeryf, wszystko jasne i zrozumiałe. Zmyślane od początku do końca.

- A jaka jest twoja prawda?

- Muszę wrócić i opowiedzieć, co się naprawdę stało. Niczego nie ukrywać.

- Będą innego zdania. Podadzą ci setki powodów, dlaczego masz tego nie robić.

- Nie przekonają mnie.

- Więc będą przeciwko tobie. Grozili ci; nie pozwolą, żebyś im przeszkadzał. Jason dał ci to wyraźnie do zrozumienia.

- Dał mi do zrozumienia, że powinienem się dobrze zastanowić.

Trzymając przed sobą gazetę, dziewczyna potarła o kamień drewnianą, karaibską zapalną.

Gazeta paliła się wolno, bo co rusz spadały na nią krople wody z rozbijających się o skały fal.

Ale paliła się.

- Niezbyt imponujący stos pogrzebowy - powiedział Matlock.

- Kiedy tu wrócimy, rozpalimy większy.